

POWIAC

MI
ER

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

THRILLER

ERICA SPINDLER
ŚLEPA ZEMSTA

ERICA
SPINDLER



ŚLEPA ZEMSTA

ERICA

SPINDLER

ŠLEPA

ZEMSTA

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nowy Orlean, Luizjana Niedziela, 28 sierpnia 2005 r. 16.00

Bogowie czuwali nad Nowym Orleanem. A przynajmniej wszystko na to wskazywało. Jakże inaczej to historyczne miasto zbudowane poniżej poziomu morza, ten brylant położony na bagnach, mogłoby przetrwać?

Przetrwanie. Gatunków, najsilniejszych osobników, własne... Instynktowny odruch, by walczyć o życie. Żeby ocaleć.

Czy ona też będzie próbowała się bronić?

Podejdź do drzwi. Otwórz je.

Była tutaj. Leżała na łóżku. Spała. Suka! Nędzna, niewierna dziwka!

Zasłużyła na to. Zdradziła cię. Złamała ci serce.

Przekreśliła się. Jęknęła, jej powieki zadrżały.

Szybko! Podejdź do łóżka. Zaciśnij dłoń na jej szyi.

Gwałtownie otworzyła oczy. Sadzawki przerażonego błękitu.

Szarpała się i wrywała.

Mocniej. Jeszcze mocniej. To jej wina. Jej. Suka!

Zdrajczyń!

Kremowa skóra pokryła się plamami, po czym spur-purowiała.

Oczy wyszły jej z orbit, wytrzeszczone jak

u jakiejś dziwacznej postaci z kreskówki.

Żadnego żalu. Żadnego wahania. Sama była sobie winna.

Zasłużyła na to.

Jej ręce opadły. Ciało zadrżało, po czym znieruchomiło.
To już połowa zadania. Oddychaj głęboko. Uspokój się. Skończ to,
do czego cię zmusiła.
Ciszę przerwało wycie. Głośny jak wystrzał trzask wstrząsnął
domem.
To tylko wiatr. Wściekłość Katriny. No już, szybko! Dobrze.
Sprawdź, czy masz wszystko, co ci potrzebne.
Mocne, przemysłowe worki na śmieci. Gumowe rękawice i buty.
Ubranie przeciwsturmowe. Nowa, błyszcząca piła do cięcia kości.
Piękna, śliczna piła.
Plastikowy worek zapinany na zamek błyskawiczny.
Nikt nic nie usłyszy. Nikt nie przyjdzie. Wszyscy uciekli.
Puste miasto.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nowy Orlean, Luizjana Środa, 31 sierpnia 2005 r.
15.00

Miasto duchów, pomyślała kapitan Patti O'Shay. Wszystko wokół
wyglądało jak scena z jakiegoś apokaliptycznego horroru. Ani
jednego samochodu czy autobusu. Ani jednej osoby idącej
chodnikiem czy siedzącej na werandzie. Upiorna cisza.
Sunęła wolno wzdłuż Tchoupitoulas Street w kierunku
przedmieść, manewrując ostrożnie między powalonymi słupami
wysokiego napięcia, gałęziami i drzewami, a czasem z
konieczności zjeżdżając z drogi. Walczyła z sobą, żeby skupić się
na prowadzeniu samochodu i zapanować nad wyczerpaniem i
rozpaczą.

Katrina uderzyła, a wtedy sprawdziły się najgorsze przepowiednio dotyczące Sądu Ostatecznego: wały przeciwpowodziowe zaczęły pękać, i niecka, którą było to miasto totalnego luzu, wypełniła się wodą.

Zalało osiemdziesiąt procent obszaru miasta, w tym również kwaterę główną policji. Ocalały tylko położone wyżej tereny: Dzielnica Francuska, fragmenty centrum biznesowego, niektóre zakątki Dzielnicy Ogrodów i za-możnych przedmieść. No i biegnąca wzdłuż Missisipi ulica, którą właśnie jechała.

Miasto było pozbawione elektryczności, bieżącej wody, dostępu do żywności. Dwadzieścia pięć procent pojazdów należących do nowoorleańskiej policji znalazło się pod wodą.

Mieszkańcy, którzy nie wyjechali, byli teraz uwięzieni na dachach lub strychach. Także na drogach między-stanowych i mostach. Umierali w okrutnym upale, bez jedzenia, wody i pomocy medycznej.

Na ulice wyszli szabrownicy, ćpuny i inne zbiry, Departament policji urządził punkt zborny w kasynie Harrah, stojącym samotnie u wylotu Canal Street „Royal Sonesta”, jeden z najbardziej imponujących hoteli w Dzielnicy Francuskiej, służył teraz za tymczasową kwaterę główną policji.

Patti zacisnęła palce na kierownicy. Łączności również nie było. Policjanci mieli do dyspozycji wyłącznie krótkofalówki i jeden doraźny kanał radiowy, z którego korzystali wspólnie ze wszystkimi pozostałymi agencjami oraz policją stanową.

Z powodu zakłóceń porozumienie się z kimś, kto znajdował się dalej niż sześć kilometrów, było niemożliwe, a więc dowódcy poszczególnych oddziałów utracili zdolność dowodzenia. Co gorsza, różno urzędy zagłusza-ły się nawzajem, tworząc kakofonię dźwięków, której właśnie słuchała. Długa litania chaotycznych ostrzeżeń, doniesień, próśb o wsparcie.

Oczywista oznaka, że ci, którzy przeżyli, walczą o powrót do normalności. Ten hałas dowodził, że koniec świata jeszcze nie nastąpił.

Chociaż Patti obawiała się, że jej świat już się skończył. Tak po prostu.

Jej mąż, kapitan Sammy O'Shay, zaginął.

Od niedzieli poprzedzającej huragan nie miała od niego żadnych wiadomości. Wydano wówczas rozkaz, żeby wszyscy oficerowie pozostali na służbie. Razem z Sammym poszli na wczesne nabożeństwo do katedry świętego Ludwika, po czym każde z nich udało się na swój patrol.

Pamiętała, jak po wyjściu z kościoła ogarnęło ją uczucie przytłaczającej pustki. I lęku. Było tak przejmujące, że z trudem chwyciła oddech.

Sammy spojrział na nią z niepokojem.

- Co się stało, kochanie?

- Nic. - Pokręciła głową.

Ale on znał ją zbyt dobrze. Zacisnął palce na jej dłoni. Był dla niej podporą i zawsze ją chronił.

- Będzie dobrze, Patti. Do środy wszystko zacznie działać normalnie.

Przytulił ją i uścisnął na pożegnanie. A potem rozpętało się piekło. Patti uświadomiła sobie, że właśnie dzisiaj jest środa. I nic nie działa normalnie.

Gdzie on jest?

Zadrżała nagle, choć przez otwarte okna do wnętrza radiowozu wpadało nieznośnie gorące, wilgotne powietrze. Potrząsnęła głową, próbując się pozbyć ogarniającego ją przerażenia.

Z Sammym z pewnością wszystko jest w porządku. Pewno pojechał do domu, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, albo szukał jej i został odcięty przez wodę. Możliwe też, że utknął gdzieś, próbując ratować ludzi. To oczywiste.

Zawsze był bardzo zaradny. Gdyby został ranny, z pewnością znalazłby jakieś schronienie i czekał na pomoc.

Tylu ludzi zaginęło. Tylu zmarło.

W krótkofalówce rozległy się jakieś trzaski i piski.

W mieście znów spłonęło kilka budynków. Były raporty o setkach mieszkańców skupionych w centrum konferencyjnym, o strzelaninie na stadionie Superdome, o prywatnych zbrojnych oddziałach, które przylatywały tu helikopterami.

Plotki i pogłoski, których nie sposób zweryfikować z powodu

braku łączności. Gdzie jest Sammy?

Nagie wszystkie rozmowy ucichły, przerwane przeciągłym piskiem. Przerażliwy dźwięk podziałał na nią jak uderzenie.

Przytrzymanie jednego z przycisków było jedyną metodą, żeby wyregulować kanał alarmowy. To był sygnał, żeby użytkownicy nie korzystali z kanału, dopóki nie zostanie podany komunikat.

- Ranny policjant. Powtarzam, ranny policjant. Audubon Place. Patti podniosła krótkofalówkę do ust.

- Zgłasza się kapitan Patti O'Shay. Jestem na ulicy Tchoupitoulas, zbliżam się do Jackson Avenue. Czy stąd dojadę na Audubon Place? Czekam.

Natychmiast przekazano jej informację, że przejezdne są aleje Jackson i Louisiana, na których oczyszczono po jednym pasie. Na St. Charles Avenue należało jechać po torach tramwajowych. Audubon Place była ulicą, gdzie stało najwięcej wytwornych rezydencji w Nowym Orleanie, a być może nawet na całym Południu. Zamknięty teren, na którym usytuowanych było dwadzieścia osiem pałaców zajmowanych przez stare nowoorleanskie rody. Tu mieszkała sama śmietanka: magnaci przemysłowi, rektor uniwersytetu Tulane. Położona na północ od St. Charles Avenue, naprzeciwko parku Audubon i granicząca z uniwersyteckim kampusem, przetrwała huragan prawie bez szkód. A teraz, całkiem bezbronna, stała się łakomym kąskiem i łatwym celem dla grabieżców.

Patti miała mętlik w głowie. Alarm mógł być fałszywy.

W ciągu ostatnich dni zdarzało się to wielokrotnie. A jeśli nie...

Kim był ten policjant? Jak ciężkie odniósł obrażenia i jak, do diabła, miała mu zapewnić pomoc lekarską?

W końcu dojechała na miejsce. Dostrzegła, że przed nią dotarł jeszcze jeden radiowóz.

Najwyraźniej raporty o prywatnych siłach policyjnych nie były przesadzone. Czterech uzbrojonych mężczyzn w maskujących mundurach stało w bramie, która zamykała eleganckie, zwieńczone łukiem wejście. Tuż obok zaparkowano prywatne hummery i spychacz.

Kiedy wysiadła, w drugim radiowozie po stronie kierowcy również otworzyły się drzwi. To był jeden z jej ludzi. Detektyw

Tony Sciamé. Miał za sobą trzydzieści lat służby i chyba nie było rzeczy, które mogłyby go zaskoczyć.

Teraz ruszył w jej stronę. Odniosła wrażenie, że od chwili gdy widziała go po raz ostami, postarzał się o dziesięć lat. Nie odezwała się jednak, bo z pewnością wyglądała równie źle.

- Co tam mamy? - spytała.

- Nie jestem pewien. Przyjechałem kilka minut przed tobą. Nie pozwolili mi wejść.

- Słucham? - zdumiała się.

- Powiedzieli, że mają ten teren pod kontrolą. Prywatna straż, wynajęta przez mieszkańców do ochrony ich własności.

Być może za pieniądze nie można kupić miłości, lecz wszystko inne miało swoją cenę.

Razem podeszli do strażników. Serce jej zadrżało, gdy za bramą spostrzegła kolejny radiowóz.

- Kto tu dowodzi? - spytała mężczyzn.

- Ja. Major Stephens. Prywatna armia Blackwater.

- Kapitan Patti O'Shay, Departament Policji Nowego Orleanu - przedstawiła się, pokazując legitymację. - Dostaliśmy informację, że jest tu ranny oficer.

Sprawdził jej tożsamość, po czym gestem pokazał, żeby szli za nim.

- Chodźcie.

Poprowadził ich w stronę radiowozu. Patti słyszała szum generatorów, które zapewniały prąd pałacom. Tak właśnie wygląda świat, pomyślała. Klęska znacznie bardziej dotknęła biedotę niż ludzi z elity.

Jak widać, dla najzamożniejszych była zaledwie drobną niedogodnością.

Ofiara leżała kilka metrów przed pojazdem, twarzą w błocie.

- Nie ma odznaki - odezwał się mężczyzna. - Ani broni.

Kiedy się zbliżyli, nasilił się odór śmierci. Patti poczuła, że mimo upału jej dłonie są lodowate.

- Wygląda na to, że został uderzony w głowę jakimś ciężkim przedmiotem - ciągnął major. - Potem go zastrzelono. Dostał dwie kule w plecy.

Podeszli do ciała. Patti wpatrywała się w ofiarę. W głowie jej się

kręciło, w uszach szumiała pulsująca krew.

- Rozkład ciała wskazuje, że to nie mogło się stać po huraganie - odezwał się Tony.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie była w stanie mówić.

Znała tego policjanta. Ze wspólnego życia, z dzielonych z nim trosk, nadziei i marzeń. Z prawie trzydziestu lat małżeństwa.

To nie mogło być prawdą. A jednak było.

Jej mąż nie żył.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwartek, 20 października 2005 r.

11.00

Patti wpatrywała się w ekran komputera, na którym wyświetlona była nowoorleańska strona informacyjna NOLA.com z wiadomością sprzed prawie dwóch miesięcy.

Kapitan nowoorleańskiej policji zastrzelony przez szabrowników.

9/01/05, godz. 8.10

W środę policjanci znaleźli w Audubon Place ciało zastrzelonego kolegi, kapitana Sammy'ego O'Shaya, ofi-cera o trzydziestoletnim stażu.

Zdaniem szefa policji, Eddiego Compassa, morderstwo było dziełem szabrowników, których ściągnęły w tę okolicę zamożne rezydencje.

Śledztwo jest w toku.

Śmiechu warte. Nie było żadnego śledztwa wówczas, nie było go i teraz. W mieście i wszystkich jego urzędach, łącznie z departamentem policji, panował chaos. W tej chwili najważniejsze

było przetrwanie. Jak można prowadzić dochodzenie bez żadnych szans znalezienia dowodów, bez wyposażenia, ludzi do pracy? Do diabła, przecież w niektórych częściach miasta nadal brakowało wody pitnej.

Patti zmarszczyła czoło. Chciała poznać odpowiedzi na wiele pytań. Doprowadzić do niepodważalnych ustaleń. Tymczasem nie miała nawet pewności, czy Sammy został zabity przed uderzeniem huraganu czy po nim.

Szef uznał, że Sammy musiał przeszkodzić szabrownikom, dlatego go zastrzelili. Takie rozumowanie wydawało się sensowne, jeśli weźmie się pod uwagę miejsce i czas. Jeżeli jednak tak było, czemu nie miała od męża żadnych wieści od chwili, gdy rozstali się pod katedrą?

Powodów mogło być mnóstwo... Kolejne pytania bez odpowiedzi. Jakże to wszystko frustrujące.

Masując skronie, żeby pozbyć się napięcia, próbowała zebrać w myślach wszystkie fakty dotyczące śmierci męża. Został uderzony w tył głowy, co sugerowało, że zabójca go zaskoczył. Potem rozbroił i w końcu zabił Sammy'ego z jego własnej broni, oddając dwa strzały w plecy.

Wóz Sammy'ego stał otwarty, kluczyki były w środku. Wnętrze samochodu było czyste. Przy Sammym nie znaleziono ani broni, ani odznaki. Miejsce zbrodni nie zostało zbadane. Wszelkie ślady, o ile jakieś były, dawno uległy zniszczeniu.

- Pani kapitan? Wszystko w porządku?

Patti oderwała wzrok od monitora. W progu jej prowizorycznego gabinetu stał detektyw Spencer Malone. Był nie tylko jej podwładnym, ale również siostrzeńcem i chrześniakiem.

Przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem.

- Oczywiście. O co chodzi?

- Masowałeś skronie - powiedział cicho, ignorując jej pytanie.

- Naprawdę? - Ze złością opuściła dłonie. Minęły

prawie dwa miesiące od chwili, gdy Sammy zginął, ale ludzie wciąż ją traktowali, jakby miała za chwilę się rozsypać. Chyba już wystarczająco cierpiała, a ta nieustająca troska ciągle przypominała jej o stracie, jaką poniosła.

Pochodziła z rodu, z którego w nowoorleańskiej policji poza nią

służyli również jej ojciec i dziadek, szwagier, trzech siostrzeńców i siostrzenica. Nie było sposobu, żeby coś przed nimi ukryć.

- To tylko ból głowy.

- Jesteś pewna? Przed zawałem...

- Byłam wciąż zmęczona i rozcierałam skronie?

- Właśnie.

Na wiosnę przed huraganem przeszła niegroźny atak serca, ale teraz to było coś zupełnie innego.

- Nic mi nie jest. Chciałeś coś?

- Mamy robotę - odpowiedział Spencer. - Na jednym z cmentarzy lodówek.

Nowoorleańczycy, uciekając przed Katrینą, porzucali wypełnione lodówki i zamrażarki, które przez te wszystkie tygodnie były pozbawione prądu. Po powrocie większość ludzi po prostu zamykała szczelnie cuchnące urządzenia i wystawiała na ulicę. Stamtąd wywożono je na wysypiska śmieci, gdzie zajmowała się nimi Agencja Ochrony Środowiska. Właśnie te śmietniska zyskały miano cmentarzy lodówek.

- Robotę? - powtórzyła.

- I to dużą. Agencja Ochrony Środowiska dokonała ciekawego odkrycia w jednej z zamrażarek. Pół tuzina ludzkich dłoni.

Patti postanowiła pojechać do wezwania razem ze Spencerem. Na miejscu czekał na nich inspektor Jim Douglas.

- Cholera, czego takiego jeszcze nie widziałem

- powiedział. - W pierwszej chwili myślałem, że Paul, który miał oczyścić tę zamrażarkę, zrobił mi kawał.

Kiedy cały dzień człowiek zajmuje się czymś takim... - zatoczył ręką, pokazując wysypisko - dobry żart jest nawet mile widziany. Rozumiecie, co mam na myśli?

- Jasna sprawa - mruknął Spencer. - Coś takiego nadaje nowy sens śmierdzącej robocie.

- No właśnie. Nie martwcie się, do tego smrodu można przywyknąć.

Patti nie zamierzała go informować, że jedną z pierwszych i być

może najważniejszych lekcji, jakie pobiera gliniarz, jest informacja, że przed pojawieniem się na miejscu zdarzenia, należy rozetrzeć pod nosem trochę maści mentolowej. Zwłaszcza gdy dostanie się zgłoszenie o takiej sprawie jak ta...

Chociaż musiała przyznać, że w tak cuchnącym miejscu znalazła się chyba po raz pierwszy, a przecież wiele już widziała. Stała na samych obrzeżach wysypiska, ale i tak zaczęły jej łzawić oczy.

Inspektor poprowadził ich w stronę wozu agencji.

- Mam tu dla was kombinezony ochronne i maski. Z pewnością będą wam potrzebne. - Wprowadził ich do środka i podał białe skafandry, specjalne kaptury i buty oraz maski przeciwigazowe. Przebrali się i ruszyli na cmentarzysko. Patti czuła się jak w nierealnym świecie. Gdzie okiem sięgnąć stały niezliczone rzędy lodówek i zamrażarek. Wielki śmierdzący cmentarz pełen pogrzebanej żywności.

I zupełnie jak na prawdziwym cmentarzu, na wyrzuconych urządzeniach mieszkańcy Nowego Orleanu dawali upust swym uczuciom. Wypisane sprayem uwagi wyrażały rozpacz, gniew, beznadzieję. „Świetna robota, Brownie!” - głosił jeden z napisów, wymalowany pomarańczową farbą. Był to cytat z prezydenta Busha, który tak

zwrócił się do Michaela Browna, nieudolnego szefa Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. „Na ra-zie, Panie Śmierdzielu!” widniało na innej lodówce. A jeszcze gdzie indziej: „Tu leży Wujek Gnoj. Wielkie dzięki, Katrino!”.

Na wielu drzwiach wciąż były poprzyczepiane kalendarze, dziecięce rysunki i zdjęcia. Obrazy zniweczonego życia, zatrzymanego czasu.

- Te urządzenia zakwalifikowane są jako niebezpieczne odpady - wyjaśniał Douglas, gdy szli wzdłuż rzędu lodówek. - Dlatego właśnie zajmuje się tym Agencja Ochrony Środowiska. Zaczynamy od opróżniania zawartości. Podczas takiej akcji trafiliśmy na te ręce. Najpierw lodówka jest myta pod ciśnieniem. Później ściągamy freon z wężownicy i olej ze sprężarki.

- Ile ich tu macie? - spytał Spencer. Słyszac ton jego głosu, Patti domyśliła się, że jemu również to miejsce wydaje się nierealne. Prawdę mówiąc, od 29 sierpnia prawie wszystko w Nowym

Orleanie sprawiało takie wrażenie.

- Dziesięć tysięcy - odparł mężczyzna. - A dopiero zaczęliśmy. Spodziewamy się, że zanim to się skończy, będzie ich ćwierć miliona.

Spencer gwizdnął.

- Całe mnóstwo cuchnących lodówek.

Douglas zaśmiał się, choć „cuchnący” było dość łagodnym określeniem.

- I tak dobrze, że da się je zutylizować. Kiedy z nimi skończymy, zostaną sprasowane, potem odesłane do firmy, w której przejdą przez niszczarki i separatory. No, jesteśmy - oznajmił całkiem niepotrzebnie, bo trudno było nie zauważyć lodówki, w sprawie której tu przyjechali. Jeden z policjantów otoczył ją i najbliższy teren policyjną taśmą. Tuż za taśmą stało dwóch mężczyzn, również ubranych w ochronne kombinezony.

I wtedy właśnie zobaczyła ręce. A raczej to, co z nich pozostało. W większości były to jedynie kości, rozłożone na ziemi na plastikowej płachcie. Obok leżały zapinane aa suwak worki. Nie była pewna, czy z tych szczątków lub z tego, co pozostało w workach, a wyglądało jak słynna kreolska zupa gumbo, uda się uzyskać jakiś materiał DNA.

Zupa DNA, przemknęło jej przez myśl. Cudownie.

Podniosła wzrok na lodówkę. Typowa lodówko-za mrażarka, bez dozownika wody czy urządzenia do robienia kostek lodu. Żaden cud techniki.

Potężniejszy z mężczyzn postąpił do przodu.

- Funkcjonariusz Connelly, kapitanie. To ja odebrałem zgłoszenie.

- I to pan ogrodził teren taśmą?

- Tak. Sprawdziłem zgłoszenie i wezwałem pomoc.

- Świetnie. Proszę skontaktować się z komendą i sprawdzić, czy mogą przysłać nam techników. - Odwróciła się do drugiego z mężczyzn. - Jestem kapitan O'Shay, a to detektyw Malone. Jak rozumiem, to pan znalazł te dłonie.

Potakująco kiwnął głową.

- Pewno powinienem od razu wezwać Jima, ale w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem. Powiem szczerze, diabelnie mnie to zaskoczyło.

- Każdy by tak zareagował, Paul. Opowiedz nam dokładnie, jak to było.

- Jak wiecie, musimy postępować według ściśle określonej procedury. Najpierw opróżniamy lodówki. Jeśli to możliwe, zawartość ładujemy do pojemników. Robimy to ręcznie albo przy pomocy mechanicznego chwytaka. Później myjemy je wodą pod ciśnieniem. W większości lodówek znajdujemy rozkładającą się maź. To oczywiste, bo przez długi czas stały bez prądu.

Obrzydlistwo.

Nie zamierzała zaprzeczać.

- A jak znalazłeś te dłonie?

- Były tam - wskazał jedno z urządzeń - w zamrażarce. W ogóle bym ich nie znalazł, gdyby jeden z worków się nie otworzył.

Wyślizgnął mi się z rąk i pękł. Zrządzenie losu.

- Ale nie wezwałeś wtedy pana Douglasa?

- Wiecie, zaskoczyło mnie to. W pierwszej chwili pomyślałem, że to może nie są prawdziwe dłonie. Przyszło mi do głowy, że ktoś je tu podrzucił dla kawału.

Głos mu zadrżał, ale nie potrafiłaby ocenić, czy sprawiło to przerażenie czy może podekscytowanie.

- Położyłem więc jedną tutaj, żeby dobrze jej się przyjrzeć, ale nie wyglądała jak z plastiku. A potem znalazłem następną. - Przeniósł spojrzenie na Douglasa. - I wtedy poszedłem po Jima.

- I już razem wyjęliście cztery pozostałe? Kiwnął głową.

- Kiedy zrozumieliśmy, co to jest, byliśmy bardzo ostrożni.

- Doceniamy to. - Patti zwróciła się do Douglasa. - Czy wiadomo, skąd pochodzi ta lodówka?

- Z terenu miasta.

- Nie znacie ulicy, dzielnicy lub...

- Po prostu z tego okręgu.

Prawdę mówiąc, nie była zaskoczona. Uprzątnięcie zalanych terenów wymagało ogromnego wysiłku. Słyszała, że po huraganie było w mieście tyle gruzu, ile wywożono z Nowego Orleanu przez trzydzieści cztery lata. Około stu milionów metrów sześciennych, co przeciętnemu człowiekowi w ogóle nie mieściło się w głowie.

Ponownie spojrzała na Paula.

- Czy zauważyłeś w tej lodówce coś charakterystycznego?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Przykro mi.

- Daj nam znać, gdyby coś ci przyszło do głowy.

- Wyciągnęła rękę do Jima Douglasa. - Zabierzemy to stąd. Kiedy pojawi się nasza ekipa, proszę ją tu skierować, dobrze?

Obiecał, że to zrobi, po czym obaj z Paulem odeszli. Spencer zbliżył się do płachty i przykucnął, przyglądając się szczątkom.

- To są wszystko prawe dłonie - powiedział. - Sześć różnych ofiar.

Patti zmarszczyła czoło.

- Dlaczego prawe dłonie?

- Czemu w ogóle dłonie? - odparował.

- To trofea. Nie ma wątpliwości.

- Katrina zaatakowała miasto i ten chory sukinsyn stracił swoją kolekcję. - Włożył lateksowe rękawiczki i wyciągnął rękę. - To kobiece dłonie. Za małe na męskie.

Patti również naciągnęła rękawiczki i podeszła bliżej. Dłonie na płachcie były prawie tej samej wielkości co jej dłoń.

- Chyba mogłyby należeć do młodego mężczyzny, na przykład nastolatka.

- Możliwe. - Spencer z namysłem przechylił głowę.

- Spójrz tutaj. Te cztery były bardzo starannie odcięte.

- Za to te dwie - mruknęła Patti - zwyczajnie odrąbane.

- Z upływem czasu udoskonalił technikę.

- Praktyka czyni mistrza.

- Ponura uwaga.

- Niestety nie jedyna. - Patti wyprostowała się.

- Wszystkie były zamrożone. Rozkład zaczął się, kiedy zabrakło prądu.

- A więc nie będziemy w stanie określić, kiedy doszło do tych okaleczeń - podjął Spencer. - Mogło się to zdarzyć tuż przed huraganem...

- Albo całe lata wcześniej.

- To ponury fakt numer dwa. W dodatku nie wiemy, ile osób kręciło się przy tej lodówce ani jak długo stała na powietrzu, wystawiona na działanie warunków atmosferycznych.

- Znalezienie jakiegokolwiek śladu będzie graniczyć z cudem.

Wiedziała, że Spencer mówi o czymś, co można by wykorzystać

jako materiał dowodowy. Czymś takim jak włosy lub włókna.

- To samo z odciskami - dodała. - Nie uda nam się ustalić, skąd przywieziono lodówkę, więc nie mamy żadnego punktu zaczepienia, od którego można by rozpocząć dochodzenie.

- To byłby już ponury fakt numer trzy - ocenił Spencer.

- Zgadza się. A DNA, jeśli w ogóle uda się pozyskać jakąś nieskażoną próbkę, też nam nic nie da, bo przecież nie będziemy mieli z czym jej porównać.

- To już numer czwarty - burknął Spencer, siląc się na żart. -

Piękne dzięki. Tego mi właśnie było trzeba.

Pojawiła się wreszcie ekipa techniczna, jak się okazało, jednoosobowa. Patti rozpoznała technika po sprzęcie. Wyglądało na to, że będzie musiał sam wykonać całą robotę, poczynając od zrobienia zdjęć, a kończąc na zbieraniu odcisków palców i wszelkich innych śladów.

Zresztą i tak cud, że go skądś wytrzasnęli. Większość domów uległa zniszczeniu, brakowało miejsc dla urzędów i biur. Setki funkcjonariuszy nowoorleańskiej policji mieszkało na statku wycieczkowym „Ecstasy”, który stał na Missisipi w śródmiejskim porcie.

- Cześć - przywitał się technik, odstawiając walizkę ze sprzętem. - Co tu mamy?

- Czyjaś kolekcję. - Spencer wskazał ręką płachtę ze szczątkami. Mężczyzna skrzywił się i pokręcił głową.

- Wszystko się popieprzyło. Podobno niedawno zauważyli rekina płynącego Bulwarem Kombatantów. Nie wiem, jak po tym wszystkim można dojść do siebie. - Załadował aparat. - Mama mieszka w St. Tammany, przeniosłem się do niej. Na jej posiadłości powaliło czterdzieści drzew, ale żadne z nich nie uderzyło w dom. Dacie wiarę?

Nie oczekując odpowiedzi, zabrał się do pracy. Takie opowieści słyszeli zresztą już wielokrotnie. Właściwie od każdej osoby, z którą się zetknęli. W tym świecie po katastrofie wszyscy mieli jakąś historię do opowiedzenia.

Odwróciła się do policjanta.

- Connelly, pomóż mu w pracy. Dopilnuj, żeby zostały zabezpieczone wszystkie dowody. Zamelduj się u mnie, gdy

skończycie.

Wrócili ze Spencerem do wozu. Dopiero gdy pozbyli się kombinezonów i wsiedli do podstarzałego chevroleta camaro Spencera, Patti przerwała milczenie.

- Szukamy ofiary. Sprawdź, czy komputer znajdzie kogoś okaleczonego w ten sposób. Poproś Tony'ego, żeby...

Niewiele brakowało, a użyłaby zwrotu „podał ci pomocną dłoń”.

Sądząc po uniesionych brwiach Spencera, domyślił się tego.

- Detektyw Sciame na pewno ci pomoże - dokończyła z posępnym uśmiechem. - Informuj mnie o wszystkim na bieżąco.

Znów zapadło milczenie. Patti patrzyła przez okno na spustoszone miasto. Nie dość że Katrina dokonała takich zniszczeń, to teraz jeszcze mieli na głowie seryjnego mordercę.

**CZĘŚĆ
DRUGA**

ROZDZIAŁ CZWARTY

Piątek, 20 kwietnia 2007 r.

Południe

Park Miejski zajmował powierzchnię tysiąca trzystu akrów w samym sercu Nowego Orleanu. Przed Katriną mógł się poszczycić polem golfowym z osiemnastoma dołkami, kortami tenisowymi, stawami, po których pływały gondole i parowce ze staromodnymi kołami napędowymi, Krainą Bajek, parkiem rozrywki, a także Muzeum Sztuki. Chociaż po huraganie przedstawiał dość opłakany widok, nadal przecież był jednym z najstarszych miejskich obiektów parkowych w Stanach Zjednoczonych.

Dziś jednak stał się miejscem makabrycznego odkrycia ludzkich szczątków.

Spencer zaparkował trzydziestoletniego chevroleta ca-maró przed Bayou Oaks, dwupoziomowym centrum treningowym golfa.

Meldunek mówił o szkielecie. Z pewnością nie byłby to pierwszy taki przypadek w karierze Spencera. Podzwrotnikowy klimat Luizjany z obfitymi opadami, drugim upalnym latem i kwaśną glebą przyspieszał proces rozkładu. Wystarczyły dwa tygodnie, żeby z ciała pozostały kości i kilka ścięgien.

Detektyw Tony Sciamé z łoskotem wjechał na żwirowy parking. Spencer podchodził właśnie do pamiętającego lepsze czasy fordá taurusa, gdy drzwiczki się otworzyły i Tony wygramolił się z wozu. Sądząc po zapachu frytek, który się za nim ciągnął, wezwanie przerwało mu lunch.

- Cześć, Makaroniarzu - powitał partnera Spencer. - Czy Betty wie, że jadasz to świństwo?

Betty od trzydziestu czterech lat była żoną Tony'ego. W przeciwieństwie do męża, który w ogóle nie przywiązywał do tego wagi, uważnie kontrolowała jakość jego posiłków.

- Oczywiście, Bystrzaku. Moja Betty jest rozgarniętą

kobietą.

Spencer zaśmiał się i podniósł wzrok na niebo.

- Dobra pogoda na rundkę golfa. Tony zaniósł się śmiechem.

- O ile dobrze pamiętam, Bystrzaku, najbliższej kija golfowego znalazłeś się w chwili, gdy przerwałeś bójkę tych dwóch gości w gaciach w szkocką kratę.

- To nie znaczy, że jeszcze kiedyś nie zagram. - Rzucił partnerowi rozbawione spojrzenie. - A w ogóle na twoim miejscu nie komentowałbym gustów innych, jeśli chodzi o dobór ciuchów.

- Bo co? - Tony zerknął na swoje ubranie. - Przecież wyglądam dobrze.

Miał na sobie spodnie trochę zbyt zielone, żeby mogły uchodzić za khaki, a zbyt brązowe, by nazwać je zielonymi. Prawdę mówiąc, miały kolor wymiocin, chyba to określenie należałoby uznać za najtrafniejsze. Do nich Tony włożył bardzo wzorzystą koszulę, na której dominował kolor pomarańczowy.

- Tak, jasne. Chyba wyłącznie dla kogoś dotkniętego dal tonizmem.

- Po prostu nie mam oporów, żeby nosić jaskrawe kolory - prychnął Tony. - A ty mi zwyczajnie zazdrościsz pewności siebie.

- Jasne, jak uważasz. Skoro takie wyjaśnienie poprawi ci humor - zakpił Spencer. Nadał starszemu partnerowi przydomek Makaroniarz z powodu jego dużego brzucha. Tony zaś nazwał go Bystrzakiem, bo młody i niedoświadczony Spencer był wygadany i zuchwały. Chociaż przez większą część dnia obrzucali się inwektywami, lubili się i szanowali, a co najważniejsze ufali sobie i wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć.

W nowoorleańskiej policji detektywom nie przydzielano partnerów na stałe. Pracowali w systemie rotacyjnym. Kiedy pojawiała się jakaś sprawa, brał ją pierwszy wolny policjant i sam dobierał sobie pomocnika. Właśnie w ten sposób tworzyli zespoły. Spencer i Tony prawdę mówiąc, przedstawiali dość dziwną parę. Trzydziesto trzyletni Spencer był kawalerem. Tony miał czworo dzieci, a ożenił się, zanim jego partner przyszedł na świat. Spencer

był nowicjuszem w Pomocniczym Wydziale Dochodzeniowym, a w Wydziale Zabójstw też pracował od niedawna. Tony służył tam od dwudziestu siedmiu lat. Młodszy funkcjonariusz miał opinię porywczego narwańca. O Tonym mówiło się, że jest ostrożny i powolny.

Jak żółw i zając. Może niezbyt atrakcyjna para, lecz - w ich przypadku - skuteczna.

- Cześć, Mickey - Spencer powitał oficera, który kończył akademię razem z jego bratem Percym. Przed ślubem Mike'a byli kumplami i często razem imprezowali. - Co tu mamy?

Mężczyzna uśmiechnął się. Witaj, Spencer. Cześć, detektywie Sciame. Pierwszy

dołek, zachodnie pole. Ludzki szkielet. Prawie nienaruszony.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Nie wiem. Nie moja działka.

- Kogo przysłali z biura koronera?

- Tę kobitkę od szkieletów, Elizabeth Walker.

- Jakież dokumenty?

- Nie. Nie ma też żadnych przedmiotów osobistych, chociaż możliwe, że znajdzie się coś w grobie. Nie ruszaliśmy ciała.

Wezwaliśmy ludzi z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego z trzeciego okręgu. Przysłali Laundry'ego.

Prawie dziesięć lat temu władze nowoorleańskiej policji uznały, że najskuteczniej walczy się z przestępstwami tam, gdzie zostały popełnione. Zdecentralizowano wówczas cały departament, przenosząc różne jednostki dochodzeniowe do ośmiu okręgowych komend i skupiając je w wydziale, któremu nadano nazwę Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Funkcjonariusze tego wydziału nie specjalizowali się w jakichś konkretnych działaniach. Zajmowali się wszystkim poza gwałtami, molestowaniem dzieci i głośnymi morderstwami. Takie przestępstwa brał na siebie Pomocniczy Wydział Dochodzeniowy.

- Miło to słyszeć, Mickey. Może jeszcze będzie z ciebie dobry glina.

- Pocałuj mnie w dupę, Malone.

- Jeszcze czego. Za bardzo byś to polubił,

- Czy możemy zostawić te osobiste problemy na później? - wtrącił oschle Tony, - Przyjechali już i tego pieprzonego wydziału.

Chciałbym coś zobaczyć, zanim zapakują ofiarę do worka.

Młodszy oficer nie wydawał się tym speszony.

- Grób znaleźli inżynier i architekt krajobrazu, którzy mają zająć się odbudową pola. Prawdę powiedziawszy, potknęli się o niego.

- Co to dokładnie oznacza? - Spencer zmarszczył brwi.

- Dokładnie to, co słyszysz. Inżynier był nieźle spanikowany. Biedak właściwie wylądował na szkielecie. Gdyby się nie przewrócił, pewno w ogóle by go nie zauważyli.

- Wzięłeś ich dane? Mickey przytaknął i dodał:

- Uprzedziłem ich, że dziś po południu mogą się spodziewać wizyty policji. - Wskazał stojące w pobliżu wózki golfowe. - Weźcie sobie któryś. Kluczyki są w środku. Podążajcie za znakami.

- Co za ironia, że to tutaj znaleziono ciało - powiedział Spencer, gdy wsiedli do wózka.

Przez kilka miesięcy, zanim wrócili do swojej siedziby na Broad Street, cały wydział pracował w przyczepach kempingowych ustawionych właśnie w tym parku.

- To wcale nie jest śmieszne.

Tony prowadził, a Spencer rozglądał się po okolicy. Katrina zdziesiątkowała park. Następnego dnia po przejściu burzy dziewięćdziesiąt procent terenu znajdowało się pod wodą, której poziom osiągał nawet trzy metry. Na domiar złego była to słona woda z Zatoki Meksykańskiej. Sól zabiła trawę i ogromną liczbę delikatnych roślin.

Ale dwa lata po Katrina park - tak, jak reszta miasta - powoli wracał do życia, choć z pewnością daleko mu było do świetności sprzed katastrofy.

Dojechali na miejsce. Mickey wraz z partnerem ogrodzili taśmą policyjną szeroki pas ziemi wokół pierwszego dołka. Detektywi wysiedli z wózka i podeszli do stojącego na straży policjanta.

Spencer nie rozpoznał

Mickeya. Uznał, że chłopak jest z naboru już po Katrina.

Wszystko w Nowym Orleanie określało się teraz w ten sposób: przed lub po huraganie. Taki właśnie punkt odniesienia stosowali mieszkańcy, żeby określić czas i własne dzieje.

A z pewnością tak robił Spencer.

Przed tragedią wierzył już, że udało mu się dojść do ładu z samym sobą. Czuł się bezpiecznie i znalazł swoje miejsce na ziemi.

Nieważne, że to miejsce jest bardzo niewielkie.

Jednak morderstwo Sammy'ego, Katrina i chaos, jaki potem zapanował, podkopały jego wiarę i poczucie bezpieczeństwa. Teraz już miał wątpliwości. A także uprzedzenia. Zrozumiał, jak bardzo kruche jest ludzkie życie. Czasami o naszej przyszłości decydują dosłownie sekundy.

Wiele o tym myślał. Jednego dnia wszystko toczyło się normalnie, a już następnego świat przewrócił się do góry nogami. W życiu gliniarza jest mnóstwo niepewności, ale to było coś zupełnie innego. Katrina sprawiła, że ta niepewność nabrała globalnego znaczenia.

Obaj z Tonym wpisali się do dziennika operacyjnego, przeszli pod taśmą i ruszyli w stronę grupy ludzi zebranych wokół grobu znajdującego się jakieś dwa metry od dołka, w denni wielkiego drzewa.

Spencer zauważył, że technicy zrobili już zdjęcia i zabierali się do kopania. Elizabeth Walker przykucnęła obok, uważnie wszystko, obserwując.

Szkielet faktycznie był prawie nienaruszony, umieszczony w grobie twarzą do góry. Skrawki czegoś, co pewno kiedyś było ubraniem, przylgnęło do kości, która wyglądała jak z marmuru.

- Hej, Terry! - Spencer przywitał się z detektywem z Wydziału Pomocniczego. - Jak leci?

- Nie mogę narzekać, chociaż zazwyczaj to robię.

- Policjant z uśmiechem uściśnął mu rękę, po czym przywitał się z Tonym. - A co u ciebie?

- Tak samo, stary. Powiem Quentinowi, że cię spotkałem.

- Cholera, nie! Ale możesz przypomnieć temu głupiemu Walijczykowi, że wciąż jest mi winien piwo.

Spencer roześmiał się. Terry Laundry i Quentin byli partnerami, póki Quentin nie zdecydował się rzucić pracy w policji i pójść na prawo. Teraz pracował jako asystent prokuratora okręgowego. Prawdę mówiąc, gdziekolwiek w tym mieście człowiek by się nie obrócił, zawsze trafiał na kogoś z klanu Malone'ów.

Elizabeth Walker zerknęła na niego przez ramię. Afroamerykanka,

która wychowała się w Nowym Orleanie, zanim miasto się zintegrowało, miała zmysł orientacji, cięty język i trzeźwe spojrzenie kobiety, która ciężko zapracowała na sukces.

- Znowu Malone, dopomóż nam, Panie.

- Ja też się cieszę, że cię widzę. - Przykucnął obok niej. - Co o tym myślisz?

- To z całą pewnością kobieta. - Wskazała kości miednicy. - Widzisz, jaki jest krótki? Jakie szerokie jest dno miednicy?

- Wiek?

- Młoda, poniżej dwudziestego piątego roku życia. Jej kości jeszcze rosły. Będę wiedziała więcej po zrobieniu prześwietlenia. -

Zamilkła, a po chwili podjęła:

- Sądząc po barwie, jest tu już od dłuższego czasu. Chyba jakieś dwa lata.

- Mówiąc „tutaj”, masz na myśli to, że była wystawiona na działanie warunków atmosferycznych?

- Właśnie. - Wyciągnęła rękę w stronę szkieletu.

- Powinny być gładkie i błyszczące jak kość słoniowa, a wyglądają na wysuszone. W dodatku te szaro-białe plamy... Kości są porowate, więc gdyby leżały w ziemi, przybrałyby barwę gleby,

- Czy w ogóle była zakopana?

- Tak podejrzewam, ale grób musiał być płytki. Wiatr i deszcz albo powódź, którą przyniosła Katrina, wypłukały warstwę ziemi. Spencer z namysłem przyglądał się szczątkom.

- Możliwe, że leży tu aż tak długo?

- Oczywiście.

Podniósł wzrok na Tony'ega

- Płytki grób. To może oznaczać, że facet bardzo się spieszył. Tony pokiwał głową.

- Albo nie obchodziło go, czy ktoś ją znajdzie. Spencer naciągnął lateksowe rękawiczki i ostrożnie odsunął liście i resztki roślin. Do kości biodrowej przyczepiły się skrawki materiału. Pewno bielizna, pomyślał. Czy miała na sobie coś jeszcze?

Lekarka wydawała się czytać w jego myślach.

- Syntetyk - powiedziała. - Prawdopodobnie nylon. Czynniki

atmosferyczne szybko niszczą naturalne włókna, takie jak bawełna i jedwab, ale syntetyk może przetrwać wiele lat. Była ubrana. Spójrzcie na to.

Spośród liści i sosnowych igieł wystawał suwak Natomiast samo ubranie dawno zniknęło

- Jest jeszcze coś ciekawego?

- Miała wszczepiane implanty. W przeciwieństwie do ciała one się me rozkładają.

- Sprzęt na całe życie mruknął Tony drwiąco. - Co za idealny towar.

- Coś o tym wiem - zaśmiała się Elizabeth,

- Czy to wszystko? - spytał Spencer.

- Przed przewiezieniem jej do laboratorium? To chyba i tak dużo. Brak prawej dłoni, ale poza tym kości nie noszą żadnych śladów uszkodzeń, a żalem nie sposób wywnioskować z nich o przyczynie śmierci.

Brak dłoni? Przez chwilę podejrzewał, że ile ją zrozumiał.

Przesunął spojrzenie na prawe ramię szkieletu i na miejsce, gdzie powinna się znajdować prawa dłoń.

Powinna, ale wcale jej tam nie było...

Seryjny morderca, którego nazwali Chirurg, nigdy nie został złapany. Z powodu braku dowodów i zamieszania, jakie panowało po Katrinie, śledztwo utknęło w martwym punkcie i w końcu zostało umorzone.

Czyżby to była jedna z jego ofiar?

Podniósł wzburzone spojrzenie na Tony'ego, Po minie partnera poznał, że jemu to samo przyszło do głowy.

- Mógł to zrobić jakiś padlinożerca - odezwał się po chwili Tony.

Elizabeth zdecydowanie pokręciła głową,

- Niemożliwe. Niech pan spojrzy na kości, detektywie. To było precyzyjne cięcie. Jak amputacja.

Wymienili spojrzenia.

- Cholera, to rzeczywiście interesujące. Jeżeli oczywiście okaże się, że te szczątki pasują do jednaj i ofiar Chirurga.

- Sądzicie, że tak właśnie będzie? Antropolog również podniosła, się na nogi.

- Domyślam się, że w pierwszym rzędzie chcecie się dowiedzieć,

czy któraś z tamtych dłoni należy do tej kobiety.

- Ile czasu to potrwa?

- Niedługo. Zaraz przewiesimy ją do laboratorium. Kości każdego osobnika mają niepowtarzalne cechy. I nie kłamią. Jeśli któraś z dłoni należy do niej, dowiemy się o tym z całą pewnością.

- Zidentyfikowanie ofiary byłoby punktem zwrotnym w całej sprawie. Dzięki temu będzie można ruszyć z dochodzeniem.

- Będę szukać śladu urazu kości, na pewno niczego nie przegapię. To powinno pomóc. Tak jak zęby.

- Czy z tym, co masz, da się określić czas zgonu?

- Przykro mi, ale bardziej precyzyjnie nie zdołam tego ustalić. Zabiorę się do niej od razu i dam wam znać, gdy będę coś wiedzieć.

Spencer podziękował i razem z Tonym odeszli w stronę wózka golfowego.

- Jeśli została zamordowana po huraganie, to znaczy, że Chirurg jest tutaj. I znów wziął się do pracy.

- Detektywie! - dobiegło ich wołanie Elizabeth Walker. - Coś tu znaleźliśmy.

Zawrócili i podeszli do pani technik, która w obciążonej rękawiczką dłoni trzymała jakiś przedmiot.

Policyjna odznaka. Numer 364.

Spencer z bijącym sercem wpatrywał się w odznakę. Wszyscy na niego spojrzeli, gdy z ust wydarł mu się cichy okrzyk. Zdawał sobie sprawę z mijających sekund.

Znał ten numer odznaki. Nawet bardzo dobrze.

- Co jest, Bystrzaku? Spencer podniósł wzrok.

- Mamy już jedną odpowiedź. Została zabita przed huraganem. Tuż przed nim.

Widząc, że starszy kolega nic nie rozumie, dodał:

- Ta odznaka należała do kapitana Sammy'ego O'Shaya.

Można było odnieść wrażenie, że jego słowa wywołały taki sam efekt jak wybuch bomby. Na chwilę zapadło głucho milczenie Tony odezwał się pierwszy.

- Jesteś pewny? Absolutnie pew... - Do diabła, oczywiście!

Elizabeth odchrząknęła.

- Co pan zamierza zrobić, detektywie?

- Zadzwoń do kapitan O'Shay. Z pewnością będzie chciała tu przyjechać. A potem sama przejmie dowodzenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Piątek, 20 kwietnia 2007 r.

15.00

Patii trzymała odznakę w dłoniach obciążonych lateksowymi rękawiczkami. Jej ręce trochę drżały. W piersi czuła ból, jak po uderzeniu. Chłodny wiatr szeleścił liśćmi klonu. Jeden z techników niepewnie przestąpił i nogi na nogę. Nikt się nie odzywał. Czekali. Musieli jej dać trochę czasu, Patti podniosła wzrok i przesunęła spojrzeniem po obecnych. Widziała ich współczujące twarze. Zaskoczenie i smutek. A także gniew.

Zabito gliniarza. Jednego z nich.

- Tak mi przykro, ciociu Patti - odezwał się miękko Spencer, kładąc rękę na jej ramieniu.

- A mnie nie. - Jej głos brzmiał czysto i mocno. - Jego już nie ma. A to daje mi szansę przygwożdżenia skurwysyna, który go zabił.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał.

- Że to wszystko zmienia. Teoria „zabity przez szabrowników” okazuje się diabła warta.

- Być może.

- Żadne „być może”. Sammy natknął się na zabójcę. Zapewne

- złapał go na gorącym uczynku albo chwilę później. Dlatego zginął.
- To jedno wytłumaczenie.
 - Masz jakieś inne?
 - To ona mogła go zabić.
 - Mało prawdopodobne.
 - A jednak możliwe. Prychnęła z irytacją.
 - Wszystko jest możliwe.
 - Odznaka - ciągnął Spencer - mogła znaleźć się w grobie...
 - Przypadkiem? Daj spokój, detektywie. Znalaziono ją pod szczątkami ofiary, a nie zmieszaną z ziemią i liśćmi wokół. Moim zdaniem ten sukinsyn cisnął odznakę Sammy'ego do dołu, a dopiero potem wrzucił ciało.
 - Mogło tak być, bez wątpienia. Ale nie powinniśmy z góry odrzucać innych możliwości.
 - Innych możliwości? - powtórzyła. W jej głosie pojawił się gniew.
 - Niby jakich? Na razie mam tę jedną. I zamierzam się jej trzymać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piątek, 20 kwietnia 2007 r.

19.10

Kilka godzin później Patti usiadła za biurkiem. W całym wydziale było już prawie cicho. Detektywi pracowali od ósmej do piątej, chyba że akurat prowadzili śledztwo, więc większość funkcjonariuszy z Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego dawno już wyszła. Zresztą wszyscy zdawali sobie sprawę, że muszą być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę,

dlatego każdy miał przy sobie telefon komórkowy lub pager. Patti jednak nie zamierzała kończyć pracy. Ani teraz, ani przez cały weekend. W końcu znalazła jakiś ślad w sprawie zabójstwa Sammy'ego.

Dwa lata, które minęły od jego śmierci, nie złagodziły jej bólu. Ludzie wciąż powtarzali: „To minie” albo „W końcu dojdiesz do siebie”, ale ona wiedziała, że to tylko puste frazesy. Nie zazna ukojenia, póki nie pomści śmierci Sammy'ego.

Nie umiała pozbyć się bólu. Ani gniewu.

W jej życiu liczyły się tylko dwie rzeczy: małżeństwo i praca w policji. A czuła się tak, jakby straciła i jedno.

i drugie. Zawiodła się na wydziale. Sammy poświęcił całe życie policji, lecz gdy zginął na służbie, przeprowadzono jedynie powierzchowne śledztwo. Dowództwo skupiło się na huraganie i własnej przyszłości. W końcu sprawa została zamknięta. Wszyscy zajęli się czymś innym, a przecież Sammy zasługiwał na coś więcej.

Ona jedna nigdy nie odpuściła. Nie zamierzała tego tak zostawić. A teraz wreszcie coś znalazła.

Chociaż musiała przyznać, że na razie niewiele rozumiała. Co można wywnioskować z faktu, że w płytkim grobie w parku miejskim znaleziono odznakę Sammy'ego razem ze szczątkami młodej kobiety? Kobiety, której odcięto prawą dłoń.

Poprosiła o wszystkie akta Chirurga. Było tego cholernie mało, jeśli wziąć pod uwagę, że ten drań zabił przynajmniej sześć kobiet. I policjanta, dodała w myślach. Jej męża.

Przyrzekła sobie, że postawi jego zabójcę przed sądem. Aż do dzisiaj ta obietnica wydawała się prawie niemożliwa do spełnienia.

Potrzebne były dane osobowe ofiary. Musiała znaleźć coś, choćby najmniejszy dowód, który pozwoliłby połączyć te dwie sprawy.

Nie spocznie, póki jej się nie uda.

- Ciociu Patti?

W drzwiach gabinetu stał Spencer. Gestem zaprosiła go do środka. Z pewnym wysiłkiem przywołała na usta spokojny uśmiech.

- Gotowy na weekend? - spytała.

- Oczywiście. - Wszedł do pokoju i usiadł na krześle naprzeciwko

biurka. Uśmiechał się, lecz widziała, że przygląda się jej z niepokojem. - Wspaniały dzień, co?

- Rzeczywiście.

- Dobrze się czujesz?

- Naturalnie.

- Jadłaś coś?

Uśmiechnęła się, słysząc to pytanie.

- Obiecuję, że zjem.

Zmarszczył brwi i przesunął spojrzeniem po jej biurku.

- Akta Chirurga? Dopóki biuro koronera nie przyśle...

- Wiem. Ale chcę sama wszystko przejrzeć. Muszę mieć pewność, że nic nie przeoczymy.

- Zajmujemy się tym z Tonym. Zapewniam cię, my też nic nie przeoczymy.

- Tu chodzi o mnie, nie o ciebie czy moje zaufanie do was.

- Dzisiaj i tak nic już nie wskórasz. Nie ma sensu, żebyś tu siedziała po nocy.

- Jest... - spojrzała na ścienny zegar - dopiero po siódmej. Czym się denerwujesz?

- Martwię się o ciebie.

- Zapewniam, że nie ma takiej potrzeby. Wracaj do domu. Zaproś Stacy na kolację do jakiegoś sympatycznego lokalu. - Pogroziła mu palcem. - To nie tylko rozkaz starszego stopniem zwierzchnika, ale również twojej matki chrzestnej.

Ze śmiechem obszedł biurko i pocałował ją w policzek.

- Zrobię, jak każesz.

W progu zatrzymał się jeszcze.

- Wyjdiesz zaraz po mnie, dobrze?

- Jasna sprawa.

Kiedy jednak zniknął za drzwiami, jej uśmiech przygasł. Bóg jej z pewnością wybaczy. To było jedynie maleńkie kłamstewko.

Musiała po prostu uspokoić Spencera. Zamierzała tu siedzieć, dopóki nie nauczy się tych akt na pamięć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Piątek, 20 kwietnia 2007 r.

19.55

Spencer otworzył drzwi domku na Riverbend. Swojego chevroleta kupił od starszego brata numer jeden, Johna juniora, po jego ślubie. Dom natomiast odkupił od Quentina, starszego brata numer dwa, kiedy i on się ożenił. Ponieważ sam był numerem trzecim na tej liście, domyślał się, że teraz jego kolej pożegnać się z wolnością.

Wcale mu się to nie uśmiechało. Jego bracia mieli cholernie dobry gust, pewnie nigdy im nie dorówna.

Na razie cieszył się ze swojego domku. Dzielnica Riverbend, usytuowana w starej części miasta, w zakolu rzeki, znalazła się wśród tych dwudziestu procent miasta które ominęła powódź. Po sztormie gościł u siebie dwanaście osób z rodziny. Również Stacy Killian, jego dziewczyna i jednocześnie koleżanka z wydziału, zamieszkała u niego, gdy jej mieszkanie w pobliżu parku miejskiego zostało zalane. Poziom wody wynosił prawie półtora metra.

Teraz już tylko ona z nim została.

- Wróciłem! - zawołał, wchodząc do środka.

- Tu jestem - odkrzyknęła.

Poszedł w kierunku, skąd dochodził głos, i znalazł ją przed lustrem w łazience nakładającą makijaż. Miała na sobie obcisłe dzinsy z niską talią i krótki, bardzo opięty top. Z wyeksponowanym brzuchem wyglądała dość wyzywająco.

- Ładnie wyglądasz, Killian.

Uśmiechnęła się do jego odbicia. Dopiero teraz spostrzegł, że na powieki nałożyła mocny szary cień.

- Cieszę się, że ci się podoba.

- No... Wyglądasz trochę inaczej niż zwykle, ale chyba mógłbym się przyzwycząić. - Kiwnął na nią palcem. - Chodź tutaj, to ci pokażę, jak bardzo.

Podeszła wolnym krokiem i gdy objęła go ramionami, pocałował ją w szyję.

- Mniejsza o to, że nie wypuszczę cię z sypialni w tym stroju, ale...
Aj, cholera!

- Przykro mi, kowboju. - Otarła się o niego prowokująco. - To do mojej nowej pracy.

Spencer uniósł brwi.

- Nowej pracy? Odeszłaś z Wydziału Dochodzeniowego?

Zrezygnowałaś z pracy w policji? - W sumie nic dziwnego. Kiedy ją poznał, rzuciła właśnie pracę w policji w Dallas i przeniosła się do Nowego Orleanu, gdzie postanowiła skończyć studia podyplomowe. Na wydziale literatury.

Nie wytrzymała tam nawet jednego semestru.

Prawda wygląda tak, że albo jesteś gliną, albo nie. To nic jest zawód, który można rzucić jak palenie albo miłość do butelki. Nie istniał program dwunastu kroków dla nawróconych gliniarzy.

Chociaż Spencer czasami dochodził do wniosku, że ktoś powinien opracować taki program.

- Mhm - przytaknęła. - Idę do „Hustle” na Bourbon Street.

„Hustle” reklamował się jako klub dla dżentelmenów. W gruncie rzeczy była to dość podrzędni knajpa, gdzie największą atrakcją były mocno wydekoltowane dziewczyny. Tak czy inaczej lokal zaspokajał potrzeby turystów, motocyklistów i wszystkich tych, których nie było stać na ekskluzywny „Rick's Cabaret” lub „Temptations”.

Kilka lat temu na Bourbon Street roiło się od podobnych lokali.

Nieco później, gdy w Nowym Orleanie pojawiły się elitarne, wykwintne kluby, małe bary zaczęły znikać z mapy miasta.

Ludzie, którzy nie chcieli, aby ich przy dybano w cieszącym się złą sławą „Hustle”, chętnie bywali w tych nowych klubach.

Biorąc pod uwagę wygląd i renomę pozostałych ocalałych klubów z Bourbon Street, „Hustle” nie plasował się na samym dole, chociaż był tego bliski, Stacy pocałowała go i cofnęła się o krok. -

To przykrywka. Dziś zaczynam swój występ. On był policjantem, ona również, Miała zadanie do wykonania i bez wątpienia umiała o siebie zadbać. A jednak myśl, że pójdzie tam tak ubrana i spowoduje ślinotok u różnych napalonych drani, zupełnie mu się nie podobała. Mówiąc delikatnie.

Opuścił wzrok na jej biust. Jej piersi zdawały się wylewać spod obcisłej bluzeczki, Zaśmiała się, widząc jego minę, - Biustonosz firmy Wonderbra ze sklepu przy Victoria Street. Diabelnie niewygodny. - Ponownie podeszła do lustra i z zadowoleniem spojrziała na rysujący się między piersiami rowek. - Ale moje maleństwa przyniosą mi niezłe napiwki. Nie to chciałyby usłyszeć. - Muszę napić się piwa.

- Wyjmij dla mnie dietetyczną colę, dobrze? Za minutę skończę. Przyszła, gdy właśnie pił. Omal się nie zadławił. Jej krótka blond fryzura zmieniała się w grzywę długich kasztanowych włosów. Z tym makijażem i peruką nie rozpoznałby jej na ulicy.

I właśnie o to chodziło.

- Zawsze chciałam być ruda, teraz wreszcie mam okazję. - Uśmiechnęła się, chwytając puszkę, którą jej rzucił. - Będzie zabawnie.

Za bardzo jej się podoba to zadanie, pomyślał. Nie zamierzał jednak okazać dezaprobaty czy niezadowolenia. To byłby dopiero obciach.

- Co to za sprawa?

- Przymknęliśmy jednego drobnego dilera. Okazało się, że jest barmanem w „Hustle”. Od razu zaczął sypać i zaproponował, że poda nam nazwisko grubej ryby.

- A tą grubą rybą jest ich stały gość.

- Przychodzi co wieczór. Wygląda na to, że ma tam dziewczynę- Muszę ją namierzyć i zapoznać się z nią.

- A kim jest ten facet? Stacy otworzyła puszkę.

- Nazywa się Marcus Gabrielle. W papierach nic na niego nie ma. Czysty jak łąza. Jest pośrednikiem w handlu komercyjnymi nieruchomościami. Żonaty, dwoje dzieci. Mieszka w północnej części miasta.

- Jego żona wie o tej panience?

- Wątpię. - Pociągnęła długi łyk z puszeki. - Według naszego

informatora facet zajmuje się produkcją i dystrybucją. Kiedy go dorwiemy, rozbijemy obie siatki.

- Czy będzie tam ktoś z naszych poza tobą?

- Baxter. No i Waldon. Baxter będzie obsługiwał bar razem z tym gościem, którego zatrzymaliśmy. Waldon ma udawać klienta.

Rene Baxter był dobrym gliną. Niewysoki, żylasty, o nie rzucającej się w oczy twarzy, idealnej do pracy pod przykrywką. Waldon zaś był potwornym głupkiem, który uważał się za świetnego detektywa. W dodatku kobieciarz. A niech to!

- Będziesz miała podstęp?

- Oczywiście. A w furgonetce za rogiem będzie cała kawaleria. Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, Stacy zmieniła temat.

- Słyszałam, co się wydarzyło w parku. O tym, że znaleźliście obok zwłok kobiety odznakę wujka Sammy'ego. Tak mi przykro.

No tak, takie informacje rozchodziły się lotem błyskawicy.

Obrócił w dłoniach zimną puszkę.

- Ta odznaka obok zwłok... prawie zważyło mnie z nóg.

- A jak Patti?

- Nie wiem. - Zmarszczył czoło. - Niby mówiła to, co zwykle mówi się w takich momentach, ale boję się, że ona... - Zamyślił się.

- Że ona co?

- Kiedy wychodziłem, ciągle siedziała w biurze. Przeglądała akta Chirurga.

- I?

- Sprawą zajmujemy się razem z Tonym. Było już po godzinach. Dopóki nie dostaniemy raportu koronera, nie wiemy nawet, czy ta kobieta jest w ogóle ofiarą Chirurga.

Odwrócił wzrok, po czym znów spojrzął na Stacy.

- Nie chce nawet rozważyć innych możliwości. Wmówiła sobie, że Sammy'ego zabił ten szaleniec. Kropka.

- Uwierzy, jeśli okaże się, że to ślepy zaulek. A na razie ma coś, czym może się zająć.

- Wiem, ale... Ona nie jest sobą od czasu śmierci Sammy'ego.

Zmieniła się, chociaż nie potrafię powiedzieć, na czym to konkretnie polega.

- To musi potrwać - powiedziała Stacy łagodnie. - Nam wszystkim potrzeba czasu.

Domyślił się, że nie mówi wyłącznie o zabójstwie Sammy'ego, lecz o zniszczeniach, nie tylko materialnych, jakich dokonała Katrina.

Katrina zmieniała ich wszystkich.

- Masz rację. Chodź tutaj. - Odstawił puszkę, którą wyjął jej z dłoni, przyciągnął ją do siebie. - Będę tęsknił dziś w nocy.

- Ja również. - Pocałowała go i wyswobodziła się z jego objęć. - O dziewiątej zaczynam. Muszę iść.

Ponownie wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Trzymał ją trochę za długo i zbyt mocno. Kiedy ją puścił, dostrzegł pytanie w jej spojrzeniu.

- Ci, którzy mają wiele do stracenia, zacięcie walczą, żeby to zatrzymać. Nie zapomnij o tym, Stacy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Piątek, 20 kwietnia 2007 r.

21.00

Kiedy Stacy weszła do „Hustle” na Bourbon Street, Baxter był już na miejscu. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, gdy podeszła do baru, jednak Baxter zaraz wrócił do mieszania drinków. Stacy przeniosła wzrok na drugiego barmana.

Ted Parrish, ich informator. Wysoki, z długimi czarnymi włosami i niewielką bródką. Wydawał się niespokojny. Możliwe, że denerwował się sytuacją, w jakiej się znalazł. Albo też dał sobie w żyłę.

- Jestem Brandi - powiedziała, wchodząc w swoją rolę. - Nowa.

- Idź do Toni - odparł, nalewając piwo z beczki. - Jest za kulisami. Wyjaśni ci, co masz robić.

Tonią Messinger, szefowa kelnerek i występujących tu dziewczyn.

- Jak mam się tam dostać?

- Z prawej strony sceny. Są tam garderoby i całe zaplecze.

- Dzięki! - zawołała i ruszyła we wskazanym kierunku.

Kręcąc biodrami, omijała stoliki i grupki mężczyzn. Jakiś facet z wielkim piwnym brzuchem i czerwoną twarzą próbował ją zatrzymać. Odskoczyła, grożąc mu żartobliwie palcem. Żałowała, że nie może zareagować tak, jak

nakazywał jej instynkt. Niestety, gdyby złamała mu rękę, natychmiast byłaby spalona.

Z rozkładem klubu zapoznała się już wcześniej, oglądając zdjęcia. Teraz rozglądała się uważnie, próbując zapamiętać szczegóły, które później mogłyby okazać się przydatne. Trzy poziomowa scena była tu największą atrakcją. Główna część była największa i okrągła, dwa pozostałe poziomy stanowiły skrzydła, które sterczały na dwie strony. Wokół ustawiono stoliki. Te najbliżej sceny były przeznaczone dla VIP-ów.

Właściciele postarali się, żeby ukryć niedoskonałości klubu i stworzyć atmosferę luksusu: przytłumione, fachowe oświetlenie, białe obrusy, zapalona świeca na każdym stoliku, aksamitne draperie.

Długi bar zajmował ścianę dokładnie naprzeciwko sceny. Stąd mogli oglądać występy klienci, którzy woleli siedzieć trochę dalej. Z tego, co wiedziała, było tu również kilka na pół prywatnych i całkiem prywatnych pomieszczeń, gdzie odbywały się kameralne występy. Być może była zbyt podejrzliwa, ale mogłaby się założyć o wszystkie dzisiejsze napiwki, że ludziom wynajmującym te salki chodziło o coś więcej niż tylko taniec erotyczny. A już z całą pewnością to, co tam się odbywało, było sprzeczne z prawem.

Dochodziła właśnie do wejścia za kulisy, gdy lampy przygasły, zaczęło migać światło stroboskopowe i klub wypełniła tętniąca muzyka. Na scenę wbiegła młoda kobieta, ubrana w cekiny, pióra i skrawki materiału, które bez trudu zmieściłyby się w jej dłoniach. Yvette Berger. Dziewczyna Marcusa Gabrielle'a. Miała dwadzieścia dwa lata. Drobna, o długich, kruczoczarnych włosach

i wspaniałej figurze. Piersi wydawały się za duże w stosunku do jej filigranowej sylwetki.

Przytulanki, oceniła Stacy w myślach, używając gwarowego określenia, jakim często posługiwali się w wydziale. W porównaniu z nimi jej własny biust powiększony nabytkiem z Victoria Street wyglądał niestety dość skromnie.

Stacy przyglądała jej się przez chwilę, po czym minęła drzwi. Od razu dostrzegła Tonię, którą rozpoznała z fotografii. Stała za kulisami, obserwując występ Yvette.

- Tonia? - spytała, podchodząc do niej.

- Tak?

- Jestem Brandi. Nowa.

Tonia Messinger wyglądała na osobę, która widziała już niejedno, a także jak ktoś, w kim lepiej nie mieć wroga. Stacy oceniła ją na pięćdziesiątkę, choć możliwe, że się myliła. Papierosy, alkohol i trudy życia z pewnością pozostawiły ślad na wyglądzie kobiety. - Spóźniłaś się.

- Naprawdę? Myślałam... Tonia przerwała jej w pół słowa.

- Kiedy zmiana zaczyna się o dziewiątej, chcę cię tu widzieć o ósmej czterdzieści pięć. O dziewiątej masz już na swoim stanowisku. Żadnych wymówek. Obrzuciła ją wzrokiem i Stacy odniosła wrażenie, że przez tę krótką chwilę Tonia bezbłędnie określiła jej wiek, wagę i rozmiar biustu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz tańczyć? Przydałaby się nam jeszcze jedna dziewczyna. A i napiwki są znacznie lepsze.

No nie, Wonderbra nie był aż takim cudownym wynalazkiem.

- Taniec mi nie leży. Nie jestem w tym dobra. Tonia roześmiała się. Po latach palenia jej głos stał się gardłowy i ochrypły.

- Kochana, to nie dzięki umiejętnościom tanecznym odnosi się tu sukces. Uwierz mi, masz talent Wystarczy odpowiednie nastawienie i możesz zacząć.

Stacy udała, że jej to pochlebiło.

- Och, dzięki. Pomyślę nad tym.

- Dobrze ci radzę. A na razie pójdiesz na salę. Kiedy ruszyły w stronę wyjścia, Tonia udzielała jej wskazówek.

Moim zadaniem jest trzymanie dziewcząt w ryzach. Nie toleruję

narkotyków, prezentów od klientów czy przepychanek, chyba że jest to część występu. To dotyczy również personelu kelnerskiego. Spojrzała znacząco na Stacy, która kiwnęła głową na znak, że zrozumiała.

- Do twoich obowiązków należą dwie rzeczy. Podsuwać drinki, przede wszystkim nakłaniać do kupowania znanych marek. Dziewczyny zarabiają na napiwkach. Nie wchodź im w drogę, bo pożałujesz. Niektóre z nich piją, inne nic. Tak czy inaczej, jeśli klient zaproponuje im drinka, płaci za niego. Dowiesz się od dziewcząt, co masz im podawać. Niektóre chcą tonik, inne jakiś napój bezalkoholowy albo sok. Kiedy klient płaci za koktajl, musi zobaczyć, że jego partnerka go dostała. Czasami klienci poproszą, żebyś dostarczyła jakąś wiadomość, napiwek albo drobny podarek. Nie pomyśl się, bo gorzko pożałujesz. A przede wszystkim - ciągnęła Tonia - flirtuj. Bądź sexy. Jeżeli jednak jakiś klient zacznie się do ciebie przystawiać, odmów mu. Twoim zadaniem jest wciskanie im drinków. Koniec i kropka. Łapiesz? Stacy przytaknęła. Następne kilka godzin upłynęło jako mgliste wspomnienie poklepywan po pupie, niedwuznacznych uwag, natarczywych spojrzeń. Obsługiwała stolik, przy którym siedzieli ludzie z Indiany. Z ich rozmowy wynikało, że nigdy jeszcze nie widzieli „czegoś podobnego”. Wydawali się lekko zawstydzeni, patrzyli na scenę z otwartymi ustami. W jej rewirze był też stolik chłopaków ze Stanowego Uniwersytetu Luiz-jany, których musiała wylegitymować. Zachowywali się wobec niej nienagannie, a nawet okazywali szacunek. Było to bardzo sympatyczne, jednak z drugiej strony jaka kobieta chciałaby być traktowana niczym wiekowa matrona?

Przy jednym z jej stolików usiadł Waldon, który w końcu się pojawił. Odniosła wrażenie, że podchodzi zbyt entuzjastycznie do tego zadania, więc kiedy zaczął się jej zbyt natrętnie przyglądać, niby przypadkiem oblała go drinkiem, natychmiast studząc jego zapał.

Ich podejrzany na razie się nie pokazał, a do Yvette udało jej się zbliżyć tylko dlatego, że tancerka podeszła do stolika studentów. Chłopcy jednak nie mieli wiele pieniędzy, więc dziewczyna szybko ich zostawiła.

Dopiero późnym wieczorem trafiła się okazja. Tonia podała Stacy kartkę, którą należało zanieść za kulisy.

Znalazła Yvette w garderobie, gdzie dziewczyna poprawiała makijaż. W popielniczce leżał palący się papieros.

- Tonia prosiła, żeby ci to przekazać - powiedziała Stacy, stając w progu.

Yvette rzuciła okiem na liścik. Na jej czole pojawiła się zmarszczka.

Stacy obserwowała ją bacznie.

- Coś nie tak?

Dziewczyna cisnęła kartkę na toaletkę.

- Po prostu jakiś świr - odparła lekceważąco. - Dostaje sporo takich.

- Nie dziwię się. Jesteś naprawdę świetna.

- Tak myślisz?

Zachłanność, z jaką domagała się komplementów, świadczyła o młodym wieku. Stacy zniżyła głos, żeby nikt przypadkiem nie usłyszał tej rozmowy.

- Twój numer jest najlepszy. Bijesz je wszystkie na głowę.

- Jak masz na imię?

- Brandi.

- Podoba ci się praca? Stacy wzruszyła ramionami.

- Jest w porządku. Napiwki są niezłe.

- Chcesz posłuchać mojej rady?

- Jasne.

- Nie narażaj się Toni, bo naprawdę potrafi być wredna. Stosuj się do zasad ich gry. Nic ci się nie stanie, a zarobisz znacznie więcej.

- Co to za gra?

- No wiesz. Dogadzaj facetom. Daj im to, czego pragną. - Yvette zaciągnęła się, po czym zgasiła papierosa. - Ted to cholerny łajdak. Będzie chciał cię przelecieć, więc się pilnuj. Zaproponuje ci działkę, tabletki, wódę... Trzymaj się od tego z daleka.

- Wygląda na to, że wszystko tu rozgryzłaś.

- Pilnuję własnego tyłka, rozumiesz? Nie zamierzam do końca życia siedzieć w tym bagnie. Mam inne plany.

Stacy chętnie poznałaby te plany i zapytała Yvette o chłopaka,

jednak zdawała sobie sprawę, że podczas pierwszej rozmowy nie powinna zbyt mocno naciskać, bo to mogłoby się wydać podejrzane. - Cóż, dzięki - powiedziała, cofając się. - Muszę wracać na salę. Kilka godzin później skończyła swoją zmianę i wróciła do domu. Marcus w ogóle się nie pokazał. Stacy miała nadzieję, że nie został ostrzeżony. Zastanawiała się też, czy zdenerwowanie, jakie Yvette zaczęła okazywać pod koniec wieczoru, ma jakiś związek z nieobecnością jej chłopaka.

Z zainteresowaniem obserwowała pracę dziewcząt w klubie. Wyglądały, jakby ktoś je włączał i wyłączał. Kiedy występowały dla jakiegoś klienta, wydawały się w pełni skoncentrowane tylko na tym facecie. Jednakże już w następnej chwili, gdy tylko od niego odeszły, z taką samą uwagą skupiały się na kolejnym gościu. Sprawiało to wrażenie wielkiego oszustwa.

Czy aby na pewno? Przecież faceci zdawali sobie z tego sprawę, wiedzieli, o co tu chodzi. Chyba nie wierzyli, że dziewczyny są naprawdę na nich napalone? Nie, po prostu ujawniali swoje erotyczne fantazje.

Czy właśnie tego pragną mężczyźni? - zamyśliła się. Jak często zanurzają się w świecie fantazji? Czy Spencer również marzył o takich rzeczach?

Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, czego pragnął. Zamieszkali razem właściwie przez przypadek. Z powodu Katriny. Ona potrzebowała jakiegoś kąta, a on miał dużo wolnego miejsca. A potem została. Za obopólną, milczącą zgodą. Było to dwa lata temu, a teraz mogła powiedzieć, że przez ten czas ich uczucia ani nie wygasły, ani się nie nasiliły.

Bezwład, stagnacja. Czy właśnie tak określiłaby ich związek? Nie, chyba jednak nie. Czułaby się nieswojo, formułując takie sądy.

Nieswojo i trochę niepoważnie. Więc jak należałoby opisać to, co ich łączyło? Zamieszkali ze sobą „prawie przez przypadek”.

Pozostali razem „za milczącą zgodą”... Spencer nigdy nie poruszył tematu małżeństwa. Nie powiedział, że ją kocha. Ona także nigdy nie mówiła o swoich uczuciach.

Stała w drzwiach sypialni, patrząc na śpiącego Spencera. Pod prysznicem zmyła z siebie smród papierosów i warstwy makijażu,

a potem wciągnęła zbyt wielką koszulkę. Może czekam, aż Spencer wystąpi z jakąś inicjatywą? - zastanawiała się. Czy właśnie o to jej chodziło?

Chciała małżeństwa, dzieci, normalnego życia. Te marzenia skłoniły ją już kiedyś do porzucenia pracy w policji i rozpoczęcia wszystkiego od początku w nowym mieście.

Tymczasem ponownie została wciągnięta w policyjną robotę i wtedy poznała Spencera. Zaangażowała się, no i skończyła w tym prawie przypadkowym, milcząco uzgodnionym związku.

Tylko jak mogła liczyć na normalne życie, gdy przyszłość była taka niepewna? Wystarczy przypomnieć sobie Sammy'ego: niewłaściwe miejsce o niewłaściwym czasie, i teraz Patii była wdową. Oboje ze Spencerem byli stworzeni do tej pracy. Czy to uczciwe pragnąć dzieci, a potem narażać je na takie ryzyko?

Wsunęła się do łóżka obok Spencera.

- Jak poszło? - wymamrotał.

- W porządku. Nasz podejrzany nawet się nie pokazał. Mruknął coś, czego nie zrozumiała.

Uniosła się na łokciu.

- Malone, płaciłeś kiedyś za taniec erotyczny? Nagle obudzony, przekreślił się na bok i spojrzał na nią.

- Słucham?

- Bywasz w takich miejscach jak „Hustle”?

- Czy kiedyś byłem w takim klubie?

Wyglądał teraz, jakby został wyrwany ze snu za pomocą wstrząsu elektrycznego.

- Właśnie - potwierdziła. - Czy byłeś. Pytam z czystej ciekawości.

- No tak, byłem, żeby się powygłupiać z kumplami.

Ale płacić za to, żeby jakaś kobieta ocierała się o mnie... To nie w moim guście.

- Chodzi o płacenie? A może o to, że to jakaś kobieta albo...

Spencer uniosł brew.

- Albo o to, że jakaś seksowna kobieta tuli się do mnie? Daj spokój, Stacy. Wystarczy, że o tym mówię, a już jestem gotowy.

Uśmiechnęła się.

- Myślę, że na to mogę coś poradzić.

- Ach tak?
- Mmm... - Usiadła, ściągnęła T-shirt i cisnęła go na podłogę. -
Dzisiaj jestem bardzo wspaniałomyślna, a nawet zrobię to za
darmo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

3.30

Yvette siedziała z podkulonymi nogami na kanapie. Po powrocie do mieszkania w Dzielnicy Francuskiej wzięła prysznic, umyła włosy, dokładnie usunęła makijaż i przebrała się w bawełnianą piżamę i wielkie, zabawne kapcie. Potem przygotowała sobie kubek gorącej czekolady, takiej prawdziwej, z mlekiem i syropem, a nie ten proszkowany chłam. Zdawała sobie sprawę, że wygląda raczej jak naiwna nastolatka niż cyniczna striptizerka, która niejedno w życiu widziała.

Już dawno pozbyła się skrępowania i nie wstydziła się tego, w jaki sposób zarabia na życie. To, co mówiła tej nowej kelnerce, Brandi, było szczerą prawdą. Nie miała nikogo, kto by o nią zadbał - poza sobą samą. Zresztą zawsze tak było, niemal od jej narodzin.

Przeżyła, bo była wojowniczką. I realistką. Dziś zarobiła pięćset dolców. Jutro zarobi tyle samo, a może nawet więcej.

Co z tego, że musiała się ocierać o krocze jakiegoś faceta albo potrzasać cyckami przed bandą napalonych turystów? W ciągu roku wyciągała grubo ponad sto tysięcy, z czego większość bez podatku, a jedyną inwestycją, jaką poczyniła, było jej mieszkanie.

Gdzie indziej dwudziestodwulatka bez żadnego zawo-du, praktyki i wykształcenia mogłaby zarobić taką kasę? Nigdzie. Taka była prawda. Doświadczyła tego na własnej skórze. Pociągnęła łyk czekolady, a jej myśli powędrowały do Marcuse i jego dzisiejszej nieobecności. Zmarszczyła czoło, gdy uświadomiła sobie, że nauczyła się oczekiwać go codziennie. Liczyła wręcz na to, że się pojawi.

Nie miało to nic wspólnego z uczuciami. Zbyt wiele razy przeżywała różne upokorzenia. W końcu przestała durzyć się w każdym facecie, który zachowywał się, jakby mu na niej zależało. Wyleczyła się z bezsensownego ufania każdemu, kto wyciągał rękę, udając przyjaciół.

Nie kochała Marcusa. Aż taka głupia nie była. Po pierwsze miał żonę, a poza tym należeli do dwóch różnych światów. Był zbyt wykształcony. Za bogaty. Miał zbyt liczne koneksje. Po Marcusie mogła się najwyżej spodziewać miłego spędzenia czasu i mnóstwa kasy.

Yvette zacisnęła palce wokół ciepłego kubka. W przeciwieństwie do większości dziewcząt, nie przepuszczała pieniędzy. Nie żyła wystawnie, nie wydawała forsy na biżuterię czy ciuchy.

Skorzystała z pomocy pewnego maklera i zainwestowała sporą sumkę, kupując papiery wartościowe, a także lokując je na staromodnym rachunku oszczędnościowym.

Nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek ją gnębiło - ani Marcus, ani huragan nazwany Kariną, ani samo życie. Już raz dostała porządnie w kość. Przysięgła sobie, że to się nigdy nie powtórzy.

Zapało jej dech, gdy niespodziewanie pojawiło się to wspomnienie. Krew. Wielka kałuża krwi. Przerazenie. Brak nadziei.

Nie! Nigdy do tego nie wróci. To dotyczyło innego życia. Innej osoby.

Zamierzała iść de przodu. Wyłącznie. Zaoszczędzić tyk, aby móc skończyć szkołę. Kupić gdzieś mały domek. Wziąć sobie psa. Wieść szczęśliwe życie.

Wróciła myślami do niesamowitego liściku, który dziś dostała. Od tego świra, który podpisywał się Artysta. To nie był pierwszy list,

jaki jej przysłał. Zresztą wcześniej dostawała liściki od różnych fanów, którzy deklarowali jej dozgonną miłość i oddanie. Taka praca zawsze przyciąga dziwaków, zboczeńców i samotnych facetów, którzy szukają prawdziwej miłości.

Odstawiła kubek i sięgnęła po plecak, wygrzebała trzy listy. Pierwszy z nich dostała tydzień temu. Rozłożyła kartkę i przeczytała krótką, zagadkową wiadomość.

*Myszę, że to właśnie ty. Nie mam pewności...
boję się żywić nadzieję... modłę ślę jednak, aby moje marzenie się spełniło.
Czy w końcu cię znalazłem, moja słodka muzo?
Twój Artysta*

List był napisany ołówkiem na gładkiej kartce wyrwanej z zeszytu albo z bloku rysunkowego. Litery były pełne zawijasów, tak zazwyczaj pisali dość wiekowi ludzie. Drugi list dostarczono trzy dni temu.

*Powiedz, czy tęsknisz do miłości?
Prawdziwej, dozgonnej, wiecznej miłości?
Do tego Jedynego, który cię nigdy nie opuści?
Wydaje mi się, że tak. I to sprawia, że kocham cię jeszcze mocniej.
Twój Artysta*

Przygryzła drżącą wargę. Wyglądało na to, że przej-rzał ją na wylot. Właśnie tego zawsze pragnęła, dozgonnej, wiecznej miłości, kogoś, kto będzie ją zawsze kochał i nigdy jej nie opuści. Przeniosła wzrok na dzisiejszy list. Ten został napisany czarnym atramentem na ślicznym papierze firmy Crane. Kopertę zamknięto lakową pieczęcią, która przedstawiała krwistoczerwoną ozdobną literę „A”.

*Kiedy patrzyłem na ciebie ostatniego wieczoru,
rozumiałem, że naprawdę jesteś tą jedyną, na którą czekam.
Mam wrażenie, że już od wieków nie czułem takiej rozkoszy,
takiego przypiływu inwencji... Takiego wzruszenia.
Chcę, abyś to wiedziała, słodka muzo.*

Kocham cię. i pewnego dnia... pewnego specjalnego dnia będziemy razem.

Na zawsze.

Twój Artysta

Zastanawiała się, kiedy mężczyzna wykona następny ruch. Czy znajdzie odwagę, żeby się do niej zbliżyć? Żeby zapłacić za prywatny występ?

Zdumiona uczuciem niepokoju, jakie ją nagle ogarnęło, odrzuciła list. Po prostu kolejny palant, uznała zdecydowanie.

Potraktowałaby go poważnie, gdyby zadał sobie trochę trudu i włożył do koperty dwudziestodolarowy banknot.

Ostatecznie prawdziwa miłość ma swoją cenę.

Nic, z pewnością nie przyszedłby do niej, żeby obejrzeć prywatny występ. Tacy jak on woleli patrzeć z daleka. Podchodzili do tego intelektualnie. A orgazm wywoływały u nich wyłącznie ich zboczone myśli.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

7.56

Brzęczenie telefonu wyrwało Spencera z głębokiego snu. Nie otwierając oczu, sięgnął po słuchawkę.

- No?

- Pobudka, detektywie. Trafiłam na coś.

Z trudem uniósł powieki. Mrużąc oczy od światła, spojrzął na zegar. Nie było jeszcze ósmej.

- Ciociu Patti?

- Dziś mówi kapitan O'Shay. Podjadę po ciebie za dwadzieścia minut.

Rozłączyła się, zanim zdołał odpowiedzieć. Znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że będzie próbował negocjować, by urwać jeszcze kilka minut.

Odłożył słuchawkę i niechętnie podniósł się z łóżka.

- Jakies złe wieści? - spytała sennie Stacy.

- To ciocia Patti. Zaraz po mnie przyjedzie. Mruknęła coś, co zabrzmiało jak „uważaj na siebie”

i wtuliła twarz w poduszkę. Pochylił się, żeby ją pocałować, po czym wyszedł do łazienki.

Kapitan Patti O'Shay bez wątpienia była punktualna.

Dokładnie dwadzieścia minut później zatrzymała auto pod domem i nacisnęła klakson. Spencer wychynął z drzwi, ściskając w ręku podróżny kubek. Zapiął pas i odwrócił się do Patti.

- Możesz powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Do Quentina i Anny - rzuciła, ruszając.

Do brata i bratowej? Teraz go naprawdę zaintrygowała.

- Rozumiem, że nie chodzi o wizytę towarzyską?

- Czytając dokumenty Chirurga, trafiłam na coś, co umknęło nam poprzednio. Na jednym ze zdjęć. Sam zobacz. - Wskazała teczkę leżącą na desce rozdzielczej.

W tezcze były zdjęcia lodówki, w której odkryto obcięte dłonie. Na jednej fotografii Patti coś zakreśliła. Jakiś mały przedmiot przyklejony do drzwiczek, prawie pod samą rączką.

Łatwo było go przeoczyć zarówno z powodu wielkości, umiejscowienia, a także pokrywającej połowę lodówki srebrnej taśmy izolacyjnej, którą zabezpieczano wywożony sprzęt.

- Zrobiłam powiększenie - powiedziała Patti, nie odwracając wzroku od drogi.

Spencer sięgnął po następną fotografię. Reklamowy magnesik. Z informacją o thrillerze napisanym przez Annę North.

Jego bratową.

- Jasna cholera.

- To samo pomyślałam.

- Anna nie będzie zachwycona.

Wiedział, że to grube niedopowiedzenie. W wieku czterech lat

Anna, jedyne dziecko bardzo znanych ludzi, została porwana. Porywacze odcięli jej mały palec i wysłali go do rodziców jako ostrzeżenie. Została uratowana, ale trauma, jaką przeżyła, pozostawiła po sobie trwałe urazy. Dawała sobie radę ze swoimi lękami, dopóki nie stała się celem jakiegoś innego maniaka. Wtedy właśnie poznała Quentina, którego przydzielono do jej sprawy. Mieszkali teraz z synkiem w Mandeville, miejscowości po drugiej stronie jeziora Pontchartrain.

- Nie powinniśmy byli tego przegapić - odezwał się w końcu.

- Zgadza się.

Miesiące, które nastąpiły po Katrina, były koszmarne. Wszyscy byli przytłoczeni, na granicy załamania. To sprawiło, że zdarzały im się potknięcia o wiele częściej, niżby chcieli przyznać.

- Wiedzą, że do nich jedziemy?

- Rozmawiałam z Quentinem.

Znow zapadła cisza. Parti rzuciła okiem na Spencera.

- Nie wydawał się uszczęśliwiony.

Kolejne niedopowiedzenie. Malone'owie poważnie traktowali bezpieczeństwo osób, które kochali. Świadomość, że Annie coś grozi - nawet najmniejszy ślad takiego podejrzenia - musiał brata nieźle zdenerwować.

Bardzo prawdopodobne, że zachowywał się teraz jak lew w klatce. A jednak nie. Kiedy pół godziny później zatrzymali się na podjeździe przed domem, gospodarze czekali na nich na szerokiej werandzie. Quentin, usadowiony w fotelu, trzymał na kolanach siedemnastomiesięcznego synka, Sama.

Anna podniosła się, gdy wysiadali z samochodu. Spencer uwielbiał swoją rudowłosą bratową od pierwszej chwili, kiedy ją poznał. Zresztą jak mogło być inaczej? Jego brat nigdy wcześniej nie był taki szczęśliwy. - Sam śpi - poinformowała ich ściszym głosem.

- Już się wyszalał, a przecież nie ma jeszcze wpół do dziewiątej. A ja się dziwię, że jestem zmęczona.

Mówiła to z uśmiechem. Widać było, że nie ma nic przeciwko takiemu zmęczeniu.

Spencer podszedł do werandy. Maluch rzeczywiście spał. Jego

czarne loczki były wilgotne od potu. Sam urodził się kilka dni przed huraganem. Kiedy dali mu imię po Sammym, nie mieli pojęcia, jak wzruszającego znaczenia nabierze ich decyzja.

Uściskał Annę i przywitał się z Quentinem.

- Siema, bracie. Wyglądasz jak rozleniwiony domator. Wszyscy mężczyźni w ich rodzinie mieli atletyczną budowę ciała, ciemne włosy i niebieskie oczy, lecz Quentin bez wątplenia był z nich najprzystojniejszy.

- Wciąż dałbym ci radę, braciszku - powiedział, patrząc Spencerowi w oczy. - Na twoim miejscu nie zapomniałbym o tym.

- Miło pomarzyć, staruszk. Mógłbym...

- Na miłość boską - przerwała im Patti. - Zakończcie walkę o przywództwo w stadzie. Typ macho wychodzi z mody.

Chciałabym spojrzeć na dziecko.

Spencer odsunął się, a jego starszy brat uśmiechnął się uroczo.

- Witaj, ciociu Patti.

Pochyliła się, żeby go uściskać, potem pocałowała Sama w główkę.

- Widziałam go zaledwie w zeszłym tygodniu, ale przysięgłabym, że już zdążył urosnąć.

- Bo rzeczywiście urósł - przytaknęła Anna. - Prawdę mówiąc, zastanawialiśmy się, czy nie należałoby mówić na niego Chwast. Zaniose go do środka, żebyśmy mogli porozmawiać.

Podniosła synka i weszła do domu. Ledwie drzwi zamknęły się za nią, Quentin zerwał się na nogi. Widać było, że powstrzymywane emocje zaraz wybuchną z siłą wulkanu.

- Co się dzieje, Patti? I nie wciskaj mi żadnego urzędowego kitu. Chcę znać całą prawdę.

- Tak jak ci wyjaśniłam przez telefon, oglądając zdjęcia lodówki Chirurga, znaleźliśmy...

- Jeden z reklamowych magnesów Anny. To już wiem. Jak do diabła mogliście go przegapić, gdy tam byliście?

Spencer położył mu dłoń na ramieniu.

- Odczep się, Quent. Robimy, co w naszej mocy.

- Odczepić się? Powiązanie Anny z tym szaleńcem, nawet tak słabe jak darmowy magnes, nie...

- Spencer ma rację - wpadła mu w słowo Anna, która stanęła w drzwiach. - Nie zachwyca mnie taki obrót sprawy, ale niewiele

mogę na to poradzić. Za to mogę pomóc w identyfikacji właściciela lodówki.

Przyglądał się żonie przez chwilę, po czym krótko kiwnął głową. Anna odwróciła się do nich.

- No więc, jak mogę pomóc?

- Spójrz na to.

Patti podała Quentinowi teczkę. Obejrzał zdjęcia z zaciśniętą szczęką, w końcu podszedł do Anny.

- Zgadza się, jest mój. - Oddała im zdjęcia. - „Środek nocy” został wydany w kwietniu 2005.

- Ile takich magnesów rozdano?

- Dwadzieścia pięć tysięcy. Mniej więcej.

- Wszystkie w okolicach Nowego Orleanu?

- Nie. Rozdawałam je podczas podpisywania książek, poprzez stronę internetową, a także fanom, którzy prosili o nie w listach. Poza tym mnóstwo magnesów wysłałam do moich najlepszych księgarzy dla ich klientów.

- Więc ile zostało w Nowym Orleanie? Jak sądzisz?

- Pięćset na pewno. Może siedemset pięćdziesiąt - Głos jej lekko zadrżał, a Quentin natychmiast otoczył ją ramieniem.

- Wiem, że czujesz się z tym nieswojo - powiedziała Patti. - Przykro mi.

- Psychol, który odcina dłonie swoim ofiarom, wydaje się niebezpiecznie znajomy. Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o Sammy'ego i te zamordowane dziewczyny. Myślę, że mogę sobie z tym poradzić. - Oczy jej zalśniły. - Ja również kochałam Sammy'ego.

Patti spojrzała jej w oczy.

- Dziękuję.

- Zdarzyło się kiedyś, że jakiś fan ci groził? - spytał Spencer, wracając do tematu śledztwa.

- Tylko Ozzie.

- Osbome?

Na wspomnienie muzyka rockowego, niegdyś bohatera głośnego telewizyjnego reality-show, na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Nie żartuj. Chodzi o faceta, który siekierą zabił swoją żonę.

Mówił, że to samo zrobi ze mną.

Spencer ze zdumieniem uniósł brwi.

- Jak go poznałaś?

- Dzięki więziennej poczcie od wielbicieli - odpowiedział za nią

Quentin przez zaciśnięte zęby.

- Dostajesz listy z więzienia?

- Chyba wszyscy je dostajemy, nie? - Kiedy nikt się nie roześmiał,

podjęła: - Tak, zarówno od mężczyzn, jak i kobiet. Jednak od czasu Ozziego już ich nie czytam. Odsyłam je bez otwierania.

- Masz jeszcze jego list? Anna pokręciła głową.

- Odsiadywał dożywocie bez możliwości zwolnienia

warunkowego - wtrącił Quentin. - Zabrałem te listy i oddałem je w stosowne ręce. Od tamtej pory pan Oz dostał zakaz prowadzenia korespondencji z pisarzami. Okazało się, że Anna nie była jedyną osobą, do której pisał.

- Czy niepokoił cię jacyś inni czytelnicy, szczególnie miejscowi?

- Tak, ale to jest bezpośrednio związane z tematyką moich książek.

Czasami zdarza się, że podczas spotkań podchodzi do mnie jakiś naćpany typ, ale w przeważającej

części wszyscy, których spotykam, to sympatyczni ludzie, którzy po prostu lubią czytać przerażające powieści.

- Masz listę nazwisk i adresów miejscowych fanów?

- spytał Spencer.

- Mam. Wydrukuję ją dla ciebie.

- I co dalej? - spytał Quentin, gdy Anna weszła do środka.

- Przepuścimy te nazwiska przez komputer i zobaczymy. Jeśli na coś trafimy, zaczniemy od tego punktu.

- A jeśli na nic nie traficie?

- Poszukamy czegoś innego.

Na chwilę zapadła cisza. Z wnętrza domu słychać było, że Sam się obudził. Patti podeszła do drzwi.

- Pójdę sprawdzić, czy mogę w czymś pomóc Annie. Kiedy zniknęła za drzwiami, Quentin zwrócił się do

brata.

- Jak ona się ma?

- Patti? Nie jest sobą. Chociaż zdaje się, że teraz, kiedy powiązała

tę sprawę z zabójstwem Sammy'ego, przynajmniej wytyczyła sobie jakiś cel.

- Dobrze się stało.

- No, chyba tak.

Przez dłuższą chwilę jego starszy brat wpatrywał się w niego bez słowa. W końcu pokiwał głową.

- To nie mogło się wydarzyć w gorszym momencie. Anna jest w ciąży.

Niespodziewana nowina zamurowała Spencera. Co prawda Quentin i Anna wcale nie robili tajemnicy z tego że chcą mieć jeszcze jedno dziecko. Kiedyś...

Nie przyszło mu do głowy, że kiedyś może oznaczać teraz.

Żartobliwie uderzył brata w plecy.

- Brawo, ogierze. To ci niespodzianka.

- Dopiero się dowiedzieliśmy. Chcieliśmy poczekać z tą informacją, aż miną pierwsze trzy miesiące i będzie wiadomo, że wszystko jest w porządku.

Przed urodzeniem Sama Anna straciła dziecko właśnie w pierwszym trymestrze ciąży. Niestety wcześniej dzielili się tą radosną nowiną ze wszystkimi, musieli więc również zawiadomić o swoim smutku. To były ciężkie chwile dla całej rodziny.

- Zostało jeszcze kilka tygodni, więc będę wdzięczny, jeśli utrzymasz to w tajemnicy.

- Spróbuję. Chociaż w rodzinie Malone'ow utrzymanie sekretu wydaje się niemożliwe. Od dawna podejrzewam, że mama jest jasnowidzem.

- A ja się przychyliam do teorii Johna juniora, że założyła podsłuch w naszych domach i samochodach.

- Hm, to bardzo prawdopodobne. Tyle że wydaje się jeszcze bardziej niesamowite niż jasnowidztwo.

- Co u Stacy? - spytał Quentin, zmieniając temat.

- W porządku. - Zmarszczył czoło, nagle zaniepokojony. - Mama coś mówiła?

- Nic o tym nie wiem. Czemu pytasz?

- Podtrzymuję tylko rozmowę, stary. Przecież to ty niepostrzeżenie zmieniłeś temat i od jasnowidzącej, ciekawskiej matki przeszedłeś do mojego związku.

- Oraz dzieci. - Widać musiał mieć przerażoną minę, bo Quentin wybuchnął śmiechem. - O co chodzi, braciszku? Boisz się zobowiązań?
- Jest przerażony - odezwała się Anna, otwierając drzwi. Za nią szła Pata' z Samem na rękę. Anna podeszła do Spencera i podała mu wydrukowaną listę. - Stacy to wspaniała dziewczyna. Stracisz ją. jeśli czegoś nie zrobisz.
- Zgadzam się - wtrąciła Patti. - Jest również świetną policjantką. Spencer wzniósł oczy do nieba.
- Dzięki, Quentin, że poruszyłeś ten temat. Odwdzięczę się. Quentin uśmiechnął się szeroko.
- Cała przyjemność po mojej stronie, Spence. Ostatecznie od czego są starsi bracia?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

13.00

W „Bon Temps Cafe” podawano tradycyjne dania kuchni kreolsko-cajuńskiej: jambalaye, potrawkę z raków, nadziewane kraby. Był to jeden z tych nowych, lśniących nowością lokali, jakie otworzono po Katrinie i chociaż jedzenie było wspaniałe, Patti brakowało trochę dawnej atmosfery, która bezpowrotnie zginęła. Swoją drogą nie bardzo rozumiała, co ją tak pociągało w wiekowym oświetleniu lub popękanych ścianach z pokrytych tynkiem listew. Zajęła stolik przy samym oknie, skąd mogła widzieć, czy nadchodzi jej przyjaciółka June Benson.

Przyjaźniły się od dwudziestu lat. Poznały się na spotkaniu grupy wsparcia dla bezdzietnych kobiet, które albo straciły dzieci, albo nie mogły zająć w ciąży. Obie znalazły się w podobnej sytuacji. Każda z nich poroniła i nie mogła mieć dzieci. Mimo że Patti była o dziesięć lat starsza i różniło je także pochodzenie, bardzo się do siebie zbliżyły.

Patti wywodziła się z biednej robotniczej rodziny irlandzkich imigrantów, natomiast rodzina June należała do nowoorleańskiej elity. Jej przodkowie byli pierwszymi plantatorami w Ameryce, którzy osiedli w „Nouvelle Orleans”. Bensonowie nadal posiadali pałac w Dzielnicy Ogrodów, zbudowany w 1856 przez plantatora Jonathana Bensona, wciąż dowodzili mistyczną załogą Comus, najbardziej elitarną i tajemniczą spośród drużyn biorących udział w paradzie podczas ostatek, słynnego nowoorleańskiego Mardi Gras, a także działali w zarządach najbardziej znanych dobroczynnych organizacji w mieście.

Przez lata przyjaźń obu kobiet dojrzała, obejmując z czasem również ich krewnych. Obie rodziny wspólnie świętowały radości i przeżywały smutki.

Po zabójstwie Sammy'ego Patti szukała pociechy i wsparcia przede wszystkim u June. Przyjaciółka w pełni ją rozumiała. I słuchała. Po prostu słuchała. Nie próbowała jej uspokajać, bo to byłoby bezcelowe. Nie przerażała jej też czarna rozpacz Patti.

Patti zamówiła herbatę i rzuciła okiem na zegarek. Zdumiało ją spóźnienie June. Zwykle to Patti wpadała zdyszana, gdy przyjaciółka siedziała nad pustą już filiżanką.

Kiedy słysząc klakson, podniosła wzrok, dostrzegła, jak June przebiega przez St. Peter Street, zmuszając taksówkę do hamowania. Gestem ręki przeprosiła kierowcę, dotarła do chodnika i wpadła do restauracji.

Chwilę później była przy stoliku.

- Przepraszam za spóźnienie. - Wsunęła się na krzesło naprzeciwko Patti. - Max uciekł i musiałam za nim ganiać. A potem nie mogłam znaleźć klucza do tego mojego drąga. Mówiła o samochodzie i zabezpieczeniu antywłamania-niowym. Gubiła ten klucz przeważnie raz na tydzień.

Kiwnęła ręką na kelnerkę, zamówiła mrożoną herbatę i koszyczek pieczywa, po czym ciągnęła:

- Zanim go złapałam, Max był już prawie na St. Charles Avenue. Kelnerka postawiła na stoliku koszyk ze świeżym, gorącym francuskim pieczywem i kremowe masło.

June zawsze popadała w skrajność. Czasami była przesadnie schludna, czasami wręcz zaniedbana. Jednego dnia imponowała spokojem, następnego wydawała się kłębkim nerwów. Lubiła jeść, ale nie znosiła ćwiczeń fizycznych. Często trzymała dietę, ale równie często używała sobie ile wlezie.

Najwyraźniej dziś przyszedł czas na nerwowe bieganie, rumieńce i obżarstwo.

- A jak to się stało, że twój przepiękny Max wydostał się z domu? - spytała Patti, przyglądając się, jak jej ciemnowłosa przyjaciółka smaruje chleb masłem. Max był psem rasy shih tzu, o ślicznej sierści w kolorze soli z pieprzem.

- Spróbuj zgadnąć.

- Riley - powiedziała, mając na myśli niefrasobliwego, znacznie młodszego od June brata.

- Bingo. Zostawił drzwi otwarte na oścież. - June roześmiała się. - Przysięgam, że to najmniej poukładany, najbardziej roztargniony...

- Rozkoszny, ukochany...

- Młody człowiek. Doprawdy nie wiem, co mama sobie wyobrażała, decydując się na dziecko w tak późnym wieku. A teraz ja jestem na niego skazana.

Parti uśmiechnęła się. June uwielbiała Riley'a. Przyszedł na świat, kiedy miała piętnaście lat, więc nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby odnosiła się do nowego członka rodziny z wystudiowaną obojętnością. Prawdę mówiąc, jak opowiadała Patti, przez wiele lat w tajemnicy nazywała go To albo Ta Rzecz.

Teraz śmiała się z tego, jak go nie znosiła, jaka była zazdrosna o uwagę poświęcaną mu przez rodziców.

W końcu pojechała na studia, a kiedy pewnego razu wróciła na święta, zakochała się w czterolatku o kędzierzawej główce i bystrych oczach.

- Kiedy on wreszcie dorośnie? - spytała, smarując następną kromkę. - Ma już dwadzieścia siedem lat.

- Możliwe, że nigdy. Wciąż go rozpieszczasz jak małe dziecko.

- Wcale nie.

Ich oczy spotkały się i obie wybuchnęły śmiechem.

- No dobrze, może trochę.

Patti rozumiała ją. Ona mogła obdarzyć macierzyńskim uczuciem siostrzenice i siostrzeńców. June było znacznie trudniej, bo poza Rileyem nie miała nikogo. Jej rodzice nie żyli, a małżeństwo rozpadło się już dawno.

- Jak wam idzie w galerii? - spytała. Jesienią June otworzyła w dzielnicy Warehouse „Sztukę”, galerię, którą Riley pomagał jej prowadzić.

- Właściwie całkiem dobrze. Riley ściągnął kilku utalentowanych twórców. W zeszłym miesiącu zarobiliśmy tyle, że mogliśmy opłacić rachunki i nawet wypłacić sobie pensje.

Bez sięgania do lokat i funduszy powierniczych, do-myśliła się Patti. June i Rileyowi nie brakowało pieniędzy, lecz June miała zbyt duże doświadczenie w interesach, aby szastać nimi bez opamiętania.

- Umiesz dochować tajemnicy? - spytała June z błyskiem w oku. - Riley przekonał Shaunę, żeby zgodziła się u nas wystawiać. Shauna była najmłodszą latoroślą w rodzinie Malo-ne'ów lecz zamiast wstąpić do policji, została malarką. Do tego cholernie dobrą.

- Prosiła go, żeby tego nie rozpowiadać, dopóki nie zaprezentuje swojego najnowszego obrazu. Wtedy sama powiadomi rodzinę. Cała June. Mimo wszystko podzieliła się nowiną, teraz oczekuje, że Patti wykaże się większą siłą woli. - Musiał ją niezłe namawiać - Patti ściszyła głos, gdy do stolika podeszła kelnerka. - Była zadowolona z poprzedniej galerii.

- Zamówiły sałatkę z owoców morza dla June oraz potrawkę z raków dla Patti. Po chwili June podjęła:

- Znasz Rileya. zaproponował, że przez pierwszy rok będziemy brać prowizję niższą o dziesięć procent. No i odwołał się do przyjacielskich uczuć.

Shauna i Riley byli prawie w tym samym wieku, znali się dobrze i mieli podobne zainteresowania: sztukę, muzykę, taniec, dobre jedzenie. Jako nastolatki często razem wychodzili i nadal pozostali

dobrymi przyjaciółmi. Kiedyś Shauna była nawet zadurzona w trochę starszym, przystojnym Rileyu.

June westchnęła.

- Kiedyś miałam nadzieję, że będą z sobą. Są taką ładną parą.
- Nic straconego. Ostatecznie oboje nadal są samotni. - Patti pochyliła się nad stolikiem. - Chociaż doszły mnie słuchy, że ona się z kimś spotyka. To jakiś malarz, którego poznała na wernisażu w Centrum Sztuki Współczesnej.
- Nie wydajesz się zadowolona.
- Nie spotkałam go. June uniosła brwi.
- Rozumiem, że ktoś inny go poznał i nie był nim zachwycony.
- Colleen. Powiedziała, że jest kapryśny i władczy. - Obie wiemy, że twoja siostra bywa trochę nadopiekuńcza w stosunku do swoich dzieci.
- To prawda. - Patti postanowiła zmienić temat. - Mam dla ciebie nowinę. Na temat Sammy'ego.

June odłożyła nóż do masła.

- Namierzyłaś podejrzanego.
- Tak. I nie. - Odchrząknęła. - Pamiętasz mordercę, którego prasa nazwała Chirurgiem?
- Raczej słabo. Nigdy go nie złapaliście.

Mimo że June stwierdziła zwykły fakt, Patti zrobiło się przykro, jakby usłyszała naganę.

- Nie mieliśmy nawet żadnych poszlak, na których można by oprzeć śledztwo. Teraz już mamy.

Przyjaciółka wpatrywała się w nią uważnie, a po chwili pokręciła głową.

- Ale co to ma wspólnego z Sammym? Myślałam, że Chirurg zabijał kobiety.

Patti opowiedziała jej o odkryciu w parku.

- W grobie była odznaka Sammy'ego. June wydała cichy okrzyk.
- To nie... Mój Boże, Patti... to znaczy...
- Że Chirurg zabił Sammy'ego.

Kelnerka przyniosła zamówione dania. June rzuciła okiem na swój talerz, po czym przeniosła spojrzenie na Pani.

- Jakoś nie jestem już głodna.

Patti sięgnęła przez stół i położyła rękę na dłoni

przyjaciółki.

- To nic nie zmienia. Nie czuję przez to większego bólu.

- Nie?

- Nie, Za to mam jakiś trop. Wreszcie. - Uśmiechnęła się smutno. -

Dostanę go. I zmuszę, żeby zapłacił wysoką cenę.

Kiedy zaczęły jeść, zauważyła, że June jest wytrącona z równowagi.

- O co chodzi? - spytała, odsuwając talerz.

- Martwię się o ciebie.

- No proszę, to coś nowego.

June machnęła ręką, słysząc jej kpiący ton.

- Zachowujesz się jak twardziel, ale wiem...

- Jaka jestem naprawdę?

- Właśnie.

- Z pozoru twarda, a naprawdę miękka jak wosk? - zakpiła Patti.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Jestem kapitanem policji. Gdybym była miękka, już dawno wywaliliby mnie z roboty.

June pochyliła się w jej stronę.

- Nie chcę, żebyś jeszcze bardziej cierpiała. Najpierw serce, potem Katrina i Sammy...

- Dzięki, ale... Myślę, że wyłącznie zamknięcie sprawy może ukoić to cierpienie.

June otworzyła usta, jakby chciała zaproponować, ale powstrzymał ją dzwonek komórki Patti.

- Kapitan O'Shay.

- Ciociu Patti, mówi Spencer. Mamy coś.

- Mów.

- Były więzień. Siedział za gwałt.

- Zatrzymajcie go. Już do was jadę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

14.10

Zanim Patti wróciła do komendy, podejrzany już tam był. Spencer czekał na nią pod drzwiami pokoju przesłuchań.

- Szybko wam poszło - powiedziała.

- Wysłałem mundurowych. Właśnie wsiadał do furgonetki, kiedy podjechali. Nazywa się Ben Franklin... - Roześmiał się, gdy na dźwięk nazwiska słynnego męża stanu uniosła brew. - Pytałem. Nie z tych Franklinów. Siedział za napaść z bronią i gwałt.

Skazany na dziesięć lat, wyszedł po siedmiu.

- Jak długo jest już na wolności?

- Trochę ponad dwa lata.

To by się zgadzało z tym, co dotychczas ustalili.

- I jak dotąd w nic się nie wpakował?

- Zatrzymali go za nadmierną prędkość - odparł Spencer. -

Funkcjonariusz zauważył w furgonetce podejrzany ładunek. Kilka płaskich telewizorów i jakiś sprzęt oświetleniowy.

Spojrzała zaskoczona.

- Sprzęt oświetleniowy? - powtórzyła.

- No tak. Między innymi żyrandole. Oficer White spytał o te przedmioty, ale Franklin nie mógł przedstawić dowodu zakupu.

- A to niespodzianka. Jest już wykaz?

- Właśnie go robią. - Wskazał drzwi do pokoju. - Może ja powinienem tam pójść?

- Jeszcze nie zardzewiałam do tego stopnia, detektywie. - Położyła rękę na klamce. - Ty się przyglądaj.

Każdy pokój przesłuchań był wyposażony w kamerę wideo, więc przesłuchania nagrywano, żeby można było do nich wrócić albo wykorzystać jako dowód podczas procesu. Dzięki kamerom

można było obserwować przesłuchania z pokoju w dalszej części korytarza.

Przytrzymał jej rękę.

- Myślę, że to nie najlepszy pomysł. Uniosła brwi ze zdziwieniem.

- A czemuż to, detektywie?

- Jesteś za bardzo zaangażowana osobiście, więc gdybyśmy działali zgodnie z zasadami...

- A ty nie? Zresztą kto twierdzi, że będziemy ściśle trzymać się regulaminu?

Wytrzymał jej spojrzenie, po czym wycofał się.

- Słusznie. To ty dowodzisz.

Zignorowała rozczarowanie, jakie dało się słyszeć w jego głosie i weszła do pokoju. Ben Franklin był niski i gruby, miał przerzedzone włosy i mocno opaloną twarz. Domyśliła się, że albo często odwiedza solarium, albo korzysta z samoopalacza.

Prawdopodobnie uważał, że z opalenizną wygląda młodo i atrakcyjnie. Jej zdaniem sprawiał raczej dziwaczne wrażenie.

- Witam, panie Franklin. Jestem kapitan O'Shay. Skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i spojrzał na nią spode łba.

- Muszę zadać panu kilka pytań.

- Nic nie zrobiłem.

No jasne, skarbie, pomyślała. Jesteś czysty jak wczorajszy śnieg.

- Słyszał pan kiedyś o pisarce Annie North? Spojrzał na nią podejrzliwie.

- O kim?

- Miejskowa powieściopisarka. Autorka kryminałów. Jego twarz na chwilę zmieniła wyraz, lecz trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Taa... Słyszałem o niej.

- Czytał pan jej książki, prawda?

- I co z tego?

- Można powiedzieć, że jest pan jej fanem? Poprawił się na krześle, wyraźnie zdenerwowany.

- Czytałem ją w pudle. Tam jest mnóstwo czasu na lekturę.

- Pisał pan kiedyś do niej? Uciekł spojrzeniem w bok.

- Nie.

- Wie pan może, skąd w takim razie pana nazwisko i adres znalazły się na jej prywatnej liście fanów?

- Jeśli chce pani zasugerować, że jej groziłem albo coś w tym stylu, to się pani myli.

- Nic nie sugeruję, panie Franklin. Po prostu pytam. Poruszył się na krześle.

- No dobra. Raz do niej napisałem.

- Dlaczego? Skrzywił się.

- Chciałem porady, jak mógłbym zostać pisarzem. - Rzucił jej wyzywające spojrzenie. - Mam sporo do opowiedzenia. Wyjęła z kieszeni magnesik i rzuciła go na stół.

- Widział pan to kiedyś?

Przyglądał się przedmiotowi ze zmarszczonym czołem.

- Co to takiego?

- Magnes do lodówki. Był dodawany do jednej z książek Anny North.

Najwyraźniej nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Odchylił się na krześle.

- I co?

- Ma pan jeden z nich na swojej lodówce? A może miał pan kiedyś w przeszłości?

- Nie. Nie przepadam za takimi bzdetami.

- Słyszałam, że robił pan dzisiaj małe zakupy.

- Co pani do tego?

- Telewizory płaskoekranowe. Kryształowe żyrandole.

- To chyba nie jest niezgodne z prawem?

- Pod warunkiem, że te przedmioty zostały nabyte legalnie. Ma pan na to jakiś dowód?

- Gdzieś mam rachunki.

Przyglądała mu się z lekkim znużeniem i zniecierpliwieniem. Odpowiedzi takich facetów zawsze wyglądały tak samo: tanie chwytły i kłamstwa. Mimo wszystko lubiła takie zabawy. Z przyjemnością patrzyła, jak podejrzani wpadają w dołki, które sami sobie wykopali. Czy powinna porozmawiać z kimś o tej niewielkiej skazie charakteru?

- Gdzie pan był podczas huraganu Katrina?

W tym momencie do pokoju zająztał Spencer i gestem wywołał ją

na korytarz. Patti podniosła się z krzesła.

- Niech się pan przez chwilę zastanowi nad odpowiedzią.

- Co się dzieje? - spytała, gdy zamknęła drzwi.

- Funkcjonariusz Lee skończył przeszukiwanie samochodu Franklina. Znalazł to wciśnięte pod siedzenie kierowcy.

Podał jej plastikową torebkę na dowody. W środku był pistolet. Standardowy glock, kaliber 45. Najchętniej używana broń w Departamencie Policji Nowego Orleanu.

- Numery seryjne zostały spiłowane - powiedział Spencer.

Glock miał numery seryjne wybite w trzech miejscach: po prawej stronie zamka, po prawej stronie lufy i od spodu kolby.

Przekreśliła torebkę, sprawdzając miejsca, gdzie powinny się znajdować. Powinny...

W zasadzie nie sposób ustalić pochodzenia broni pozbawionej numerów seryjnych.

Patti podniosła wzrok na Spencera. Z jego miny wyczytała, że myślał o tym samym.

Sammy używał glocka. Pistoletu nigdy nie odnaleziono. Ale z jego ciała wydobyto pocisk.

- Chcę, żeby wykonano analizę balistyczną...

- Zadzwoń do laboratorium.

- Dobrze. Informuj mnie.

Weszła do pokoju przesłuchań w chwili, gdy podejrzany dłużył w nosie. Siadając, podsunęła mu pudełko chusteczek. Miał na tyle przyzwoitości, że się zmieszał.

- Kolega właśnie pokazał mi coś bardzo interesującego.

- Szczęściara.

- Przykro mi, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie. -

Pochyliła się w jego stronę. - Opowiedz mi o tym pistolecie.

Miała wrażenie, że poblądł pod opalenizną.

- Jakim pistolecie?

- O glocku. Tym, który był schowany pod fotelem kierowcy w twojej furgonetce. Tym, z którego usunąłeś numery.

- To nie mój.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Nie? Czyj w takim razie?

- Kolegi.
- Muszę mieć jego nazwisko, Ben.
Zacisnął usta, jakby się zastanawiał, czy ma jej odpowiedzieć.
Wyglądało na to, że myśli intensywnie, kogo mógłby tym obciążyć.
- A jeśli ci powiem, że z tego pistoletu kogoś zabito? Po jego zmienionej twarzy poznała, że tym razem przyciągnęła jego uwagę. Wyobraziła sobie, jak myśli: „Cholera, wpadłem w niezłe gównno!”.
- Nic o tym nie wiem - powiedział.
Oparła dłonie na blacie stołu. Poczowała, że jej komórka wibruje, ale zlekceważyła to.
- A co powiesz, jeśli dowiedzimy, że z tej broni zabito policjanta? Teraz wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.
- Chcę prawnika.
- Oczywiście, panie Franklin. Z pewnością będzie panu potrzebny adwokat.
- Ja tego gnata znalazłem.
- Gdzie?
- W parku miejskim. Był na wpół zagrzebany. Leżał w czarnym worku na śmieci, zawinięty w jakąś ścierkę. Potknąłem się o niego. Przysięgam!
Park miejski. Tam znaleźli odznakę Sammy'ego i ciało nieznajomej.
- Gdzie konkretnie?
- Nad stawem. Tym obok muzeum sztuki, przy City Park Avenue.
Daleko od miejsca, gdzie leżała odznaka. Chociaż biorąc pod uwagę, gdzie zabito Sammy'ego, podejrzenie blisko.
- Kiedy to było? - spytała.
- Jakiś czas temu.
- A dokładniej?
- Rok. Tak, na pewno. Robiło się już gorąco.
- Masz tę ścierkę?
- Co pani? - Poprawił się na krześle. - Takie paskudztwo?
- Paskudztwo. To znaczy?

- Całe w plamach.
- Krew?
- A bo ja wiem? Wyrzuciłem ścierkę, a gnata zatrzymałem. Nie wystrzeliłem z niego ani razu.
- Czemu spiłowałeś numery?
- Nie zrobiłem tego!
- Wiedziałaś, że należał do gliny. Może dlatego?
- Nie! Znalazłem go i...
- Zdaje się, że z ciebie jest dość nieprzyjemny facet, co, Ben? Gwałciiciel, a teraz jeszcze zabójca policjanta.
- Kupa bzdur! Nie powiem już ani słowa, dopóki nie dostanę adwokata.

Patti miała ochotę przycisnąć go jeszcze trochę, ale wiedziała, że to bez sensu. Zresztą dopóki nie dostaną ekspertyzy balistycznej, mogli opierać się jedynie na domysłach.

- W takim razie trzeba będzie panu sprowadzić prawnika, panie Franklin.

Odepchnęła się od stołu, wstała i podeszła do drzwi. Tu zatrzymała się jeszcze na chwilę i odwróciła głowę.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, gdzie pan był podczas huraganu.
- Przez trzy dni tkwiłem na dachu. A pani? Plądrowała sklepy?
- Nie, panie Franklin. Ja ściągałam z dachów takich dupków jak pan.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

14.50

Stacy obserwowała dom zza kierownicy zaparkowanego samochodu. Ładne miejsce, pomyślała. Bardzo wytworne. Ekskluzywny adres w Dzielnicy Ogrodów.

Położenie, wspaniałe położenie... Czyż nie była to mantra powtarzana przez pośredników handlu nieruchomościami? Wyglądało na to, że pan Gabrielle zastosował się do własnej rady. Powtórzyła sobie to, co wiedziała o podejrzanym: czterdzieści sześć lat, żonaty, dwoje dzieci, odnoszący sukcesy biznesmen. Wspiera Audubon Zoo i bibliotekę.

Częsty gość nocnych klubów ze striptizem. Wytwarza i rozprowadza metamfetaminę

Dosyć nietypowy pośrednik.

Odezwał się wibrator komórki. Na ekranie wyświetlił się numer Spencera.

- Cześć - odezwał się, gdy odebrała połączenie. - Co u ciebie?

- Nic nowego. Obserwuję dom Gabrielle'a. Liczyłam na to, że uda mi się wybrać na przejażdżkę do kilku posiadłości, które ma w ofercie.

- I robisz to sama?

- Mój kapitan nie zgłosił sprzeciwu. A w ogóle skąd wiesz?

- Znam cię, Killian. Jest sobota. W nocy ciężko pracowałam. Gdzie zatem mogłabyś być w wolnym czasie?

- Sugerujesz, że praca to całe moje życie?

- Przykro mi, skarbie. Mówię tylko, co widzę.

- W nocy mówiłeś co innego, skarbie - zadrwiła.

- W tej chwili nie będziemy o tym rozmawiać. Jestem w publicznym miejscu.

Roześmiała się cicho.

- Co takiego znalazła Patti?

Spencer opowiedział jej o magnesie i wizycie u Qucn-tina i Anny.

- Od razu na coś natrafiliśmy, prawie natychmiast po wyjściu od nich. Były więzień. Nielegalna broń. Glock 45 z usuniętymi numerami.

- Oddaliście do analizy?

Każdy pistolet zostawia inne ślady, Podczas badania w

laboratorium technik strzeli do skrzynki z gęstym żelem, wyjmie nabój i korzystając z systemu identyfikacji broni, porówna ślady z tymi, które zostały znalezione na posisku wyjętym z ciała Sammy'ego,

- Czyżby to było aż takie proste? - spytała Stacy. - Po dwóch latach?

- Patti z pewnością ma taką nadzieję. Sama wszystko nadzoruje. Biedny facet - Spencer uzalił się nad ekspertem od broni. - Będzie czuł jej oddech na karku, póki nie da jej odpowiedzi.

- Oho - mruknęła Staey, widząc że drzwi domu nagle się otworzyły. - Coś się zaczyna dziać.

- Zjemy później hamburgera? O piątej "U Shannona"?

Stacy przytaknęła i przerwała połączenie.

Marcus Gabrielle był przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach i oczach oraz ładnej sylwetce. Dziś miał na sobie biały strój do tenisa. Istny okaz zdrowia i powodzenia.

Stacy przeniosła spojrzenie na jego żonę. Blondynka. Ładna. O wiele młodsza od Gabrielle'a, może nawet dziesięć lat. Mieli dwoje dzieci, siedmioletniego chłopca i dziewięcioletnią dziewczynkę. Śliczne dzieciaki. Wyglądały na bardzo grzeczne.

Przez zmrużone powieki przyglądała się całej czwórce. Uśmiechali się, rozmawiając ze sobą. Rozluźnieni, szczęśliwi. Amerykańskie marzenie.

Raczej amerykańska zmora, poprawiła się w myślach.

Podeszli do mercedesa, który stał na podjeździe. Gabrielle przytrzymał żonie drzwi. Pocałowała go i wsunęła się za kierownicę. Dzieciaki usiadły z tyłu.

Stacy pokręciła głową. Czemu Gabrielle ryzykuje? Przecież może to wszystko popsuć.

Przez chciwość, uznała. Zero miłości dla kogokolwiek poza sobą samym. Całkowicie popieprzony system wartości. Taka sama historia jak zwykle.

Nie potrafiła tego pojąć.

Gabrielle poczekał, aż mercedes dojedzie do końca ulicy i skręci w prawo, po czym podszedł do srebrnego porsche boxstera. Wrzucił torbę ze sprzętem i usiadł za kierownicą. Chwilę później minął wóz Stacy, nawet nie pstrząc w jej stronę. Dala mu odjechać na

bezpieczną odległość i ruszyła jego śladem.

Sądziła, że skieruje się do swojego klubu, a tymczasem jechał do centrum, w stronę Dzielnicy Francuskiej.

Na rogu North Peters i Conti Street czekała na niego Yvette.

Gabrielle podjechał do krawężnika, dziewczyna wskoczyła do auta.

No to tyle, jeśli chodzi o grę w tenisa, podsumowała Stacy.

Yvette miała na sobie prostą wzorzystą bluzkę i spodnie, a na nogach klapki. W niczym nie przypominała dziewczyny, która wczoraj występowała na scenie.

Czyżby zamierzała zostać agentem nieruchomości?

To by dopiero było.

Dzielnicę Francuską tworzy siatka wąskich, jednokierunkowych uliczek. Stacy starała się nie zgubić Gabrielle'a, co oznaczało, że czasem musiała przewidywać jego następny ruch. Nie traciła go z oczu, dopóki nie skręcił w Rampart i nie rozdzieliła ich dostawcza ciężarówka, która po chwili zatrzymała się i całkiem zablokowała wąską uliczkę. Zanim udało jej się wyjechać, Gabrielle i Yvette dawno już zniknęli. Jeszcze przez dwadzieścia minut jeździła po okolicy w nadziei, że gdzieś dostrzeże porsche, w końcu dała za wygraną.

Jeśli jechali na randkę, czemu Yvette była tak skromnie ubrana?

Czyżby to go podniecało? Mało prawdopodobne. Przecież był regularnym klientem barów ze strip-tizem. Najwyraźniej lubił niekonwencjonalne zabawy.

Rzuciła okiem na zegarek. Było już po czwartej. Miała wystarczająco dużo czasu, żeby spojrzeć na domy, które Gabrielle proponował klientom i zdążyć na piątą na spotkanie ze Spencerem. Dziś wieczorem spróbuje wyciągnąć coś więcej z Yvette.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

16.15

Patti usiadła przed monitorem, czekając, aż komputer porówna rysy na kuli wyjętej z ciała Sammy'ego z tymi, które były na testowanym pocisku.

Pasowały do siebie idealnie, nie pozostawiając wątpliwości, że oba naboje zostały wystrzelone z tej samej broni.

Wpatrywała się w powiększone przez komputer obrazy. Miała go. Nareszcie. Miała mordercę swojego męża. Najprawdopodobniej także zabójcę kobiet, Chirurga.

Nie potrafiłaby powiedzieć, co właściwie czuje, radosne podniecenie czy wątpliwości. Radość była zrozumiała, ale skąd wzięły się wątpliwości? Cóż, Ben Franklin nie wyglądał na przerażającego mordercę. Sprawiał raczej wrażenie prymitywnego oprycha i kompletnego nieudacznika.

To oczywiście nic nie znaczyło. Prawdziwe życie nie wygląda jak w hollywoodzkim filmie, w którym czarne charaktery da się rozpoznać na pierwszy rzut oka. Najbardziej bezwzględny morderca, którego aresztowała,

wyglądał i zachowywał się jak chłopiec z chóru kościelnego.

Odchyliła się na krześle. Czuła, że Franklin mówił prawdę, wyjaśniając, dlaczego pisał do Anny. Wyjawienie takiego sekretu było zbyt krępujące, żeby mogło być kłamstwem.

Gdyby był zabójcą Sammy'ego, gdyby zakopał jego odznakę i tę kobietę w parku, czy przyznałby się do obecności w miejscu zabójstwa? Cóż, mógł po prostu być wyjątkowo głupi, jak zresztą większość znanych jej bandziorów.

Nie chciała jednak marnować czasu i energii na niewłaściwego człowieka. Nie chciała cieszyć się przedwcześnie.

Chciała tylko jego. Zabójcy męża. I nie zamierzała spocząć, dopóki

nie będzie absolutnie pewna, że go dopadła.

- Dobre wieści?

Przez ramię spojrzała na Spencera i uśmiechnęła się posepnie.

- Możliwe, że go mamy. Popatrz na to. Przeszedł przez pokój i pochylił się nad ekranem.

- Pasują do siebie - powiedział po chwili.

- Tak.

- Ale tobie trzeba czegoś więcej.

Nie było to pytanie, jednak odpowiedziała.

- A jeżeli Franklin rzeczywiście znalazł rewolwer? Zabójca pochował ciała, a potem mógł pozbyć się broni.

- I wynieść się w diabły z miasta jeszcze przed uderzeniem Katriny.

- Właśnie.

- No więc musimy znaleźć powiązanie między Franklinem i tą kobietą. Wtedy będziemy mogli go przycisnąć. To powinno pomóc

- Podał jej dużą kopertę. - Elizabeth

Walker podrzuciła nam wyniki sekcji kobiety z parku miejskiego.

Wyjęła raport, nie mogąc opanować wzburzenia.

Kobieta rasy białej. Wiek w przybliżeniu dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Wzrost metr sześćdziesiąt dwa. Nie rodziła. Niespotykana liczba złamań. Wszystkie stare. Prawdopodobnie w dzieciństwie była maltretowana. Zęby osadzone w dziąsłach zbyt blisko siebie.

- Mogła zostać uduszona - powiedziała Patri. - Z raportu wynika, że miała złamaną kość gnykową.

- Tak, Elizabeth mówiła o tym. Problem w tym, że ze względu na młody wiek ofiary nie można mieć pewności.

Patti kiwnęła potakująco głową. Kość gnykowa, znajdująca się u podstawy czaszki, ma kształt podkowy i składa się z trzech części, które zrastają się dopiero około trzydziestego piątego roku życia.

Czytała dalej, przelatując wzrokiem informacje, które znała już z miejsca przestępstwa. W końcu trafiła na to, czego szukała.

Kobieta była ofiarą Chirurga. Kości i punkt przecięcia pasują do siebie idealnie.

A więc zostało to potwierdzone oficjalnie, młoda kobieta była jedną z ofiar mordercy. Ponieważ w grobie znaleziono również odznakę Sammy'ego, można było założyć, że jego również zabił Chirurg.

- Miałaś rację - uśmiechnął się Spencer.

- To nasz szczęśliwy dzień - odparła, patrząc mu

- Elizabeth zasugerowała, żeby przesłać czaszkę do laboratorium antropologii sądowej. Całkiem możliwe, że Mackenzie wniesie wiele do sprawy.

Alison Mackenzie była sądową rzeźbiarką. Pracowała w laboratorium Antropologii Sądowej i Obsługi Komputerowego Odtwarzania Wizerunków przy Uniwersytecie Luizjany. Mając czaszkę oraz wykorzystując standardowe dane na temat budowy tkanki w zależności od wieku, płci i rasy ofiary, odtwarzała jej twarz. Zaskakujące było, jak dokładne okazywały się niektóre z tych rekonstrukcji.

Oczywiście nie korzystano z tej metody zbyt często. Sądowych plastyków nie było zbyt wielu, a ich praca nie należała do tanich; Jednak ta sprawa wymagała szczególnego traktowania. Mieli do czynienia nie tylko z seryjnym mordercą, ale również zabójcą policjanta.

- Jaki będzie następny krok, pani kapitan?

- Zidentyfikujemy ofiarę. Potem spróbujemy powiązać ją z Franklinem. Przejrzyj rejestr osób zaginionych, może jest tam ktoś, kto pasuje do opisu naszej nieznajomej.

Spencer uniósł brwi.

- Rejestr osób zaginionych? Mniej więcej z tego czasu, gdy był huragan?

Zabrzmiało to jak niesmaczny żart. Osiemdziesiąt procent mieszkańców miasta albo wyjechało, albo zaginęło. W pewnym momencie po katastrofie szacowano, że liczba zaginionych osób przekracza jedenaście tysięcy. Nadal o wielu z nich nie udało się nic ustalić.

- Dostarcz czaszkę do laboratorium. Powiedz Mackenzie, że to sprawa priorytetowa.

- Załatwisz to z szefostwem?

- To leży w kompetencjach Pomocniczego Wydziału

Dochodzeniowego. Czyli moich, detektywie. - Spencer milczał, więc ciągnęła dalej: - Powiadom detektywa Sciamego, że jego weekend zakończył się wcześniej i wprowadź go w sprawę.
- A co z Franklinem?
- Na razie zatrzymamy Franklina za nielegalne posiadanie broni oraz kradzionych towarów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sobota, 21 kwietnia 2007 r.

16.15

Dom zajmował zarośniętą działkę niedaleko śródmieścia. Na ulicy, gdzie stał podwójny rząd opuszczonych, zabitych deskami wielorodzinnych budynków, panowała grobowa cisza.

Jaskrawopomarańczowe znaki wymalowane przez Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego na każdych drzwiach wyglądały jak dekoracja rodem z piekła.

Przed Katriną w tych domach mieszkały rodziny o niskich dochodach, samotni imprezowicze i ludzie, którzy starali się nie rzucać zbyt w oczy.

Jedną z tych osób był ktoś szczególnie tajemniczy-Swoje sekrety ukrywał w tych murach.

Moje ślicznotki. Tylko moje. Wszystkie przepadły. Wpadły w ręce obcych. Nie zniosę tego. To twoja wina. Sam je zostawiłeś. Ale przecież tutaj. W naszym domu. Schowane jak najstaranniej...

W zamrażarce? Wiedząc, że się zbliża ten koszmarny huragan?

Nawet nie sprawdziłeś, czy wszystko z nimi w porządku.

Jak miałem to zrobić? Nikt nie spodziewał się tego, co nastąpiło.

Po huraganie miasto było nieprzejezdne, wszystkie drogi

zablokowano. Potem też było niebezpiecznie. Mogli mnie nakryć. Gdyby ci naprawdę zależało, znalazłbyś sposób. Przestań jęczeć i zabierz się do tworzenia nowej kolekcji.

To nie jest kolekcja! Nic nie wiesz o natchnieniu, o pięknie...

Odwieczna prawda i piękno wypływają z dłoni i serca.

Z nich wydobywa się również brzydota i zdrada. Przestań mnie terroryzować. Proszę. Nie zniosę tego więcej.

Więc napraw to. Zrób, co trzeba, żeby wszystko doprowadzić do porządku.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Niedziela, 22 kwietnia 2007 r.

1.15

Yvette nie mogła się opanować. Aż się trzęsła ze złości i oburzenia. Nikt nie będzie jej oszukiwał. Nikomu nie pozwoli się nabierać. Nawet Marcusowi, temu samozwańczemu panu wszechświata. Zapaliła papierosa i chciwie się zaciągnęła. Nikotyna z pewnością ją uspokoi. Wzięła udział w tej cholernej grze, spotkała się z klientami w kilku posiadłościach, wpuściła ich do środka i czekała, aż załatwią to, po co przyszli.

Cokolwiek to było. Nie miała pojęcia o handlu nieruchomościami, lecz z pewnością nie chodziło o zwiedzanie tych budynków.

Jednak kiedy przyszło do płacenia, Marcus uszczypnął ją w tyłek i powiedział, żeby uzbroiła się w cierpliwość.

A przecież drań obiecał jej pięćset dolarów, tak jak poprzednio.

Potem przyszedł do klubu z grupą nadętych koleśków i

zachowywał się, jakby jej tam w ogóle nie było.

Kutas jeden. Siedział rozwalony na kanapie i śmiał się, gdy jeden z tych facetów próbował złapać ją za cycki.

Ohyda!

Możliwe, że powinna pomyśleć o jakiejś polisie ubezpieczeniowej. Przed dzisiejszym dniem uważała, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Była posłuszna, robiła, co jej kazał, nie interesowała się ludźmi, których wprowadzała do tych nieruchomości, ani tym, co tam robili.

Chciała zarobić i tylko to ją interesowało. Ale koniec z tym.

Następnym razem...

- Cześć, Yvette.

Gwałtownie obejrzała się za siebie. W progu stała Brandi.

- Przyszłam przekazać ci specjalne życzenie. Stolik dwunasty. -

Wyciągnęła rękę. - Przysłał ci liścik.

Marcus. Pora, żeby i on czegoś się dowiedział.

- Powiedz mu, żeby się pieprzył. Brandi aż zachłysnęła się ze zdumienia.

- Ale...

- Słyszałaś, co powiedziałam.

Przez chwilę kelnerka stała w milczeniu. W ręku wciąż trzymała liścik.

- A jeśli pójdzie się poskarżyć? Toni nie będzie się to podobało.

- Wiesz co? Ona też może... - Yvette ugryzła się w język i wyrwała Brandi kartkę z ręki. Szperała chwilę wśród rzeczy na toaletce w poszukiwaniu długopisu i w końcu wyciągnęła czerwoną konturówkę.

Uśmiechając się do siebie nagryzmoła w poprzek kartki czerwone „Pieprz się!”.

- Trzymaj. - Pchnęła kartkę w stronę Brandi. - To moja odpowiedź.

- Jesteś pewna? - Kiedy kiwnęła głową, kelnerka ruszyła do drzwi.

W progu zatrzymała się jeszcze. -Znasz go czy co?

- Czy co. - Zaciągnęła się głęboko. - Daj mu to. Od razu.

Kelnerka miała minę, jakby chciała coś powiedzieć, może spytać albo przekonywać, ale w końcu bez słowa opuściła garderobę.

Yvette spodziewała się, że zaraz rozpęta się piekło. Najpierw rozedrze się na nią Tonią, pouczając, jak powinna się zachowywać.

Potem pojawi się Marcus i jej przyłoży. Albo przyśle przez Brandi następny liścik, tym razem z ostrzeżeniem.

Ale nikt nie przyszedł. A kiedy wyszła na scenę do ostatniego występu, okazało się, że Marcusa już nie ma.

A więc to tak, tchórze? Co za gnida.

Wreszcie wieczór się skończył i mogła się zbierać. Napiwki były do bani, ale trudno się dziwić. Zwykle brała aktywny udział w tej zabawie, lecz dziś wieczorem musiała się do tego zmuszać. Nic dziwnego, że nikogo nie zachwycała.

Koleżankom, które jeszcze piły przy barze ostatniego drinka, życzyła dobrej nocy i tylnymi drzwiami wyszła z klubu.

Chociaż mieszkała na drugim końcu dzielnicy, prawie każdego wieczoru chodziła do domu pieszo. Wybierała najruchliwsze miejsca, często zatrzymując się po drodze w barze „Dungeon”, który był otwarty od północy do szóstej rano. Czasami szła z nią któraś z koleżanek, a bywało też, że ktoś ją podwoził.

Ponieważ zarówno mieszkała jak i pracowała w Dzielnicy Francuskiej, samochód nie był jej potrzebny. Wszystko, czego potrzebowała, znajdowało się w odległości krótkiego spaceru. Spojrzała w stronę pustego zaułka. Drzwi zatrzaskiwały się automatycznie, więc przed wyjściem zawsze sprawdzała, czy na ulicy panuje spokój. Właściwie poza kilkoma miejscami, przede wszystkim takimi jak Rampart Street w pobliżu Armstrong Park, cała dzielnica była bezpieczna. Przynajmniej dla tych, którzy przestrzegali podstawowych zasad, na przykład trzymali się dobrze oświetlonych, ruchliwych ulic.

Zaułek co prawda nie spełniał tych wymogów, jednak wystarczyło przejść sześć metrów prosto, a potem skrócić w prawo, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Najgorsze przeżycie, jakie tu miała, to spotkanie z bezdomnym, który czasami spał w kartonie obok śmietnika.

Nietowarzyscy i skupieni na walce o przetrwanie bezdomni zwykle nikogo nie zaczepiali. Tylko ten jeden wyłamał się ze schematu. Pewnej nocy włókł się za nią aż do domu, sycząc i robiąc sprośne uwagi. W końcu rzuciła w niego butelką po piwie, a wtedy się wycofał.

W Dzielnicy Francuskiej można było spotkać najprzeróżniejsze

indywidua: mężczyźni przebranych za kobiety, kobiety przebrane za mężczyzn, napalonych bezdomnych, przedstawiciele subkultury gotyckiej, wyzywające wampy, pomyślników i wszelkiego rodzaju dziwaków, w większości nieszkodliwych. Wreszcie przekroczyła próg. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, odcinając światło.

- Cześć, Yvette. Czekałem na ciebie.

Marcus. Odwróciła się, wypatrując go w ciemności. Wysunął się z cienia, odcinając jej doświadczenie do końca alejki.

- Miałaś udany wieczór?

Uniosła buńczucznie brodę, ukrywając strach. ~ Co cię to obchodzi?

Kiedy podszedł bliżej, dostrzegła, że jego oczy zabłyśły złowrogo.

- Nigdy więcej nie rob mi tego. - Pogłaskał ją po policzku. - Nie spodobałaby ci się moja reakcja na twoją bezczelność.

Ze złością odepchnęła jego dłoń.

- Wracaj do swojej oziębłej, wytwornej żony. Niech ona ci dogadza!

Pochylił się nad nią.

- Nie prowokuj mnie, Yvette - wycodził ściszym głosem. - Jesteś moją własnością.

Strach zaczął ustępować miejsca wściekłości i dumie. Nie była niczyją własnością. To było jej życie. I jej warunki.

Zesztywniała.

- Chcę dostać moje pieniądze, Marcus. Chcę moje pięćset dolarów. Lewą rękę wsunął w jej włosy, prawą chwycił ją za gardło.

- Tylko o to ci chodzi? O pieniądze? - Wczepił palce we włosy i szarpnął jej głowę do tyłu. - Czy tak, kochanie?

Oczy zasły jej łzami. Miała wrażenie, że zamierza wyrwać jej włosy z korzeniami. Gdyby zaczęła się szarpać, zrobiłby to bez wahania. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Obiecałeś - szepnęła.

- Dostaniesz je, gdy ja tak zdecyduję. A do tego czasu będziesz robić, co ci każę. Jasne?

Puścił ją, kiedy przytaknęła. Cofnęła się niepewnie, trzymając się za obolałą głowę.

Skurwysyn! Nie ujdzie mu to na sucho. Już ona tego dopilnuje.

- Może powinnam pogadać z glinami? - krzyknęła.
- Z twoją żoną zresztą też. Z pewnością zainteresuje ją nasza cicha um... Nie zdążyła zareagować, gdy się na nią rzucił. Z całej siły popchnął ją do tyłu, aż oparła się o wilgotny, ceglany mur. Rękami chwycił ją za gardło.
- Spróbuj, dziwko, a wytnę ci serce.
Zacisnął dłonie. Złapała go za rękę, walcząc o oddech. Przed oczami widziała wirujące punkciki. Przeraziła się, że chce ją zabić. Drzwi klubu otworzyły się nagle i światło rozproszyło ciemności.
- Yvette? Jesteś tam? To Brandi! Dzięki Bogu!
Marcus zabrał rękę i odsunął się od niej.
- Do zobaczenia, kochanie - mruknął, po czym odwrócił się i odszedł.
Opadła na kolana, krztusząc się i z trudem łapiąc powietrze. Brandi znalazła się obok niej w ułamku sekundy.
Uklękła obok i objęła dziewczynę ramieniem.
- Mój Boże! Nic ci się nie stało?
Yvette nie była w stanie wydobyć głosu. Zęby jej szczękały, ciałem wstrząsały dreszcze. Brandi rozcierała jej plecy.
- Czy to był ten sam facet? Ten, dla którego nie chciałaś zatańczyć? Yvette kiwnęła głową. - Myślałam, że zamierza... mnie zabić.
- Wzywam gliny - powiedziała stanowczo Brandi, podnosząc się. Yvette chwyciła ją za rękę.
- Nie - zaskrzeczała. - To tylko... pogorszy sprawę.
- Co tu jeszcze można pogorszyć? Próbował cię zabić!
- Pomóż mi wstać. Nic mi nie jest.
Brandi zawahała się, w końcu jednak spełniła prośbę dziewczyny. Yvette stanęła niepewnie na nogach i wzięła głęboki oddech. W duchu dziękowała opatrności, że żyje.
Obdarzyła Brandi uśmiechem..
- Dzięki. Gdybyś nie... - zawiesiła głos.
- Może podwieźć cię do domu? - wpadła jej w słowo Brandi.
- Nie mam aż tak daleko. Mogę...
- Iść pieszo? Przestań się wygłupiać. A jeśli ten typ gdzieś się na

ciebie zaczął?

Słusznie. Zresztą kiepsko się czuła i brakło jej odwagi do kolejnej konfrontacji z Marcusem.

Skierowały się na parking, gdzie Brandi zostawiła swoją wysłużoną terenówkę. Yvette całkiem wyczerpana opadła bez sił na fotel.

- Dokąd jedziemy? - spytała Brandi.

Podawała adres i przymknęła oczy. Co mi przyszło do głowy? - pomyślała. Co za głupota, żeby prowokować Marcusa. I w dodatku straszyć go glinami i wizytą u żony!

- W prawo? Uchyliła powieki.

- Tak, w prawo.

Jeszcze kilka razy padały podobne pytania, na które Yvette udzielała krótkich odpowiedzi. W końcu Brandi zatrzymała wóz.

- Jesteśmy na miejscu.

Yvette położyła dłoń na klamce i zawahała się. Wcale nie chciała zostać sama.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziała.

- Nie ma sprawy. Jeśli zmienisz zdanie i uznasz, że trzeba zawiadomić gliny...

- Nie zmienię. - Dziewczyna otworzyła drzwi i zaczęła wysiadać. - Jestem ci naprawdę wdzięczna za... No wiesz.

- Żaden problem. - Brandi uśmiechnęła się. - Poczekam, aż wejdiesz do środka.

Yvette wciąż jeszcze nie ruszyła się z miejsca. Nagle pomyślała o swoim pustym, ciemnym mieszkaniu.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - upewniła się Brandi.

- Jasne - odparła. Z wysiłkiem przywołała na twarz radosny uśmiech. - Do zobaczenia.

Zsunęła się wreszcie na chodnik i pobięła do wejścia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Niedziela, 22 kwietnia 2007 r.

3.10

Stacy odprowadzała wzrokiem Yvette, która popędziła do wejścia. Stała już pod drzwiami, ale zamiast je otworzyć, zawróciła i biegiem wróciła do samochodu.

Stacy opuściła szybę.

- Co się dzieje?

- Jesteś głodna?

- Żartujesz? Umieram z głodu.

- Może wejdiesz na chwilę? Ja też muszę coś zjeść. Równie dobrze możemy to zrobić razem.

Yvette z całych sił starała się trzymać fason i pokazać, że wszystko po niej spłynęło, lecz widać było, jaka jest roztrzęsiona.

- Brzmi obiecująco - odparła Stacy. - Gdzie mogę zaparkować?

Dziewczyna wskazała jej miejsce przeznaczone dla mieszkańców domu. Poczekala, aż Stacy ustawi samochód, po czym razem ruszyły do murowanego, dwupiętrowego budynku z łuszczącym się tynkiem i balkonami o żelaznych balustradach w stylu kolonialnym.

Jak większość starych domów w Dzielnicy Francuskiej, ten również zbudowano wokół zacienionego, centralnie położonego dziedzińca. Przed nastaniem ery klimatyzacji, takie podwórza były oazami cienia i chłodu. Właściwie nadal tak było, bowiem teraz można się było tu skryć przed rozgrzaną betonową dżunglą. Wejście do mieszkań, z których każde wychodziło na dziedziniec, prowadziło przez wspólne klatki schodowe i zadaszone pasáže. Yvette mieszkała na pierwszym piętrze. Wchodziła na górę cichutko, najwyraźniej nie chciała zakłócić spokoju śpiącym sąsiadom. Niestety w jednym z mieszkań, obok którego musiały

przejsć, rozszczękał się pies.

Sądząc po odgłosach, musiało to być duże zwierzę. Widząc skrzywioną minę Yvette, Stacy domyśliła się, że nie pierwszy raz zdarzyło jej się obudzić tę bestię. Sąsiadów prawdopodobnie również.

Doszły już na miejsce do mieszkania numer dwanaście. Otwierając drzwi, Yvette niemal jednocześnie włączyła światło i zrzuciła pantofle.

Za lokal w tej dzielnicy, nawet taki mały, musi płacić jakieś tysiąc dwieście, może nawet tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, pomyślała Stacy, rozglądając się po wnętrzu. Mieszkanie było śliczne i bardzo gustownie urządzone. Delikatne kolory, mnóstwo tkanin, wyraźnie kobiece akcenty, ale również zaskakująco nowoczesne obrazy i reprodukcje.

- Ślicznie to u ciebie - powiedziała. Zatrzymała się przed dużym wizerunkiem baśniowego duszka. - Ależ to piękne. Trochę przerażające, ale piękne.

- Ja też tak uważam. - Yvette stanęła obok niej. - To dzieło Wrena, miejscowego artysty. W sypialni mam jeszcze jedea jego obraz. Chodź, kuchnia jest tutaj.

W korytarzu wisiało więcej obrazów. Nie było między nimi żadnego związku. Stacy zaintrygowało, czemu Yvette je wybrała.

- Nie wiem - odparła dziewczyna. - Wszystkie są pracami tutejszych malarzy. Niektóre kupuję prosto z pracowni, niektóre w galeriach. Kilka nabyłam od sprzedawców ulicznych na Jackson Square.

Otworzyła lodówkę.

- Co chcesz zjeść?

- A co masz?

- Resztki pizzy. Jajka. Mleko. - Wyciągnęła pojemnik na warzywa i skrzywiła się z niesmakiem. - Coś włochatego.

Zamknęła lodówkę i zajrzała do długiej, wąskiej szatki.

- Ciasteczka z czekoladą, płatki zbożowe, prażoną kukurydzą. -

Przez ramię spojrzała na Stacy. - Może popcorn i kakao?

- Niezły pomysł.

Kilka minut później siedziały z podwiniętymi nogami na kanapie.

Między sobą postawiły wielką miskę popcornu, dłonie zacisnęły

na kubkach z ciepłym kakao.

Stacy wypła łyk i zakrztusiła się.

- Mocne to kakao.

- Dodałam trochę prądu. To miętowa wódka. Alkohol neutralizuje kofeinę. Smakuje ci?

Stacy przytaknęła. Pociągnęła kolejny łyk, patrząc na młodą kobietę. Na jej szyi pojawiły się ciemnofioletowe ślady.

- Robią ci się sińce.

- Naprawdę? - Yvette uniosła rękę. - Bardzo je widać? Stacy pogrzebała w torebce i wyjęła puderniczkę.

- Sama zobacz.

Yvette w milczeniu przyjrzała się szyi. W końcu zamknęła z trzaskiem puderniczkę i oddała ją Stacy.

- To twój chłopak, prawda?

- On wcale nie jest taki zły - powiedziała Yvette, pomijając pytanie milczeniem.

- Nie wierzę, że to mówisz! Po tym, co ci zrobił? Przecież to świnią.

- Sprowokowałam go. Jest dla mnie dobry...

- Właśnie widzę.

- Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego.

- I pewno nie robi, jeśli będziesz grzeczna, co? - Pokręciła głową. - Taki facet...

- A co ty możesz wiedzieć o Marcusie?

- Po pierwsze jest żonaty. Miał obrączkę.

- Nie bądź głupia. Większość facetów, z którymi się widuję, jest żonaty. On przynajmniej nie próbuje tego ukryć.

- Podniósł na ciebie rękę. Gdybym nie wyszła sprawdzić...

- Dlaczego mnie szukałaś?

Bo policjant, który obserwował lokal, ostrzegł mnie, że Gabrielle wchodzi w alejkę, odpowiedziała w myśli.

- Miałam twój napiwek - wyjaśniła. - Ci zabawni faceci z radia, którzy rzucali żelowymi piłeczkami...

- Walton i Johnson?

- Właśnie. Zostawili dla ciebie napiwek, a ja zapomniałam ci go oddać i... Pomyślałam, że zdążę cię jeszcze złapać.

- Anioł dobroci i uczciwości. - Yvette sięgnęła po garść popcornu. -
Co ty u diabła robisz w „Hustle”?

- Mogłabym cię spytać o to samo.

- Ja zarabiam.

- Ja też.

Yvette zmarszczyła czoło, jakby nie do końca w to uwierzyła.

Stacy pochyliła się do niej.

- Przez dwanaście lat byłam mężatką. Chajtnęłam się zaraz po szkole. Nie poszłam na studia ani do pracy. Bamey chciał, żebym siedziała w domu. A potem skurczybyk zabrał się i zostawił mnie z kupą długów i dzieciakiem.

- Masz dziecko?

Cholera... No to teraz już miała dziecko.

- Dziewczynkę. Ma osiem lat.

- Jak ma na imię?

- Sandi. - Brandi i Sandi. O Jezu!

Ale Yvette najwyraźniej spodobało się to imię.

- Masz jej zdjęcie?

- Nie przy sobie. Nie lubię nosić do pracy osobistych rzeczy.

Przynajmniej to nie było kłamstwem. Stacy pogrzebała w torbie w poszukiwaniu rzekomego napiwku.

- Trzymaj. - Podała Yvette dwudziestodolarowy banknot. -

Przepraszam.

Yvette spojrzała na banknot.

- Tylko dwadzieścia dolców? Od takich bogatych facetów?

Schowaj to, zapracowałam na nie.

- Pomogłam ci, bo jesteś moją koleżanką - zaprotestowała Stacy, marszcząc brwi. - A także dlatego, że tak należało. Nie oczekiwałam za to zapłaty.

Dziewczyna wpatrywała się w nią, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. W końcu uśmiechnęła się.

- Mimo to zatrzymaj je. Masz na utrzymaniu dziecko.

- Ojej, dzięki. - Wepchnęła banknot do kieszeni. - Przepraszam, że krytykowałam Marcusa. Chyba po prostu nie pojmuję, jak można tak postąpić. - Zamilkła, Ucząc na to, że Yvette zechce coś wyjaśnić. Ponieważ nie odezwała się, mówiła dalej: - Jak długo się z nim spotykasz?

- Nie rozmawiajmy o Marcusie, dobrze?

- Jasne, przepraszam.

Na chwilę zapanowało milczenie. Nagle Stacy pstryknęła palcami.

- Prawie o tym zapomniałam! Widziałam cię dzisiaj. Tu, na starówce. Już miałam przejść na drugą stronę ulicy, ale wsiadłaś do auta, zanim zdążyłam cię zawołać.

- To nie ja.

- Naprawdę? Byłam pewna...

- Powiedziałaś już, że to nie ja.

Stacy postanowiła się wycofać. - Jasne. W porządku. - Roześmiała się. - Powinnaś się tego domyślić. Tamta dziewczyna była ubrana jak jakaś paniusia. Zupełne bezguście.

- Czyli nie w moim stylu. - No właśnie. Yvette dopiła swoje kakao.

- Masz ochotę na jeszcze jedno? A może wolisz kieliszek czegoś mocniejszego? Stacy pokręciła głową.

- Zapomniałaś, że muszę usiąść za kierownicą?

- Może zostaniesz na noc? - Roześmiała się, widząc minę

koleżanki. - Nie jestem lesbijką. Tylko jakoś tu dzisiaj posępnie.

Rano mogłybyśmy pójść coś zjeść. W „Coffeepot” robią najlepsze w mieście grzanki w starym stylu.

Grzanki w starym stylu... Przenosząc się do Nowego Orleanu, Stacy słyszała o tutejszej specjalności: grzankach z czerstwego pieczywa przygotowywanych na sposób francuski.

- Nie mogę. Bardzo bym chciała, ale...

- Musisz wracać do Sandi - dokończyła Yvette. W jej głosie słychać było rozczarowanie.

- Została z nią mama, ale muszę tam być, kiedy się obudzi.

- No tak, oczywiście.

- Już wiem! Może umówimy się jutro na późne śniadanie? Sandi będzie przez cały dzień ze swoim tatą.

Yvette przystała na jej propozycję i kilka minut później Stacy wsiadała do swojego explorera. Ledwie zdążyła zatrzaskać drzwi, odezwała się jej komórka. To był Dan, policjant z grupy operacyjnej, która miała ją na podsłuchu.

- Dzięki, że wreszcie skończyłaś - powiedział. - Już tak długo ślęczę w tym pieprzonym wozie, że tyłek mi zdrętwiał. Chłopaki przesyłają ci podziękowania za pracę w niedzielę. Wprost

marzyliśmy o tym, żeby spędzić w tym pudle cały dzień, siedząc sobie na karku.

- Oj, bo zaraz się rozplączę. Ale wiesz co? Skoro jest tak późno, sama zdejmę z siebie te kable. Obiecuję, że będę bardzo ostrożnie obchodzić się z waszymi zaba-weczkami.

- Twoja wspaniałomyślność powala mnie na kolana. Roześmiała się.

- Do zobaczenia jutro o pierwszej.

- Jeszcze jedno, Killian. Twój były ma na imię Bamey? Śliczności!

- O pierwszej - powtórzyła. Rozłączając się, wciąż słyszała śmiech Dana.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Niedziela, 22 kwietnia 2007 r.

13.05

Kiedy Stacy przyszła, Yvette siedziała już przy stoliku na pokrytym słonecznymi cętkami dziedzińcu. Piła kawę i czytała „Times-Picayune”.

- Cześć - przywitała się Stacy. - Przepraszam za spóźnienie.

- Nie spóźniłaś się. To ja przyszłam za wcześnie.

- Nie wiem, jak ty, ale ja się dziś gotuję - mówiła Stacy, siadając.

Yvette złożyła dodatek i odłożyła go na gazetę, która leżała na ziemi przy jej nogach.

- Ja już przywykłam.

- Poczekaj, aż skończysz trzydzieści lat. Jak twoje gardło?

Yvette zawiązała na szyi kwiecisty jedwabny szalik, którym zakryła siniaki.

- Boli. Nie mogę przętykać. Zamieniłam się z jedną z dziewcząt. Zastąpi mnie dzisiaj, a ja pójdę za nią jutro. Nie czuję się na siłach, żeby tańczyć.

Chłopcy w wozie ucieszą się z dwudziestoczworgodzinnej przerwy, pomyślała Stacy. Sama jednak wolałaby prowadzić dalej dochodzenie.

Kelnerka przyjęła od nich zamówienie - obie postanowiły wziąć grzanki - napełniła filiżanki kawą i zostawiła je same.

- Czy... zastanawiałaś się jeszcze nad tym, co się wczoraj wydarzyło?

- A powinnam?

Stacy wzruszyła ramionami i dołała śmietanki do kawy.

- Pomyślałam, że może zechcesz pogadać. Czasami to pomaga.

- Wnerwiłam go, więc stracił nad sobą panowanie. Więcej tego nie zrobię.

Stacy popijała kawę. Starła się przybrać przyjacielski ton, swobodny i poufały.

- Wiesz coś o jego drugim życiu? Yvette zmrużyła oczy.

- Jakim drugim życiu?

- No wiesz, poza „Hustle”.

- Prawdę mówiąc, próbowałam trochę powęszyc. - Dziewczyna pochyliła się nad stolikiem. W jej oczach pojawiły się figlarne błyski. - Wynajęłam samochód i pojechałam za nim.

Stacy zabiło serce. Miała nadzieję, że nadajnik działa bez zarzutu.

- Naprawdę? I co?

- Jego żona jest jedną z tych sztywnych, bogatych kobiet, które spędzają czas w ekskluzywnych klubach za miastem. Wiesz, takie, które uważają, że są od wszystkich lepsze. Szczególnie od takich jak ja.

W jej głosie słychać było urazę. Najwidoczniej nie po raz pierwszy spotkała się z podobnym traktowaniem.

- Gdyby była taka wspaniała, Marcus nie potrzebowałby ciebie.

- No właśnie! - Yvette uśmiechnęła się promiennie. - Chyba domyślałam się, co go wczoraj tak rozwścieczyło. Zagroziłam, że powiem jej o nas i pójdę...

Zamilkła nagle, jednak Stacy nie miała wątpliwości, że zamierzała powiedzieć „na policję”.

- Gdzie pójdziesz? - rzuciła zachęcająco.

- Do prasy, jeśli będzie trzeba.

- Może jego żona trzyma kasę i dlatego ciągle z nią jest. Yvette pokręciła głową.

- Nie sądzę. On handluje komercyjnymi nieruchomościami. Robi naprawdę wielkie pieniądze. Zresztą mało Dinie obchodzi, czy on jest z nią czy nie. Chcę tylko, żeby mi oddał, co moje.

Zanim Stacy zdążyła zadać następne pytanie, Yvette wskazała gazetę.

- Czytałam o tym trupie, którego znaleziono w parku. Uważają, że dorwał ją ten facet, który odrąbuje dłonie swoim ofiarom.

- Słyszałam o tym. Przerazająca historia.

- Mam na ten temat własną teorię.

- No?

- Wiesz, dlaczego nigdy nie znaleźli żadnej z jego ofiar? A wokół tych zaginionych kobiet nie robiono zbyt wiele szumu? - Pochyliła się do przodu. - To były pracujące dziewczyny.

- Masz na myśli prostytutki?

- I takie jak ja.

- Mogło też być tak, że przenosił się z miejsca na miejsce i dlatego nie znaleziono żadnej z jego ofiar ani nie dotarły do nas informacje o zaginionych kobietach.

- Aha. - Do stolika podeszła kelnerka z grzankami. Yvette rzuciła się na swoją, jakby umierała z głodu. Stacy jadła powoli, zastanawiając się, jak ponownie nakierować rozmowę na Gabrielle'a.

- Sporo o tym myślałam - podjęła Yvette. - Mało kogo obchodzą pracujące dziewczyny. Wiele z nich albo w ogóle nie ma rodzin, albo ich rodziny nie wiedzą, co się z nimi dzieje.

Nie pierwszy raz seryjny morderca obrałby sobie za cel prostytutki, pomyślała Stacy. Tego jednak nie mogła powiedzieć głośno.

Pokiwiała głową.

- To prawda.

- Mogę ci zdradzić sekret?

- Jasne.

- Chyba wiem, kim jest ta dziewczyna. Czy raczej kim była. - Jeszcze bardziej ściszyła głos. - To moja współlokatorka. Umawiając się z Yvette, nie przyszło jej do głowy, że zdobędzie informacje o Chirurgu. Oczami wyobraźni widziała miny chłopaków w wozie operacyjnym.

- Czemu tak sądzisz?

- Policja uważa, że ta dziewczyna została zabita przed Katriną. Kitten właśnie wtedy zniknęła.

- Jak milion innych nowoorleańczyków. - Liczba, jaką wymieniła, wcale nie była zawyżona.

- Ale ona nie wróciła. I zostawiła wszystkie rzeczy.

- No, nie wiem. Mnóstwo ludzi tak zrobiło. Yvette wydawała się rozdrażniona.

- Mam silne przeczucie, że to ona. Widzisz, chciałyśmy obie przeczekać huragan. Zrobiłyśmy zapasy wody i jedzenia, a ona nagle zniknęła. - Yvette obejrzała się za siebie i spojrzała na Stacy.

- Myślę, że on mówi o sobie Artysta.

No to teraz ją miała.

- Dlaczego? - spytała, pochylając się.

- Prześladował ją taki jeden dziwak. Ciągłe przysyłał jej liściki. I właśnie tak się podpisywał. Niesamowity świr.

- Groził jej? - Ona w każdym razie tak się czuła. To chyba prawie samo.

Nie dla policji. Jawna groźba ma większe znaczenie niż ta, którą można jedynie wywnioskować.

- Idź z tym na policję. Powiedz im, co wiesz. Niech się tym zajmą.

- Akurat - zakpiła Yvette. - Idź na policję, jasne. Do moich przyjaciół gliniarzy.

- Nie wszyscy są źli.

Dziewczyna przyjrzała jej się podejrzliwie.

- Dla mnie wszyscy. Już zdążyłam ich poznać. Nie mam miłych wspomnień.

Była notowana. Za nagabywanie. Stawianie oporu. Posiadanie narkotyków.

To wszystko zdarzyło się, gdy już skończyła osiemnaście lat. Ale zaczęła zadzierać z policją znacznie wcześniej.

- No to co zrobisz? - spytała Stacy. Wzruszyła ramionami.

- Pewno nic.

- Przecież to była twoja koleżanka. Jeśli ją zabił... Nie chcesz, żeby go złapali? - Pochyliła się nad stolikiem. - A póki nie zostanie złapany, może znów kogoś zabić.

- W takim razie ty im powiedz. Ja i tak wszystkiemu zaprzeczę. Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu dalej przekonywać Yvette. Mogło się to skończyć utratą jej zaufania. Spróbowała więc podejść do tematu z innej strony.

- Masz jeszcze jej rzeczy?

- Leżą w mieszkaniu spakowane w pudłach. Prawdę mówiąc, trochę mnie to wnerwia. Czysząc muszę płacić lama, a te pudła zajmują połowę drugiego pokoju.

- Może powinnaś je przejrzeć. Zobacz, czy nie znajdziesz tam jakiegoś adresu albo telefonu kogoś, z kim mogłabyś się skontaktować. Przynajmniej dowiesz się, czy nic jej nie jest.

- No, może. - Resztką grzanki wytarła talerz do czysta i włożyła do ust ociekający syropem kawałek.

Kelnerka jakby czekała na ten znak, bo zaraz pojawiła się z rachunkiem. Yvette natychmiast go chwyciła.

- Ja płacę.

- Nie musisz...

- Wczoraj przyszedł mi z pomocą. Uznajmy, że teraz jesteśmy kwita, zgoda?

Dziesięć minut później wyszły z restauracji. Dzień był słoneczny i ciepły, wilgotność, dzięki Bogu, dość niska. Zatrzymały się na rogu St. Peter i Royal Street

- Mój samochód jest gdzieś tam - powiedziała Stacy, pokazując w kierunku Canal Street

- Ja idę w przeciwną stronę. Dzięki za spotkanie. Fajnie było.

- Mnie również. - Stacy uśmiechnęła się na pożegnanie i już zeszła z chodnika, żeby przejść przez jezdnię, gdy nagle się zatrzymała. - Słuchaj, jak ona się nazywała? Ta twoja współlokatorka?

- Kitten Sweet.

Kitten Sweet. Słodkie Kociątko. Dobry Boże!

- Pewno uciekła z jakimś gościem, który zaproponował, że wywiezie ją z miasta i nawet nie przyszło jej do głowy, by mnie zawiadomić. Możliwe, że mieszka teraz na przykład gdzieś w Ohio. W gruncie rzeczy nie wiem, czym się tak przejęłam - powiedziała Yvette, po czym odwróciła się i odeszła.

A jednak nadal się przejmowała, co do tego Stacy nie miała wątpliwości. Była twarda, ale ucieczka koleżanki bardzo ją dotknęła.

Yvette Borger wiele razy przeżyła rozczarowanie i bez względu na to, co sobie powtarzała, stare rany wciąż bolały.

Kitten Sweet Czy możliwe, że nie żyje? Czy możliwe, że to ta kobieta, którą znaleźli w parku?

Wydawało się to raczej mało prawdopodobne. Gdyby nie ten facet, który ją prześladował...

W tym momencie odezwała się jej komórka. Jak się spodziewała, dzwonili koledzy z wozu.

- Cześć, chłopaki. Macie to wszystko?

- Co prawda o naszym gościu nie było za wiele, ale lagniappe wydaje się niezłe.

Lagniappe w miejscowym dialekcie oznaczało dodawany do zakupów upominek. W tym przypadku faktycznie określenie było bardzo na miejscu.

- Przygotujcie mi kopię nagrania. Sama dostarczę ją kapitan O'Shay. - Zakończyła rozmowę i wybrała numer Spencera.

- Gdzie jesteś? - spytała, gdy odebrał telefon.

- W komendzie. Nie ma to jak niedziela w okopach.

- A ciocia Pam?

- Właśnie tu jedzie.

- Nie ruszaj się stamtąd. Możliwe, że mam coś na temat waszej nieznaney ofiary z parku. Zdejmą mi tylko podsłuch i zaraz do was jadę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Niedziela, 22 kwietnia 2007 r.

15.35

Patii nie mogła usiedzieć na miejscu. Najpierw Franklin, a teraz być może identyfikacja denatki. Wydawało się to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Jeśli potwierdzą się dane ofiary i znajdą jakiś związek między nią a Franklinem, będzie miała zabójcę Sammy 'ego. Tym razem bez żadnych wątpliwości.

- Kiedy z nią rozmawiałeś? - spytała Spencera.

- Dwadzieścia minut temu.

- Czemu to trwa...

- Tak długo? - dokończyła Stacy, wbiegając do pokoju. —

Próbowałaś ostatnio przejechać przez starówkę?

- Co masz? - ponagliła ją Patti.

- Kitten Sweet. Dziewczyna pracująca.

- Skąd dostałaś ten cynk?

- Od dziewczyny, którą właśnie rozpracowuję. Powiedziała mi, że jej współlokatorka zniknęła tuż przed uderzeniem Katriny. -

Spodziewała się, że zaraz wyrażą swoje wątpliwości, i uniosła rękę, chcąc ich powstrzymać. - Wiem, że to naciągane, ale Borger stanowczo przy

tym obstaje. Jest jeszcze jedno. Kolo Kitten kręcił się ó facet, który mówił o sobie Artysta. Przysyłał jej listy. Dziewczyna czuła się zagrożona.

- Miałaś założony podsłuch? - Oczywiście. Dan przygotowuje kopię. - Przesunęła spojrzeniem po ich twarzach. - Zasugerowałam jej, żeby zgłosiła się na policję, ale odmówiła. Nie ma najlepszych wspomnień.

Spencer spojrzał na Patti. - Nie można jej wezwać na przesłuchanie, bo zdemaskowalibyśmy Stacy.

Patti kiwnęła potakująco głową.

- Możemy ją przesłuchać w jakiejś innej sprawie. Postawić jakiś fikcyjny zarzut.
- Zastanówmy się. Można podsunąć pomysł, że coś rozprowadza. Coś, z czego łatwo mogłaby się wyplątać, jeśli przestanie to robić.
- Jeśli wezwie adwokata, będziemy w biedzie. Mało powiedziane, właściwie znajdziemy się po uszy w gównie. Wydział Wewnętrzny tylko czeka na takie sprawy. To przecież uzasadnia ich istnienie.
- Ona wciąż trzyma rzeczy tej współlokatorki - podsunęła Stacy. - Mogłabym trochę powęszyć. To potrwa, ale skoro już poruszyła temat Kitten, mogę pójść tym tropem. Spencer uśmiechnął się szeroko.
- Udawać, że jesteś detektywem-amatorem? Masz już trochę doświadczenia. Poznali się ze Stacy, gdy jako studentka uniwersytetu w Nowym Orleanie próbowała wtykać nos w prowadzone przez Spencera śledztwo w sprawie zabójstwa.
- Pocałuj mnie gdzieś, Malone. - Odwróciła się do Patti. - W rzeczach Sweet może być coś, co pomoże ją zidentyfikować. Choćby jej prawdziwe nazwisko.
- Jak to? - zakpił Spencer. - Uważasz, że nie nazywa się Kitten Sweet?
- Patti zaprzątnięta myślami, nie zwracała uwagi na ich przekomarzanie się. Nie zamierzała czekać beczynn timer, aż Stacy znajdzie okazję, żeby powęszyć. Miała zamiar sama sprawdzić, czy to jest trop, na który czekali. A jeśli będzie musiała zrobić to bez aprobaty przełożonych, cóż, trudno.
- Przepuść to przez komputer - powiedziała głośno. - Zobacz, co tam znajdziesz. Od tego zaczniemy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Poniedziałek, 23 kwietnia 2007 r.

21.45

W bazie nie znaleźli nic ciekawego. Kitten Sweet była kilka razy aresztowana pod zarzutem nagabywania, stawiania oporu oraz zakłócania porządku publicznego w stanie nietrzeźwym.

Naprawdę nazywała się Diana Burke, a jako ostatni adres podała mieszkanie Yvette Borger przy Governor Nicholls Street.

Choć w kartotece nie było zbyt wiele informacji na jej temat, uzyskali potwierdzenie, że Kitten Sweet może być ich denatką.

Fizyczne cechy zgadzały się: biała, trochę ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, dwadzieścia jeden lat.

To wystarczyło, by przekonać Patti, że powinna zrealizować swój plan, nie czekając, aż Stacy w ostrożny sposób poszuka odpowiedzi na jej pytania. Te odpowiedzi musiała mieć natychmiast.

Im prędzej będą mogli powiązać Franklina z ofiarą, tym szybciej zamkną sprawę. Mocne dowody dadzą większe szanse na wygraną.

Chciała, żeby Franklin smażył się na krześle elektrycznym i gotowa była zrobić wszystko, by do tego doprowadzić.

Na wskroś uczciwa O'Shay też mogła się ugiąć.

Nie podzieliła się swoimi przemyśleniami ze Spencerem ani ze Stacy. Nie chciała, żeby byli w to zamieszani. Była ich przełożoną.

Musiała działać samodzielnie. Jeśli Wydział Wewnętrzny coś zwietry, tylko ona pójdzie na dno.

Sama. I o to chodziło.

Zaparkowała wóz na Barracks Street, w odległości jednej przecznicy od domu Yvette Borger. Zamierzała skorzystać z tego, że Yvette jest w pracy, zakraść się do mieszkania, zrobić rekonesans i wyjść niepostrzeżenie. Jeśli dopisze jej szczęście,

znajdzie coś, co powiąże Sweet z ich ofiarą.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę budynku. Miała nadzieję, że drzwi, które z pewnością będą zamknięte, nie sprawią jej wielkiego kłopotu.

Strzegąc prawa, policjanci uczyli się wielu sposobów łamania go. W gruncie rzeczy umieli je łamać lepiej od przestępców. Znali wszystkie sztuczki - te, które działały, i te, które zawodziły. Oczywiście tę wiedzę wykorzystywali po to, aby łapać przestępców.

Poza niektórymi całkiem wyjątkowymi sytuacjami.

Jak na przykład ta.

Wyjęła z kieszeni zestaw małych narzędzi, wsunęła do zamka pilnik i kręciła nim, dopóki nie dało się słyszeć cichego kliknięcia. Pilnik wrócił do futerału, futerał do kieszeni.

Yvette mieszkała pod numerem dwunastym. Patti obrzuciła wzrokiem rozplanowanie budynku: klatka schodowa po obu stronach dziedzińca, numery parzyste po prawej stronie, nieparzyste po lewej. Wyjść można było tylko przez te drzwi, którymi się tu dostała.

Schodami weszła na piętro. Poruszała się szybko i cicho. Niestety, nie wystarczająco cicho. Pies spod ósemki zaczął szczekać jak szalony. Chwilę później w mieszkaniu naprzeciwko zapaliło się światło. Jakaś kobieta wystawiła głowę na korytarz,

- Hej - powiedziała.

- Hej - odparła Patti.

Spojrzenie kobiety powędrowało ponad ramieniem Patti.

Najwidoczniej zaciekało ją, do kogo tu przyszła, i jak się dostała do środka.

- Idę do Yvette - powiedziała Patti. - Przepraszam, że panią obudziłam.

- To ten głupi Samson. Na wszystko szczeka. ~ Zawahała się, marszcząc brwi. - Jest pani koleżanką Yvette?

Z miny można było domyślić się, że jej zdaniem Patti w żadnym razie nie wyglądała na znajomą Yvette.

- Lubię myśleć, że jestem jej przyjaciółką. - Patti uśmiechnęła się. - Ale w rzeczywistości jestem jej matką. Przyjechałam do niej na tydzień.

Czekała ze wstrzymanym oddechem. Sporo ryzykowała, podając się za matkę.

- Zabawne - powiedziała sąsiadka. - Nic mi nic powiedziała.

- Podjęłam decyzję w ostatniej chwili.

- Widać podobieństwo. Ja jestem Nancy.

- Witaj, Nancy. To dla mnie wspaniały komplement.

Zapomniałam, gdzie chowa klucz. Może ty wiesz?

- W donicy, tej z kwiatkami.

- Dzięki! - Podeszła do donicy i obejrzała się przez ramię. Nancy wciąż stała w progu. Patti znalazła klucz,

pomachała kobiecie na do widzenia i weszła do mieszkania.

Za drzwiami zatrzymała się na chwilę, żeby wypuścić z płuc powietrze. Niewiele brakowało. Naprawdę niewiele.

Włączyła światło - na wypadek, gdyby sąsiadka nadal obserwowali mieszkanie - i ruszyła na poszukiwanie pudeł z dobytkiem Kitten Sweet.

Znalazła je bez trudu. Były dokładnie tam, gdzie mówiła Stacy.

Spakowane i zestawione w jednym z pokoiów. Zaczawszy od pudła stojącego na samej górze, starannie i ostrożnie przeglądała rzeczy. W pierwszych dwóch pudłach nie znalazła nic interesującego. Były tam wyłącznie ubrania i buty. Nigdy dotąd nie widziała tylu bluzeczek i minispódniczek zgromadzonych w jednym miejscu.

Trzecie pudło zawierało listy, jakieś papiery i fotografie.

Pospiesznie przerzuciła zdjęcia. Rozpoznała Sweet ze zdjęcia w kartotece. Tak samo Borger. Nikt poza tym nic rzucił się jej w oczy.

Teras wzięła się za papiery. Listy od rodziny. Rachunki. Oferty kredytowe. Nic co przypominałoby listy od Artysty, o których mówiła Stacy.

W końcu trafiła. Gruba koperta wypełniona była wynikami badań lekarskich z kilku lat. Patti uważnie przeglądała kartki. Wyniki cytologii od ginekologa. Pokwitowanie i adnotacją „zapłacone” od chirurga plastycznego za powiększenie piersi. Rachunek od dentysty.

Bingo. Jeśli lekarz ma zdjęcia rentgenowskie zębów Sweet, będą mogli porównać je z zębami kobiety z parku.

Wsunęła rachunek do kieszeni, zamknęła pudło i podniosła się.

Sprawdziła jeszcze, czy wszystko stoi tak jak wcześniej, wyłączyła światła i wyszła na korytarz. Zamierzała właśnie zamknąć drzwi, gdy Samson znów zaczął szczekać. Tym razem jednak nie na nią. Stwierdziła to, gdy podniosła wzrok.

Borger. Niech to cholera.

Młoda kobieta już ją dostrzegła.

Odwróciła się do drzwi, udając, że próbuje otworzyć, a w rzeczywistości, zamykając je.

- Mogę pani w czymś pomóc? - spytała Yvette. Wyglądała na chorą. Patti domyśliła się, że musiała zwolnić się z pracy. Powinna tam jeszcze być przez jakieś dwie godziny.

- Jestem mamą Nancy - powiedziała. Modliła się w duchu, żeby Nancy nie usłyszała zamieszania i nie

Etanowiła wyjrzeć. - Przyjechałam na tydzień. Klucz, ty mi dała, nie pasuje.

- Jestem Yvette. To moje mieszkanie. Nancy mieszka Patti udala przerażenie.

- O mój Boże... Bardzo panią przepraszam. Proszę mi wybaczyć...

- Nie ma sprawy. Przepraszam panią... Nie czuję się dobrze.

- Oczywiście. - Odsunęła się od drzwi. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Proszę się nie przejmować. - Yvette otworzyła drzwi. - Ja... przepraszam.

Dziewczyna wskoczyła do środka. Patti odczekała chwilę, po czym skierowała się w stronę schodów. Tym razem gdy mijala drzwi numer osiem, pies nie zaszczekał. W duchu podziękowała za to niebiosom. Możliwe, że to bydlę odróżniało wchodzących od wychodzących.

Schodziła po schodach, myśląc o tym, co zrobiła. Rachunek, który zabrała, nie miał wartości dowodowej. Włamała się do Yvette Borger i naraziła na szwank swoją karierę zawodową.

Z szefem i Wydziałem Wewnętrznym sobie poradzi, jeżeli okaże się, że Kitten Sweet zostanie zidentyfikowana jako ich denatka.

Zresztą praca wcale nie była dla niej tak ważna. Już nie.

Przeszła przez podwórze i opuściła budynek.

Na ulicy zatrzymała się jak wryta.

Spencer stał oparty o drzwiczki zaparkowanego przy krawężniku

chevroleta. Na jej widok uśmiechnął się szeroko.

- Stajesz się przewidywalna, Patti O'Shay. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Jak na to wpadłeś?

- Twoje „od tego zaczniemy”. Pani kapitan Patti O'Shay zawsze wie, jak zamierza postąpić. Zawsze ma w zanadrzu jakiś plan.

- Potraktuję to jako komplement. Czy Stacy wie?

- Nie, chyba że odgadła. I może lepiej, żeby tak to zostało. Jak ci poszło?

- Znakomicie, jeśli nie liczyć faktu, że Borger omal mnie nie przyłapała.

- Gdzie masz samochód?

- Przecznice stąd, w strefie ograniczonego parkowania.

- Podwiozę cię.

Przyjęła propozycję i wsiedli do samochodu.

- Znalazłam to, czego mi było trzeba. Mam nazwisko i telefon dentysty Sweet.

- I modlisz się, żeby miał jej prześwietlenia?

- A także, by jego gabinet był położony odpowiednio wysoko i kartoteki pacjentów przetrwały huragan.

Spencer zatrzymał auto tuż obok jej wozu.

- Kto jest sądowym odontologiem w biurze koronera? Baker?

- Przynajmniej pracował tam jeszcze niedawno. - Otworzyła drzwi, wysiadła z auta i odwróciła się do siostrzeńca. - Chcę, żebyś trzymał się od tego z daleka. Od tej pory sama się wszystkim zajmę. - Uniosła dłoń, widząc, że zamierza zaprotestować. - Jeśli ktoś musi się sparzyć niech to będą ja.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

- A przy okazji. Mam dopilnować, żebyś stawiała się jutro w tawernie „U Shannona”. Punkt siódma.

- Chodzi o Johna juniora?

- A niby o kogo? Impreza rodzinna z okazji otwarcia indywidualnej wystawy Shauny.

Kiwnęła głową, ale zanim zatrzasnęła drzwi, Spencer jeszcze ją zatrzymał.

- Ciociu Patti? Mam się o ciebie martwić?

- W jakim sensie?
- To co robisz, zupełnie nie jest w twoim stylu. Zachowujesz się wyjątkowo nietypowo.
- Nie zamierzam się załamać, jeśli o to chciałeś zapytać. Po prostu mam teraz inne priorytety. Całkiem inne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wtorek 24 kwietnia 2007 r.

18.50

Patti dotarła do baru „U Shannona” tuż przed siódmą. Miała dziś owocny dzień. Udało jej się skontaktować z dentystą Kitten Sweet Doktor Thomas Man-cuso faktycznie miał kilka zdjęć rentgenowskich. Przepisy dotyczące ochrony prywatności nie zezwalały na przekazanie informacji o pacjentce, ale Patti w ciągu godziny zdobyła odpowiedni nakaz. Po południu sam jej dostarczył dokumentację, którą natychmiast przekazała koronerowi.

Pogłoska, że zatrzymano podejrzanego w sprawie zabójstwa Sammy'ego obiegła już cały wydział. Przez biuro płynął nieprzerwany potok życzliwych osób, a w powietrzu unosiła się niemal świąteczna atmosfera.

Katrina odcisnęła niezatarte piętno na Departamencie Policji Nowego Orleanu. Nic dziwnego, że wszyscy policjanci bez względu na płeć uznawali pojmanie zabójcy Sammy'ego za

osobiste zwycięstwo. Był to krok do przodu, droga do przyszłości, z dala od zniszczeń poczynionych przez huragan.

Patti wysiadła ze swojej toyoty. Sądząc po liczbie samochodów na parkingu, popularna restauracja była wyjątkowo oblegana jak na wtorkowy wieczór. Dostrzegła chevroleta camaro Spencera, a także minivana Quen-tina i Anny.

A więc nie przyjechała pierwsza.

Podeszła do frontowego wejścia, lecz nie zdążyła przekroczyć progu, gdy rozległy się oklaski. Stała w drzwiach jak osłupiała. Chwilę później otoczyły ją życzliwe twarze.

- Gratulacje!

- Brawo, pani kapitan!

- Mamy go, Patti! Sprawiedliwości stało się zadość! Wcisnięto jej do ręki szklanę z piwem. Pierwszą, bo miało ich być znacznie więcej. Pojawili się też June i Riley Bensonowie. June uściskała ją ze łzami w oczach. Riley pocałował ją w policzek i złożył gratulacje. Spencer wolnym krokiem szedł w jej stronę. Minę miał rozradowaną, jakby mu ktoś podarował milion dolarów. Razem z nim była Stacy. John i Quentin trzymali się

- Mam cię, ciociu Patti! - zaśmiał się Spencer.

- Powinam cię zdegradować.

- Jest tu gdzieś szef, możesz to z nim omówić.

W miarę upływu czasu zabawa się rozkręciła. Stawił się cały klan Malone'ów, każdy ze swoim partnerem. Wreszcie trafiła się okazja, żeby poznać osobiście chłopaka Shauny. Do tej pory Patti znała go tylko z opowiadań rodziny. Miał być ponoć wysoki, ciemny i posepny.

Tramy opis, uznała. Najwyraźniej wierzył, że artysta powinien cierpieć. Mimo to można było zrozumieć, co Shaunę w nim pociągało. Był niewiarygodnie wprost

Dochodziła ósma, gdy udało jej się porozmawiać sam na sam ze Spencerem. Zdała mu relację z wydarzeń dnia.

- Myślę, że to on - mówiła. - Mam pewne wątpliwości, zresztą wiesz o tym, ale wygląda na to, że wszystko zaczyna grać.

Uścisnął ją serdecznie.

- Możesz być pewna, że wszystko gra. Ten skurwysyn pójdzie na

dno. Z tym, co już mamy, powiązanie go z ofiarą tylko dopełni szczęścia.

Zebrani, z których większość była już dobrze zalana, próbowali nakłonić Rileyę, żeby zaśpiewał.

- Piosenka! Piosenka! - skandowali.

Kiedyś, jeszcze jako młody chłopak, Riley zabawiał ich, śpiewając pisane przez siebie zabawne piosenki na ich temat. Jego teksty były skrzyżowaniem satyry i poezji.

Riley brzdąknął na gitarze.

Męty, miejcie się na baczności, Bo Patti O'Shay tu gości. Nie śpi, urlopów nie bierze. I nikt z was się nie spostrzeże, Jak do tyłków się wam dobierze.

Goście wybuchnęli śmiechem, a Riley niepostrzeżenie zaintonował „Sto lat”.

Po tej piosence nastąpiły kolejne. Patti precyzyjnie się do baru.

Miała ochotę na mocną kawę, jaką zawsze podawano „U Shannona”. Nie dziwiła się, że Riley budził tyle sympatii. Wysoki, z bujną czupryną kręconych włosów i chłopięcym uśmiechem ten młody mężczyzna był obdarzony charyzmą. Wokół niego wciąż kręciło się pełno kobiet. Jednak nie był aż tak przystojny, żeby faceci mieli do niego jakieś pretensje. Patti nie mogła się nadziwić, że do tej pory z nikim się nie związał.

Shauna dołączyła do niej w chwili, gdy Riley zszedł ze sceny.

Siostrzenica odziedziczyła po Malone'ach ciemne włosy i jasne oczy, natomiast filigranową budowę miała po matce.

- Co za marnotrawstwo talentu - powiedziała Shauna. - Mógłby być sławny.

Patti uśmiechnęła się do siostrzenicy.

- Mówi, że nie czuje takiej potrzeby.

- Można to zrozumieć. Niby po co miałyby się starać?

- O co ci właściwie chodzi? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nic dziwnego, że nie widzi potrzeby. Przecież i tak ma już wszystko. Urodził się w czepku, nie?

- Czyżbym słyszała w twoim głosie odrobinę jadu i goryczy?

- Wcale nie. Mówi o braku potrzeby, bo nie chce przyznać, że jest

zbyt leniwy albo zbyt rozpuszczony, by się czymś zająć.

Jej słowa zaskoczyły Patti. Shauna i Riley zawsze byli przyjaciółmi.

- Nadal go uwielbiam - dodała dziewczyna, jakby czytała w myślach ciotki. - Jestem zachwycona, że mogłam z nim podpisać kontrakt. Tylko... Takie marnowanie talentu rozdziera mi serce. Po części to wina June.

- Wina June? To Riley nie chce dorosnąć. Ona marzy o tym, żeby wreszcie stanął na własnych...

- Nogach? Bądź realistką, ciotciu Patti. Ona nie może znieść myśli, że mogłaby odejść. Za każdym razem, gdy robi jakiś ruch, żeby zacząć samodzielne życie, ona go powstrzymuje. Na przykład kupując tę galerię.

- Najwidoczniej znasz tylko jego wersję - Patti stanęła w obronie przyjaciółki. - Ja od jedenastu lat, czyli od śmierci ich rodziców, słucham tego, co mówi June. Jeśli Riley jest rozpieszczony, winę za to ponoszą jego rodzice. Rozmowę przerwał im chłopak Shauny.

- Możemy już iść, dziecinko? - spytał, obejmując ją ramieniem.

- Poznałeś moją ciocię, Rich?

Spojrzał na Patti z uśmiechem, który nie wydał jej się zbyt szczery.

- Taa, wcześniej. Jeszcze raz gratuluję.

- Dziękuję.

Zwrócił się ponownie do Shauny.

- To jak? Gotowa?

- Jeszcze nie.

- W porządku. Nie masz nic przeciwko temu, żeby wrócić z kimś innym? Muszę jutro wcześniej wstać.

Shauna zaczerwieniła się, choć trudno było powiedzieć, co wywołało rumieńce: zażenowanie czy gniew.

- Nie ma sprawy. Jedź.

Patrzyły za nim, jak odchodzi. Shauna odwróciła się do Patti.

- Tylko nie zaczynaj. Już to wszystko słyszałam.

- Może powinnaś wziąć to pod rozwagę?

- Z całym szacunkiem, powiem ci to samo, co powiedziałam reszcie rodziny. Odwal się.

- To i tak brzmi lepiej niż „gównu cię to obchodzi” - uznał Spencer, który podszedł do nich razem z Quen-tinem. - Chociaż, powiem ci, bracie, że ten facet to straszny dupek.

Nim najmłodsza latorośl Malone'ów zdążyła odpowiedzieć, rozległ się głos Shannona:

- Patti, kochanie! Telefon! Obeszła bar i podniosła słuchawkę.

- Patti O'Shay.

- Kapitan Patti O'Shay?

Zmarszczyła czoło.

- Tak.

- Wdowa po Sammym O'Shayu?

- Tak - powiedziała, czując, jak włosy jeżą się jej na karku.

- Do twojej informacji: schwytaliście niewłaściwego człowieka.

- Słucham?

- Franklin nie jest waszym człowiekiem. Połączenie zostało przerwane. Stała tam z bijącym

sercem, przyciskając słuchawkę do ucha. Czuła się

jakby ktoś chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody.

Musiało być to po niej widać, bo Spencer z Quentinem już znaleźli się za barem.

- Co się stało? - dopytywał Spencer.

Wyjaśniła im wszystko i odwróciła się do Shannona.

- Masz identyfikację numerów? - Nie miał, więc spróbowała innej drogi. - Wybierz gwiazdka sześćdziesiąt dziewięć - poprosiła. -

Każ im sprawdzić ten numer: 304-555-0314 - poleciła Spencerowi.

- Już to robią - odparł. Wyszedł na korytarz, żeby lepiej słyszeć. Po kilku chwilach wrócił. - Budka telefoniczna na Canal Street

- Poślij tam radiowóz. - Już to zrobiłem.

- To mógł być każdy - wtrącił Quentin. - Ktokolwiek, kto ma coś do ciebie.

- Albo jakiś szajbus - podsunął Spencer. - Wszystkie stacje podały informacje o aresztowaniu. To może być po prostu jakiś chory żart.

- To nie mógł być ktokolwiek - odparła. - Owszem, o aresztowaniu mówiono w wiadomościach. Jednak nikt nie wymieniał nazwiska podejrzanego.

- W takim razie to jakiś koleś Franklina. Postanowił zasiać ziarno wątpliwości.

- A skąd wiedział, gdzie będę dziś wieczorem?

Na to nie znaleźli odpowiedzi. Wymienili niepewne spojrzenia.

Dostrzegła moment, w którym obaj pomyśleli o jeszcze jednej możliwości.

- Jakiś gliniarz - uznał Quentin. - To prawie pewne. Kogo tak wkurzyłaś, ciociu Patti?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Środa, 25 kwietnia 2007 r.

1.30

Spencer zatrzymał samochód przed jedną z rezy-dencji w Dzielnicy Ogrodów. Tony zdążył przyjechać przed nim, przedstawiciel koronera również. Funkcjonariusze już wcześniej otoczyli miejsce zdarzenia policyjną taśmą.

Kilku mieszkańców gapiło się na nich ze swoich ganków. Stoją w tych swoich butach od Cole'a Haansa i Manola Blahnika i pewno trzęsą się ze strachu, bo właśnie dotarła do nich gorzka prawda: pieniądze mogą zapewnić bezpieczny dom w eleganckim otoczeniu, ale długowieczność to całkiem inna sprawa. Z przeznaczeniem nie można walczyć.

Dzisiaj przeznaczenie pojawiło się w formie pocisku.

Spencer wpisał swoje nazwisko na listę i przeszedł pod taśmą.

Tony spostrzegł go i ruszył w jego stronę powolnym krokiem.

- Długo ci to zajęło, Bystrzaku.

- Pocałuj mnie w nos, Makaroniarzu. - Skierował się 'w stronę ofiary. - Coś wiemy?

- Dostał kulkę w tył głowy, kiedy wysiadał z samochodu.
- Biedak.
- Nie taki znów biedak - zaprzeczył Tony. - To Marcus Gabrielle. Chwilę trwało, nim ta informacja do niego dotarła. Gdy się to stało, gwizdnął.
- To podejrzany, którego rozpracowuje Stacy. Będzie wkurzona, gdy się dowie.
- Jej szef również. Mogą się pożegnać z dochodzeniem.
- Myślisz, że ma to związek z jego nadprogramowymi zajęciami? Może ktoś zorientował się, że policja prowadzi śledztwo.
- Też o tym pomyślałem. Mogli go wykończyć, bo źle się prowadził.

Spencer przesunął spojrzeniem po okolicy i ponownie skierował wzrok na Gabrielle'a. Poza ciałem, które leżało w kałuży krwi na podjeździe, wszystko wydawało się w porządku.

Ukucnął obok denata. Gabrielle leżał na plecach przy samochodzie. Centralna część twarzy zniknęła, jakby wysadzona w powietrze. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, w ręku mężczyzny wciąż tkwiły kluczyki.

- Zabrano portfel?

- Nie.

Spencer dostrzegł błysk złota na nadgarstku. Włożył rękawiczki i odsunął zakrwawiony mankiet koszuli. Rolex. Wysadzany brylantami.

- Pieprzona błyskotka.

Tony wskazał lewą rękę ofiary.

- Spójrz na ten pierścień. To nie był napad rabunkowy.

Wyglądało to raczej na egzekucję.

Żona była ostatnią osobą, która go widziała. Mniej więcej za piętnaście dziesiątą. To ona mogła strzelać, chociaż wydawała się raczej rozhisteryzowana. Chyba jest czysta.

- Ktoś jest z nią teraz?

- Sąsiad i mundurowy. Spencer kiwnął głową.

- Jesteś pewien, że wysiadał z auta? Popatrz na ułożenie ciała. Lewą rękę trzymał na klamce, kluczyki iial w prawej. Otwiera drzwi, ktoś podchodzi od strony ulicy i trafia go z

tyłu. - Gdyby wysiadał, upadłby na twarz - zgodził się Spencer podniósł się i obszedłszy ciało, zajął do wnętrza samochodu.

- Gdyby to żona chciała potraktować go kulka na powitanie, chyba strzelałaby od frontu. Mózg rozprysnąłby się za nim, a nie do przodu.

- To wyklucza żonę. Chyba że czekała na niego ukryta w krzakach, ale wówczas musiałaby zostawić dzieci same w domu.

Spencer ściągnął rękawiczki i wetknął je do kieszeni marynarki.

- Może najpierw zadamy kilka pytań pogrążonej w żalu wdowie?

- Możemy - zgodził się Tony. - Idź przodem, Bystrzaku.

Żonę Gabrielle'a znaleźli w salonie. Szczupła blondynka z wielkim brylantem na ręku. Spencer ocenił

jej wiek na okolice trzydziestki - trochę przed lub trochę po.

- Pani Gabrielle - zaczął łagodnie. - Musimy zadać pani kilka pytań.

Potaknęła. Wyglądała, jakby była bliska załamania.

- To nasz sąsiad, Joe Williams.

Mężczyzna podniósł się i podał im rękę. Spencera zawsze dziwiło, że nawet w takich chwilach ludzie pamiętają o dobrych manierach.

- Dzieci są z moją żoną - powiedział sąsiad. ~ W domu obok. -

Ponownie usiadł. - Zabraliśmy je stąd, żeby nie musiały...

Oglądać mózgu tatusia rozbryzganego na podjeździe. Słuszne posunięcie.

Spencer podziękował i zwrócił się do pani domu.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani męża?

- Jakoś po dziewiątej, ale na pewno przed dziesiątą. Dopiero położyliśmy dzieci.

- Potrafi pani dokładniej określić godzinę? Szarpała mokrą chusteczkę, którą ścisnęła w dłoniach.

- Zawsze trzeba walczyć, żeby je posłać do łóżek... Wiem, że powinniśmy zabierać się do tego o ósmej trzydziści, ale zwykle jest to dziewiąta.

Brzmiało to, jakby chciała usprawiedliwić przed nim swoje metody wychowawcze.

- Wiem, o czym pani mówi - wtrącił Tony. - Wychowałem czwórkę dzieci. Teraz wydaje się wprost niesamowite, jak cicho jest w

domu o dziewiątej.

- Proszę mówić dalej - ponaglił ją łagodnie Spencer. Spojrzała z wdzięcznością na Tony'ego.

- Chyba było wpół do dziesiątej. Może nawet trochę później.

- Co się wydarzyło potem?

- Życzyłam mu dobrej nocy i prosiłam, żeby był... - Głos jej się załamał, a wargi zaczęły drżeć,

- O co pani prosiła, pani Gabrielle?

- Żeby był ostrożny.

- Pani mąż wychodził?

- Tak.

- Dokąd?

Spuściła wzrok. Widać było, że czuje się nieswojo. Milczenie trwało kilka chwil. Spencer podjął jeszcze jedną próbę.

- Pani mąż często wychodził wieczorami, prawda? Kiwnęła głową, unikając jego spojrzenia.

- Czy wie pani, dokąd chodził? - Nie odpowiadała, więc powtórzył: - Wie pani, pani Gabrielle?

- Był dobrym mężem! - krzyknęła. - I dobrym ojcem! Zapewniał nam dobre życie. Co z tego, że odwiedzał te kluby? Chodziło o interesy. Klienci lubili tam chodzić. Chcieli...

Wybuchnęła płaczem. Sąsiad popatrzył na nich, po czym niezdarnie poklepał ją po plecach. Tony podał jej pudełko z chusteczkami. - Dziękuję - szepnęła.

- Pani mąż był pośrednikiem handlu nieruchomościami? - spytał Spencer, gdy kobieta trochę się uspokoiła.

- Tak.

- Czy zajmował się jeszcze innymi interesami, o których pani coś wiadomo?

Podniosła na niego oczy.

- Nie rozumiem.

- Czy miał inne źródło dochodu?

Zmarszczyła brwi, rzuciła okiem na sąsiada i ponownie przeniosła spojrzenie na Spencera.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Pani Gabrielle, czy ma pani pełny dostęp do spraw finansowych?

- Oczywiście! Jestem jego... - Jej twarz poczerwieniała z gniewu. -

Czemu pan o to pyta? Mój mąż został zabity. Powinniście pytać... starać się znaleźć tę bestię, i która... która zastrzeliła mojego męża!

- Właśnie to robimy - powiedział miękko Tony. - Proszę mi wierzyć, pani Gabrielle. Czy wie pani o kimś, kto chciałby skrzywdzić pani męża?

Pokręciła głową.

- Nie.

- Może o jakiejś nieudanej transakcji? O kłótni z klientem?

- Nie. - Podniosła głos. - Nie. Spencer postanowił zmienić temat.

- Jak odkryła pani, że mąż został zastrzelony?

- Zadzwoił Joe. Powiedział, że w samochodzie Marcusa jest włączone światło. Wiedziała, że... nie powinno... więc...

Wyszła, żeby sprawdzić. I znalazła męża w kałuży krwi.

Spencer odwrócił się do sąsiada.

- O której to było, panie Williams? Kiedy pan zauważył światło?

- Chyba o wpół do pierwszej, może za piętnaście. Jakoś tak.

- Zwykle pan siedzi tak długo w nocy? Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Nie, zazwyczaj nie. Miałem potworną zgagę. Jadłem smażone ostrygi. Bardzo je lubię, tyle że one za mną nie przepadają. - Obrzucił policjantów spojrzeniem. Zdaniem Spencera trochę za bardzo się starał, żeby sprawiać niewinne wrażenie. - Poszedłem do kuchni, żeby wziąć środek na nadkwasotę... Zobaczyłem światła i zadzwoniłem.

- Co było dalej?

- Usłyszałem krzyk Kim i wybiegłem z domu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Spencer zamknął notatnik i podniósł się. Tony poszedł w jego ślady.

- Dziękujemy, pani Gabrielle. To wszystko. Będziemy w kontakcie.

- Poczekajcie! - Zerwała się z miejsca i zachwiała się lekko. - Co ja mam zrobić? To znaczy... co teraz?

Zrobiło mu się jej żal. Najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, że będzie jej się lepiej powodziło bez tego drania.

- Skontaktujemy się z panią, gdy tylko będziemy coś wiedzieli.

Pani pierwsza dowie się o wszystkim. Szczerze

pani współczuję z powodu straty.

Wyszli na zewnątrz. W czasie, gdy rozmawiali z panią Gabrielle, na miejsce przybyła ekipa techniczna. Ich reflektory oświetliły miejsce zdarzenia tak, że zrobiło się jasno jak w dzień.

Fotografowie właśnie robili zdjęcia.

- Jak myślisz, Bystrzaku? - spytał Tony. - Mogła pociągnąć za spust?

- W tej chwili wszystko wydaje się możliwe, ale nie sądzę. Na mój gust podejrzewała, że interesy, jakie jej mąż prowadził w „Hustle”, nie były czyste, lecz wolała tego nie zauważać.

- Bo mąż zapewniał rodzinie godziwe życie.

- Właśnie.

- A co z jego drugą profesją narkotykowego króla?

- Domniemanego króla - poprawił sucho Spencer. - Nie miała o tym pojęcia.

- Szkoda mi jej - mruknął Tony. - Nie będzie miała teraz łatwego życia.

Spencer pomyślał o Stacy i rzucił okiem na zegarek. Swoje zadanie w „Hustle” powinna zakończyć pół godziny temu, a z pewnością chciałaby tu być. Otworzył komórkę i wybrał jej numer.

Odebrała natychmiast.

- Stacy Killian.

- To ja - odezwał się. - Gdzie jesteś?

- Na St. Charles, przy skrzyżowaniu z Poydras. Dlaczego?

- Myślę, że zechcesz zatrzymać się na chwilę w drodze do domu.

- Z twojego tonu wnioskuję, że nie chodzi o kupno pączków.

- Gabrielle nie żyje - wyjaśnił. - Zastrzelony na własnym podjeździe. Jesteśmy na miejscu.

- Jadę do was.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

TRZECI

Środa, 25 kwietnia 2007 r.

2.35

Stacy zatrzymała terenówkę przed domem Gabrielle'a, przesunęła dźwignię na parkowanie i wysiadła z samochodu. Światła wozu technicznego z nocy zrobiły dzień. Ciekawe, który z anatomopatologów wyciągnął dziś szczęśliwy los? - pomyślała, widząc samochód z biura koronera.

Wpisała swoje nazwisko do dziennika operacyjnego, schyliła się, żeby przejść pod taśmą i ruszyła w kierunku Spencera i Tooy'ego. Tony spostrzegł ją pierwszy.

- Cześć, Stacy. To twój nowy styl?

- No. Podoba ci się?

- A nie zdradzisz Betty, jeśli powiem, że tak?

- W porządku, stary zbereźniku!

Roześmiał się. Spencer odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Cześć. Killian.

Nie robili tajemnicy z tego, że mieszkają razem i są kochankami, jednak podczas prasy odnosili się do siebie jak koledzy.

- Witaj, Malone. Dzięki za informację. - Przeniosła spojrzenie na Gabrielle'a. Najwidoczniej dzisiejszej nocy szczęśliwy los wygrał zastępca koronera, Mitch Weiner.

Przykucnął teraz obok ofiary, badając ciało.

- Jak to wygląda? - spytała. Weiner podniósł wzrok.

- Pojedynczy strzał. W tył głowy.

- Motywem nie był rabunek - dodał Spencer. - Ma przy sobie portfel i błyskotki.

- Bardziej wygląda to na egzekucję - mruknął Tony.

- Gdyby Gabrielle był tym, kim się wydawał, czyli uczciwym, dobrze prosperującym biznesmenem, mógłbym uznać, że to

zabójstwo inicjacyjne.

W niektórych miejscowych gangach ceną za przyjęcie na członka było właśnie zabójstwo losowo wybranej ofiary. Ktoś taki jak Gabrielle - bogaty, biały mężczyzna - przysporzyłby chwały zabójcy.

- Jednak z tego, co wiem o jego działalności, wynika raczej, że ma to związek z narkotykami.

Stacy kiwnęła głową i wyjęła komórkę.

- Czy mój kapitan został już zawiadomiony?

- Nie przez nas.

Wiedziała, że szef nie byłby zadowolony, gdyby ta informacja dotarła do niego dopiero rano. Wybrała numer i po chwili usłyszała jego opryskliwy głos.

Lubiła pracę w zespole kapitana Coopera. Wychował się w najuboższej dzielnicy i na swoją pozycję musiał ciężko pracować. Był inteligentny i sprawiedliwy, ale surowy. Pochodził z mniejszości, rozumiał więc, jak ciężką walkę trzeba stoczyć, żeby zwyciężyć z uprzedzeniami i zdobyć uznanie. Już na samym początku wyjaśnił jej, że będzie ją oceniał wyłącznie za jakość pracy i nic poza tym.

- Mówi Killian.

- To będzie dobra czy zła wiadomość?

- Gabrielle nie żyje. Zastrzelony pod domem. Wygląda to na egzekucję. Jestem na miejscu.

- Skurwysyn. Skąd wiedziałaś...

- Dali mi znać z Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego?

- I Selima. Chce pan, żebym skontaktował się z Ba-xterem i Wildonem?

- Nie zwracaj sobie tym głowy, i tak. Już nic dzisiaj nie dziają. Spotkamy się rano. Trzeba się zastanowić, co robimy dalej.

- Borger może coś wiedzieć.

- Musimy ją przesłuchać. Wyślij rano kilku mundurowych, żeby ją tu ściągneli.

- Proszę o pozwolenie przeprowadzenia przesłuchania.

- Zgoda. Operacja poszła na marne. - Zakaszał. - Powiedz Malone'owi i Sciamamu, żeby nas zawiadamiali ko każdym

szczegółe śledztwa.

- Załatwione, kapitanie. Przepraszam, że pana obu-dziłam.
 - Skopałbym ci tyłek, gdybyś tego nie zrobili powiedział i rozłączył się. Stacy zamknęła telefon i odwrócili się do kolegów.
 - Kapitan Cooper chce włączyć nas w śledztwo.
 - Nie ma sprawy.
 - Rano przedmuchał Burger. Zakładam, że chcecie wziąć w tym udział?
 - Oczywiście.
 - Dajcie mi znać, gdyby coś się jeszcze pojawiło. Muszę złapać trochę snu.
 - Odprowadzę cię do samochodu - oznajmił Spencer. W milczeniu ruszyli w stronę ulicy. Stacy otworzyła drzwi, usiadła za kierownicą i podniosła wzrok.
 - Do zobaczenia w domu.
 - Myślę, że już niedługo będę mógł wrócić.
 - Dobrze. Będę czekać.
- Oparł dłoń o drzwi i pochylił się nad nią.
- Chciałbym cię o coś spytać. Jego poważny ton zaskoczył ją.
 - Jasne.
 - Zastanawiałem się właśnie, czy teraz, gdy Gabrielle nie żyje i wasze dochodzenie już nie ma sensu... Czy to znaczy, że koniec z tańcem erotycznym?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Środa, 25 kwietnia 2007 r.

9.20

Rano Stacy wysłała dwóch funkcjonariuszy po Yvette. Młoda kobieta nie była uszczęśliwiona wizytą policjantów. Urządziła taką scenę, że musieli ją skuć, aby wsadzić do radiowozu.

Stacy nie była pewna, czy Yvette z miejsca ją rozpozna. Zdawała sobie sprawę, że sytuacja nie będzie zbyt przyjemna.

Wzięła głęboki oddech i weszła do sali przesłuchań. Słyszając otwierające się drzwi, Yvette przestała nerwowo krążyć po pokoju.

- Cześć, Yvette.

Z twarzy kobiety zniknął wyraz gniewu. Patrzyła ze zdumieniem na Stacy.

- Brandi?

- Detektyw Killian. Stacy Killian. Zmieszanie ustąpiło miejsca zrozumieniu.

- Glina? Coś wspaniałego. Pieprzona rewelacja.

- Przykro mi, Yvette. Po prostu wykonywałam swoją pracę.

- Jasne. Idź do diabła.

- Może usiądziesz? Mam dla ciebie złą wiadomość.

- Dzięki, postoję.

- Dobrze. - Stacy wysunęła krzesło i usiadła za stołem. - Marcus Gabrielle nie żyje. Zastrzelono go wczoraj wieczorem przed jego domem.

Yvette zamrugała gwałtownie. Jej twarz wydawała się niemal komicznie pusta.

- Nie rozu... Chcesz powiedzieć...

- Został zamordowany. W chwili, gdy wsiadał do samochodu.

Wygląda na to, że wybierał się do „Hustle” na spotkanie z tobą.

Stacy widziała, jak Yvette przetrawia tę wiadomość, zastanawia się nad swoimi uczuciami, próbuje odgadnąć, czego od niej chce policja. Yvette Berger była bystrą dziewczyną. Z pewnością zaraz zacznie myśleć o sobie.

Zajął to tylko kilka sekund. Podeszła do stołu i usiadła

naprzeciwko Stacy.

- Nie miałam nic wspólnego z zabójstwem Marcusa. Zresztą nie mogłam, byłam w „Hustle”. Tak jak ty.

- Byłaś jego dziewczyną.

- Co z tego? Nie chciałam, żeby umarł.

- Nawet po tym, gdy próbował cię zabić?

- Wkurzyłam go. Był zły. Wcale nie wiemy, czy naprawdę zamierzał... - Nagle w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Byłaś tam z powodu Marcusa.

- Tak.

- A w sobotę w nocy ktoś od was ostrzegł cię, że on jest w tym zaułku.

- Tak.

- Zawsze tak okłamujesz ludzi?

- Być może ocaliłam ci życie. - Stacy pochyliła się nad stołem. - Wiesz, czym zajmował się Marcus?

- Jasne. Striptizerka i nieruchomościami.

- Wytwarzał i rozprowadzał metamfetaminę. A ty mu pomagałaś. W oczach Yvette pojawił się błysk.

- Chyba oszalałaś.

- Naprawdę? A co dla niego robiłaś w sobotę dwudziestego pierwszego kwietnia?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zabrał cię z rogu North Peters i Conti Street. Widziałam to. Byłaś ubrana jak straszidło. Pamiętasz?

Yvette milczała. Stacy postukała palcem w teczkę, która leżała na stole.

- Marcus siedział po uszy w jakimś gównie. Ty byłaś jego współniczką. Wkręciłam się do „Hustle”, żeby poznać ciebie, Yvette. Nie Marcusa.

To było bliskie prawdy. Zresztą nawet gdyby skłamała, nie czułaby wyrzutów sumienia. Yvette popierała przestępcę. Zrobiła to dla zysku. Kiedy pominęło się te bzdury o biednym dziecku, takie były fakty. Naga prawda.

- Nie mam z tym nic wspólnego! - wybuchnęła

Yvette. - Tylko otwierałam te domy. To wszystko.

- Zajmowałaś się dostawą?

- Nie. Spotykałam się z klientami, otwierałam drzwi i czekałam.
 - Na co?
 - Żeby później zamknąć drzwi. Stacy zmarszczyła brwi.
 - Co oni tam robili? Zabierali coś? Czy zostawiali? Yvette wzruszyła ramionami.
 - Nie wiem. Marcus płacił mi za pracę. Nie zadawałam pytań.
 - Ile ci płacił? Zawahała się.
 - Pięćset dolarów.
 - Każdej soboty?
 - To nie zawsze były soboty. Czasami niedziele. A także w ciągu tygodnia.
 - Płacił ci za otwieranie i zamykanie drzwi? Tylko? - Kiedy przytaknęła. Siacy uniosła brwi z powątpiewaniem. - I nie miałaś pojęcia, co robili ludzie, których spotykałaś?
 - Najmniejszego.
 - Nigdy nie próbowałaś się tego dowiedzieć?
 - Nigdy.
 - Z pewnością rozumiesz, czemu trudno mi w to wierzyć?
 - To już twój problem, nie?
 - Nie, Yvette. Myślę, że raczej twój.
 - Jesteś całkiem dobra w tym, co robisz, wiesz? A ja myślałam, że jesteś moją koleżanką.
- Zignorowała żal, który drżał w głosie dziewczyny. Ostatecznie Yvette Berger była wytrawną aktorką.
- Cały czas jeździłaś do tych samych domów? Czy do różnych?
 - Do różnych, chociaż niektóre widziałam kilka razy.
 - A ludzi, z którymi się spotykałaś?
 - Byli ci sami. Co tydzień albo dwa. Mogę już iść?
 - Jak długo świadczyłaś mu takie usługi? Zastanowiła się przez chwilę.
 - Pół roku. Plus minus.
 - To dużo pieniędzy.
 - Chcesz działkę?
 - Lubię cię, Yvette. Naprawdę. Jest mi przykro, ale musiałam cię oszukiwać, ale to moja praca. Jeśli mi pomożesz, ja pomogę tobie. Powiedz mi wszystko, co wiesz o narkotykowych interesach

Marcusa, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nie została oskarżona.

- Nie wciskaj mi kitu!

- Chcemy, żebyś przyjrzała się zdjęciom i powiedziała, czy kogoś rozpoznajesz. - Stacy nie zwracała uwagi na wściekle spojrzenie Yvette. - Liczymy też na twoją pomoc we wskazaniu tych nieruchomości.

- Nie mam na to czasu.

- Prawdę mówiąc, nie masz wyboru. Przykro mi. Wcale nie było jej przykro. Twarz Yvette pokryła się gniewnym rumieńcem. Otwierała już usta, żeby się odciąć, gdy Spencer wsadził głowę do pokoju.

- Nie przeszkadzam?

Stacy gestem przywołała go do środka. Przygotowali te wcześniej. Najpierw ona wypyta striptizerkę o Marcusa, potem Spencer włączy się i zada jej kilka pytań o jej współlokatorkę. Patti miała to obserwować z pokoju na końcu korytarza.

- Jestem detektyw Melone - przedstawił się, siadając naprzeciwko Yvette. - Jak się pani czuje?

- Zagubiona. - Z jej głosu zniknęły gniew i sarkazm. Teraz mówiła do nich mała zagubiona dziewczynka, kobieta w potrzebie. Stacy z trudem zachowała równowagę. - Nie mam pojęcia, czemu tu jestem.

- Czy detektyw Killian nie powiedziała pani o zabójstwie Marcusa Gabrielle'a?

- Owszem. Ale tak jak jej mówiłam, nie mam z tym nic wspólnego. Zresztą jak mogłoby być inaczej? Tańczyłam poprzedniej nocy. Cała postawa Yvette uległa zmianie. Twarz przybrała łagodny, ufny wyraz, a błyszczące oczy patrzyły tak, jakby była chodzącą niewinnością. Posunęła się nawet do tego, że zatrzepotała rzesami. Stacy zrobiło się niedobrze. Nie zirytowały jej próby Yvette, która stosowała te kobiece sztuczki, żeby wpłynąć na Spencera, lecz jego reakcja. Ta młoda kobieta wiedziała, jak wykorzystać dary, jakimi obdarzyła ją natura.

Mężczyźni potrafią być tacy głupi.

- On był pani partnerem, prawda?

- Dobrym klientem. Podobałam mu się i dawał mi wysokie

napiwki.

- Widywała się pani z nim poza „Hustle”?

- Czasami. Płacił mi za pomoc w handlu nieruchomościami.

Otwierałam domy i tego typu rzeczy.

Tego typu rzeczy, akurat. Stacy podniosła się.

- Wygląda na to, że ma pan wszystko pod kontrolą, detektywie Malone. Idę napić się kawy. - Opuściła pokój i dołączyła do Parti.

- Dobra jest - odezwała się Patti, nie spuszczać wzroku z monitora.

- Mnie to mówisz? Patti zaśmiała się.

- Jest tylko człowiekiem. A w dodatku mężczyzną. Zanim Stacy odpowiedziała, rozległ się głos Spencera.

- Jeśli dobrze zrozumiałem detektyw Killian, może pani mieć dla nas jakieś informacje na temat zabójstwa.

- Już panu mówiłam. Tańczyłam wczoraj. Po raz pierwszy usłyszałam o Marcusie...

- Nie chodzi o Marcusa. Mówię o pani dawnej współlokatorce, Kitten Sweet.

- A co ona ma do tego?

Trzeba było jej to oddać: kłamała cholernie przekonująco.

- Z jakichś powodów wierzy pani, że Kitten Sweet jest nieznaną ofiarą znalezioną w parku miejskim.

- Myślałam, że może nią być. - Yvette wzruszyła ramionami. -

Zniknęła mniej więcej w tym samym czasie. Mogło się tak zdarzyć. Spencer zmarszczył brwi.

- Mówiła pani detektyw Killian, że Kitten dostawała listy miłosne...

- Nie - przerwała mu ostrym głosem. - Mówiłam to kelnerce o imieniu Brandi.

Nie dał się zbić z pantafyku. - Że ktoś ją prześladował - ciągnął dalej. - Że dostawała listy z pogrózkami od kogoś, kto podpisywał się Artysta.

- Zmyśliłam to. - Odrzuciła głowę do tyłu. - Nie wierzyła mi, więc trochę to upiększyłam. Wyszła całkiem dobra bajeczka.

Siacy rzuciła okiem na Patti. Starsza kobieta zmarszczyła czoło.

- Więc mówi pani, że Kitten Sweet nie była prześladowana? Nie miała anonimowego wielbiciela, który mówił o sobie Artysta?

- To właśnie mówię. - Pochyliła się do przodu w taki sposób, żeby widać było jej biust. - Nie powinnam była bujać. Zależało mi, żeby uwierzyła. Chciałam mieć coś ciekawego do powiedzenia.

Spuściła oczy, a po chwili spojrzała na niego błagalnie.

- To wada, z której naprawdę nie jestem dumna.

Stacy po raz drugi zebrało się na wymioty. Z przyjemnością zauważyła, że Spencer nie wydawał się poruszony tym bolesnym wyznaniem.

- Czy kiedyś widziała pani tego mężczyznę? - spytał. Przesunął w jej kierunku fotografię. Stacy wiedziała, że pokazuje jej zdjęcie Franklina. Yvette spojrzała na zdjęcie i szybko odwróciła wzrok. - Nie.

- Jest pani pewna? - Całkowicie.

Patti podniosła wzrok na Stacy. - Kłamie.

Stacy przytaknęła. Odpowiedź padła za szybko. I jeszcze to odwrócone spojrzenie.

Tylko czemu kłamała w tej sprawie? Ze strachu? Żeby zrobić na złość? Czy po prostu chciała jak najprędzej się stąd wydostać?

- Kłamała pani wcześniej - mówił Spencer. - Może teraz też pani kłamie?

- Wtedy koloryzowałam - poprawiła. - I nie policji. Przecież nie wiedziałam, że ona jest glina.

- Policji zawsze mówi pani prawdę?

- Tak.

Stacy roześmiała się, słysząc, z jaką powagą to powiedziała.

Podniosła się z krzesła. Nadeszła pora, by do akcji wkroczył zły glina.

- Weź ją w obroty - mruknęła Patti, gdy Stacy wychodziła.

Chwilę później weszła do pokoju przesłuchań. Malone spojrzał na nią.

- Smakowała pani kawa, pani detektyw?

- Była trochę za słaba.

- Słaba? Trudno w to uwierzyć.

- A jednak. Zwykle jest lepiej... ugotowana.

Nie rozmawiali jednak o kawie. Malone wyszczerzył zęby i wstał od stołu.

- Proszę zadzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni albo zechce zmienić swoje zeznanie.

Podał jej wizytówkę, którą Yvette przyjęła z uśmiechem.

- Jeśli będę panu potrzebna, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Kiedy za Spencerem zamknęły się drzwi, Yvette spojrzała na Stacy.

- Jest słodki.

- Jeśli lubi się taki typ. - Stacy przeglądała papiery w teczce. - Ludzie, którym pokazywałaś te nieruchomości...

- Ma dziewczynę? Stacy zmrużyła oczy.

- Tak, chyba ma.

- To coś poważnego?

- Bardzo.

- Ona nosi pierścionek?

To pytanie zaskoczyło ją. Domyśliła się, że pierścionek miał wyrażać różnicę między „do wzięcia” i „za-jęty”.

Gdzie to plasowało ją i Spencera?

- Masz jego telefon - powiedziała. - Zadzwon i zapytaj.

- Może to zrobię. Ma dziewczyna jaja.

- Ci ludzie, których spotykałaś w tych nieruchomościach...

Przedstawiali ci się?

- Nigdy. Nie rozmawialiśmy ze sobą.

- Czy zdarzało się, że wychodzili z czymś, czego ze sobą nie przynieśli?

- I odwrotnie też.

- Na przykład? Wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem? Nie pytałam.

- Myślę, że będziemy musieli cię zatrzymać.

- Za co? Nic nie macie.

- Ale jesteś jedyną osobą, która może nas do czegoś doprowadzić.

Daj mi coś, na czym mogłabym zaczepić oko, to zobaczę, co da się zrobić.

- Bardziej podobałaś mi się jako Brandi.

- Wcale się nie dziwię. - Stacy uśmiechnęła się nieznacznie i podniosła z krzesła. - Dopilnuję, żebyś mogła skorzystać z telefonu.

- On miał współnika - powiedziała dziewczyna szyb-ko - Wydaje

mi się, że jeśli Marcus używał wykazu nieruchomości jako punktów odbioru lub przyjmowania towaru, jego partner również w tym siedział.

- Punkty odbioru lub przyjmowania - powtórzyła

Stacy. - Czy mówiłam, że o to właśnie chodzi? Yvette spojrzała na nią ze złością.

- To chyba całkiem jasne, nie?

- Nazwisko?

- Ramone.

- Ramone i co dalej?

- Nie mam pojęcia. Marcus nigdy tego nie powiedział, a ja nie pytałam.

- Opowiedz mi o nim.

- Niewiele wiem. Spotkałam go tylko raz.

- Gdzie?

- W „Hustle”.

- Tańczyłaś dla niego? Pokręciła głową.

- Nie podobało mu się tam. Wyglądał, jakby chciał jak najszybciej stamtąd wyjść. Doszłam do wniosku, że jest gejem.

Stacy zmarszczyła czoło.

- Jeśli faceta nie rajcują twoje występy, to znaczy, że jest gejem?

Na ustach Yvette pojawił się uśmiech.

- Najczęściej.

Zła i na siebie, i na Yvette, skupiła uwagę na wspólniku Gabrielle'a.

- Ramonę zabierał cię kiedyś do tych domów? Umawiał się jakoś z tobą?

- Nie. Już mówiłam, że spotkałam go raz. Marcus nazywał go swoim wspólnikiem. To wszystko, co wiem. - W brzuchu zaburczało jej głośno. - Mogę teraz iść? Twój posłańcy wyciągnęli mnie z domu jeszcze przed śniadaniem.

Stacy kiwnęła głową i podniosła się.

- Będziemy w kontakcie. Ktoś odwiezie cię do domu.

- Nie ma potrzeby. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

Stacy położyła na stole wizytówkę.

- Zadzwoń, jeśli przyjdzie ci coś do głowy.

- Uważaj, żebyś się nie doczekała.

Podniosła się z krzesła i opuściła pokój, zostawiając wizytówkę na stole.

Stacy odprowadziła ją wzrokiem, po czym dołączyła do Spencera, który przysłuchiwał się przesłuchaniu w pokoju obserwacyjnym.

Patti już wyszła, a jej miejsce zajęli kapitan Cooper i Baxter.

- Wprowadziłem ich we wszystko - wyjaśnił Spencer. - Kapitan O'Shay chce wam przekazać sprawę. Bez wątpienia leży ona w gestii Wydziału Dochodzeniowo-Sledczego.

- Zgadza się - przytaknęła Stacy.

- Najwyraźniej nieruchomości służyły Gabrielle'owi za punkty kontaktowe.

- Do odbioru narkotyków i przekazywania pieniędzy.

- Wykorzystywał Borger, żeby chronić własny tyłek. Gdyby była jakaś wsypa...

- Albo niezadowolony klient.

- ...to ona znalazłaby się na linii ognia.

- To dlatego tyle jej płacił. Duże ryzyko, duże pieniądze. Tak to właśnie działa.

- Co z tym Ramone'em? - spytał kapitan Cooper. - Dlaczego nie wiedzieliśmy, że miał wspólnika?

- Jeśli to wspólnik od handlu nieruchomościami, nie budził naszego zainteresowania. Nie pojawił się w żadnej z naszych informacji.

- Sprawdźcie go. Może to Ramone uznał, że już niepotrzebny mu wspólnik.

- Mógłbym na to postawić - wtrącił Baxter. - Jak wiadomo, zwykle chodzi o chciwość.

- Kiedy z tym skończycie, chcę, żeby Borger obejrzała zdjęcia w kartotece. I sporządziła wykaz nieruchomości, którymi zajmował się Gabrielle. Wszystkie mają być przeszukane. Wystąpcie o nakaz. Wychodzili już, gdy kapitan zatrzymał Stacy.

- Killian, może lepiej będzie, jeśli to Baxter zajmie się Borger.

Myślę, że mężczyzna łatwiej sobie z nią poradzi.

I to ją naprawdę wkurzało!

Słuchając dobiegającego z korytarza rżenia partnera, wyraziła zgodę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Środa, 25 kwietnia 2007 r.

15.40

Yvette była już w połowie Dzielnicy Francuskiej, gdy zaczęła żałować, że nie zgodziła się, by odwieziono ją do domu. Fale ciepła buchały z nawierzchni ulicy, pod pachami czuła pot, na stopach potworzyły się pęcherze. Odkryte sandaalki, które wsunęła na nogi, zanim policjanci wyprowadzili ją z mieszkania, nie były przeznaczone do wędrówek w upale.

Cholerne gliny. Pieprzone kłamliwe świnię. To ich powinno się wyciągać z domów i przesłuchiwać. Pomyślała o Brandi - czy właściwie detektyw Killian - i natychmiast ogarnęły ją aż nazbyt dobrze znane uczucia zdrady i krzywdy.

Bezczelnie ich wszystkich okłamała, ale co z tego. Prawie nie znała tej dziewczyny. Było jej wszystko jedno. Marcus nie żył.

Zatrzymała się gwałtownie, gdy dotarła do niej nieodwołalność tej informacji. Wilgotne powietrze nagle wydało się zbyt duszne.

Nie kochała go. Prawdę mówiąc, nawet go nie lubiła.

Był oszustem. I kłamcą. Bezwzględny drań, który omal jej nie udusił.

Jednak jego zabójstwo zbyt ją dotykało.

Owionął ją chłodny podmuch, gdy z restauracji „Big Bubba” wyszła jakaś para. Tęsknie spojrzała na plakat reklamujący słynne nowoorleańskie po'boy, kanapkę z grillowanymi krewetkami i

oszronioną szklankę piwa i wskoczyła do środka.

Zajęła miejsce przy kontuarze i zamówiła małą kanapkę i zwykłą colę. Z cukrem. Kofeiną. I mnóstwem kalorii. Najprawdziwszą na świecie.

Kelnerka postawiła przed nią colę i położyła słomkę. Ściągnęła opakowanie, włożyła słomkę do szklanki i pociągnęła długi łyk. Jej myśli znów wróciły do Marcusa.

Mogła odgrywać niewiniątko przed gliniarzami, ale wiedziała, że Marcus prowadził jakieś nielegalne interesy. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego właśnie płacił jej tak dużo.

Podejrzewała, że chodzi o narkotyki, bo to od razu nasuwało się na myśl. Nie zadawała mu jednak żadnych pytań ani nie próbowała węszyć. Uznała, że im mniej wie, tym lepiej dla niej. I na pewno zdrowiej.

Metamfetamina. Koszmarne gówno. Nie tykała jej. Pod jej wpływem ludzie zmieniali się w pokreconych paranoików.

Ludzie, którzy handlowali takimi rzeczami jak met, nie zastanawialiby się długo nad wykończeniem striptizerki, żeby zapewnić sobie jej milczenie.

Hałaśliwie wyssała resztki napoju i zamówiła jeszcze jedną szklankę. Kelnerka przyniosła ją razem z kanapką. Yvette zatopiła zęby w chlebie, rozmyślając gorączkowo.

Marcus wciąż był jej dłużny pięćset dolców. Uświadomiła sobie, że nie czuje żadnych wyrzutów sumienia, myśląc o tym w takiej chwili. Marcus sam był sobie winien. To nie znaczyło oczywiście, że życzyła mu śmierci, ale trudno było odczuwać żal, gdy umierał taki podły człowiek.

Z pewnością byli ludzie, którzy tak samo myśleliby po jej śmierci. Nagle zrobiło jej się niesamowicie przykro. Kęs kanapki utkwiał jej w gardle, a łzy wypełniły oczy.

Co by mówili? „Umarła jeszcze jedna striptizerka” albo „Należało się to dziwce”? Z trudem przełknęła. Płacz był dobry dla nieudaczników i dzieci. Czyż nie tak mówił jej ojciec, kiedy doprowadzał ją do łez? Często zdarzało się, że te słowa popierał mocnym uszczypnięciem. „Któregoś dnia podziękujesz mi za to - dodawał. - Będziesz twarda”.

Nie chciała być znowu tamtą dziewczyną.

Dlaczego skłamała, mówiąc, że Artysta przysyłał listy Kitten? Czemu wymyśliła tę bajeczkę o prześladowaniu współlokatorki? Bo chciała zrobić wrażenie, wyglądać na kogoś ważnego, inteligentnego, interesującego. Być kimkolwiek, tylko nie sobą. Albo to, co powiedziała na temat współnika o imieniu Ramone? Zrobiła to, żeby odwrócić uwagę. Dać detektyw Killian trop, za którym mogłaby gonić.

Sięgnęła do kieszeni po wizytówkę, którą dał jej ten przystojny policjant. Detektyw Spencer Malone.

Wpatrywała się w kartonik. Taki facet nigdy nie zainteresowałby się kobietą taką jak ona. Widziała to w jego oczach. Flirtowała z nim, a on ustąpił dla świętego spokoju.

Rozpoznała Franklina. Czasami wpadał do „Hustle”. Widziała, jak kręcił się wokół dziwek. Co on mógł zrobić? Może miał coś wspólnego z Marcusem? Albo narkotykami? Lub z ofiarą z parku miejskiego?

W tej sprawie też skłamała glinom. Bała się. Nie chciała rozpoznać Franklina. Niebezpiecznie jest się w coś wplątać.

To chyba wystarczający powód? Zawsze potrafiła znaleźć jakieś wyjaśnienie swojego zachowania. Usprawiedliwienie, dzięki któremu wszystko wydawało się w porządku.

- Podać ci coś jeszcze, kochana?

Zaskoczona spojrzała na kelnerkę i pokręciła głową.

- Tylko rachunek.

Chwilę później była na ulicy. Niebo się zachmurzyło, zrobiło się też trochę chłodniej. Nogi wciąż ją bolały, ale od domu dzieliło ją już tylko kilka przecznic.

Szła Ursuline Street, wybierając najkrótszą drogę. Po kilku minutach dotarła na miejsce, otworzyła drzwi budynku i odetchnęła z ulgą. Na zacienionym dziedzińcu było o dziesięć stopni chłodniej niż na ulicy. Zdjęła sandały i pod stopami poczuła zimne, wilgotne kamienne płyty. Z butami w rękę ruszyła w stronę schodów.

Większość mieszkańców budynku miała tradycyjne godziny pracy od dziewiątej do piątej. Na dziedzińcu nie było nikogo poza panną Almą i suczką Sissy, jej szpicem. Stare powiedzenie, że pies t jego właściciel upodobniają się do siebie, w tym przypadku było jak

najprawdziwsze. Obie były wiekowe ze spiczastymi nosami i wytrzeszczonymi oczami. Yvette od dawna podejrzewała, że panna Alma farbuje włosy na cynamonowy kolor, bo taką sierść miała Sissy. Z całą pewnością wiedziała, że kobieta zabierała psa ze sobą do salonu piękności.

- Dzień dobry, panno Almo - przywitała się, nie zwracając uwagi na warczenie Sissy.

- Dzień dobry, moja droga. Cicho, Sissy. Na każdego tak warczy, ale nie skrzywdziłaby nawet pchły.

Pod warunkiem, że pchła będzie trzymać się z dala od jej zębów, pomyślała Yvette.

- Wiem, proszę pani. Miłego popołudnia. Wspięła się po schodach na piętro. Zobaczyła Nancy, która wyszła podlać kwiaty. Kiedy mijala drzwi z numerem osiem, rozległo się szczekanie mopsa, który tam mieszkał.

Yvette podskoczyła. Robiła to właściwie za każdym

- Zamknij się! - krzyknęła.

- Cześć, Yvette! - zawołała Nancy. - Byłoby cudownie, gdyby udało się go wreszcie uciszyć, co?

- To prawda - odparła. - Kiedy wracam w nocy do domu, za każdym razem robi taki raban, że wszystkich budzi. Uwierzysz, że Bob i Ray zwrócili mi uwagę? Zupełnie jakbym miała zmienić swoje zajęcia, żeby ich pies o małej mordzie dał im spać.

- Co na to poradzić? - Nancy wylała na begonie resztę wody z konewki. - Mam nadzieję, że miło spędzacie czas mamą.

- Słucham? - Yvette zmarszczyła brwi.

- Ty i twoja mama. Mam nadzieję, że dobrze się bawicie. -

Spojrzała na Yvette. - Wydaje się bardzo miła.

- Moja mama nie żyje. Nancy zamarła.

- Ale... widziałam ją tu któregoś wieczoru. Yvette pokręciła głową. Skąd ci przyszło do głowy, że to moja mama?

- Sama mi to powiedziała. Było już późno... Ty byłaś w pracy.

Samson zaczął szczekać i ja... - przerwała wyraźnie

zdenerwowana. - Powiedziałam jej, gdzie trzymasz klucz.

Twierdziła, że jej mówiłaś, ale zapomniała.

Yvette z trudem opanowała gniew.

- Powiedziałaś obcej osobie, gdzie trzymam zapasowy klucz?

- Tak bardzo mi przykro. Ale... wydawała się taka miła. Jak... prawdziwa mama.

Przypomniała sobie, że z powodu bólów miesięczkowych wyszła z pracy wcześniej. Natknęła się na tę kobietę pod drzwiami.

Usiłowała przypomnieć sobie, jak wyglądała i co mówiła.

„Jestem mamą Nancy. Przyjechałam na tydzień. Klucz, który mi dała, nie pasuje.”

Podniosła wzrok na koleżankę.

- Czy twoja mama była u ciebie w tym tygodniu? - Nancy nawet nie musiała nic mówić. Wyczytała odpowiedź z jej twarzy. - Kiedy to było?

Sąsiadka zastanowiła się przez chwilę i potwierdziła przypuszczenia Yvette. Poniedziałek.

- Jak wyglądała?

- Tak, jak mogłaby wyglądać twoja mama. Nawet powiedziałam, że jesteś do niej bardzo podobna.

- Krótkie, rudawe włosy? Szczupła, średniego wzrostu? W ciemnej kurtce i spodniach?

Oczy Nancy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Tak. Skąd...

- Mnie też nabrała. - Opowiedziała o spotkaniu z nieznajomą. - Nie widziałaś jej już więcej?

Nancy otoczyła się ramionami w pasie, kręcąc głową.

- Aż dostałam gęsiej skórki. Jak myślisz, kto to był?

- Nie mam pojęcia, ale zamierzam się dowiedzieć. - Ostrzegła jeszcze sąsiadkę, żeby miała oczy otwarte i podeszła do swoich drzwi.

Sprawdziła donicę, ale zapasowy klucz zniknął. Czy przeszkodziła kobiecie, zanim ta weszła do mieszkania? A może już tam była?

Czuła, że dławi ją strach. Nie dostrzegła, że coś jest nie tak, że w jej domu był ktoś obcy, że ktoś dotykał jej rzeczy...

O dziwo, ta ostatnia myśl przerażała ją najbardziej. Ta osoba, kimkolwiek była, wciąż miała jej klucz. Kolana się pod nią ugięły.

Z trudem podeszła do drzwi, otworzyła je i weszła do środka.

Natychmiast poczuła, że coś jest nie w porządku.

Nic dziwnego. Teraz prawdopodobnie przez dłuższy czas będzie czuła, że coś tu nie gra.

Pobiegła spojrzeniem do wejścia do kuchni, potem popatrzyła w stronę krótkiego korytarzyka, który prowadził do dwóch sypialni. Serce zaczęło jej walić.

- Halo? - zawołała. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czemu to zrobiła. Chyba nie sądziła, że intruz jej odpowie?

„Cześć, dziecinko! Chodź tu do mnie!”

Mimo to cisza panująca w mieszkaniu wcale jej nie uspokoiła. Gdyby usłyszała czyjś głos, wiedziałaby przynajmniej, że musi rzucić się do ucieczki. Powoli przesunęła spojrzenie po pokoju. Nie wyglądało na to, że coś się tu zmieniło. Wszystko wyglądało tak jak przed jej wyjściem rano.

O Boże, jej napiwki.

Pospiesznie przeszła do kuchni. Swoje oszczędności trzymała w zamrażarce w plastikowej torbie zamkniętej w pudełku po lodach. Pudełko było na miejscu, torba z pieniędzmi leżała w środku. Przeliczyła nerwowo banknoty, ale wszystko się zgadzało. Odetchnęła z ulgą, odłożyła pudełko na miejsce, zamknęła zamrażarkę i odwróciła się.

Na drzwiach kuchni wisiała przyczepiona pinezką kartka.

Zrobiłem to dla ciebie.

Na zawsze Twój Artysta

Wpatrywała się w kartkę, Ręce jej się trzęsły. Co dla niej zrobił? Włamał się do mieszkania?

I nagle zrozumiała. Podniosła dłoń do ust, żeby zdławić krzyk, który rósł jej w gardle.

Marcus.

Jej wielbiciel go zabił. Dla niej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Środa, 25 kwietnia 2007 r.

16.45

Patti z rozczarowaniem patrzyła na raport sądowego odontologa. Wynikało z niego, że Kitten Sweet nie była ich ofiarą.

To niczego nie zmieniało. Franklin wciąż siedział w areszcie, oskarżony o kradzież i bezprawne posiadanie broni.

Ale poza tym nic nie mieli: żadnych innych aspektów sprawy; nic, co wiązałoby Franklina z zabójstwem Sam-my'ego i ofiarami Chirurga.

Złamała prawo, którego przysięgała bronić. Wciągnęła do tego jednego ze swoich detektywów, narażając także jego karierę. I po co?

Zatrzymałaś niewłaściwego człowieka.

Udało jej się zapomnieć o tej rozmowie, wmówić sobie, że to musiał być jakiś ćpun. Chociaż pomyśl, że był to ktoś, kto miał interes w tym, by jej zaszkodzić, nie był wcale aż tak nieprzekonujący.

Swojego czasu komendant Howard wyznaczył ją na członka trybunału utworzonego po to, by sądzić policjantów, którzy podczas huraganu albo tuż po nim samowolnie oddalili się ze służby. Przysięga zobowiązywała funkcjonariuszy do służenia społeczeństwu bez względu na okoliczności. Niektórych historii słuchała z rozdartym sercem, lecz czy można było ustalić, gdzie jest granica? Mieli przecież chronić i służyć, nawet jeśli czasem okazywało się to bardzo trudne.

Patti wzięła do ręki listę nazwisk i przebiegła ją wzrokiem. Byli

tam wymienieni oficerowie, począwszy od całkowitych nowicjuszy po weteranów z dwudziestopięcioletnim stażem. Każdą z tych osób znała. Czy ktoś z nich mógł być aż tak na nią wściekły?

A gdyby założyć, że dzwoniący mężczyzna miał rację? Znaczyłoby to, że faktycznie trzymają niewłaściwego człowieka. Franklin, tak jak mówił, znalazł broń w parku miejskim. Tak mogło być. Sammy natyka się na Chirurga i jego ofiarę. Chirurgowi udaje się w jakiś sposób odebrać Sammy'emu pistolet, zabija go, porzuca obie ofiary w parku, a potem jak najszybciej pozbywa się broni.

Również w parku.

Kto w takim razie do niej zadzwonił? Ktoś, kto wiedział o spotkaniu „U Shannona”. Glina? Ktoś powiązany z którymsz z gliniarzy lub z policją?

- Nie wydajesz się szczęśliwa. Podniosła wzrok. W progu stanął Spencer.

- Bo nie jestem. Spójrz na to.

Popchnęła przez biurko raport. Podeszedł bliżej, wziął kartkę i przeleciał ją wzrokiem. Do pokoju wszedł Tony.

- Kto umarł?

Spencer podał mu ustalenia specjalisty. Tony przeczytał raport i oddał go Patti.

- No to byłoby na tyle, jeśli chodzi o anonimowy cynk.

Patii z trudem ukryła rozczarowanie. Spencer, wyjaśniając, jak ewentualnie mogą przypisać nazwisko Kitten Sweet ich ofierze z parku, okłamał partnera. Nie prosiła go o to, lecz była zła, że postawiła go w takiej sytuacji.

- Czy podczas rewizji w mieszkaniu Franklina coś znaleziono? - spytała.

- Więcej kradzionych towarów - odparł Spencer. -1 zadziwiającą kolekcję pism dla dorosłych. Nic nadzwyczajnego, zwykle akty.

- Zajrzeliśmy do zamrażarki - wtrącił Tony. - Mięso mielone i paszteciki. Żadnych dłoni ani innych części ciała. Nie znaleźliśmy pił, nożyc ani innych narzędzi, którymi można by odrąbać rękę.

- A komputer?

- Nie. Na automatycznej sekretarce nikt nic nie nagrał, a w poczcie był tylko stos rachunków i reklam. Uwierzysz, że zaoferowali mu

Master Card? Możesz to sobie wyobrazić?

Cholera. Podniosła się, podeszła do okna i przez chwilę patrzyła na śliczny wiosenny dzień.

- To nie Franklin.

- Z całym szacunkiem, pani kapitan - powiedział

Tony. - Przecież miał pistolet Sam się podłożył. Patti odwróciła się od okna.

- To mógł być przypadek.

Detektywi wymienili spojrzenia. Spencer odezwał się pierwszy.

- Stara zasada, że ten, kto wydaje się winny, zwykle jest nim rzeczywiście, najczęściej się sprawdza. W tym wypadku tak właśnie to wygląda. Pistolet to bardzo mocny dowód. Wiąże go z grobem i ofiarami. Facet był skazany za gwałt. W dodatku to złodziej i oszust.

Potarła nasadę nosa.

- Muszę mieć pewność. Stuprocentową.

- Co możemy zrobić?

- Znajdźcie ofiarę. Wystarczy, jeśli będę mogła powiązać Franklina z choćby jedną z ofiar Chirurga. Wystarczy nawet słaby związek.

- Pani kapitan? Mogę zamienić z panią słówko?

- W progu stał szef policji.

Uśmiechnęła się i gestem zaprosiła go do środka.

- Oczywiście. Właśnie skończyliśmy. Komendant przywitał się z detektywami.

- Jak twój tata czuje się na emeryturze, Spencer?

- Jeszcze nie znudziło mu się chodzenie na ryby.

Ojciec Spencera - szwagier Patti - całe życie przepracował w nowoorleańskiej policji. Nigdy nie awansował powyżej detektywa, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Najzwyczajniej w świecie kochał swoją pracę. Rok temu przeszedł na emeryturę. Huragan Katrina i śmierć Sammy'ego przyspieszyły tę decyzję.

Kiedy detektywi wyszli z pokoju, Patti odwróciła się do komendanta Howarda.

- Czym mogę służyć, szefie?

- Jak się trzymasz, Patti? - spytał, ignorując jej pytanie.

Coś w jego tonie sprawiło, że się zjeżyła.

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Przepraszam cię, że nie wpadłem wcześniej. Niesamowita sprawa, że w takim miejscu trafiliście na odznakę Sammy'ego.
- Prawdę mówiąc, bardzo mi ulżyło. W końcu wiem, co się stało, i mam jakiś trop.

- Rozumiem, że ten trop zawiódł was do zatrzymanego.

Gratulacje.

Zasepiła się. Komendant Howard nigdy nie robił czegoś bez powodu. Zwykle gratulacje były tylko gratulacjami. Po co więc tu przyszedł?

- Dziękuję, szefie, ale nie jestem pewna, czy to koniec.

Uniósł brwi.

- Zdziwiał mnie pani, pani kapitan. Przeglądałem sprawę i wydaje mi się, że dowody są mocne.

- To prawda. Lecz dopóki nie powiążemy Franklina z jedną z ofiar, wszystko będzie można podważyć.

Howard milczał przez chwilę.

- Bardzo mnie zmartwiłaś.

- Przykro mi. Jednak tak to właśnie widzę.

- Patti - podjął ciepło. - Musisz zaufać systemowi. Jeśli Franklin zostanie oskarżony i sąd uzna, że jest winny, będziesz musiała to zaakceptować.

- Nie wiem, czy potrafię.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka, ale spojrzął tylko na wyświetlacz i ponownie wsunął aparat do kieszeni.

- Może ta sprawa jest dla ciebie zbyt bolesna? Mógłbym przekazać ją komuś innemu. Po śmierci Sammy'ego wszyscy by zrozumieli, że...

- To nie jest konieczne - oznajmiła. - Jestem odpowiedzialna za Pomocniczy Wydział Dochodzeniowy, za tę sprawę i za to śledztwo. Franklin został oskarżony i zatrzymany pod zarzutem kradzieży i posiadania broni. Mamy czas, żeby szukać dalej.

- Jeśli uważasz, że masz wystarczająco dużo ludzi... To znaczyło, że on tak nie myśli.

No już, zakończ to! - nakazała sobie.

- Daj mi jeszcze trochę czasu. Plastyk sądowy pracuje właśnie nad rekonstrukcją twarzy. Powinna być gotowa za kilka dni.

Opublikujemy ten wizerunek i zobaczymy, czy ktoś ją rozpozna.

- Zgoda. Coś poza tym?

Wiedział o raporcie na temat użębienia. O telefonie, jaki odebrała „U Shannona” prawdopodobnie również. Niewiele było spraw, które umykały komendantowi Howardowi.

- Dostaliśmy cynk o zaginięciu młodej kobiety. Sądowy odontolog porównał jej dane z naszą ofiarą, lecz nic ma podobieństw.

Szef kiwnął głową. Najwidoczniej nie powiedziała mu nic nowego. Na szczęście nie spytał o źródło tego cynku.

- Coś jeszcze?

- Anonimowy telefon do mnie.

- Wieczorem podczas przyjęcia-niespodzianki. - On sam też się tam na chwilę pokazał, potem wyszedł.

- Tak. Dzwoniący powiedział, że schwytaliśmy niewłaściwego człowieka.

- A ty mu uwierzyłaś? Przedstawił ci jakiś dowód?

- Na tym etapie nie wykluczam żadnej możliwości.

- Znakomicie, pani kapitan. - Rzucił okiem na zegarek, po czym podniósł wzrok na jej twarz. - Społeczeństwo poczuje się bezpieczniej, gdy rozejdzie się informacja, że ten potwór został złapany.

- Nie wtedy, gdy okaże się, że to niewłaściwy potwór. Szef zmarszczył czoło.

- Dopilnujemy więc, żeby tak się nie stało, prawda, kapitan O'Shay?

To już zabrzmiało bardzo oficjalnie. Licznik zaczął bić. Wiedziała, że ma niewiele czasu. Szef chciał, żeby zamknęła sprawę przeciw Franklinowi, a nie szukała następnych podejrzanych.

- Tak jest, szefie. Zrozumiano.

Po jego wyjściu uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w swojej policyjnej karierze wcale nie jest pewna, czy będzie mogła wykonać rozkaz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sobota, 28 kwietnia 2007 r.

1.15

„Hustle” tętnił gwarem. Nawet jak na piątkowy wieczór było tu wyjątkowo tłoczno. Zaczął się pierwszy tydzień Święta Jazzu - największej po Mardi Gras atrakcji turystycznej - więc napiwki i alkohol lały się strumieniami.

Yvette przyszło do głowy, że może nawet pobić swój własny rekord, chociaż była rozkojarzona, niespokojna i właściwie udawała, że coś robi.

Ostatnie dwa dni były najdłuższymi dniami w jej życiu. Wciąż oglądała się przez ramię, niespokojnie patrzyła na każdy cień i nie przestawała myśleć o zabójstwie Marcusa.

„Zrobiłem to dla ciebie. Na zawsze Twój, Artysta.” W pierwszej chwili po odkryciu tej wiadomości zamarła z przerażenia. Potem wpadła w panikę. Nie miała pojęcia, co powinna robić, do kogo zadzwonić. Nie miała nikogo, żadnej rodziny ani bliskich przyjaciół. Nie miała męża ani chłopaka.

Tylko nie policja. Nie oni.

Nie miała nikogo, na kim mogła polegać. Poza samą sobą.

Zastanawiała się, czy się nie spakować i nie wyjechać. Do diabła z mieszkaniem i tą nędzną robotą.

Tyle że raz już uciekła. Dawno temu żyła w potwornym strachu.

Przed swoim ojcem. Przed ulicą. Bezsilnością. Beznadzieją.

Obiecała sobie wtedy, że nigdy więcej nie będzie tak żyła, że nigdy już nie będzie uciekać. To dlatego nie zgodziła się na ewakuację.

Skoro mogła stawić czoła tej suce Katrinie, mogła znieść wszystko. W związku z tym zmieniała zamki. Zasięgnęła informacji o alarmach. Myślała nawet o kupieniu broni, chociaż potem porzuciła ten pomysł.

Tymczasem nic się nie działo. Żadnych anonimowych listów, żadnych włamań. Może to już koniec.

- Cześć, Yvette. - Tonią zajrzała do garderoby, która prawdę mówiąc, była tylko małym boksem na tyłach sceny. - Zaraz wychodzisz. Mam dla ciebie wiadomość. - Podała jej zamkniętą kopertę. - Do zobaczenia za sześć minut.

Yvette otworzyła kopertę i wyciągnęła list. Jakies papiery poleciały na podłogę. Nie, teraz widziała, że to nie papiery. Pieniądze. Pięć studolarowych banknotów.

Wpatrywała się w nie z bijącym sercem, po czym przeniosła spojrzenie na list.

Tu jest to, co był ci winien.

W gardle narastał jej krzyk. Zerwała się na równe nogi i wybiegła za Tonią.

- Poczekaj! - zawołała. - Tonia! Kobieta zatrzymała się i odwróciła.

- Kto ci to dał?

- Jakiś facet.

- Gdzie? Przy którym stoliku?

- Przy barze. « Pokaż.

Tonią rzuciła okiem na zegarek i zmarszczyła brwi.

- Powinnaś zacząć za...

- Wiem, kiedy powinnam zacząć, do cholery! Pokaż mi go, to ważne!

Starsza kobieta zawahała się, ale w końcu machnięciem ręki kazała Yvette iść za sobą. Wyszły zza kulis i okrążyły stoliki, aż widać było cały bar. Yvette chwyciła Tonie za rękę.

- Gdzie on jest?

- Nie widzę go... Musiał już pójść.

- Niemożliwe. Proszę, rozejrzyj się.

Ponownie przyjrzała się ludziom. Wreszcie pokręciła

głową.

- Co się dzieje, Yvette?

Ze strachu nie mogła wydobyć głosu.

- On... Nie mogę... Ja... Tonia uścisnęła jej rękę.

- Powiem Jenny, żeby cię zastąpiła. Idź do garderoby i uspokój się. Zaraz do ciebie przyjdę.

Yvette kiwnęła głową i pospiesznie wróciła za kulisy. Studolarowe banknoty nadal leżały na podłodze tak, jak je zostawiła.

Pięćset dolarów. Pieniądze, które był jej winien Marcus.

Skąd Artysta o tym wiedział? Nikomu o tym nie mówiła.

Poczuła, że jej ramiona pokrywają się gęsią skórką. Rozejrzała się po małym, zagraconym pomieszczeniu.

Czy Artysta tu był?

Tonia przerwała te niespokojne myśli.

- Czy to studolarówki?

Yvette napotkała jej spojrzenie i kiwnęła potakująco głową.

- Skąd je... Były w tym liście, który ci przyniosłam?

- Tak.

- Mój Boże.

Yvette pochyliła się i zebrała pieniądze. Ręce jej się trzęsły.

Wsunęła banknoty z powrotem do koperty. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić.

- Chcesz o tym pogadać?

Yvette spojrzała na starszą kobietę.

- Jak ten facet wyglądał?

- Chyba zwyczajnie. Taki nijaki typ. Nieszkodliwy. To ją tylko trochę uspokoiło.

- Często przychodzi? Tonia zmarszczyła czoło.

- Wiem, że już go kiedyś widziałam. Ale tylko przy barze. To typ faceta, na którego nie zwracasz uwagi. - Zawahała się. - Myślisz...

Nie uważasz chyba, że jest... niebezpieczny?

Yvette przygryzła wargę, a wtedy Tonia wstrzymała oddech.

- Powiedz mi, co się dzieje. Wszystko po kolei.

I Yvette tak zrobiła. Opowiedziała o pierwszym liściku, który jej

przysłał, o kobiecie, która oszukała sąsiadkę, żeby zdobyć klucz.

- Myślałam, że jest nieszkodliwy, po prostu jeden z tych smutnych, samotnych facetów.

- Mów dalej.

- Potem zabito Marcusa. - Tonia nie była zaskoczona tą informacją. Policja pytała o Marcusa i jego znajomych wszystkich pracowników w „Hustle”. - Wychodzi na to że miał jakieś lewe interesy.

- Produkcja i dystrybucja mety.

Yvette spojrzała na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. - Skąd...

- Skąd wiem? Słonko, ja wiem wszystko, co się tu dzieje. Jeśli nie od razu, to i tak bardzo szybko.

- Więc wiedziałaś, że Brandi jest gliną?

- Z początku nie. Czułam, że coś z nią jest nie tak. To Ted ją zatrudnił. Naciskałam dotąd, aż powiedział mi wreszcie, o co chodzi. Głupi gnój.

Kiedy Marcus został zabity, Ted nie miał już nic do zaoferowania policji i znalazł się w więzieniu.

- Tونی, mogę cię o coś spytać?

- Jasne, skarbie.

- Wierzysz w Boga?

Kobieta wykrzywiła usta, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Chyba tak. Bo co?

- Nigdy o tym nie myślałam, ale po Katrinie doszłam do wniosku, że Bóg istnieje i chce, żebym żyła.

Uświadomiła sobie, że gniecie pieniądze w zaciśniętej dłoni.

Rozluźniła palce.

- Pomyślałam, że to dobry znak... Zupełnie jakbym miała dokonać czegoś wielkiego lub ważnego... Naprawdę odmienić wszystko i stać się kimś. Ale teraz...

Odchrząknęła niepewnie, zmuszając się do wyduszenia z siebie myśli, która dręczyła ją od momentu, gdy uświadomiła sobie, że to Artysta zabił Marcusa.

- A jeśli On chciał, żebym żyła tylko po to? Żeby przyspieszyć śmierć Marcusa? Lub żeby mógł złożyć mnie w ofierze, ratując w ten sposób kogoś lepszego?

Tonia nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Myślę, że to nie działa w ten sposób. Bo wiesz... wówczas byłby z Niego dość marny Bóg.

Gdyby Tonia była księdzem lub jakimś kaznodzieją, ta myśl mogłaby ją pocieszyć. Ponieważ jednak słowa te padły z ust wypalonej, nałogowo pijącej byłej tancerki erotycznej, Yvette nie poczuła się uspokojona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Sobota, 28 kwietnia 2007 r.

3.30

Skrzeczenie komórki wyrwało Spencera z głębokiego snu. Po omacku odszukał aparat i podniósł do ucha, wciąż nie otwierając oczu.

- Malone, słucham.

- Detektyw Malone?

Głos po drugiej stronie był kobiecy. Wydawał się młody i przerażony.

- Tak. Kto mówi?

- Yvette Borger. To go obudziło.

- Panna Borger? - Stacy przekręciła się na bok i spojrzała na niego pytająco. - Co...

- Wiem, kto zabił Marcusa - mówiła załamującym się głosem. - A teraz on prześladowuje mnie.

- Gdzie pani jest?
- „U Pauliego”.
- W tej małej norze obok „Dungeon”? - spytał, wygrzebuując się z łóżka. Kiedy przytaknęła, polecił: - Proszę zostać na miejscu. Zaraz tam będę.

Stacy usiadła na łóżku.

- O co chodzi?
- Mówi, że wie, kto zabił Marcusa. I że teraz chodzi mu o nią.

- Jadę z tobą.

- Domyślam się. Gabrielle to sprawa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego.

- No właśnie. Więc czemu zadzwoniła do ciebie? - spytała, odrzucając przykrycie.

Zatrzymał się w drodze do toalety i wyszczerzył zęby.

- Bo uważa, że jestem uroczy.

- Nie ufam jej.

- To widać - rzucił, zamykając drzwi. Kiedy wyszedł, Stacy była już ubrana. Ona również zniknęła na chwilę w toalecie. Gdy wróciła, zauważył, że zdążyła jeszcze uczesać włosy.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytała, kiedy szli do wyjścia.

- To oczywiste, że jej nie ufasz. Yvette Borger wykorzystuje swój wygląd i seksualność, czyli coś, czego ty nie masz.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego gniewnie.

- Chciałem powiedzieć... - Otworzył jej drzwi - Jest twoim całkowitym przeciwieństwem, więc automatycznie budzi twoje podejrzenia.

- Wydaje jej się, że może tobą manipulować.

- Przy pomocy kobiecych wdzięków.

- Nie przeszkadza ci to?

Zeszli z ganku i wsiedli do samochodu Spencera.

- Potrafię to zrozumieć.

- Czyli ty jej ufasz?

Uruchomił silnik i wyjechał na jezdnię.

- Opowiada mnóstwo głupot, ale ja nie traktuję tego poważnie. -

Rzucił na nią okiem. - A teraz wydawała się naprawdę przerażona.

- Możliwe, że grała.
- Wiec po co dzwoniła do mnie? - Roześmiał się, gdy Stacy znacząco uniosła brwi. - W środku nocy? Daj spokój.
- Pytała, czy masz dziewczynę. Powiedziałam, że chyba tak.
- Nie jesteś tego pewna?
- Pytała również, czy to coś poważnego - ciągnęła, pomijając jego pytanie milczeniem. Minął skrzyżowanie na żółtym świetle i jechał Carroll-
- ton Avenue w kierunku drogi międzystanowej.
- No i?
- No i... jest?
- A jak myślisz?
- Wykręcasz się i... - Pokręciła głową i odwróciła wzrok. Po chwili znów spojrzała na niego. - Co my wyprawiamy, Spencer?
- Jedziemy na starówkę w środku nocy, żeby przesłuchać świadka.
- Wiesz, o czym mówię.

Nie miał na to odpowiedzi, co prawdę mówiąc, potwornie go przeraziło. Powinien mieć coś do powiedzenia. Spotykali się od dwóch lat i prawie przez cały ten czas mieszkali ze sobą. Chyba powinien wiedzieć, co czuje? I czego naprawdę pragnie w dalszej perspektywie.

- Ty mi powiedz, Stacy. Dokąd zmierzamy?
- Nie wiem - powiedziała cicho. - Zaczęłam właśnie myśleć, że nie mam pojęcia.

Zamilkli oboje i nie odezwali się aż do końca drogi. Dojechali do baru Pauliego, który mieścił się na Toulouse Street. Zatrzymali się w niedozwolonym miejscu, więc Spencer odchylił osłonę przeciwsłoneczną, żeby widać było jego policyjny identyfikator. Kiedy weszli do baru, Yvette siedziała przy kontuarze.

Przed nią stało nietknięte piwo. Zauważyła Spencera, chwilę później dostrzegła Stacy. Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że wyraz jej twarzy prawie się nie zmienił.

Zsunęła się ze stołka i czekała, aż do niej podejda. Widać było, że rozgląda się niespokojnie dokoła, nerwowo splatając i rozplatając dłonie. Faktycznie wyglądała na przerażoną. Jeśli to była gra,

powinna rzucić taniec i ruszać na podbój Hollywood.

Chociaż mogło to po prostu oznaczać, że uwierzyła we własną bajeczkę. Możliwe, że najzwyczajniej w świecie była szurnięta.

- Wszystko w porządku? - spytał. Kiwnęła głową.

- Dziękuję za... Przepraszam, wiem, że jest późno.

- Wyjdźmy stąd, żebyśmy mogli pogadać.

Wcale nie trzeba było jej namawiać. Wyciągnęła z kieszeni cztery dolary, rzuciła je na bar i sięgnęła po plecak.

- Dzięki, Jackie - zawołała do tęgiego barmana. Ulica była niemal zupełnie pusta. Prawie wszystkie

bary i kluby już zamknięto. Zarówno klienci jak i personel musieli złapać trochę snu przed rozpoczęciem kolejnego dnia.

- Nie zimno pani? - spytał Spencer. - Możemy usiąść w wozie.

Pokręciła głową.

- Muszę zapalić.

Wyjęła papierosa z paczki, lecz nie była w stanie go zapalić, tak bardzo trzęsły się jej ręce.

- Proszę pozwolić - powiedział.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i podała mu zapałki. Moment później zaciągnęła się głęboka Spencer odczekał kilka chwil, po czym spyta) cicho:

- Mówi pani, że wie, kto zabił Marcusa?

- Wiem. - Znów wciągnęła dym. - Ale mi nie uwierzycie.

- Daj nam szansę - powiedziała spokojnie Stacy.

- Może się zdziwisz.

- Wątpię, ale niech będzie. - Uniosła wyzywająco brodę. - Artysta. Stacy uniosła brwi.

- Facet, którego zmyśliłaś?

- Mówiłam, że mi nie uwierzycie.

- Wyluzuj trochę, Yvette - wtrącił Spencer. - Zaledwie kilka dni temu mówiła nam pani, że Artysta nie istnieje.

Zaciągnęła się papierosem.

- Jego związek z Kitten zmyśliłam, ale on sam istnieje.

- Proszę mówić dalej.

- To ja dostawałam te... listy miłosne. Podpisane są „Artysta”.

- Ile tych listów pani dostała? Zastanawiała się przez chwilę.

- Pięć, łącznie z tym dzisiejszym. - Przerwała, jakby spodziewając się pytania, po czym ciągnęła dalej: - Nie zwracałam na nie uwagi, aż do... aż do dnia, gdy dowiedziałam się o Marcusie.

Odchrząknęła, żeby odzyskać głos.

- Dopóki nie zaczęliście wypytywać mnie o Marcusa, myślałam, że to po prostu jakiś samotny przygłup. A potem wróciłam do domu i znalazłam wiadomość od niego. Była w środku, przypięta na drzwiach kuchennych.

- Był w pani mieszkaniu? - zdziwił się Spencer, - Włamał się do środka?

- Tak. - Rzuciła niedopałek na ziemię i przydeptała go czubkiem odkrytego pantofla na szpilce. - Napisał tam „Zrobiłem to dla ciebie”.

- Co zrobił?

- Zabił Marcusa.

- Dokładnie tak napisał?

- Nie, ale o co innego mogło mu chodzić? Spencer rzucił okiem na Stacy. Chociaż z jej twarzy nic nie można było wyczytać, wiedział, że niełatwo jej w to wszystko uwierzyć. I nie tylko jej.

- Panno Borger - zaczął łagodnie. - Mogło chodzić o cokolwiek. Mógł się onanizować, łyknąć jakieś proszki, kopnąć psa...

- Nie! - przerwała mu gwałtownie. - Dziś w nocy był w klubie. Kazał Toni dać mi to.

Przez chwilę grzebała w plecaku, skąd wyciągnęła zwitek banknotów i kartkę.

- To jest pięćset dolarów. - Kiedy nie zareagowali, jęknęła zniechęcona. - Marcus był mi właśnie tyle winien. Ostatnim razem, gdy wykonywałam dla niego tę dodatkową pracę, wykiwał mnie. - Po raz pierwszy spojrzała na Stacy. - Właśnie dlatego kłóciliśmy się tamtej nocy. Wtedy, gdy zaczął mnie dusić. Zobaczcie.

Podowała list Spencerowi, który odczytał go na głos. „Tu jest to, co był ci winien”. Podał kartkę Stacy. Rzuciła na nią okiem i zmarszczyła brwi.

- Ten nie jest podpisany.

- Niemożliwe. - Yvette wyciągnęła rękę. Mina wyraźnie jej zrzędała.

- Chyba po prostu byłam pewna... To znaczy... Wcześniej na

wszystkich się podpisywał „Artysta”. Przysięgam!

- Ma pani pozostałe listy? - spytał Spencer.

- Ze sobą nie, ale je zachowałam. Są u mnie w mieszkaniu.

- Pojedźmy po nie.

W milczeniu pokonali krótką trasę do domu Yvette.

Kiedy wysiadali z samochodu, Spencer zauważył, że na horyzoncie niebo zaczyna się rozjaśniać.

Zapowiadał się cholernie długi dzień.

Yvette otworzyła drzwi od ulicy i we trójkę weszli na podwórze, po czym ruszyli za nią po schodach. W jednym z mieszkań, które mijali, rozległo się szczekanie psa. Prawdę mówiąc, był to dźwięk pośredni między ujadaniem a wyciem. Spencer ze współczuciem pomyślał o biednych ludziach, których to bydło obudziło.

Yvette otworzyła drzwi i włączyła światło, ale nie weszła do środka.

- Yvette? - ponaglił ją Spencer. Podniosła wzrok.

- Od kiedy wiem, że tu był, muszę zebrać się na odwagę, żeby... Wiem, że to głupie, ale...

- Wcale nie takie głupie. Pójdziemy sprawdzić.

W ciągu kilku minut obeszlili całe mieszkanko. Nikogo tam nie było.

- Dziękuję - powiedziała. - Zmieniłam zamki... Zapomniałam opowiedzieć wam jeszcze o czymś. O tej kobiecie.

- O kobiecie? - zdziwił się Spencer.

- No tak. Któregoś wieczoru wróciłam do domu i pod drzwiami spotkałam jakąś kobietę. Twierdziła, że jest matką Nancy, mojej sąsiadki. Powiedziała, że klucze, który dostała od Nancy, nie pasuje.

- Może to była mama Nancy? - podsunęła Stacy.

- Nie, bo tego samego wieczoru przedstawiła się Nancy jako moja matka. Tak właśnie dostała się do środka, Nancy powiedziała jej, gdzie trzymam zapasowy klucz.

Spencer zmarszczył brwi.

- Kiedy to było?

- W poniedziałek. Wróciłam wcześniej. Miałam bóle. Patti. Tego wieczoru omal nie wpadła,

Pochwycił pytające spojrzenie Stacy i zmienił temat.

- Czy możliwe, że Artysta jest kobietą?

Yvette otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale tylko pokręciła głową.

- Po prostu założyłam, że to musi być mężczyzna. Chodzi mi o to, że wokół „Hustle” kręcą się głównie mężczyźni. Poza tym Tonia powiedziała, że list dla mnie dał jej jakiś facet.

- Tonia?

- Zarządza personelem w „Hustle” - wyjaśniła Stacy i zwróciła się do Yvette: - Może dasz nam te listy?

- Są w sypialni. Zaraz wracam.

- O co tu chodzi, Malone? - spytała Stacy, kiedy zostali ze Spencerem sami.

- Co masz na myśli?

- Kiedy Yvette mówiła o tej kobiecie, która twierdziła, że jest jej matką, miałaś dość głupią minę.

- Naprawdę? Uniosła brew.

- Nie udawaj niewiniątka. Coś ukrywasz...

- Zniknęły.

Obrócili się oboje. Dziewczyna stała w drzwiach. Była blada i patrzyła na nich rozszerzonymi oczami. - Były tutaj, przysięgam. Musiał je zabrać.

- Niech pani pokaże nam, gdzie były. Zaprowadziła ich do sypialni, wskazała nocny stolik.

Wyciągnięta szufladka była pusta.

- Trzymałam je tutaj.

- Jest pani pewna, że ich nie przełożyła?

- Na pewno nie. Leżały w tej szufladzie. Wszystkie!

- Opowiedz nam o Ramonie - zażądała Stacy.

- Co? Kto...

- Ramone - powtórzyła. - Wspólnik Marcusa. Ten, o którym mi mówiłaś.

Kiedy się zawahała, Stacy sama odpowiedziała.

- Niech zgadnę. Wymyśliłaś go.

- Ale tego nie zmyśliłam!

- A ta fotografia, którą pokazał ci detektyw Malone?

- Tak! Widziałam go kiedyś w klubie. Przystawiał się do dziewcząt

I co z tego?

- Skoro tylko tyle, po co kłamałaś?

- Bo byłam wkurzona. Bo nie chciałam, żebyście mnie w to wmieszali. Bo ktoś taki jak ja nie pomaga glinom

Daj mi jakiś powód, dla którego teraz mamy ci

- Bo to prawda. - Otoczyła się ramionami. - Mówiłam prawdę. O listach, pieniądzach, tej kobiecie, która się do mnie włamała. W jej głosie pojawiła się nuta rozpaczy. Przesunęła spojrzeniem od Spencera do Stacy.

- On zabił Marcusa. Wiem, że to zrobił!

- Nie twierdzimy, że tak nie było - powiedział łagodnie Spencer. - Ani też, że nie mówi pani prawdy. Ale musimy mieć coś, czego moglibyśmy się chwycić. Jakiś dowód, że to, co pani mówi, jest prawdą.

- Pieprzcie się! - wypaliła ze złością. - Powinnam wiedzieć, że nie ma sensu prosić was o pomoc.

- Niech się pani postawi na naszym miejscu, panno Borger. Uwierzyłaby pani?

- Wynoście się! Skoro nie zamierzacie mi pomóc, idźcie do diabła! Nie próbowali jej przekonywać i chwilę później byli już na ulicy. Bez większej pomocy z jej strony, naprawdę nie byli w stanie nic zrobić.

- Cóż, bardzo to było interesujące - powiedziała Stacy.- Jak uważasz? Kłamie czy po prostu jej odbiło?

- Część z tego, co mówiła, jest prawdą. Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Która część?

- O kobiecie. - Otworzył auto, ale na razie nie wsiadał. - To była Patti.

Rzuciwszy tę bombę, wsunął się za kierownicę. Stacy wsiadła chwilę później. Zapięła pasy i odwróciła się w jego stronę. Patrzyła na Spencera z niedowierzaniem.

- Jak to: Patti?

- Chciała znaleźć coś, co powiązałoby współlokatorkę Yvette z denatką z parku. Nie mogła zdradzić ciebie, a nie chciała czekać.

- Więc się włamała?

- Tak.

Stacy zamilkła, jakby musiała przetrwać tę informację. Kiedy się

wreszcie odezwała, w jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie.

- Nie mogę uwierzyć, że wzięłeś w tym udział. Jeśli Wydział Wewnętrzny coś zwęszy...
- Nie miałem z tym nic wspólnego. Ciocia Patti nie powiedziała mi, co zamierza.
- Sam zgadłeś.
- Tak. - Uruchomił silnik i ruszył. - Poinformowałem ją, że wiem. Ruchu właściwie nie było. Już po kilku minutach wyjechali z Dzielnicy Francuskiej i przecięli Canal Street. W porze, gdy na starówce panował tłok, nie byłoby to możliwe. Wyjeżdżali na autostradę, gdy Stacy wreszcie się odezwała.
- Znalazła coś?
- Nazwisko dentysty tej współlokatorki. Ale nie masz co się ekscytować. Dentysta miał co prawda przeświecenia, ale nie pasują do naszej ofiary.
- Złamała prawo na darmo.
- Jeśli nie liczyć spokoju ducha.
- Przecież to nonsens, Spencer. Dobrze o tym wiesz.
- Jest kapitanem.
- Ale może wszystko stracić, do cholery! Przez chwilę panowała cisza.
- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytał w końcu.
- Postawiłeś mnie w potwornie niezręcznej sytuacji.
- Przepraszam. W tych okolicznościach uznałem, że muszę ci powiedzieć.
- Nic będę kłamać. Jeśli mnie spytają, powiem to, co wiem.
- W porządku. - Zjechał na Carrollton Avenue i skierował się w stronę rzeki. - Tyle że nikt nie będzie o nic pytał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY

Sobota, 2 kwietnia 2007 r.

6.35

Stacy nie mogła spać. Nie była w stanie odsunąć myśli, które nieustannie snuły się jej po głowie, w koło i w koło, zupełnie jak chomik na swoim kołowrotku. Wciąż wracały wydarzenia ostatniej nocy, sprawy, o których się dowiedziała.

Kapitan Patti O'Shay złamała prawo. Spencer o tym wiedział. Nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, ani wtedy, ani teraz. Trzymał to przed nią w tajemnicy. Tak skutecznie, że nic nie podejrzewała.

Nie potrafiła zdecydować, co nią bardziej wstrząsnęło: fakt, że nic nie zdradził, czy to, że była całkiem nieświadoma jego sekretu. Jak mogła mu ufać? I jak wśród takich sekretów i kłamstw miał się rozwijać ich związek? Prawdziwy związek wymagał bezgranicznej uczciwości, która potem stopniowo prowadziła do bezgranicznego zaufania.

Tak samo było z partnerstwem w policji. Nigdy nie zastanawiasz się, czy partner cię osłania. W momencie gdy zaczynasz się nad tym głowić, jesteś martwy.

Spencer pochrapywał cicho. Dźwięk nie był przykry. Raczej pokrzepiający i dobrze znany.

Przekręciła się na bok i spojrzała na niego uważnie. Nic dziwnego, że żadne z nich nie wiedziało, dokąd zmierzają. Bo i jak?

- Czemu się na mnie gapisz? - spytał, nie otwierając oczu.

- Wcale się nie gapię. Uchylił powieki.

- Kłamczucha.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Śpij. Ja wstaję.

- Wariatka.

Wysunęła się z łóżka i wciągnęła bluzę na bawełnianą

piżamę.

- Stacy?

Zatrzymała się w drzwiach.

- Tak?

- Wyjdź za mnie.

Wpatrywała się w niego oniemiała. Minęło kilka

sekund, nim odzyskała głos.

- Chyba się przestyszałam...

- Nie. Wyjdź za mnie.

Przecież wczoraj wieczorem uznali, że nie wiedzą, dokąd zmierza ich związek.

- Zaskoczyłeś mnie, Spencer. Dlaczego prosisz mnie o to... właśnie teraz?

- Nic wiem. Pomyśl o tym, dobra?

Kiwnęła głową i cicho zamknęła za sobą drzwi. Jak większość

dziewcząt, wyobrażała sobie dzień, gdy ukochany na kolanach

poprosi ją o rękę. W jej marzeniach

były świece, muzyka i obietnica dozgonnej miłości... nie

wspominając już o pierścionku.

W rzeczywistości było „nie wiem”, bluza od dresu

i piżama... Niezbyt to wszystko romantyczne.

Przygotowała kawę i wyszła na ganek po gazetę. Zapowiadał się

wspaniały dzień: niebieskie niebo, obłoki, niewielka wilgotność

powietrza. Co prawda w Nowym Orleanie pogoda mogła się

zmienić w mgnieniu oka.

Kiedy wróciła do środka, kawa już kończyła się parzyć. Spencer

wpatrywał się w ekspres do kawy i dla zachowania równowagi

opierał się o szafkę.

- Wstałeś.

- Nie mogłem się oprzeć, gdy poczułem kawę.

Uniosła brwi. Zadziwiająca. Pozostawione bez odpowiedzi pytanie

nie zdołało podnieść go z łóżka, natomiast świeżo zaparzona kawa

natychmiast pomogła.

To mogło oznaczać tylko jedno: nie czekał na jej odpowiedź z

zapartym tchem. Cóż, ostatecznie chodziło wyłącznie o decyzję

dotyczącą reszty ich życia.

Spencer nalał sobie kawy, posłodził ją, dowlóknął się do stołu i opadł

na krzesło.

- Co masz dzisiaj?

- Razem z Baxterem będziemy jeździć po nieruchomościach z wykazu Gabrielle'a. Sprawdzimy, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Bierzemy ze sobą przewodnika z psem.

Specjalnie szkolone psy potrafiły naprowadzić na ślad wszelkiego rodzaju środków odurzających. Miały tak czuły węch, że były w stanie wskazać miejsca, gdzie przez bardzo krótki okres przechowywano nawet minimalne ilości narkotyków.

- Sprytne posunięcie. - Pociągnął łyk kawy. - Trafiliście na jakiś trop w papierach Gabrielle'a?

- To on był sprytny. Jego terminarz, notes elektroniczny i komputer były czyste. Laboratorium bada jego komórkę.

Przejętny użytkownik telefonu komórkowego nie zdaje sobie sprawy, że jego aparat przechowuje informacje nawet wówczas, gdy zostaną usunięte i wykasowane. Laboratorium elektroniczne, które korzystało ze specjalnie zaprojektowanych programów do odczytywania przechowywanych danych, odgrywało coraz bardziej znaczącą rolę w badaniu spraw kryminalnych. Można było odszukać wszelkie bezcenne informacje: listy adresowe, numery telefonów, pod które dzwoniło, długość rozmów, wiadomości wysłane i otrzymane, a także zdjęcia, filmy czy nawet sygnały dzwonka. Były też programy, które potrafiły odczytać różnorodne języki, na przykład arabski czy chiński.

- Jednak na razie - kontynuowała Stacy - poza słowami barmana nie mamy nic, co łączyłoby go w jakikolwiek sposób z metamfetaminą.

- I faktem, że zabito go przed jego domem - dodał, ziewając. - Chce ci się pójść po bajgle?

- W takiej chwili myślisz o jedzeniu?

- Jestem głodny.

- A właśnie, skoro już zmieniliśmy temat... Pamiętasz jeszcze o tej bombie, którą rzuciłeś na mnie kilka minut temu? O bombie M?

- Owszem. Mam wrażenie, że teraz jest w twoim ogródku.

- Nie uważasz, że powinniśmy o tym porozmawiać?

- Jeśli chcesz. Ale w końcu i tak sprowadza się to do „tak” lub „nie”.

- Doprowadzasz mnie do szalu! - Skrzyżowała ręce aa piersi. -
Psiakrew! Z uśmiechem napił się kawy.

- To już wystarczający powód, żeby powiedzieć „tak”. Nie co dzień masz okazję zgodzić się spędzić resztę życia z kimś, kto doprowadza cię do obłądu.

I tyle pozostało z jej marzeń: zamiast nie posiadać się ze szczęścia, mogła zostać doprowadzona do obłądu. Niektórzy to mają fart. Musiało coś być w wyrazie jej twarzy, bo Spencer spowaźniał.

- Jestem tym, kim jestem, Stacy. Ja również, pomyślała.

- Nie - powiedziała miękko. - Nie wyjdę za ciebie. W jego twarzy nic się nie zmieniło. Po prostu kiwnął głową.

- Chcesz się wyprowadzić?

- A więc o to ci chodziło? Mogłeś mnie zwyczajnie poprosić, żebym się wyniosła.

Zmarszczył czoło.

- Nie dlatego spytałem.

- W takim razie dlaczego? - Uniosła dłoń, żeby go powstrzymać. - I nie mów, że nie wiesz. Nie przyjmuję takiej odpowiedzi.

- Wczoraj rozmawialiśmy o tym, dokąd zmierza nasz związek. Dziś rano pomyślałem, że małżeństwo wydaje się właściwym krokiem.

- Właściwym krokiem?

- Że już czas. No wiesz, żeby...

- Wreszcie się na coś zdecydować? Albo - albo?

- Nie ująłbym tego w ten sposób, ale tak... To wszystko zaczynało wyglądać coraz gorzej.

- Może po prostu się wyprowadzę. - Stacy, nie miałem na myśli...

- Owszem, miałeś. - Zacisnęła usta, próbując zebrać myśli. - Masz rację, Spencer. Może faktycznie powinniśmy uświadomić sobie, że to do niczego nie prowadzi. Nie odpowiedział, Podeszła do drzwi, zatrzymała się i spojrzała przez ramię. Siedział nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad nią. Nie była pewna, czy w ogóle odczuwał żal. Czy tak jak ona miał wrażenie, Że ktoś wetknął rękę do jego piersi i zacisnął dłoń na sercu. Wydawało jej się, że nie. Wypuściła powietrze z płuc. -

Znalezienie mieszkania zajmie mi jakieś dwa tygodnie. Od razu zacznę szukać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Sobota, 28 kwietnia 2007 r.

11.15

Yvette dostarczyła im listę trzydziestu nieruchomości, do których jeździła z klientami Gabrielle'a od początku roku. Na szczęście wszystkie adresy zapisywała w kalendarzu. Marcus Gabrielle z pewnością nie pochwaliby tej praktyki.

Poprzedniego roku odwiedzała inne jeszcze domy, lecz pozbyła się terminarza z 2006 roku i teraz już nie potrafiła przypomnieć sobie tamtych adresów. Siacy miała pełny spis nieruchomości Gabrielle'a, ale zamierzała z niego skorzystać dopiero wówczas, gdyby lista Yvette okazała się nieprzydatna.

Z wdzięcznością przyjęła propozycję partnera, Rene Baxtera, by to on prowadził. Mieli nakazy rewizji, a pracownica z agencji Gabrielle'a zgodziła się im towarzyszyć jako przedstawiciel właścicieli.

Rene jechał za kremową toyotą camry agentki. Buster, ważący trzydzieści cztery kilogramy żółty labrador i jego przewodnik, Bob, podążali za nimi w radiowozie K-9. W całym departamencie tę parę znano jako B&B,

Minęli Poydras Street i skierowali się w stronę starej dzielnicy magazynowej. - Kiedy byłem dzieckiem, cały ten obszar zajmowały

puste magazyny. Wszystko popadało w ruinę. I tylko popatrz. Same luksusowe domy i ekskluzywne kluby. Widziała też restauracje. I galerie sztuki. Wszystko bardzo modne.

- Mieszkanie tutaj - Baxter wskazał dwupiętrowy budynek - może kosztować nawet pół miliona dolarów.

Czy to nie popieprzone?

Rzuciła na nią okiem, kiedy się nie odezwała.

- Jakaś cicha jesteś dzisiaj. - Po prostu zmęczona - skłamała, pochłonięta myślami o zmianach, jakie dziś rano nastąpiły w jej życiu.

- Głodna?

Spojrzała na niego. - A ty co? Gburek, Nieśmiałek czy Mędrzek?

Zaśmiała się z tej aluzji do Królowej Śnieżki i Siedmiu Krasnoludków.

- Wkrótce będę musiał coś zjeść.

- Dopiero zaczęliśmy.

- No tak, ale zaczęliśmy za blisko pory na lunch. Uśmiechnęła się.

Niski, żylasty Rene Baxter pochłaniał

wszystko jak odkurzacz. Nie wiedziała, gdzie to mieścił bo nie miał przecież ani grama nadwagi.

Załatwmy ten i jeszcze jeden, a potem zrobimy przerwę.

- Zgoda. Taco, kurczak czy burgery?

- Myślę, że Bustera ucieszyłoby cokolwiek, ale ja chyba, wybiorę taco.

- Można wywieźć dziewczynę z Teksasu, ale nic da się wykorzystać Teksasu z dziewczyny - zacytował stare powiedzenia.

- Masz rację, partnerze.

Toyota zatrzymała się przed dwupiętrowym budynkiem z cegły.

We frontowym oknie widniał duży napis „Na sprzedaż” ze znakiem agencji Gabrielle'a. René zatrzymał wóz tuż za samochodem agentki.

Buster pociągnął smycz. Najwidoczniej chciał już rozpocząć swoje zadanie. Ostatecznie po to go przecież szkolono. Dla niego była to istota życia.

No to ruszaj, stary, pomyślała Stacy.

Agentka otworzyła drzwi i wszyscy weszli do środka. Stacy

obrzuciła wzrokiem pomieszczenie. Całkiem niedawno musiała tu być restauracja albo klub.

Bob spuścił psa ze smyczy i labrador natychmiast zabrał się do dzieła. Stacy przyglądała się, jak w skupieniu obwąchuje wszystkie kąty. Gdyby znalazł jakiś ślad, natychmiast by go wystawił. Dowiedziała się, że psy robiły to na dwa sposoby: biernie, czyli po prostu siadając, lub agresywnie, drapiąc miejsce, gdzie coś wyczuły.

- Znalazł coś - stwierdził nagle Bob. Niemal w tym samym momencie zwierzę zaczęło drapać miejsce przy wlocie klimatyzatora.

Najwyraźniej Buster wolał metodę agresywną.

Stacy i Rene pospieszyli w tym kierunku. Klimatyzator usytuowany był w korytarzu prowadzącym do toalet. Pokrywa siedziała dość luźno, więc zdjęli ją bez trudu. Stacy ostrożnie wyciągnęła zarośnięty brudem filtr powietrza.

- Światło - zażądała. Wzięła latarkę, którą podał jej Bob i oświetliła niewielką przestrzeń. - Pusto.

- Teraz - zgodził się Bob. - Ale zapewniam was, że przynajmniej raz były tam narkotyki.

- Jak to zrobiłeś? - zaciekał się Rene. - Skąd od razu wiedziałeś, że coś znalazł?

Bob zaśmiał się i podrapał łeb Bustera.

- Chodzi o jego oddech. Słysząc, jak się zmienia. Stacy poczuła, że włączył się wibrator jej komórki.

Odsunęła się od mężczyzn i odebrała. Dzwonił Spencer.

- Cześć - powiedział.

- No cześć.

- Jak wam idzie?

- Całkiem dobrze. Buster właśnie coś znalazł.

- Gdzie jesteś?

- Musiał tu być jakiś superklub. Na South Peters, w Warehouse.

Milczał przez chwilę, więc odchrząknęła, żeby pozbyć się chryпки

- O co chodzi?

- Nie chcę, żebyś się wyprowadzała. Zacisnęła dłoń na komórce.

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

- Wiem. Tylko... chciałem, żebyś o tym wiedziała.

- Dzięki - powiedziała miękko. - Porozmawiamy później.
Zdażyła włożyć telefon do futerału, gdy ponownie zaczął wibrować. Znowu Spencer.

- Hej.

- Jaka była nazwa tego klubu?

- Nie wiem. Nie ma szyldu. Dlaczego?

- Chyba zwykła ciekawość. Spytaj Baxters, czy wie. Rene przez chwilę patrzył na nią z zakłopotaniem, ale zaraz się uśmiechnął.

- "Cosmopolitan" - odparł. - Bardzo popularny przez jakiś rok. Szczycił się barem z lodu.

Kiedy przekazała tę informację, Spencer gwizdnął.

- Klub należał do June, przyjaciółki cioci Patti. I do jej brata Riley'a. Zamknęli go po Katrinie. Nie wiedziałem, że postanowili go sprzedać.

- Z pewnością nie mieli pojęcia, że agent nieruchomości był dilerem narkotyków. Możliwe, że będę musiała zadać im parę pytań. Masz ich numer?

Podał jej numer telefonu i rozłączył się.

Podczas gdy ona rozmawiała ze Spencerem, Buster obwąchał resztę lokalu. Nic więcej nie znalazł.

- Następny adres, co? - spytała Stacy. Nie mogła się doczekać, żeby posunąć się dalej.

Rene widać też na to czekał, bo nawet nie wspomniał o tacy.

Trzy i pół godziny później zdążyli odwiedzić piętnaście z trzydziestu adresów. W każdym z domów Buster znajdował ślad po narkotykach.

Teraz mieli już dowody przeciw Gabrielle'owi. Wykorzystywał wystawione posiadłości w swoich narkotykowych interesach. Schowek zawsze był w tym samym miejscu: otwory wentylacyjne. Całkiem sprytnie to wymyślone, pomyślała Stacy. Agent spotyka się z potencjalnymi klientami. Nie ma obaw, że wizyty obcych ludzi wzbudzą podejrzenia sąsiadów. Po prostu kolejne prezentacje posiadłości. Szkoda, że Gabrielle nie żyje. Zamknięcie go sprawiłoby jej ogromną przyjemność.

Dla Berger z kolei to był prawdziwy pech. W tym momencie była jedynym ogniwem, łączącym ich z interesami Gabrielle'a.

Poszli z Baxterem do baru i pochłaniając meksykańskie dania, postanowili się rozdzielić. Rene miał kontynuować pracę z Busterem i Bobem, natomiast ona miała przesłuchać właścicieli nieruchomości, choć właściwie była to tylko formalność.

Uznała, że zacznie od Bensonów, przyjaciół Patti. Zbiegiem okoliczności do nich właśnie należały trzy nieruchomości z listy Yvette.

Z grzeczności postanowiła poinformować o tym Patti.

- Założę się, że siedzą w galerii - powiedziała kapitan O'Shay. - „Sztuka” na Julia Street. Też tam pojedę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie ma sprawy. Właśnie ruszam.

Kiedy przyjechała na miejsce, Patti czekała w samochodzie. Razem skierowały się do podwójnych szklanych drzwi i weszły do środka.

W tej chwili wystawiano wielkie, dynamicznie namalowane płótna. Przedstawiały bardzo abstrakcyjne w wyrazie portrety i krajobrazy. Jak w innych galeriach, jakie ostatnio odwiedzała - a bywała w nich często, bowiem jej siostra Jane była artystką - wewnątrz było dość skromne, ściany białe, podłogi w stonowanych barwach. W tym przypadku był to pełen rys, poplamiony beton. Nic w tym pomieszczeniu nie mogło odwracać uwagi, przeszkadzać ani zakłócać odbioru sztuki.

June stała za wytwornym biurkiem ustawionym między dwiema salami. Rozmawiała przez telefon. Jej twarz rozjaśniła się na ich widok.

- Muszę kończyć. Oddzwonię później.

- Patti! - krzyknęła, wychodząc zza biurka. - Co za niespodzianka! Uścisnęła Patti, po czym odwróciła się do Stacy z miłym uśmiechem.

- Cieszę się, że cię widzę, Stacy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Ja również.

Kobieta spojrzała z nadzieją na Patti.

- Proszę, powiedz, że chcesz nareszcie trochę ożywić swoje ściany. Powiesić na nich coś innego niż plakaty reklamujące Święto Jazzu i Mardi Gras.

- Tak jakby urzędnika państwowego było stać na prawdziwą

sztukę.

- Mogłybyśmy się dogadać.

- Jestem tego pewna. Ale i tak nie mogłabym sobie na nic pozwolić.

Stacy postanowiła się wtrącić.

- Właściwie przytyłyśmy, aby spytać cię o kilka nieruchomości, które wystawiliście z Rileyem na sprzedaż. Konkretnie o trzy.

W tym momencie z zaplecza wypadł Riley z komórką przy uchu.

- June! Sprzedałem ten obraz... - Kiedy je zobaczył, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Ciociu Patti, jaka miła niespodzianka.

Ucałował jej policzek, po czym odwrócił się do Stacy i wyszczerzył zęby.

- Nic wiedziałem, że jesteś miłośniczką sztuki, Stacy. - Muszę nią być, bo inaczej moja siostra byłaby mocno wkurzona. - Twoja siostra?

- Jane.

Przez chwilę patrzył na nią w osłupieniu.

- Jane Killian jest twoją siostrą? - Myślałam, że wiesz o tym.

Jego twarz przybrała zachwycony wyraz. - Mój Boże, uwielbiam jej prace. Jest genialna! Stacy roześmiała się. Był czas, kiedy taka uwaga bardzo by ją ubodła. Jednak w ciągu dwóch ostatnich lat jej związek z siostrą przeszedł długą drogę.

A wszystko zaczęło się od maniaka, który próbował zabić Jane... I omal mu się udało. - Powtórzę jej twoje słowa. - Czy ma kogoś, kto ją reprezentuje? - Przypominał jej trochę Bustera, wiałki i rozentuzjasmowany, niemal podskakiwał z podekscytowania. - W sobotę wieczorem mamy wernisaż - powiedział, chwytając ją za rękę. - Będę szczęśliwy, jeśli przyjdiesz.

- Riley! - upomniała go June. - Przestań ją kokietować. Jest już zajęta.

- Nie nosi pierścionka - odparł żartobliwie - więc mogę po flirtować.

Uświadomiła sobie, że już po raz drugi w ciągu kilku ostatnich dni słyszy podobną uwagę: nie ma pierścionka, czyli nie ma zobowiązań.

- Przepraszam za nadmierną wylewność mojego brata -

sumitowała się June, patrząc z naganą na Riley'a.

- Nie musisz przeproszać. Ma rację. Faktycznie nie mam pierścionka.

Patti otworzyła usta, natomiast June wydawała się wzburzona.

Stacy chrząknęła zmieszana.

- Wyszło trochę inaczej, niż zamierzałam. Chciałam tylko powiedzieć, że Riley nie robi nic złego.

- Dziękuję ci - powiedział z uroczystym wyrazem twarzy. - To co, przyjdiesz w sobotę?

- To wystawa Shauny, prawda? Spencer i ja będziemy tu razem z całym klanem Malone'ów.

Westchnął teatralnie i puścił jej dłoń.

- Ci Malone'owie dostają wszystko, co najlepsze. Zawsze tak było.

- Och, daj już wreszcie spokój - skarciła go June. - Patti i Stacy przyszły tu służbowo. Pozwól im wykonywać pracę.,

Riley nie przejął się zbyt uwagą siostry. Minę miał wręcz rozradowaną.

- W żadnym razie nie zamierzam stać na drodze wymiarowi sprawiedliwości.

Patti skorzystała z okazji.

- Macie na sprzedaż trzy komercyjne nieruchomości, które wystawia Agencja Nieruchomości Gabrielle'a. Czy to się zgadza?

- Jak najbardziej - odparła June. - Po Katrinie postanowiliśmy pozbyć się niektórych posiadłości. Wszystko było zniszczone przez huragan, straciliśmy najemców, musieliśmy walczyć z towarzystwami ubezpieczeniowymi, zajmować się remontami i wszystkim, co się z tym wiązało.

- Uznaliśmy, że nie są tego warte - wtrącił Riley. - Życie jest za krótkie.

- Dlaczego wybraliście agencję Marcusa Gabrielle'a? Twarz June przybrała niepewny wyraz. - Czytałam o jego zabójstwie. To było okropne. Zastrzelony w taki sposób, przed własnym domem...

- Roztarta ramiona. - Myślałam, że to się już skończyło. Sądziłam, że Katrina czegoś nas wszystkich nauczyła.

Marzenia. Niestety przestępcy nigdy nie zmieniali się na długo. W gruncie rzeczy liczba morderstw znacznie wzrosła, choć zwykle chodziło o porachunki gangów.

June westchnęła. - Był naszym dobrym klientem. Prawdziwy mecenas sztuki. Kiedy postanowiliśmy sprzedać te nieruchomości, uznaliśmy, że możemy mu się zrewanżować.

- Lubiałem go - dodał Riley. - Wydawał się przyzwoitym facetem. Stacy nie wyprowadzała go z błędu, choć uwaga wydała jej się wręcz zabawna. Ten przyzwoity facet zdradzał żonę, znęcał się fizycznie nad swoją kochanką, produkował narkotyki i handlował nimi.

- Czy kiedykolwiek pojawiał się z ludźmi, o których moglibyście powiedzieć, że wyglądali podejrzanie?

- spytała. - Lub których nie spodziewalibyście się zobaczyć w jego towarzystwie?

- Nie - odpowiedziała June. - Zwykle przychodził sam. Albo z żoną. - Z nikim więcej?

- Raz był ze swoją agentką. Jak ona się nazywała? - June spojrzała na brata.

- Trudy - podpowiedział. - Krótkie, siwe włosy. Ta sama, która jeździła z nimi dzisiaj.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała June, jakby nagle ich wizyta i pytania zaczęły budzić jej wątpliwości

- Musimy sprawdzić każdy szczegół - odparła Stacy gładko.

- Macie jakichś podejrzanych? - zainteresował się Riley.

- Pracujemy nad tym.

- Przez te dni często myślałam o jego żonie i dzieciach - mruknęła June. - Taka tragedia.

Rozległ się dzwonek telefonu. Riley przeprosił i poszedł odebrać.

- June, jeśli przyjdzie ci coś do głowy, zadzwoń, proszę.

- Oczywiście. - Odprowadziła je do wyjścia. - Nasze jutrzejsze spotkanie nadal jest aktualne? - upewniła się, patrząc na Patti.

- Jasne. Nadal robisz swoje słynne jajka w koszulkach na szpinaku?

Przytaknęła. W tym momencie zawołał ją Riley.

- Do zobaczenia w sobotę - powiedziała i wróciła do środka.

Kiedy wyszły na popołudniowe słońce, Patti spojrzała na Stacy,

- Powiesz mi, co się dzieje?

- Co masz na myśli? - Ciebie i Spencera.

- Nie się nie dzieje. - Pokłóciliście się? Stacy pokręciła głową.

- Z całym szacunkiem, ciociu Patti. Myślę, że to zbyt osobiste pytanie.

- Nie w rodzinie.

To prawda. W rodzinie Malone'ów nie było mowy o jakichkolwiek sekretach, nie było też głęboko skrywanych urazów. Wyjawiano wszystko i właściwie... wobec wszystkich.

- Nie kłócimy się - powiedziała. - Jednak postanowiłam poszukać mieszkania.

- A więc w końcu do tego doszło. Wszyscy mówiliśmy mu, że tak będzie, jeśli nie powie wyraźnie, jak widzi waszą przyszłość.

Ostrzegaliśmy go, że cię straci.

Cóż, to wyjaśniało jego oświadczenia. Naciski rodziny. Postawili go pod ścianą.

- Źle to zrozumiałaś, Patti. Prosił mnie, żebym za niego wyszła, ale odmówiłam.

Patti spojrzała na nią zmieszana.

- Ale wy...

- On mnie nie kocha - powiedziała Stacy cicho. - A ja chcę kogoś, kto będzie mnie kochał. Myślę, że na to zasługuję.

Komórka Patti przerwała tę rozmowę. Patti rzuciła Stacy przeproszające spojrzenie i odebrała telefon.

- Kapitan O'Shay. Stacy widziała, jak rysy Patti wyostają się.

- Dziękuję za informację. Zaraz tam jadę. Zamknęła z trzaskiem telefon i spojrzała na Stacy.

- To była Alison Mackenzie z laboratorium antropologii sądowej. Rekonstrukcja twarzy kobiety z parku jest gotowa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sobota, 28 kwietnia 2007 r.

20.45

Yvette przysłała do pracy, kipiąc z oburzeniu. Oczywiście detektywi Malone i Killian nie uwierzyli jej. Gdyby tę samą historię opowiedziała im nauczycielka, pielęgniarka lub bibliotekarka, skwapliwie by jej wysłuchali. Ale striptizerka? O nie, ona musiała przedstawić im dowody.

Typowe gliny.

Co jej przyszło do głowy, żeby się do nich zwracać?

Skąd wziął się pomysł, że ją ochronią? Czy gliny albo ktokolwiek inny kiedykolwiek jej

pomógł?

Człowiek, który nazywał siebie Artystą, zabił Marcusa. Miał obsesję na jej punkcie, kilka razy był w jej mieszkaniu. A Marcusa zabił dla niej.

Miała dowód, którego chcieli detektywi Malone i Killian.

Nie wiedziała, czemu nagle stało się to dla niej takie ważne, żeby jej uwierzyli, ale tak właśnie było. Tonia wsunęła głowę do garderoby Yvette. - Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Yvette uśmiechnęła się smutno.

- Nie odezwał się ponownie, jeśli to cię martwi.

- Tutaj też nie przychodził, ale mam się na baczności. Jeśli się dzisiaj pokaże, na pewno będę o tym wiedziała.

- W razie czego, daj mi natychmiast znać. Tonia skinęła głową.

- Zastanawiałam się nad tym i wydaje mi się, że kiedyś już go widziałam. Jeszcze przed huraganem.

Yvette zaczęła pracować w „Hustle” po Katrinie. „Hustle” był jednym z pierwszych klubów, które otworzono. Potrzebowali tancerek, a dla niej był to spory awans.

- Podobała mu się wtedy inna dziewczyna - kontynuowała Tonia.

Yvette poczuła, że w jej gardle rośnie gęsia skórka.

- Kto taki?

- Jessica Skye. Miała duże powodzenie. Blondynka o niebieskich oczach i wspaniałej figurze.

Yvette nagie zrobiło się zimno. Roztarła ramiona.

- Gdzie jest teraz?

- Odeszła. Ewakuowała się tuż przed huraganem.

- Wspominała kiedyś, że jakiś facet ją prześladował?

- Nigdy.

Tonią podeszła do drzwi.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli się pojawi? - spytała.

- Nie wiem. Z pewnością dobrze mu się przyjrę.

- W jego wyglądzie właściwie nie ma nic przerażającego. Raczej przysadzisty, niewysoki, w grubych, niezbyt twarzowych okularach. Trochę przypomina głównego bohatera „Tajemnic Smallville”, Clarka Kenta lub Petera Parkera, zanim stał się Spidermanem.

Yvette podziękowała jej skinieniem głowy. Kiedy została sama, odwróciła się do lustra i skończyła nakładać makijaż.

Tylko dwie dziewczyny, Autumn i Gia, pracowały w „Hustle” jeszcze przed Katrینą. Przyszło jej do głowy, że mogą pamiętać Jessicę. Ciekawe, czy mówiła im o wielbicielu, który nazywał siebie Artystą?

Wiedziała, że obie będą dzisiaj w klubie, postanowiła więc, że porozmawia z nimi przed końcem pracy.

Wieczór zdawał się ciągnąć bez końca. Yvette zaczęła rozumieć, co to znaczy siedzieć jak na szpilkach. Nerwy miała napięte do ostatnich granic, gdy czekała na sygnał Toni, że mężczyzna się pojawił. Nie przestawała o nim myśleć. Czy ją obserwował? Może planował następny ruch? Podniecał się, czując jej strach?

Sygnał jednak nie nadszedł. Czuła ulgę, choć jednocześnie była rozczarowana. Pragnęła go zobaczyć, spojrzeć mu w oczy i dowiedzieć się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi.

Cóż, dzisiaj będzie musiała zadowolić się rozmową z Gią i Autumn. Już po wyjściu gości zauważyła Gię przy barze.

Yvette usiadła na stołku obok.

- Cześć, Gia.

- Witaj, Vette - odpowiedziała kobieta. Miała miękki, głęboki głos i lekko przeciągała samogłoski. - Miałaś udany wieczór?

- Może nie najlepszy, ale da się wytrzymać. A ty?

- Tak samo. Pokryje część moich wydatków - odparła. - Chciałam cię spytać o dziewczynę, która tu tańczyła przed Katriną. Jessica Skye. Pamiętasz ją? - Jasne. Jess była śliczniutka. - Miałaś od niej jakieś wiadomości?

- Nie. Wyjechała przed huraganem. Potem straciłam z nią kontakt - Gia zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno. - Dlaczego?

- Dostaję listy od gościa, który podpisuje się Artysta. Tonia sądzi, że kiedyś często prosił o Jessicę.

- Tonia tak mówi? Skinęła głową.

- Byłam ciekawa, czy ona również dostawała podobne listy.

- Nigdy mi o nim nie mówiła. Nie znałyśmy się aż tak dobrze.

- Nie wspominała, że ktoś ją prześladowuje, obserwuje czy coś w tym stylu?

- Nie.

- Miała chłopaka?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Trudno o prawdziwy związek, gdy robi się to, co my. - Gia ostatni raz zaciągnęła się papierosem, dokończyła koktajl i podniosła się. - Jestem wykończona. Do zobaczenia jutro.

- Autumn jeszcze jest? - zatrzymała ją Yvette.

- Już wyszła. - Dziewczyna zmarszczyła czoło i pochyliła się do niej. - Chcesz mojej rady?

Yvette spojrzała jej w oczy i skinęła głową.

- Nie mam za grosz zaufania do Toni. Myśli tylko o sobie. Zawsze. Jeszcze długo po odejściu koleżanki siedziała przy barze ze swoim drinkiem. Słowa Gii odbijały się echem w jej głowie.

Nie mam za grosz zaufania do Toni. Trudno o prawdziwy związek, gdy robi się to, co my.

Nie chodziło wyłącznie o romantyczne związki, lecz o każde. Nie miała przyjaciół. W każdym razie nie takich prawdziwych. Takich, którym się ufa i którzy potrafią cię zrozumieć. Nie miała rodziny. Ani chłopaka.

Pomyślała o Marcusie i zachciało jej się śmiać. Między nimi nie było uczucia, nie darzyli się szacunkiem. Ją podniecały jego pieniądze, dla niego liczył się wyłącznie seks. Tak to mniej więcej

wyglądało.

Faceci, z którymi się spotykała, albo już byli i kimś związani i chcieli tylko skoczyć w bok, albo byli świrnięci jak ten Artysta. A gdyby nawet wstąpił tu jakiś zwykły chłopak, nie zainteresowałby się kimś takim jak ona.

„Czym zajmuje się twoja dziewczyna? Jest tancerką w klubie.” Tylko jakąś kanalię mogło to napawać dumą albo co gorsza podniecać. Musiałby być wrednym typem lub wręcz alfonssem, gdyby to pochwalał.

Jak na kobietę, która zarabiała na życie, potrząsając cyckami i kręcąc tyłkiem, miała dość konserwatywne spojrzenie na miłość. I w tym tkwił cały problem.

Możliwe, że nie tylko ona tak na to patrzyła. Dziewczyny co prawda nie miały konwencjonalnej pracy, ale pragnęły żyć, a także kochać, jak wszyscy inni.

Tonią usiadła na stołku obok.

- Rozmawiałaś z Gią.

To wcale nie było pytanie, ale i tak odpowiedziała:

- Tak. Pamięta Jessicę, jednak Jessica nie wspominała ani o Artyście, ani o żadnych dziwnych listach.

- A Autumn?

- Nie zdążyłam jej spytać.

- Jutro też będzie tańczyć. - Tonia podniosła się. - Chodź, podrzucę cię do domu.

Yvette zawahała się.

Nie mam za grosz zaufania do Toni...

Otworzyła usta, żeby spytać, czemu jest dla niej taka miła, ale zaraz je zamknęła. Nie miała wyjścia. Musiała komuś zaufać, a nikogo innego nie było.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

DRUGI

Niedziela, 29 kwietnia 2007

Południe

Yvette nie spała dobrze. Przewracała się i kręciła, dręczona przez koszmarne sny o pozbawionych twarzy kobietach, które w popłochu przed czymś uciekały. Za każdym razem, gdy już nie było gdzie uciekać, uświadamiała sobie, że to ona jest tą kobietą i zaraz umrze.

Przez ciemne niebo przetoczył się grzmot. Jeszcze długo przed nastaniem świtu rozpadało się. Taka pogoda z pewnością nie mogła poprawić jej nastroju.

Rozległ się dzwonek domofonu.

- To ja, Tonia - usłyszała. Głos kobiety wyraźnie drżał. - Mogę wejść?

- Już cię wpuszczam.

Tonia była zdyszana i mokra. Do piersi przyciskała gazetę.

- Masz coś do picia?

- Sok czy ka...

- Coś mocniejszego. Na przykład Krwawą Mary.

- Nie mam soku pomidorowego. Może być wódka z sokiem pomarańczowym?

Tonia opadła na kuchenne krzesło.

- Oby było mocne.

Yvette szybko naląła wódki do szklanki z sokiem. Postawiła drinka przed Tonia i usiadła naprzeciwko. Kobieta podniosła szklankę, duszkiem wypić połowę, po czym ostrożnie położyła na stole gazetę, odwracając ją w stronę Yvette.

Był to dodatek miejski. Patrzyła na dziennik, nie rozumiejąc, co Tonia chce jej pokazać.

Tonia sięgnęła ręką przez stół i stuknęła palcem w gazetę.

- To ona. Jessica. Dziewczyna, o której ci mówiłam. Yvette

przyjrzała się fotografii. To nie było zdjęcie, tylko stworzona przez policyjnego plastyka rzeźba w glinie. Przebiegła wzrokiem notatkę, w której opisywano kobietę. Policja próbowała zidentyfikować nieznaną ofiarę i zwracała się do obywateli z prośbą o pomoc.

Z trudem oderwała wzrok od gazety i podniosła oczy na Tonie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. To zdjęcie napędziło mi potężnego stracha.

- Ale to znaczy, że ona...

- Nie żyje. - Tonia dopiła drinka i wyciągnęła pustą szklanekę. -

Masz coś przeciwko temu, że to powtórzę?

Yvette machnęła ręką na znak przyzwolenia. Najwyraźniej nie była to dziś pierwsza wódka Toni. Czy zawsze tyle pije, czy tylko dlatego, że jest taka roztrzęsiona? - zastanawiała się Yvette.

Tonia przygotowała drinka i spojrzała na Yvette.

- To nie wszystko. Musiała zostać zamordowana, bo inaczej nie prosiłoby o pomoc przy identyfikacji.

Yvette wpatrywała się w nią przez chwilę. Powoli docierało do niej, co Tonia chce powiedzieć.

- O mój Boże. Chyba nie myślisz, że... to Artysta ją zabił?

- Może tak być. Podobała mu się. Potem zniknęła. No a ty uważasz, że zabił Marcusa.

Zrobiło jej się niedobrze.

- Jesteś pewna, że to ona? Tonia skinęła głową.

- Przeczytaj ten opis. Pasuje do niej jak ulał. Wiek, wzrost...

- Przecież mnóstwo kobiet...

- Nie. Spójrz na to. Jessica miała niesamowicie krzywe zęby. Z ich powodu rzadko się uśmiechała. Tutaj o tym piszą.

Tonia piła drinka ze skupionym wyrazem twarzy. - Była piękna, tylko te zęby... Myślała nawet o aparacie ortodontycznym, tylko bała się, że to odstraszy facetów.

Yvette odsunęła gazetę. Nie mogła ani chwili dłużej patrzeć na rekonstrukcję twarzy dziewczyny. Nagle uświadomiła sobie, że się trzęsie. I potwornie boi. Co teraz zrobimy? Pójdziemy na policję? - spytała.

Ledwie skończyła mówić, przyszło jej do głowy, że słowo kogoś takiego jak Tonia może nie wystarczyć, aby ich przekonać.

Odpowiedź Toni zdawała się potwierdzać jej obawy. Musimy znaleźć dowód, że ten świr, który pisze listy do ciebie, pisał także do Jess. - Jak to zrobimy? - Ty dziś porozmawiasz z Autumn, a ja trochę powęszę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Sobota, 5 maja 2007 r.

20.25

To był wyjątkowo spokojny tydzień. Na szczęście. Żadnych listów ani przesyłek od Artysty. Żadnych tajemniczych kobiet podających się za czyjąś matkę, kradnących klucze i włamujących się do mieszkania.

Yvette zastanawiała się, czy Artysty nie wystraszyła rekonstrukcja zamieszczona w gazecie. Jeśli faktycznie zamordował Jessicę Skye, informacja, że odnaleziono jej szczątki i policja prowadzi dochodzenie, mogła go przestraszyć.

Nie znaczyło to, że przestała się mieć na baczności, ale nieco się odprężyła.

Udało jej się porozmawiać z Autumn. Tancerka pamiętała Jess, ale tak jak Gia, nie przypominała sobie, by dziewczyna wspominała o dziwnym wielbicielu, o tym, że czuje się zagrożona lub zaniepokojona.

Od czasu Katriny Autumn nie miała od koleżanki żadnych wiadomości, ale zakładała, że Jessica opuściła miasto, zanim

huragan uderzył. Jak prawie wszyscy mieszkańcy Nowego Orleanu.

Yvette pokazała jej wizerunek w gazecie, ale Autumn wcale nie była przekonana, że to Jessica. Opis co prawda się zgadzał, jednak jej zdaniem Jess była znacznie ładniejsza.

Tego wieczoru Yvette przyrzekła sobie, że nie będzie myśleć o Artyście. Wzięła dziś wcześniejszą zmianę, aby mieć wolny wieczór. To była ostatnia w tym sezonie Noc Sztuki, kiedy wszystkie galerie jednocześnie otwierały swoje podwoje dla miłośników sztuki, którzy popijając wino i jedząc sery, mogli wędrować od wystawy do wystawy.

Yvette uwielbiała te artystyczne wieczory, różnorodność tłumu, w którym byli młodzi i starzy, bogaci i biedni, konserwatywni i całkiem zwariowani, a także tacy, którzy nie mieścili się w żadnej kategorii. Łączyło ich jedynie zamiłowanie do sztuki.

Podniecało ją to, że mogła popijać wino z obcymi ludźmi i udawać kogoś, kim nie była... Kogoś wyrafinowanego i eleganckiego.

Wyszła z galerii „1-1-1” i ruszyła w kierunku „Sztuki”.

Towarzyszyło jej dwoje ludzi, z którymi gawędziła, zwiedzając poprzednią wystawę, na której wystawiono inspirowane Katriną monochromatyczne zdjęcia. Zdawała sobie sprawę, że wypiła za dużo. W głowie przyjemnie jej szumiało, a nogi same ją niosły.

Rozstała się ze swoimi towarzyszami i weszła do galerii.

Wystawa Shauny M.

Obrazy były duże, śmiałe, pełne życia. Z miejsca postanowiła, że jeden z nich kupi. Niestety będzie musiała zdecydować się na mniejszy format, bo zwyczajnie zaczynało jej brakować miejsca na ścianach.

W głębi sali dostrzegła malarkę. Łatwo można było ją rozpoznać, bowiem stała otoczona przez wielbicieli. Była śliczną, drobną kobietą o ciemnych włosach i radosnym uśmiechu. Wydawała się niewiele od niej starsza. Yvette poczuła ukłucie zazdrości. Kiedyś też dużo rysowała. Wtedy, gdy powinna skupić się na lekcji. Gdy rodzice zostawiali ją samą. Po wypadku mamy, żeby zapomnieć o smutku... i strachu.

Marzyła, że któregoś dnia zostanie artystką.

Postąpiłaby głupio, gdyby próbowała na przekór wszystkiemu

realizować to marzenie. Nie miała talentu. Jej rysunki były zaledwie trochę lepsze od dziecięcych gryzmołów. Tak właśnie powiedział ojciec, gdy postanowiła mu się zwierzyć ze swych aspiracji. Twierdził, że lepiej powiedzieć brutalną prawdę, by zaoszczędzić córce późniejszych rozczarowań.

To wspomnienie wciąż było bolesne. Z jaką pogardą to mówił, jaki był rozbawiony. Jeszcze przez kilka dobrych lat dokuczał jej z tego powodu.

Przełknęła nerwowo ślinę i podniosła wzrok na mężczyznę, który stał obok Shauny, obejmując ją zaborczym gestem. Był niesamowicie przystojny, ciemnowłosy i ciemnooki, o surowych, jakby rzeźbionych rysach. Mogłaby się założyć, że też jest artystą. Miał to wypisane na twarzy.

Zdała sobie sprawę, że pragnie takiego życia. Chciałaby stać się taką Shauną, mieć to co ona: wystawę, uznanie, atrakcyjnego faceta.

Towarzysz malarki nagle odwrócił głowę. Miała wrażenie, że specjalnie skierował na nią swoje ciemne oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie. Yvette poczuła, że się czerwieni. Jakby odczytując jej myśli, mężczyzna uśmiechnął się kpiąco. Zażenowana odwróciła się gwałtownie, udając, że kogoś szuka. Dostrzegła bar i pospiesznie ruszyła w tamtą stronę. Była w połowie drogi, gdy dobiegł ją znajomy głos.

Detektyw Killian.

Zatrzymała się i spojrzała w kierunku, skąd dochodził. Kobieta stała kilka metrów od niej. Razem z nią był detektyw Malone. Wyglądało na to, że podziwiają jeden z obrazów. Wyglądało... Czy możliwe, że ją śledzili? Tylko po co mieliby to robić?

Przyjrzała się im uważniej. Stali blisko siebie, za blisko jak na kolegów z pracy. W pewnym momencie Malone poufałym gestem objął Killian w talii.

Są parą, uświadomiła sobie raptem. Zresztą jeśli o nią chodziło, mogli być nawet małżeństwem.

Mogli...

Wszystko, co Brandi mówiła, było kłamstwem.

Cała przyjemność, jaką sprawiał jej ten wieczór, wyparowała.

Niech to diabli porwą. Musiała stąd wyjść. Wypije drinka tam,

gdzie nie będzie się wyróżniać. Wśród ludzi podobnych do siebie. Zawróciła i omal nie wpadła na czarnowłosego mężczyznę, który towarzyszył Shaunie. Chwycił ją za ramiona, pomagając zachować równowagę.

- Prrr! Przepraszam.

- To moja wina. Przepraszam.

Uśmiechnął się, odsłaniając piękne, idealnie równe białe zęby. Mimo woli pomyślała o Jessice Skye. Z powodu zębów rzadko kiedy się uśmiechała.

- Rich Ruston - przedstawił się, podając jej rękę. Ucisnęła jego dłoń.

- Yvette Borger.

- Podoba się pani wystawa?

- Bardzo. - Postanowiła zlekceważyć trzepotanie, jakie czuła w żołądku. - Jest pan przyjacielem malarki? - spytała.

- Owszem. A pani?

- Tylko miłośniczką sztuki.

- Nie artystką?

Po krótkim wahaniu przyznała, że nie, chociaż z całego serca pragnęła przytaknąć.

- Ale pan jest.

- Zgadza się. - Znów się uśmiechnął. - Skąd pani wie?

- Po prostu wiem.

- Mogę przynieść pani kieliszek wina?

- Dziękuję. Poproszę białe.

Chwilę później wrócił z dwiema plastikowymi szklaneczkami z czerwonym i białym winem. Upiła łyk.

- Chce pani zobaczyć mój ulubiony obraz? - spytał.

Poprowadził ją w głąb galerii. Szła niepewnym krokiem. Całą uwagę skupiała na tym, żeby stawiać jedną nogę przed drugą. Ile kieliszków już wypiła?

Kiedy stanęli przed niewielkim płótnem, wypiła łyk wina, potem jeszcze jeden. Ktoś ją potracił i wino chlupnęło ponad brzegiem szklanki.

Odwróciła się i zamrugła z niedowierzaniem.

Za nią stała kobieta, która twierdziła, że jest jej matką. A także

matką Nancy. Kobieta, która posłużyła się kłamstwem, aby dostać się do jej mieszkania.

- ...to klejnot - mówił mężczyzna. - Przejmujący i bardzo prawdziwy.

Zakreśliło się jej w głowie. Patrzyła, jak kobieta podchodzi do Malone'a i Killian, jak ściskają się na powitanie.

Ściskają się?

Co tu się dzieje? Jakaś zmowa glin? Postanowili się z nią zabawić?

- Co się stało? - zaniepokoił się Rich. Gdy się zachwiała, ujął ją pod łokieć. - Nic pani nie jest?

- Ta kobieta - wykrztusiła. - Rozpoznaję... Podniosła rękę do czoła.

- Yvette? Czy pani... Może powinna pani u...

- Dob... chyba trochę za dużo wi...

Szum w głowie zmienił się w ryk. Nogi się pod nią ugięły i nagle całkiem odmówiły posłuszeństwa. Wokół niej zapanowała ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Sobota, 5 maja 2007 r.

21.00

Kiedy Yvette odzyskała przytomność, leżała na podłodze, a nad nią stało kilka osób. Zmieszana, zamrugła powiekami. Wcześniej rozmawiała z tym uroczym facetem... Rich... Zobaczyła kobietę...

tę, która...

- Yvette? Dobrze się pani czuje?

To pytanie zadał detektyw Malone. Spróbowała skupić na nim wzrok. Teraz już widziała lepiej. Obok niego przyklekła detektyw Killian.

Nie odpowiedziała, przesuwając spojrzeniem po twarzach zgromadzonych osób. Nie było wśród nich Richa. Ani tamtej kobiety.

- Zemdlała pani - powiedział policjant.

- Widziałam ją - odezwała się. - Była tutaj. - Kto?

- Kobieta, która włamała się do mojego mieszkania. Detektywi wymienili spojrzenia, po czym odwrócili się do sympatycznie wyglądającej kobiety.

- June, trzeba dopuścić do niej więcej powietrza.

June skinęła głową i szybko zabrała ludzi, którzy stali wokół.

- Była tutaj - powtórzyła Yvette, próbując usiąść,

- Pozwalacie, żeby...

Nagle przypomniała sobie, jak kobieta obejmowała detektywów.

- Wy ją znacie!

- Proszę się uspokoić...

- Witaliście się z nią! - Z wielkim trudem podniosła się na nogi.

Czuła się trochę zamroczone. - To jakaś chora policyjna gra? - podniosła głos. Uświadomiła sobie, że bluzka i spodnie są mokre. Najwidoczniej kiedy straciła przytomność, wylała na siebie resztę wina.

Detektyw Killian zrobiła krok w jej stronę, wyciągając uspokajająco rękę.

- Spokojnie, Yvette. Przeżyłaś szok.

- Masz cholerną rację! - Cofnęła się. - Zostawcie mnie, oszuści! Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak wariatka, ale mało ją to obchodziło.

Kobieta, do której zwracali się June, położyła dłoń na ramieniu policjantki.

- Denerwujecie ją jeszcze bardziej - powiedziała miękko. -

Pozwólcie, że ja się tym zajmę.

Odsunęli się, a wtedy podeszła do Yvette.

- Nazywam się June Benson. To mój brat Riley.

- Wskazała wysokiego mężczyznę o kręconych włosach.
- Jesteśmy właścicielami tej galerii. Czy mogę jakoś pani pomóc?
Yvette dopiero teraz zdała sobie sprawę z liczby osób, które nadal były w galerii. Ze spojrzeń, jakie rzucali w jej stronę. Z przerażonej miny artystki...

Poczuła, że robi się jej gorąco.

- Niech pani trzyma ich z dala ode mnie. Proszę.

- Zrobione. - Uśmiechnęła się pokrzepiająco. - Może szklanke wody albo colę?

- Dziękuję. To może poproszę colę.

June Benson poprowadziła ją na zaplecze. Prawdopodobnie był to pokój dla pracowników.

- Proszę, niech pani usiądzie.

Yvette z wdzięcznością przyjęła zaproszenie.

- Już lepiej? Skinęła głową.

- Zdarzyło się pani zemdlec kiedyś wcześniej?

- Nie, ja... Nie.

- Przychodzi pani do głowy, czemu dziś straciła pani przytomność?

Yvette zmarszczyła czoło z namysłem.

- Przypuszczalnie wypiałam za dużo wina, ale... nigdy wcześniej...

- Jadła pani coś?

- Całkiem sporo. Ser i krakersy po drodze. Płatki przed wyjściem z domu.

- Co pani robiła, zanim straciła przytomność?

- Rozmawiałam z Richem Rustonem. Przyniósł mi wino.

- Naprawdę? - Teraz June zmarszczyła brwi. - Mógł coś do niego dodać?

- Chyba mógł, tylko po co...

Idiotka. Przecież wiedziała, po co. Tabletką gwałtu. Była łatwym celem. Samotna kobieta, już wstawiona.

Skąd przyszło jej do głowy, że na wernisazu będzie bezpieczniej niż w barze?

W drzwiach stanął Riley Benson. Miał zaniepokojoną minę.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję. Przepraszam, że narobiłam tyle zamieszania.

- Nie przejmuj się. To nie twoja wina. - Przeniósł spojrzenie na June. - Pyta o ciebie Neli Nolan z „Ti-mes-Picayune”. Chce z tobą rozmawiać.

- Neli Nolan? Redaktorka kroniki towarzyskiej?

- Ta sama. Z fotografem.

- Czy nie możesz...

- To, co ty mówisz, jest bardziej chwytliwe. - Kiedy się zaważała, ponaglił ją gestem. - Ja zostanę.

Zgodziła się, choć nie wyglądała na zachwyconą.

- Niedługo wrócę. Proszę wypić tę colę. Cukier powinien pomóc.

- Jest słodka - powiedziała Yvette po wyjściu June.

- Jak cukierek - odparł, choć po jego tonie można było poznać, że się z tym nie zgadza. Bez wątpienia starsza siostra umiała odpowiednio przycisnąć braciszka, gdy uważała, że musi przywołać go do porządku.

- Powinnam iść - zdecydowała. - Czuję się już całkiem dobrze.

- Wypij najpierw colę. Przez ten czas trochę się tam rozluźni.

A co za tym idzie, nie będą się na nią gapić.

Łzy zakręciły się jej w oczach ze wzruszenia, że traktuje ją tak uprzejmie. Zdawała sobie sprawę, że głupio jest się tak roztkliwiać. Tyle że ludzie rzadko byli dla niej tacy mili.

- Podobał ci się wernisaż?

- Tak. Przynajmniej to, co zdążyłam zobaczyć.

- Shauna jest moją przyjaciółką. Znam ją od dzieciństwa.

Naprawdę ma talent.

Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć, więc zajęła się coca-colą.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem tancerką.

- Super. - Uśmiechnął się, a wtedy uznała, że ma najpiękniejszy uśmiech, jaki widziała. Ciepły. Uroczy.

A na prawym policzku robił mu się dołeczek. - Mówią, że wszystkie dziedziny sztuki są ze sobą związane. Pisarstwo, muzyka, taniec, sztuki plastyczne.

- Kiedyś bardzo lubiłam rysować.

- No proszę.

Nie miała serca wyjaśnić, że jej twórczość wymaga rozbierania się.

Nie było sensu niszczyć jego wyobrażeń.

- Zrobiło się dość cicho - mruknęła.
- Już sprawdzam. - Podeszedł do drzwi, zajrzał do galerii i uśmiechnął się szeroko. - Zaledwie kilku maruderów. A Neli patrzy w przeciwnym kierunku.
Oddała mu uśmiech i podniosła się z krzesła.

- Dzięki.
- Odprowadzę cię do samochodu.
- Przyjechałam taksówką.
- W takim razie odwiozę cię do domu.
- Już wystarczająco dużo czasu wam zajęłam.
- To żaden kłopot. Bądź co bądź omal nie umarłaś w mojej galerii.
Roześmiała się.

- Skoro nalegasz. Ale to naprawdę nie jest...
- Nalegam.
Wyszli do sali wystawowej. June stała z Shauną i wysokim chudym mężczyzną z hiszpańską bródką, który w ręku trzymał notes.

Shauna, widząc ich, przeprosiła rozmówców.
- Już dobrze? - uśmiechnęła się. Yvette poczuła, że się czerwieni.
- Tak, w porządku. Przepraszam, że zakłóciłam pani wernisaż. Nie rozumiem, co mi się stało.

Uśmiech malarki wydawał się trochę sztuczny.
- Przecież to nie pani wina.
- A skoro już rozmawiamy... Bardzo podobają mi się pani prace. Są wspaniałe.

- Dziękuję. Jestem...
- Shauna? - June podeszła do nich. - Może od-prowadzisz Roberta? Pewno ma jeszcze jakieś pytania.
- To krytyk sztuki z „Times-Picayue” - wyjaśniła June, gdy Shauna odeszła. Spojrzała uważnie na Yvette. - Czuje się pani lepiej?
- Już tak - odparł za nią Riley. - Jest bez samochodu, więc odwiozę ją do domu.

Czoło kobiety zmarszczyło się nieznacznie. Yvette pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Nie chcę już sprawiać kłó...
- To żaden kłopot - przerwał jej Riley. - Kłopotem byłoby czekanie przez godzinę na taksówkę. Tak już jest w Nowym Orleanie po

Katrinie.

June się nie odezwała, choć widać było, że taki rozwój wydarzeń wcale jej nie odpowiada. Yvette podziękowała jeszcze raz i wyszła razem z Rileyem.

Przeszli na mały prywatny parking po drugiej stronie ulicy. Riley pilotem otworzył bramę i poprowadził Yvette do wytworzonego czarnego nissana infiniti. Pomógł jej wsiąść, po czym usiadł za kierownicą.

- Dokąd jedziemy?

- Niedaleko. Róg Dauphine i Governor Nicholls. W Dzielnicy Francuskiej. Widząc jego rozczerowaną minę, ściągnęła brwi. - Co się stało?

- Miałem nadzieję, że mieszkasz po drugiej stronie miasta.

Postanowiła zignorować uczucie ciepła, jakie ją ogarnęło.

- Twoja siostra nie była zachwycona, że chcesz mnie odwiedzić.

Widziałam to po jej minie.

- Przywykła mnie chronić.

- Uważa, że trzeba chronić cię przede mną? Roześmiał się.

- No tak, masz rację. Powinienem raczej powiedzieć, że jest nadopiekuńcza.

- A przy tym bardzo miła. - Odchyliła się na oparcie. Skórzane fotele były naprawdę luksusowe.

- Między nami jest piętnaście lat różnicy. Zanim skończyłem szesnaście lat, nasi rodzice zmarli i od tego czasu zajmowała się moim wychowaniem. Ma prawo być nadopiekuńcza.

- Sądzę, że tak.

- Jesteś głodna?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chyba tak.

- „Grill Camellii” jest długo otwarty.

Zgodziła się z ochotą i dziesięć minut później siedzieli już w łóży baru, przeglądając menu.

- Shauna była na mnie zła - powiedziała Yvette, gdy złożyli zamówienie.

- Nieprawda.

- Skąd możesz wiedzieć? Wyglądała, jakby...

- Była trochę wkurzona, ale nie na ciebie, tylko na swojego

chłopaka. To ten facet, z którym rozmawiałaś, zanim straciłaś przytomność.

- Rich?

- Tak, Rich.

Z jego tonu wynikało, że nie ma zbyt dobrej opinii o partnerze Shauny. Na chwilę zapadło milczenie. W końcu przerwała je Yvette.

- To on do mnie podszedł. Ja się do niego nie zbliżałam.

- Wiem. Widziałem.

Patrzyła w kawę, zastanawiając się, czy widział również, z jaką zazdrością patrzyła na Shaunę. Jak bardzo pragnęła mieć to wszystko, co ona.

- Nie zrobiłaś nic złego - powiedział miękko, przerywając milczenie.

- Wiedziałam, że jest z nią, a mimo to pozwoliłam mu przynieść wino i...

- To bydlak. Yvette. Nie jest sympatycznym facetem. Mówiłem to Shaunie, a dziś sama się o tym przekonała.

- Przepraszam.

- Za co? - Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem. - Często to powtarzasz.

- Bo mam powód. - Nieprawda. Przykro mi też z jej powodu. - Sięgnęła po wodę. - Znam to z własnego doświadczenia. Wiem, jak to boli.

Znów zapadła cisza. Yvette popijała wodę, natomiast Riley zapatrzył się w okno.

- O czym wtedy mówiłaś? Do Spencera i Stacy?

- Do kogo?

- Do detektywów. Spencera Malone'a i Stacy Killian.

- Znasz ich?

- Jasne. To starzy przyjaciele. W każdym razie Spencer. Jest bratem Shauny. Wszystko jasne. Wspaniale.

- A skąd ty ich znasz?

- Człowiek, którego znałam, został zamordowany. Przesłuchiwali mnie.

- W sprawie morderstwa? - Uniósł brwi. - Chyba nie myślą, że ty miałaś z tym...

- Coś wspólnego? - Pokręciła głową. - Nie, nic w tym stylu. Czasami prezentowałam w jego imieniu nieruchomości Chcieli poznać nazwiska współników i takie tam.
- Mówisz o Marcusie Gabrielle'u, mam rację? Czują, że krew odpływa jej z twarzy.
- Skąd wiesz?
- Mnie i June także o niego pytali. Gabrielle miał w twoim wykazie kilka naszych posiadłości. Znalіśmy go, bo był jednym z naszych klientów.
- Małe miasto.
- A od czasu huraganu znacznie mniejsze. Kelnerka podała im wielkie porcje przysmażanych ziemniaków z cebulą, papryką i zapieczonym serem. Riley zamówił dodatkowo dwa jajka sadzone i grzankę.
- Więc o co właściwie chodziło? - spytał, gdy zaczęli jeść. - W galerii mówiłaś, że zobaczyłaś kobietę, która włamała się do twojego mieszkania.
- W pierwszej chwili zamierzała powiedzieć, że po prostu miała mętlik w głowie, ale w rezultacie zdecydowała się wyznać prawdę. Nie wiedzieć czemu, ufała mu. Było w nim coś, co budziło zaufanie. Odłożyła widelec i pochyliła się do przodu.
- Ta kobieta powiedziała, że jest moją matką. Oszukała moją sąsiadkę i nakłoniła ją do tego, żeby dała jej klucz. Przyłapałam ją w chwili, gdy wychodziła, chociaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy.
- Opowiedziała mu wszystko ze szczegółami i dodała:
- Ona dziś była w waszej galerii. Witaa się bardzo serdecznie ze Spencerem i Stacy.
- Jak wyglądała?
- Średniego wzrostu, szczupła. Krótkie rudawe włosy. Koło pięćdziesiątki.
- Z namysłem przeżuwał ziemniaki.
- Mówisz o cioci Patti. Nie mam wątpliwości.
- Ciocia Patti? - powtórzyła. Czują się jak kretyńka.
- Właściwie nie jest moją ciotką. Przyjaźnią się z June prawie od zawsze. Jest ciotką Spencera i jego przełożoną.
- To glina?

Uśmiechnął się, słysząc pełen niedowierzania ton.

- Jest bardzo szanowanym i - chyba mogę tak powiedzieć - budzącym postrach kapitanem policji.

Co tu się do diabła dzieje? Co oni kombinują?

- W żaden sposób nie mogła włamać się do twojego mieszkania - dodał Riley.

- To była ona, wiem na pewno. Wzruszył ramionami.

- Patti O'Shay, jaką ja znam, żyje i pewno także umrze zgodnie z przepisami. Chociaż mogę spytać June...

- Nie, nie rób tego. - Pokręciła głową. - I w ogóle zapomnij, że coś ci mówiłam. Pewno masz rację. Wypiłam za dużo i coś mi się ubzdurało.

Pochylił się nad stolikiem.

- No to jak znajdziesz kobietę, która myszkowała w twoim mieszkaniu?

Już ją znalazła. Miała dla kapitan Patti O'Shay wielką niespodziankę.

- Nie wiem - odparła. - Może nigdy to mi się nie uda. Nie ma o czym mówić.

- Bądź ostrożna, Yvette. Jest mnóstwo szalonych, niebezpiecznych ludzi.

A kiedy są glinami, robią się jeszcze bardziej groźni.

- Będę - obiecała. - Możesz mi wierzyć, że będę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Niedziela, 6 maja 2007 r.

Yvette obudziła się w znakomitym nastroju. Czuła się wypoczęta. Nawet szczęśliwa. Przeciągnęła się z uśmiechem, myśląc o Rileyu i dziwnych wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

Zaprosiła go na górę. Rozmawiali do późna. Rozmawiali... i nic poza tym.

Riley nie oczekiwał seksu. Nie naciskał ani nie dąsał się, gdy nie wykazała inicjatywy.

Chociaż pocałował ją, gdy się żegnali. To był długi, namiętny pocałunek, który ją podniecił.

Chciałaby móc powiedzieć, że go polubiła. Chciała zawierzyć pierwszemu wrażeniu, że może mu ufać. Że jest szczerzy i miły, jak prawdziwy dżentelmen. I że naprawdę mu się spodobała.

Nie bądź idiotką, Yvette! - skarciła się natychmiast. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Właśnie tak, zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe...

Zwlokła się z łóżka i przeszła do łazienki. Kiedy umyła zęby, poszła do kuchni po coca-colę. Otworzyła puszkę i pociągnęła długi łyk słodkiego napoju.

Śniadanie mistrzów. Jej osobisty napój energetyzujący.

Dostrzegła, że w komórce błyska światełko informujące o nadejściu nowej wiadomości. Otworzyła aparat i sprawdziła, kto się nagrał. Telefon był od Toni. Dzwoniła po pierwszej w nocy.

Wybrała numer poczty głosowej i wprowadziła hasło.

- To ja. Był tu dzisiaj. Mam plan. Zadzwoń na moją komórkę, jak tylko odsłuchasz wiadomość. Pa.

Wykasowała wiadomość i natychmiast zadzwoniła do Toni.

Zgłosiła się poczta głosowa, co wcale jej nie zaskoczyło. Dla kogoś, kto pracuje do drugiej nad ranem, każda pora przed południem wydaje się zbyt wczesna.

- Cześć, Toniu - powiedziała do telefonu. - Odebrałam twoją wiadomość. Co robiłaś? Jak zareagował, gdy zorientował się, że mnie nie ma? Zadzwoń.

Włożyła telefon do kieszeni, przeszła do salonu i opadła na

kanapę. Pijąc colę, myślała o tym, czego dowiedziała się od Riley'a. Kobieta, która się do niej włamała, była gliną. Kapitanem policji. Kapitan Patti O'Shay. Ciotka Spencera Malone'a.

Co ona knuła? Czy miało to coś wspólnego z Marcusem i dochodzeniem w sprawie jego narkotykowych interesów?

Ponownie zadzwoniła do Toni. Wcale jej nie zdziwiło, gdy znów odezwała się poczta.

- Zapomniałam dodać, że ja też mam ci coś do powiedzenia. Wiem już, kim była kobieta, która się do mnie włamała. To glina!

Zadzwoń.

Rozłączyła się i myślami wróciła do Riley'a. Naprawdę go polubiła. Uznała, że dziś może sobie pozwolić na chwilę marzeń. Nic się nie stanie, gdy przez jeden dzień będzie się łudzić, że Riley tak samo myśli o niej. A przy tym mogła jeszcze wspaniale spędzić czas.

Zerwała się na nogi, gotowa do działania.

Dzień faktycznie bardzo się udał. Robiła zakupy na Francuskim Rynku, chodziła po sklepach na Royal Street, jadła pączki z kawą w „Cafe du Monde”. Przez cały ten czas sprawdzała swoją komórkę, czekając na telefon od

Toni. Miała również nadzieję, że odezwie się Riley.

W obu przypadkach czekało ją rozczarowanie.

Brak wiadomości od Tony i właściwie jej nie martwił. Zobaczą się dziś wieczorem w „Hustle”. Ale tak bardzo chciała, żeby zadzwonił Riley. Po tym pocałunku sądziła, że to zrobi.

Cóż, pewno dowiedział się, o jaki taniec chodziło.

Zdobycie takiej informacji nie stanowiło żadnego problemu.

Wystarczył telefon do przyjaciół. W końcu dotarło do niej, że nie odezwie się do niej więcej. Mogła

zapomnieć o tej znajomości. Próbowwała wmówić sobie, że to nic takiego, lecz mimo

to czuła ból.

Chciała mieć trochę czasu na rozmowę z Tonią, więc pojawiła się w „Hustle” pół godziny wcześniej.

- Cześć, Dante - powitała utlenionego na blond, napakowanego sterydami bramkarza.

- Cześć, Vette.
- Tonia już przyszła?
- Nie widziałem jej.
- Naprawdę? - Rzuciła okiem na zegarek. O tej porze zwykle już była w pracy. - Dziwne.
- Mogłem ją przegapić. Sprawdź zegar kontrolny. Zrobiła to, ale dowiedziała się tylko, że Tonia nie odbiła swojej karty. Ogarnął ją niepokój. Wiadomość na telefonie wydawała się dość nagła, zresztą Tonia prosiła przecież, żeby Yvette odezwała się do niej jak najszybciej. A potem gdzieś tak po prostu zniknęła? Dlaczego?
Nie zrobiłaby czegoś takiego. Coś było nie tak.
Odsunęła pospiesznie tę myśl. Zabójstwo Marcusa i liściki od Artysty całkiem ją rozstroiły. Za bardzo pobudziły jej wyobraźnię. Tonia po prostu się spóźniła. Przecież to się zdarza. Wkrótce tu będzie.
Uznała, że zrobi z siebie kretynekę, jeśli zadzwoni i nagra kolejną wiadomość, lecz mimo wszystko zrobiła to. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Po każdej wiadomości - i każdej kolejnej godzinie - panika coraz bardziej narastała.
Kiedy zamykali klub, Toni wciąż nie było. Nikogo nie zawiadomiła, nie prosiła o zwolnienie, nie dała znać, że jest chora...
Po prostu nie przyszła.
Coś było nie w porządku. Musiało stać się coś strasznego.
Artysta... Poprzedniego wieczoru był w klubie. Czy Tonia z nim rozmawiała? Może za nim poszła? Albo spytała go o Jessicę?
Co robić?
Uświadomiła sobie, że drży, i otoczyła się ramionami. Postanowiła poczekać do rana. Może Tonia jednak zadzwoni. A jeśli nie, trzeba będzie coś zrobić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Poniedziałek, 7 maja 2007 r.

10.00

Yvette zwlekała jak najdłużej z wezwaniem taksówki. Tonia mieszkała w pobliżu parku miejskiego na Bayou St. John. Z jej balkonu rozciągał się piękny widok na rzekę. Przed huraganem mieszkanie w tej okolicy z pewnością nie było w jej zasięgu, jednak Tonia kupiła je po Katrinae za niewielki ułamek poprzedniej wartości.

Yvette wiedziała o tym, bo Tonia swojego czasu nie przestawała się tym chełpić.

Przemknęło jej przez myśl, że nie ma pojęcia, jak dostanie się do środka, jeśli nie zastanie Toni. Jednak najwyraźniej dopisywało jej szczęście. Kiedy wysiadła z taksówki, zauważyła, że tuż przed budynkiem stoi samochód Toni. Pomarańczowy volkswagen garbus.

Pospieszyła do wejścia. W przedsionku był telefon wewnętrzny. Odszukała nazwisko koleżanki i zadzwoniła. Telefon był zajęty. Odetchnęła z ulgą. Niepotrzebnie się martwiła. Tonia zaraz jej wszystko wyjaśni. Pewno była chora lub zmęczona albo jedno i drugie. Mogła też uznać, że ma dość „Hustle” i znalazła inną pracę.

Skopię jej za to tyłek, pomyślała. Zadzwoniła ponownie. Nadal zajęte. Kiedy odkładała słuchawkę, z holu wyszła jakaś para prowadząca zacieklą dyskusję na temat kogoś o imieniu Tim.

Yvette chwyciła drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć.

Odnalazła mieszkanie Toni i zapukała. Nikt nie odpowiadał.

- Tonia! To ja, Yvette! - zawołała. Nadal cisza.

Rozejrzała się na boki i nacisnęła klamkę. Jednak drzwi były zamknięte. Przykucnęła i zajrzała pod wycieraczkę, a gdy nie znalazła tam klucza, zapukała do sąsiednich drzwi.

Otworzył stary człowiek o przygarbionych ramionach i siwych włosach. Yvette uznała, że musiał mieć co najmniej dziewięćdziesiąt lat

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem przyjaciółką Toni. Czy widział pan ją dzisiaj?

Pokręcił głową.

- Nic też nie słyszałem. Była cicha jak myszka - Uśmiechnął się, wpatrując się w jej biust - Chociaż bez aparatu pewno nie dyszałbym nawet końca świata.

- Nie pojawiła się w pracy i bardzo się niepokoję.

- Sprawdzała pani drzwi?

- Są zamknięte. Ale przed domem stoi jej samochód. Staruszek zasępił się.

- To mi się nie podoba. Może potrzebować pomocy.

- No właśnie.

- Mógłbym wpuścić panią na chwilkę - oznajmił dumnie. — Nie ma problemu.

- Naprawdę? - Zatrzepotała rzęsami. - Byłoby super. Napuszył się jak paw.

- Proszę poczekać.

Po chwili wrócił z kluczem.

- Tonia dała mi zapasowy klucz. Żeby zaglądać, gdy wyjeżdża, odbierać pocztę i takie rzeczy. Jestem pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

Yvette także była o tym przekonana.

- Pomagam w ten sposób kilkorgu lokatorom. - Powłócząc nogami, podszedł do sąsiednich drzwi. - Chociaż to nie jest tak całkiem legalne, kochanie.

Wręcz całkiem nielegalne, pomyślała.

- Ale skoro tak się o nią martwisz...

Pochyliła się w jego stronę, żeby miał lepszy widok na jej dekolt.

- Bardzo panu dziękuję. Jest pan prawdziwym darem niebios.

- Zostanę tutaj - powiedział, gdy drzwi były już otwarte. - Na

straży.

Podziękowała i weszła do środka.

- Tonia! - zawołała. - To ja, Yvette.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Po prostu codzienny bałagan. Tonia nie miała bzika na punkcie sprzątanania, ale nie była też niechlujna.

Idąc w głąb mieszkania, znów zawołała ją po imieniu. Z salonu przeszła do kuchni, z kuchni do sypialni. To musiał być pokój gościnny. Idealnie wysprzątanany. Z pustą szafą.

Skierowała się do następnej sypialni. Ten pokój był znacznie większy i bez wątplenia używany. Łóżko nie było zasłane, na podłodze leżała jedwabna piżama w żywym koralowym kolorze. Szafa pękała od ubrań.

Nie ma krwi. Ani ciała. Dzięki Bogu.

Odetchnęła głęboko. Została już tylko łazienka. Drzwi były zamknięte. Z każdym krokiem jej serce waliło szybciej i mocniej. Chwyciła klamkę i przekreśliła.

Drzwi się otworzyły. Nabrała powietrza, żeby dodać sobie odwagi i weszła do środka. Łazienka była pusta.

Uczucie ulgi, jakie ją ogarnęło, było niemal namacalne. Kolana się pod nią ugięły. Podeszła do sedesu, opuściła pokrywę i usiadła ciężko, ukrywając twarz w dłoniach.

Dzięki Bogu... dzięki Bogu. Była niemal pewna, że zastanie Tonie martwą, w kałuży krwi. Lub przynajmniej ze śladami rozpaczliwej walki.

To się nazywa wybujała wyobraźnia. Ten Artysta całkiem ją rozstroił. Sprawił, że zrobiła się nerwowa i pobudzona, - Wszystko tam w porządku? - zawołał sąsiad, wyraźnie zaniepokojony.

- Tak - odkrzyknęła. - Już wychodzę.

Podniosła się i ruszyła do wyjścia. Czowała się jak idiotka. Uśmieją się z Tonia...

Zatrzymała się raptownie, gdy coś do niej dotarło.

Gdzie właściwie podziewa się Tonia?

Zawróciła na pięcie i pospiesznie wróciła do łazienki. Szczoteczka i pasta do zębów leżały na szafce, obok porzrzucone kosmetyki.

Grzebień. Szczotka. Lakier do włosów. Podróżny kuferek na biżuterię, pełen kolczyków i bransoletek. Samochód zaparkowany przed domem.

Mogła wziąć taksówkę, tylko dokąd? Nie na lotnisko ani dworzec kolejowy, bo nie spakowała swoich rzeczy. W żadnym razie nie wyjechałaby bez kosmetyków i biżuterii.

- Panienko? - Sąsiad stanął w drzwiach, patrząc na nią pociejrzliwie. - Co się stało?

- Nie wiem - odparła drżącym głosem. - Chyba coś złego.

- Czy mogę jakoś pomóc?

Zachichotała nerwowo. Zdawała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. W najlepszym razie można było uznać, że jest przygłupia, w najgorszym - że postradała zmysły.

- Nie... - Złożyła dłonie i spojrzała mu w oczy. - Nie wiem, co mam robić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Poniedziałek, 7 maja 2007 r.

11.25

Sąsiad, który -jak się dowiedziała przy kawie - miał na imię Bill, pomógł się jej uspokoić. Kiedy pokrótce wyjaśniła mu sytuację, przyznał, że wygląda to niepokojąco. A skoro martwi się o przyjaciółkę, powinna iść na policję. Twardo przy tym obstawał, tłumacząc, że jeśli Tonia faktycznie znalazła się w

niebezpieczeństwie, trzeba działać bardzo szybko, każda minuta jest na wagę złota.

W taki oto sposób znalazła się na posterunku policji. W informacji spytała o kapitan Patti O'Shay.

Postanowiła, że zgłosi się właśnie do niej. Zaszantażuje ją i w ten sposób zmusi do pomocy. Gdy opowiedziała Malone'owi i Killian o Artyście, nie uwierzyli jej. Pewnie nie potraktowaliby poważnie również: informacji o zaginięciu Toni.

Zdawała sobie sprawę, że to dość śmiałe posunięcie. Być może również głupie, bo w gruncie rzeczy nic nie wiedziała o tej kobiecie poza tym, że włamała się do jej mieszkania. A jeśli to O'Shay jest Artystą? W takim wypadku próba szantażu tylko ją rozwścieczy.

Mogło się to źle skończyć. Niemniej jednak chciała podjąć to ryzyko.

- Mam informacje w sprawie jednego z jej dochodzeń - powiedziała policjantowi. - Chodzi o sprawę Chirurga.

- Dochodzenie w tej sprawie prowadzą detektywi...

- Nie będę rozmawiać z nikim innym. Policjant zmrużył oczy i spojrzał na nią uważnie.

- Dokument tożsamości.

Cholera. Powinna była to przewidzieć. Zamierzała podać fałszywe nazwisko na wypadek, gdyby pani kapitan nie chciała jej przyjąć. Wyjęła z portfela prawo jazdy i przesunęła je w stronę dyżurnego. Obejrzał je dokładnie, po czym przeniósł wzrok na nią. W końcu podał jej kartę wejść.

- Proszę tu podpisać, panno Borger. Sprawdzę, czy jest wolna. Czekala, zaciskając kciuki. Spodziewała się, że odeśle ją z kwitkiem albo skieruje do innego oficera, więc kiedy po kilku sekundach wskazał jej drogę do wind, z trudem ukryła zaskoczenie.

- Trzecie piętro. Kapitan O'Shay będzie tam na panią czekać.

Poszła za jego wskazówkami, walcząc z uczuciem niepokoju.

Igrała z ogniem, zmierzając do konfrontacji.

Drzwi windy rozsunęły się. Kapitan Patti O'Shay czekała na korytarzu.

- Panna Borger. Co za niespodzianka.

Yvette uśmiechnęła się, udając, że nie brakuje jej pewności siebie.

- Nie wątpię. Musimy porozmawiać. Na osobności. Policjantka skinęła głową i gestem poprosiła, żeby vette podążyła za nią.

Kiedy weszły do gabinetu, zamknęła drzwi.

- Proszę, niech pani siada, panno Borger.

Yvette zajęła miejsce i skrzyżowała nogi.

- Nie będziemy bawić się w kotka i myszkę. Wiem, co pani zrobiła.

Policjantce nawet nie drgnęła powieka.

- Naprawdę? Więc cóż takiego?

- Oszukała pani moją sąsiadkę i skłoniła do tego, by pokazała, gdzie trzymam zapasowy klucz, a potem go pani użyła.

Nazwałabym to bezprawnym wtargnięciem. Kiedy przyłapałam panią podczas wychodzenia, opowiedziała mi pani niezłą bajeczkę. Pojawiłam się w niefortunnym momencie, prawda?

Przynajmniej dla pani.

- Czego pani chce?

Bardzo sprytnie. Kontynuuje rozmowę, ale niczego nie potwierdza.

- Mogłabym narobić pani kłopotów. Ja panią widziałam. Moja sąsiadka, Nancy, również.

- Mogłaby pani - zgodziła się. - Więc czego pani chce?

- Po pierwsze chcę wiedzieć, dlaczego. Dlaczego weszła pani do mojego mieszkania? Czego tam pani szukała?

- Informacji o pani byłej współlokatorce.

Yvette nie była pewna, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego.

- O Kitten?

- Właśnie. Powiedziała pani detektyw Killian, że pani zdaniem Kitten Sweet może być nieznaną ofiarą z parku miejskiego. Ta sprawa szczególnie mnie interesuje.

Yvette ogarnęły mieszane uczucia: ulga, gniew, chęć ukarania tej kobiety za to, że przeżyła przez nią chwile grozy.

- Gdybym wezwała panią na przesłuchanie...

- Zdekonspirowałaby pani Brandi.

Pochyliła nieznacznie głowę.

- Pośpiech był niezwykle istotny.

- I to wszystko usprawiedliwia?

- Raczej nie. Jednak w tamtym momencie było uzasadnione. Dla mnie.

Typowa policjantka. Zupełnie nie liczyły się dla niej prawa zwykłych ludzi.

- Mogłabym parną załatwić. Właściwie powinnam.

- Życzę dobrej zabawy. - Patti pochyliła się w jej stronę. - Jednego tylko pani nie wie, panno Borger. Mam bardzo niewiele do stracenia. W gruncie rzeczy tak mało, że zrobiłabym to ponownie, by przywoździć tego skurwysyna.

Witaj w klubie. Doskonale rozumiała, co to znaczy nie mieć nic do stracenia. To uczucie towarzyszyło jej przez całe życie.

- Pani czegoś ode mnie chce - odezwała się Patti.

- Tak. Potrzebuję pani pomocy. - Kapitan O'Shay uniosła pytająco brwi. - Moja szefowa z „Hustle” zaginęła. Myślę, że ma kłopoty.

- I chce pani, żebym ja...

- Podniosła alarm. Znalazła ją. Uratowała.

- Zgłosiła pani zaginięcie?

- Nie! To nie jest... - Postanowiła zmienić taktykę. - Czy detektyw Malone mówił pani o Artyście?

- O piszącym listy prześladowcy, którego pani wymyśliła?

- Ja go nie wymyśliłam! On pisał do mnie... Prześladował mnie. Kiedy opowiadałam o Kitten, miałam już kilka jego listów. Po prostu... wykorzystałam go w tej historii. Ale teraz... boję się. - Przerwała. - Myślę, że to on zabił Marcusa.

- Gabrielie'a?

- Tak. Dla mnie. - Opowiedziała, jak znalazła w domu jego wiadomość. - Napisał „zrobiłem to dla ciebie”. Nie podpisał się, ale wiem, że to było od niego. Policjantka zmarszczyła czoło.

- I poinformowała pani o tym detektywów Malone'a i Killian?

- Tak. Nie uwierzyli mi.

- Sądzi, że ich pani kantuje.

- Niby po co? Po co miałabym... - Ugryzła się w język. No tak, przecież wcześniej ich okłamała. Trzeba przyznać, że kapitan O'Shay powstrzymała się od zjadliwego komentarza. - A teraz myślę, że zabił moją szefową, Tonie Messinger. Próbowала mi pomóc.

Patti splótła ręce na biurku. W milczeniu wpatrywała się w twarz

Yvette.

- Tonia szefuje wszystkim dziewczynom w „Hustle”. Tancerkom i kelnerkom. - Zacisnęła dłonie. - I tak jak mówiłam, pomagała mi.

- W jaki sposób?

- Opowiedziałam jej o Artyście. O listach, o tym, że włamał się do mojego mieszkania. Widziała jego list i pieniądze...

- Może lepiej będzie - przerwała jej kapitan O'Shay - jeśli zacznie pani od początku, panno Borger.

Opowiedziała wszystko aż do momentu, gdy Tonia rozpoznała Jessicę.

- Przypomniała sobie, że temu facetowi, który pisze do mnie, kiedyś podobała się inna dziewczyna... - Sięgnęła do torebki, wyjęła wycinek z gazety z rekonstrukcją twarzy nieznannej ofiary i położyła go na biurku. - Ta dziewczyna.

- Mój Boże - mruknęła kapitan O'Shay. - Wie pani, kto to jest?

- Tak. Ale najpierw chcę usłyszeć, że mi pani pomoże.

- Ma pani moje słowo. Nazwisko tej dziewczyny.

- Jessica Skye. Tańczyła w „Hustle”. Zniknęła w czasie Katriny.

- Wspominała kiedyś o Artyście? O dziwnych listach?

Yvette pokręciła głową.

- Tonia nic o tym nie mówiła. Pytałam dwóch dziewczyn, które pracowały z Jessica, ale im także nic nie powiedziała.

- Pani jej nie znała?

- Nie pracowałam tam przed Katriną.

- Więc to nie pani ją rozpoznała?

- Nie. To Tonia.

- A te dwie dziewczyny w „Hustle”? Czy one również poznały ją w gazecie?

- Nie były pewne. Ale Tonia była przekonana, że to ona.

- Ta, która teraz zaginęła? Yvette zeszywniała.

- Wiem, o czym pani myśli, ale to nie tak.

- A o czym myślę, panno Borger?

- Ze pieprzę od rzeczy. Ze kłamię.

- A kłamię pani?

- Nie! Tonia zamierzała powęszyć. Ostrzec mnie, gdy pojawi się Artysta.

- I pojawił się?

- Tak. Tego wieczoru, gdy chodziłam po wystawach. Nagrała wiadomość na mojej komórce. Chciała, żebym do niej zadzwoniła. Mówiła, że ma jakiś pomysł.

- Jaki pomysł?

- Nie wiem. Oddzwoniłam, nawet kilka razy, ale od tamtej pory nie odezwała się.

- Ma pani tę wiadomość?

~ Wykasowałam ją. Nie wiedziałam, że będzie mi potrzebna. - Poczula, że ma spocone ręce, więc wytarła je o dzinsy. - W niedzielę nie pojawiła się w pracy, więc dziś rano poszłam do niej do domu.

- I?

Yvette przełknęła ślinę, próbując się pozbyć guli, którą miała w gardle.

- Jest tam jej samochód. Wszystkie jej rzeczy. Tylko jej nie ma... Kapitan O'Shay podniosła się z za biurka i podeszła do okna. Przez chwilę wyglądała przez nie z zamyśloną miną.

W końcu, po długiej chwili, która Yvette wydawała się wiecznością, odwróciła się do niej.

- Mam do pani pytanie.

- Słucham.

- Czy pani się boi? - Yvette spojrzała na nią z osłupieniem. - Przyszła pani z żądaniem pomocy. Dla przyjaciółki. A co z panią? Bo jeśli mówi pani prawdę, to znaczy, że morderca ma obsesję na pani punkcie.

Morderca ma obsesję na pani punkcie...

Poczula, że robi jej się zimno. Tak ją pochłonęło szukanie Toni, tak się o nią bała, że nawet przez chwilę nie pomyślała, co jej grozi.

Ona mogła być następna.

Policjantka przyglądała się jej bacznie. Bez wątpienia odgadła, o czym myśli. Widziała strach, jaki pojawił się na jej twarzy.

- Wielbi panią z oddali. Ale wie o pani wszystko. Gdzie pani pracuje, gdzie mieszka. Kim są pani przyjaciele, kim był pani kochanek. Prawdopodobnie zna drogę, którą pani chodzi do domu, zna też rozkład pani zajęć.

Dlaczego próbuje mnie pani przestraszyć? - spytała Yvette drżącym głosem.

- Chcę to pani uświadomić. Poważnie panią ostrzec.
- Yvette wyprostowała się.
- Pomoże mi pani?
- Tak, chociaż muszę mieć trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. Przygotować plan.
- Jak długo to potrwa? - Do końca dnia.
- Skąd mam wiedzieć, że nie zmieni pani zdania, gdy tylko stąd wyjdę?
- Policjantka uśmiechnęła się.
- Chyba będzie musiała mi pani zaufać.
- Niby dlaczego?
- Bo tak naprawdę nie ma pani wyboru, panno Borger. Pani mnie potrzebuje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Poniedziałek 7 maja 2007 r.

12.45

Patti usiadła za biurkiem. To, co powiedziała Yvette Borger, było prawdą. Młoda kobieta rzeczywiście jej potrzebowała. Jednakże ona, kapitan Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego, oficer nowoorleańskiej policji, potrzebowała jej w takim samym stopniu. A może nawet bardziej.

Chciała dopaść Chirurga. Tak bardzo, że aż bolała. To on zabił Sammy'ego. Borger nie przedstawiła jej żadnego dowodu. Nic

poza swoimi słowami.

Uwierzyła jej. Paradoksalnie. Po latach analizowania każdego dowodu, uważnego oceniania zeznań świadków i podejrzanych, odrzucała całe swoje doświadczenie. Obdarzała zaufaniem znaną krętaczkę.

Właśnie dlatego Spencer nie uwierzył Yvette. Naj-pierw sfabrykowała bajkę o Kitten. Kiedy Marcus Gabrielle został zabity, wymyśliła mu współnika. Potem znów wyrwała się z opowieścią o Artyście, tyle że nie miała na to ani świadków, ani dowodów.

Jeśli dodać do tego jej przeszłość i jawną niechęć do gliniarzy, tylko idiota mógłby uwierzyć jej na słowo.

Czyli... kapitan Patti O'Shay. Do usług. Zastanawiała się, czy powinna pójść z tym do szefa. Mogła mu wszystko opowiedzieć, poprosić, by pozwolił jej zająć się sprawą. Jednak gdyby jej odmówił, byłaby uziemiona.

A odmówi z całą pewnością. Komendant Howard był zadowolony z zatrzymania Franklina. Nawet nie miała o to pretensji. Ostatecznie chodziło o byłego więźnia. W dodatku zatrzymano go z bronią, której użył zabójca. Żeby przekonać Howarda, musiałyby mu przedstawić argumenty nie do odparcia. Jednym słowem powinna zająć się tym sama. A to znaczyło, że nie może mieszać do tego Spencera.

Musiała to wszystko dobrze zaplanować.

Najpierw należało wysłać detektywa, żeby przesłuchał dwie tancerki, które znały Jessicę Skye. Zadzwoiła do „Hustle”, wydobyła wszystkie konieczne informacje, po czym podniosła się zza biurka i zajrzała do pokoju detektywów, by sprawdzić, kto jest wolny. W tym właśnie momencie w polu widzenia pojawił się Tony Sciamie. W ręce ścisnął torbę z baru Taco Bell.

- Detektywie Sciamie? Mogę prosić na chwilę? Proszę wziąć ze sobą swój lunch.

- Oczywiście, pani kapitan. - Wszedł za nią do gabinetu i opadł na krzesło. Powietrze wypełnił zapach pikantnego mięsa i tłuszczu. - Pozwoli pani, że będę jadł?

- Proszę bardzo.

Przyglądała się, jak wyciąga z torby miękkie taco

i odgryza duży kęs. Wyglądało to wyjątkowo niechlujnie. Mięso i sos wyciekły z obu stron placka, polały się po palcach. Niezrażony ugryzł następny kęs, wpatrując się w nią wyczekująco.

Chcę, żebyś przesłuchał dwie kobiety. Gię Stiles i Autumn Wind. - Przesunęła w jego stronę dane kobiet. - Tu są informacje na temat ich miejsca zamieszkania. Obie są tancerkami w „Hustle”.

Wygląda na to, że znały inną tancerkę, Jessicę Skye. Mam powody, by podejrzewać, że panna Skye jest naszą ofiarą z parku.

Tony kiwnął głową, zmiął puste już opakowanie, wrzucił do torby i wyjął następne taco.

- I tylko tyle? - spytał.

- Sprawdź, co jeszcze uda się znaleźć na temat Skye. Poprzednie adresy. Przyjaciele. Kochankowie. Rodzina

Pospieszenie dokończył taco, wytarł palce w serwetkę, po czym wyjął z kieszeni koszuli notes, a z pojemnika na biurku wyciągnął długopis. Zanotował to, co Patti powiedziała do tej pory i spojrzał na nią wyczekująco.

- Odszukaj jej lekarza i dentystę. Informacje na temat zębów będą miały kluczowe znaczenie. Trzeba to załatwić jak najszybciej.

- Mam ściągnąć Spencera?

Tym razem to nie jest konieczne, detektywie.

Spojrzał na nią uważnie. Wystarczająco długo był gliną, by zorientować się, że coś się szykuje. Rozumiał też, że gdyby Patti O'Shay chciała, aby wiedział, o co chodzi, sama by mu powiedziała.

Podniósł się z krzesła.

- Będę w kontakcie.

- Na to liczę, detektywie. Wychodząc, proszę zamknąć za sobą drzwi.

Kiedy wyszedł, podniosła słuchawkę i wybrała numer, który dała jej Yvette Berger.

- Yvette? - powiedziała, gdy młoda kobieta odebrała telefon. -

Mówi kapitan O'Shay.

- Słucham?

Jej głos był pełen nadziei.

- Zamierzam pani pomóc.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Patti zmarszczyła brwi. - Panno Borger? Jest tam pani?

- Tak. Ja... po prostu zaskoczyła mnie pani.

- Zaskoczyłam? Mimo tej groźby, którą machała mi pani przed nosem?

- Pani jest gliną - odparła cicho. - Kapitanem. Domyślałam się, że moje groźby nie zrobią na pani dużego wrażenia. To wiele mówiło o tym, jakie miała zdanie o funkcjonariuszach policji. Nie była to zbyt dobra opinia.

- Może mnie pani zabrać do mieszkania Toni? - spytała.

- Chyba tak. Klucz jest u sąsiada. To on mnie wpuścił.

- Świetnie. - Patti spojrzała na zegarek. - Spotkajmy się tam o drugiej.

Kiedy Patti przyjechała, Yvette już była na miejscu. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Dziękuję, że pani się tym zajęła - powiedziała.

- Mam nadzieję, że korzyść będzie obopólna. - Ruszyły w stronę wejścia do budynku. - Co może pani powiedzieć o tym sąsiedzie?

- Zajmuje lokal obok Toni. Kiedy nie odpowiadała na moje pukanie, zapukałam do jego drzwi.

- Jak się nazywa?

- Bill. Nie znam jego nazwiska.

- Wie pani o nim coś jeszcze? Może być zamieszany w jej zniknięcie?

- Nie sądzę. Jest naprawdę stary.

Patti niezbyt ufała ocenie Yvette. Prawdę mówiąc, dla kogoś w jej wieku „naprawdę stary” oznaczało osobę znacznie młodszą niż dla pięćdziesięciolatka.

- Za to ma słabość do cycków - ciągnęła. - W każdym razie od moich chyba ani na chwilę nie oderwał wzroku.

Patti omal nie parsknęła śmiechem. Trzeba przyznać, że dziewczyna nie przebiera w słowach, pomyślała.

Weszły do środka i stanęły pod drzwiami mieszkania Bilia. Kiedy otworzył, Pam" uznała, że zbyt słabo oceniła zdolności obserwacyjne Yvette. Mężczyzna rzeczywiście miał co najmniej dziewięćdziesiątkę.

Bill uśmiechnął się do dziewczyny.

- Wróciłaś do mnie. I przyprowadziłaś koleżankę. Jak miło.
- Kapitan O'Shay. - Patti wyjęła odznakę. - Pomagam panie Borger wyjaśnić tę sytuację.
- Bill Young.
- Miło pana poznać. Jak rozumiem, dziś rano wpuścił pan pannę Borger do mieszkania jej przyjaciółki.
- Owszem. Tonia dała mi klucz, żebym odbierał pocztę i takie różne.

Tamta sytuacja bez wątpienia należała do kategorii „i takie różne”.

- Panna Borger martwi się o przyjaciółkę. Pomyślałam, że się rozejrzę.

Jeśli nawet uznał, że to dość niezwykła prośba, nie pokazał tego po sobie.

- Proszę poczekać, pójdę po klucz.

Chwilę później otworzył drzwi do mieszkania Toni. Po wejściu do środka Patti stwierdziła, że wszystko wygląda tak, jak opisała Yvette. W środku panował porządek, nic nie wzbudziło niepokoju Patti.

- Dopóki nie weszła do kuchni. Na szafce obok telefonu leżał breloczek do kluczy z wysadzonym różowymi kamieniami serduszkiem.

- Poznaje pani? To jej? - Patti podniosła klucze.

Yvette zmarszczyła czoło.

- Nie. Chociaż może być jej. Bardzo lubi różowy kolor.

Patti przesunęła klucze między palcami. Było ich sześć. Część zwykłych, popularnych kluczy, jeden nowoczesny z pilotem i kluczykiem wysuwany po naciśnięciu przycisku.

Bardzo zmyślny.

Podniosła wzrok na Yvette.

- Jakim samochodem jeździ pani przyjaciółka?

- Pomarańczowym volkswagenem garbusem. Stoi przed domem.

Patti obróciła kluczyk. Po drugiej stronie było niebiesko-białe logo volkswagena. Wyciągnęła rękę, żeby pokazać je Yvette.

- Może to są jej zapasowe klucze? - powiedziała dziewczyna z nadzieją w głosie.

- Może. Chociaż większość ludzi trzyma zapasowe klucze, a nie

breloczki. Poza tym większość samochodów sprzedaje się z jednym pilotem, a nie dwoma.

Patti rozejrzała się po pomieszczeniu. Przebiegła spojrzeniem po blatach szafek, stole, krzesłach. Zajrzała do spiżarni, a na koniec wysunęła te szuflady, w których jej zdaniem można by zmieścić damską torebkę.

Ale torebki nie było.

Ciekawe. Kobieta co prawda zabrała torebkę, lecz zostawiła klucze.

- I co pani myśli? - spytała Yvette.

Patti pokręciła głową i podeszła do automatycznej sekretarki, na której migąło światełko informujące o nagranych wiadomościach. Nacisnęła guzik odtwarzania. W ciszy rozległ się głos Yvette.

- Odebrałam twoją wiadomość. Co robiłaś? Jak zareagował, gdy zorientował się, że mnie nie ma? Zadzwoń.

Rozległ się krótki sygnał, a po nim kolejna wiadomość. I znowu głos Yvette.

- Zapomniałam dodać, że ja też mam ci coś do powiedzenia. Wiem już, kim była kobieta, która się do mnie włamała. To glina! Zadzwoń.

Potem następowało jeszcze kilka wiadomości i za każdym razem głos Yvette wydawał się bardziej zdenerwowany. Po ostatnim nagraniu było jeszcze kilka głuchych telefonów. W końcu maszyna wyłączyła się.

Patti spojrzała na Yvette. Dziewczyna uniosła głowę.

- Mówiłam, że do niej dzwoniłam.

- Zgadza się, mówiła pani.

Wzięła długopis i przejrzała numery, z jakich dzwoniło. Poza jednym wszystkie były te same. Zapisała go i podeszła do Yvette.

- Zobaczyłam już wszystko. Spójrzmy teraz na jej samochód.

Poszły na dół, ale nie rzuciło im się w oczy nic zaskakującego. W końcu Patti odłożyła znalezione klucze na miejsce, zamknęła drzwi mieszkania i podziękowała Billowi. Był rozczarowany, gdy odmówiły wypicia z nim herbaty, lecz mimo to obiecał zawiadomić Yvette, gdyby pojawiła się Tonia lub koło mieszkania zaczął kręcić się ktoś podejrzany.

- Co teraz? - spytała Yvette, gdy wyszły z budynku.

- Spróbuję trochę poszperać. Natomiast pani musi po prostu cierpliwie poczekać.
- Jak długo?
- Nie wiem - odparła. - Gdzie pani samochód? Wskazała różowego cadillaca mniej więcej z lat siedemdziesiątych. Patti uniosła brwi.
- To nie samochód, tylko łódź. Wielka różowa łódź. Yvette roześmiała się.
- Pożyczyłam go od panny Almy. Mieszka w tym samym domu. W 1974 była kierownikiem sprzedaży kosmetyków Mary Kay. Ten wóz to jej duma i największa radość.
- I zgodziła się go pożyczyć?
- Obiecałam, że po drodze kupię psie ciasteczka dla Sissy, jej szpica. Tylko Sissy jest dla niej cenniejsza od tego samochodu. Patti wydawała się to rozumieć.
- Odezwę się do pani.
- Słowo?
- Tak, słowo. - Ruszyła do swojego wozu, ale jeszcze się obejrzała.
- Gdyby coś się działo, proszę dzwonić bez względu na porę. I niech pani nie ryzykuje. Ma pani rację co do tego Artysty. Jest pani w niebezpieczeństwie,

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Poniedziałek, 7 maja 2007 r.

20.45

Cisza. Tylko szum wiatru wśród suchych gałęzi i trzeszczenie
gruzu pod stopami.
Pustkowie. Śmierci. I rozpaczy.
I na co ten cały wysiłek? Nie jest go warta.
Nie. To nieprawda. Wierzę w nią.
Pamiętasz? To samo mówiłeś o tej ostatniej. Tania dziwka.
Złamała ci serce.
Przestań! To ta druga była winna. Tania i wulgarna. Węszyła.
Zadawała pytania. Wzbudziła jej wątpliwości.
Jesteś głupcem. Ślepym głupcem.
Dla mnie liczy się tylko miłość. Nic nie jest więcej warte od
miłości.
Upewnij się więc, czy ona cię kocha. Zachęć ją.
Zachęta. Oczywiście. Tego właśnie było jej trzeba. Przypomnieć
jej, co jest ważne. Do kogo należy jej serce.
Wtedy już nie będzie błdzić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Wtorek, 8 maja 2007 r.

8.40

Tony Sciamé zapukał do uchylonych drzwi.

- Pani kapitan?

Gestem zaprosiła go do środka.

- Masz coś?

Usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka.

- Pogadałem z tymi dwiema tancerkami z „Hustle”. Żadna z nich nie potwierdziła stanowczo, że nasza ofiara z parku to Jessica Skye. Mówią, że to może być ona. Ale podały mi jej adres.

- I jak ci poszło?

- Rozmawiałem z właścicielem domu. Dobrze ją pamięta. Po huraganie wyrzucił wszystkie jej rzeczy, chociaż aż nazbyt skwapliwie zapewniał mnie, że zrobił to zgodnie z przepisami i odczekał wymagane czterdzieści pięć dni. Podobno nawet zapłacił za magazynowanie ich, gdy wynajął jej mieszkanie komuś innemu.

- Odezwała się do niego?

- Nigdy.

Zidentyfikował ją na zdjęciu?

- Następny niezdecydowany. - Tony odchrząknął. -Z tego, co mówił, jej rzeczy były raczej gówniane. Możliwe, że po prostu nie chciała zwracać sobie nimi głowy.

- A możliwe, że nie żyje.

- No tak - zgodził się. - Możliwe.

- Udało ci się odnaleźć lekarza?

- Tak, choć trudno w to uwierzyć. Był w jej papierach w „Hustle”. Doktor Nathan Geist. Próbowałem się z nim skontaktować, zostawiłem wiadomość u pielęgniarki.

- Zadzwoń do domu, jeśli to będzie konieczne. I przyjdź do mnie, nawet jeśli go nie złapiesz.

- Tak jest, pani kapitan.

Już był w drzwiach, gdy go jeszcze zatrzymała.

- Detektywie?

- Tak?

- Na razie chcę, żeby to zostało między nami. Uniósł pytająco brwi.

- W odpowiednim czasie - odparła na jego nieme pytanie. - Póki co nie mogę o tym mówić.

Bez słowa skinął głową. Kiedy wyszedł, podniosła słuchawkę i wybrała numer przełożonego Stacy z szóstego posterunku.

- Kapitan Cooper? - powiedziała, gdy odebrał telefon. - Mówi Patti O'Shay.

- Pani kapitan O'Shay - powitał ją głębokim, dudniącym głosem. -

Słyszałem, że ostatnio miała pani znakomite wiadomości.

Gratulacje. Sammy był niesamowitym facetem.

Niespodziewanie jej oczy wypełniły się łzami.

- To prawda - powiedziała, starając się mówić spokojnie. - Był.

- Czym mogę pani służyć?

- Zdaje się, że znaleźliśmy powiązanie ze sprawą Chirurga.

Poprzez „Hustle”.

- A niech mnie.

- Zamierzam tam wsadzić swoją wtyczkę. - Nieoficjalnie, dodała w myślach. W ramach własnego śledztwa.

- Chce pani informacji o naszych kontaktach?

- Zaoszczędziłoby mi to czasu.

Podał jej nazwiska właściciela i menadżera oraz ich telefony.

Zamienili jeszcze parę słów, w końcu się pożegnała.

Pięć minut później rozmawiała już z właścicielem klubu. Nie był zbyt zachwycony faktem, że jego lokal znów stał się obiektem zainteresowania policji, jednak zgodził się przyjąć do pracy funkcjonariuszy. Ustalenie szczegółów przekazał menadżerowi.

Od niego właśnie dowiedziała się, że nikogo nie przyjęto na miejsce Toni. Przynajmniej na razie.

Tak więc poczynawszy od tej chwili, Patti została nową szefową personelu.

Ledwie skończyła rozmowę, zadzwoniła jej komórka.

- Kapitan Patti O'Shay.

- To ja, Yvette. Wydawała się roztrzęsiona.

- Co się stało?

- Był tutaj - powiedziała. - W moim mieszkaniu. Kiedy spałam!

- Skąd wiesz?

- Zostawił wiadomość. W łazience na toalecie.

- Co jest w tej wiadomości? Dokładnie. Usłyszała szelest papieru.

- Kiedy zrozumiesz, że nie potrzebujesz nikogo poza mną? Co mam zrobić, żeby dowieść swojej miłości?

- To wszystko? - spytała cicho Patti.

- Nie, on... - Głos jej się załamał. - Medalion. Ze zdjęciem Toni.

Patti rzuciła okiem na zegarek.

- Zaraz tam będę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

PIERWSZY

Wtorek, 8 maja 2007 r.

10.30

Yvette chwyciła papierosy, torebkę i klucze, po czym wyszła na zewnątrz, żeby poczekać na Patti O'Shay. Ten skurwysyn był w jej mieszkaniu. Jakoś się tam dostał. Znowu.

Nic nie słyszała.

Podwórce było puste. Nie było nawet starej panny Almy i jej suczki, Sissy. Potykając się, przebiegła dziedziniec i wyszła na jasną, słoneczną ulicę.

Dzięki Bogu... dzięki Bogu...

Odetchnęła głęboko. Powietrze pachniało jak zawsze w Dzielnicy Francuskiej świeżo upieczonymi smakołykami, spalinami wydzielanymi przez strumień samochodów przejeżdżających przed budynkiem i... różnymi możliwościami.

Wciąż żyła.

Mógł ją zabić. Był w jej mieszkaniu. Możliwe nawet, że stał przy jej łóżku i gapił się na nią.

„Kiedy zrozumiesz, że nie potrzebujesz nikogo poza mną?”

Sięgnęła po papierosa. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że dwa razy upuściła paczkę. Widocznie skądś przyszło mu do głowy, że Tonia może go rozpoznać i pójść na policję, więc ją zabił.

Oczy ją zapiekły od łez. Prawie nie знаła tej kobiety. Jeszcze kilka dni temu nawet jej specjalnie nie lubiła. A tymczasem Tonia

podjęła ryzyko. Zrobiła to dla niej, żeby pomóc.

I dlatego została zabita.

Zaciągnęła się papierosem, myśląc gorączkowo. Co teraz powinna zrobić? Zostać? A może uciekać?

Uciekaj. Tak szybko, jak potrafisz. Nawet się nie oglądaj.

Jej uwagę przyciągnęło trzaśnięcie drzwiczek. Przez ulicę w jej kierunku szła Patti O'Shay.

- To świństwo w końcu cię zabije - powiedziała, podchodząc bliżej i wskazując papierosa.

Yvette wydmuchnęła kłęb dymu.

- Chyba że najpierw dorwie mnie Artysta.

- Nie dorwie - odparła Patti. - Nie pozwolę mu na to. Tak bardzo chciałaby jej wierzyć. Żałowała, że nie ma do kapitan O'Shay takiego zaufania, jakie czuła jeszcze dzień wcześniej. Zgasiła papierosa i wskazała dom.

- Nie chciałam tam siedzieć sama.

- Rozumiem. Wzięłaś ze sobą list i medalion? Kiwnęła głową i sięgnęła do kieszeni. Patti najpierw

wzięła list. Ujęła kartkę ostrożnie za sam brzeg, rozłożyła ją i przeczytała. Dopiero potem wyciągnęła rękę po naszyjnik. W środku rzeczywiście było zdjęcie kobiety. Przyglądała się mu ze ściągniętymi brwiami.

- O co chodzi? - spytała Yvette.

- Widziałaś, żeby kiedyś to nosiła? Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc twarz.

- Nie.

- Nie wydaje ci się dziwne, że kobieta nosi medalion z własnym zdjęciem?

Yvette spojrzała na nią zaskoczona.

- Ale skoro go zostawił, to chyba znaczy, że to należy do niej?

- Możliwe. Pytam tylko, czy cię to nie dziwi?

- Tak - szepnęła. - Jeśli nie jest Toni, to czyj?

- Nie snujmy na razie domysłów. Muszę obejrzeć twoje mieszkanie.

Weszły do środka i po schodach na piętro. Kiedy zbliżyły się do mieszkania, gdzie mieszkał Samson, drzwi otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich Ray, rozczochrany i z obłądem w oku.

Ze środka dobiegało łkanie.

- Słyszałaś coś? - krzyknął.

- Ray, co się sta...

- Widziałaś kogoś? - Chwycił ją za rękę. - Wczoraj w nocy? Kiedy wracałaś z pracy?

Jego uścisk był bolesny i Yvette wyrwała rękę.

- Nie pracowałam wczoraj. Wcześniej się położyłam.

- Ktoś otruł Samsona! Podał mu hamburgera nafasze-rowanego odmrażaczem.

Zrobiło jej się zimno. Uniosła rękę do ust. Artysta. Dobry Boże.

Pokręciła przecząco głową.

- Ale jak? Przecież Samson zawsze siedzi w domu albo jest z tobą i Bobem.

- Nie wiemy. - Podniósł głos. - Nie było nas wczoraj. Wróciliśmy do domu i znaleźliśmy... To było... straszne.

- Jesteś pewien, że po prostu nie dostał się do...

- Odmrażacza? - dokończył z niedowierzaniem. - Weterynarz to potwierdził. Dzwoniliśmy na policję, ale na razie nikt nie przyszedł.

- Jestem oficerem policji - wtrąciła Patti. - Może będę mogła pomóc.

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby dopiero teraz ją zauważył.

- Czy drzwi i okna były zamknięte? - pytała Patti.

- Tak. To znaczy... tak myślę.

- Mogę je obejrzeć, jeśli pan chce.

- Dzięki Bogu! - Złapał ją za rękę i pociągnął do środka, wołając do swojego partnera: - Bob! Jest tu oficer policji. Pomoże nam!

Bob siedział przygarbiony na ślicznym szezlongu. Na jego twarzy malowało się cierpienie. Podniósł wzrok na Patti.

- Kto mógł zrobić coś takiego? I czemu? - Wyciągnął w jej stronę zdjęcie mopsa. - Kto mógł skrzywdzić takie słodkie zwierzę?

Yvette zawsze uważała, że Samson jest najbrzydszym psem na ziemi. Ale z drugiej strony był bardzo poczciwy. Dużo szczekał, ale był nieszkodliwy. W przeciwieństwie do szpica panny Almy, który nie raz napędził jej porządnie strachu.

Ogarnięta współczuciem przełknęła łzy. Ray i Bob uwielbiali Samsona i traktowali jak własne dziecko.

Podczas gdy Ray z Patti sprawdzali okna, usiadła obok Boba i objęła go ramieniem.

- Co z nim? Czy on...

- Żyje? - wykrztusił. - Tak. Ale jest bardzo chory. Doktor Morgan mówi, że na szczęście w porę go znaleźliśmy...

Znow zaczął płakać. Yvette niezdarnie poklepała go po plecach. Zastanawiała się, jak to jest kochać kogoś lub coś - tak mocno. I jak to jest być tak kochanym. Czy tak właśnie kochał ją Artysta? Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie, że mogłaby mu ulec. Pozwolić, by ją pochłonęło jego przerażające oddanie.

Czy dowiedziałyby się wówczas, jak to jest być kochaną?

Ray i Patti wrócili.

- Okna były zamknięte od środka - oświadczyła Patti. - Wokół drzwi nie ma śladów włamania. Jesteście panowie pewni, że drzwi były zamknięte?

- Oczywiście - powiedział Ray kategorycznie. Patti przeniosła spojrzenie na drugiego mężczyznę.

Kiedy nie potwierdził, Ray jęknął z niedowierzaniem.

- Bob, chyba nie... Przecież już kiedyś o tym rozmawialiśmy!

- Wiem. Przepraszam. - Wykręcając dłonie, popatrzył błagalnie na Patti i Yvette. - Nigdy nie sądziłem, że zamykanie drzwi jest takie ważne. Są jeszcze drzwi na dziedzińcu, no i... Samson. Czemu ktoś miałby ze wszystkich mieszkań wybrać właśnie nasze?

- Czy coś zginęło? - pytała Patti.

- Nic. Wszystko wyglądało tak jak przed wyjściem, poza...

- Samsonem - dokończył Ray. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce. - To zrobił jakiś sąsiad. Z powodu jego szczekania.

Mieliśmy skargi, ale...

- Kto mógłby być taki podły? - przerwał mu Bob. - Taki okrutny? Artysta. On to zrobił. Otruł Samsona, żeby go uciszyć. By móc ją bez przeszkód terroryzować.

Yvette podniosła się. Nogi miała jak z waty.

- Nie czuję się dobrze...

Dobiegła do mieszkania w ostatniej chwili. Wymiotowała, wiedząc, że Patti O'Shay stoi za nią w drzwiach.

- Już w porządku? - spytała, kiedy torsje ustały.

- Nie. — Yvette podeszła do umywalki i wypłukała usta. Podniosła wzrok na Patti. - Cholernie nie w porządku.

Uświadomiła sobie, że się trzęsie. Chwyciła wiszący na drzwiach szlafrok i zarzuciła go na siebie.

- To Artysta otruł Samsona - powiedziała, patrząc na Patti. - Żeby go uciszyć.

- Też tak uważam.

- Nie mogłam im tego powiedzieć.

- Nie.

- Muszę usiąść.

Poszła do salonu i opadła na kanapę. Chwilę później Patti przyniosła jej mokry ręcznik.

- Może chcesz się czegoś napić?

- Coca-coli. Jest w lodówce.

Po chwili Patti podała jej puszkę coli.

- Jest pani dla mnie bardzo miła.

- Dlaczego miałabym nie być? Wzruszyła ramionami i napiła się coli.

- A czemu ma pani być? Nie zna mnie pani. Jestem dla pani nikim.

Patti popatrzyła na nią, jakby powiedziała coś zaskakującego.

- Źle się poczułaś. To zrozumiałe, że ci pomogłam.

- Tego wymagało poczucie przyzwoitości, tak? Nawet jeśli Patti usłyszała w jej głosie drwiącą nutę, nie dała tego po sobie poznać.

- Właśnie.

Akurat. Tak jakby takie rzeczy zdarzały się każdego dnia.

- Proszę posłuchać. Doceniam to, że mnie pani wysłuchała i potraktowała poważnie.

- Ale?

- Ale już nie potrzebuję pani pomocy. Samson przesądził sprawę.

- To znaczy, Yvette?

- Wynoszę się stąd. Wyjeżdżam. Nie zawiadomię ani „Hustle”, ani nikogo innego.

- Myślisz, że to rozwiąże problem?

- Mhm. Ten sukinsyn mnie nie znajdzie.

- Możliwe, że twój problem będzie rozwiązany - przyznała Patti. -

A co z następną dziewczyną?

- Mam się martwić o jakąś obcą dziewczynę?

- A nie będziesz?

Ton głosu policjantki sprawił, że Yvette się zaczerwieniła.

- Niech mi pani nie wciska świętoszkowatego kitu. To przeze mnie Tonia została zabita. Samson otruty. Wygląda na to, że niebezpiecznie jest przebywać blisko mnie. Na pani miejscu zaczęłabym się bać.

- Mnie to nie przeraża. I na pewno nie ucieknę.

- Odważny glina. Brawo.

Podniosła się, przeszła do sypialni i uknęła na podłodze. Spod łóżka wyciągnęła wielką walizkę. Kiedy ją otworzyła, okazało się, że wewnątrz jest jeszcze jedna, mniejsza.

- Ucieczka niczego nie rozwiąże.

- To pani tak mówi. - Położyła walizki na łóżku. - A mnie się wydaje, że uratuję życie.

Podeszła do komody, otworzyła górną szufladę i wyjęła jej zawartość.

- Naprawdę myślisz, że uda ci się od niego uciec?

- Mogę spróbować.

- Ma na twoim punkcie obsesję. Jest pokrecony. Prawdziwy psychopata. Nie pozwoli, by ktoś lub coś stanęło mu na drodze do tego, czego pragnie. Również ty.

- To nie ma sensu.

- Sądzisz, że w działaniach takiego szaleńca można się doszukiwać sensu? Wszystko, co robi, usprawiedliwia sam przed sobą.

- Teraz pani stoi mu na drodze - rzuciła wyzywająco. - I co, nie boi się pani?

- Ja jestem wściekła. I zdecydowana, żeby powstrzymać go, zanim skrzywdzi ciebie lub kogoś innego. Chcę go oddać w ręce sprawiedliwości.

- Ale ja nie jestem do pani podobna. Ja się boję. Mam tego dość.

Otworzyła gwałtownie następną szufladę i zaczęła gorączkowo przeglądać jej zawartość, wybierając tylko ulubione rzeczy.

- Jeśli zostaniesz, obiecuję, że dostaniesz całodobową ochronę.

- Już to widzę.

- Sama się tym zajmę.

- I co ja będę z tego miała, poza tym, że mogę zostać zabita?
- A co byś chciała?
- Nowe życie. Zapomnieć o tym, co było dotychczas i zacząć wszystko od początku. Tego jednak nie powiedziała głośno.
- A co mi pani może zaoferować?
- Może zrobisz to, żeby złapać mordercę? Powstrzymasz tego świra przed skrzywdzeniem kolejnej osoby?
- Mam ryzykować swoje życie, żeby ocalić kogoś obcego?
- W zasadzie tak.
- Nie wchodzę w to.
- A co powiesz na pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Yvette przerwała pakowanie.
- Pani ma pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - spytała.
- Mam. To część ubezpieczenia.
- Chcę zobaczyć wyciąg z banku. Aktualny.
- Nie ma sprawy. Yvette zmrużyła oczy.
- Połowa z góry.
- Dziesięć procent.
- Dwadzieścia - sprzeciwiła się. - I całodobowa ochrona.
- Zgoda. - Patti wyciągnęła dłoń. - Umowa stoi?
- Yvette spojrzała na jej rękę. Dostanie dziesięć tysięcy zaliczki. Jeśli zrobi się zbyt gorąco, będzie mogła wyjechać.
- Bogatsza o dziesięć patoli.
- Stoi - powiedziała, ściskając dłoń Patti. - Ale najpierw musi mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie.
- Więc je zadaj.
- Dlaczego to dla pani takie ważne, żeby złapać tego Chirurga?
- Rysy policjantki stężały, twarz przybrała dziki wyraz.
- Bo zabił mojego męża.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

DRUGI

Wtorek, 8 maja 2007 r.

12.15

Patti zaczęła wprowadzać swój plan w życie. Obiecała Yvette całodobową ochronę, a był tylko jeden sposób, by dotrzymać przyrzeczenia - zapewnić jej tę opiekę osobiście.

Aby móc to zrobić, musiała się uniezależnić. Szef policji, chociaż był z niego bardzo poczciwy chłop, nie pozwoliłby jednemu ze swoich kapitanów prowadzić prywatnego śledztwa.

Komendant Howard był rzetelnym gliną. Afroamerykanin, urodzony i wychowany w Nowym Orleanie, z pasją podchodził do chronienia społeczeństwa i zawsze wspierał swoich oficerów. Ale to znaczyło również, że ich nie rozpieszczał i zawsze oczekiwał pełnej gotowości i najwyższego poświęcenia.

Patti umówiła się na spotkanie. Kiedy przyszła, już na nią czekał. - Może pani wejść, pani kapitan - sekretarka zaprosiła ją do gabinetu. Patti podziękowała i wzięła głęboki oddech. Zawarła układ, który pochłonie wszystkie oszczędności. A może również kosztować ją karierę.

Warto zaryzykować, jeśli to mnie doprowadzi do zabójcy Sammy'ego, pomyślała.

- Szefie? - Zapukała do drzwi i weszła do gabinetu. - Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Uśmiechnął się.

- Dla pani zawsze mam czas, pani kapitan.

- Chciałam prosić o urlop.

Nawet nie drgnęła mu powieka. Przyszło jej do głowy, że być może spodziewał się tego. Z pewnością nie była pierwszym wysokim rangą oficerem, który po Katrinie prosił o urlop. A biorąc pod uwagę jej osobistą sytuację, mogło wydawać się dziwne, że nie wystąpiła z taką prośbą znacznie wcześniej.

- Czy mogę wiedzieć czemu?
- Potrzebuję odpoczynku. Śmierć Sammy'ego, następstwa huraganu, to wszystko dało mi się we znaki znacznie bardziej, niż sobie uświadamiałam.

- A teraz przyszło zrozumienie.

- Właśnie.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej badawczo.

- Dziwny moment pani wybrała. Ma pani przecież podejrzanego w celi.

Mogłaby wykorzystać aresztowanie Franklina, żeby to uzasadnić.

Wyjaśnić, że wraz z ulgą pojawiło się emocjonalne wyczerpanie.

Niestety nie była dobra w zmyślaniu takich bajek. A nawet gdyby potrafiła to robić, podejrzewała, że natychmiast by ją przejrzał.

Spojrzała mu prosto w oczy. Wciąż mam wątpliwości, czy Franklin jest właściwą osobą.

- Może spróbuje mnie pani przekonać do swojej teorii.

Żeby to zrobić, musiałaby się przyznać, że działała niezgodnie z regulaminem.

- Nie mam żadnych argumentów, które by pana przekonały.

Polegam wyłącznie na intuicji.

- Kiedy? - Nie podważył jej opinii. Po prostu wrócił do sprawy, z jaką tu przyszła.

- Zaraz po tym, jak zawiadomię mój zespół. Myślę, że załatwię to do końca dnia.

- Na jak długo?

- Przynajmniej miesiąc. To nie tak wiele, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dwóch lat.

- Nie mogę obyć się bez pani cały miesiąc. Dwa tygodnie.

Pewno w ogóle nie chciałby jej widzieć z powrotem, gdyby wiedział, co kombinuje.

- Trzy.

- Zgoda. - Odezwała się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz, ale nie odebrał. - Kto w pani zespole jest najlepszy?

- Sciam.

Komendant kiwnął głową.

- Dobry glina. Rzetelny. Uważa pani, że może panią zastąpić?

- Bez wątplenia.

- Więc niech tak będzie, kapitan O'Shay. Odebrał telefon, dając tym samym znać, że uważa rozmowę za skończoną. Patti wyszła z gabinetu z mieszanymi uczuciami. Sama nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy raczej popaść w rozpacz. Teraz już nie można było się cofnąć. Tkwiła w tym po uszy.

Pod koniec dnia Patti powiadomiła zespół o swojej decyzji. Parę minut wcześniej rozmawiała z Tonyem Sciamem. Stał teraz u jej boku, gotowy do przejęcia obowiązków. Kiedy skończyła, zapadła głucha cisza. Przesunęła spojrzeniem po twarzach kobiet i mężczyzn, którymi dowodziła. Widziała na nich zdumienie, współczucie, niepokój.

Zatrzymała spojrzenie na Spencerze. Sprawiał wrażenie zranionego, że nie wtajemniczyła go w swoje plany. Powinna była to zrobić. Był jej rodziną i miał prawo wiedzieć wcześniej.

Nie tym razem, Spencer, pomyślała. Tym razem musiała zrobić to sama.

- Czy są jakieś pytania?

Detektyw znany ze złośliwych dowcipów przerwał ciszę.

- Cholera, czy pani postradała rozum, pani kapitan? Sciamie ma nami dowodzić? Czy nasz budżet wytrzyma tyle pączków?

- Pocałuj mnie w dupę, bałwanie - odciął się Tony. - Trochę szacunku dla wyższych rangą.

Wśród śmiechu zespołu „bałwan” pokazał mu środkowy palec.

Patti ukryła zadowolenie z faktu, że detektywi rozładowali napięcie.

- Mam całkowite zaufanie do detektywa Sciamego. Inaczej nie przekazałabym mu dowodzenia. Zresztą będziemy w codziennym kontakcie, bo chcę mieć informacje na temat nowych i bieżących dochodzeń. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Przecież biorę urlop, nie wybieram się na Syberię. Jeszcze coś?

Nie było więcej pytań i ludzie zaczęli się rozchodzić. Patti wróciła do gabinetu. Musiała załatwić jeszcze parę spraw, zanim oficjalnie przekaze stery Tony'emu.

Spencer czekał na nią przy drzwiach.

- Co się dzieje, do diabła?
 - Przecież ci powiedziałam. Jak zresztą pozostałym.
 - To, co mówiłaś, to stek bzdur.
 - Przykro mi, że tak to odbierasz. Ale chyba nie potrafisz sobie wyobrazić, przez co przesłałam...
 - Takie gadki zachowaj dla szefa. To posunięcie nie ma nic wspólnego z zabójstwem wujka Sammy'ego.
 - Chcesz powiedzieć, że kłamie, detektywie Malone?
 - Po prostu twierdę, że blefujesz.
 - I tu się mylisz. - Spokojnie spojrzała mu w oczy.
 - Naprawdę chodzi o zabójstwo Sammy'ego. Przepraszam, muszę jeszcze przed wyjściem załatwić kilka rzeczy.
 - A gdybyś tak powiedziała prawdę, ciociu Patti?
 - ściszył głos. - Nie uważasz, że na to zasługuję?
- Jego słowa odebrała jak bolesny cios. Zignorowała pragnienie, żeby go we wszystko wtajemniczyć. Wiedziała jednak, że to byłby egoizm z jej strony. Trzymała go z dala dla jego własnego dobra.
- Nie mam nic więcej do powiedzenia, detektywie. Przykro mi. Naprawdę było jej przykro. Miała nadzieję, że usłyszał, z jakim żalem to mówi. Odwróciła się do wejścia, a wtedy chwycił ją za rękę.
 - Po co Yvette Berger przyszła do ciebie w poniedziałek? Czego chciała?
- Zmierzyła siostrzeńca wzrokiem.
- Słucham, detektywie?
- Słyszała pani, o co pytam, pani kapitan. Yvette Berger w poniedziałek przyszła się z tobą zobaczyć. Dlaczego? Zmrużyła oczy.
- Zadawanie takich pytań przez niższego rangą oficera nie wróży szybkiego awansu.
 - Pieprzę awans - odparł cicho. - To sprawa osobista. - Moja decyzja nie ma nic wspólnego z Yvette Berger. W gruncie rzeczy była to prawda. Chodziło o Sammy'ego. O złapanie jego zabójcy.
 - To kłamczucha, ciociu Patti. Patologiczna. Nie daj się wciągnąć w jej gierki. Nie pozwól, żeby...
 - Przepraszam cię, Spencer - powiedziała miękko. Nie mam teraz czasu.

Weszła do pokoju i zamknęła drzwi, zdecydowanie kończąc rozmowę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Wtorek, 8 maja 2007 r.

13.45

Yvette spakowała walizkę. Zgodnie ze wskazówkami Patti włożyła do niej wszystko, czego mogła potrzebować przez tydzień. Przenosiła się do kapitan Patti O'Shay. Całodobowa ochrona oznaczała, że będą razem mieszkać, pracować i odpoczywać.

Z właścicielem „Hustle” Patti załatwiła, że zajmie miejsce Toni. W klubie miała największe szanse na schwytanie Artysty. A ponieważ było to publiczne miejsce, uważała, że tam Yvette będzie najbezpieczniejsza.

To dopiero niesamowite. Yvette Borger współpracująca z gliną! Zamykała suwak, gdy przyszło jej do głowy, że wciąż jeszcze może uciec. Zostawić pieniądze i wyjechać. Zaoszczędziła wystarczająco dużo, żeby żyć wygodnie, dopóki nie znajdzie następnej pracy. Atlanta była wielkim, anonimowym miastem. Życie nocne kwitło. Bez trudu znalazłaby zajęcie i jakieś mieszkanie.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Wystarczy, żeby zacząć nowe życie. Pójść do college'u.

Zdobyć prawdziwy zawód. Taki, który mogłaby wykonywać w ubraniu.

Patti obiecała przynieść pierwszą wpłatę. Przymknęła też przedstawić dowód, że ma resztę pieniędzy.

Przypomniała sobie, jak policjantka odpowiedziała na jej pytanie, czemu tak jej zależy na schwytaniu Chirurga.

„Zabił mojego męża”.

Patti chciała go schwytać. Pragnęła tego bez względu na koszty. Nawet za cenę pięćdziesięciu tysięcy z ubezpieczenia.

O'Shay była kapitanem policji. Bez wątpienia miała przyzwoitą pensję, ale nie była bogata. Pięćdziesiąt tysięcy było dla niej ogromną kwotą.

Polisa ubezpieczeniowa wypłacona po śmierci męża. Ta świadomość sprawiła, że pod Yvette ugięły się nogi. Usiadła na łóżku obok swojej wielkiej walizki. Patti O'Shay do tego stopnia kochała swojego męża. Tak bardzo, że gotowa była zaproponować pięćdziesiąt patyków za złapanie jego zabójcy.

W tym musiał tkwić jakiś haczyk. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł zrobić coś podobnego. To nierealne. Nikt już nie robił takich rzeczy. A może?

Nie. Dostanie dziesięć tysięcy, ale ani grosza więcej. Patti O'Shay z pewnością ją wyroluje.

Zresztą nie było sposobu, by ją zmusić do wypłacenia pozostałej kwoty.

Nie mogłaby tego zrobić. Przecież O'Shay to glina. Zgniotłaby ją jak robaka.

Nagle przypomniała sobie cierpienie sąsiada. Przed oczami stanął jej Ray. Niemal słyszała jego rozpaczliwy krzyk. Kto mógłby być taki podły? Taki okrutny?

Cholera, o czym ja rozmyślam? Ten potwór otruł Samsona i zabił Marcusa. Jeśli Patti miała rację i rzeczywiście to on był Chirurgiem, zamordował sześć kobiet i kapitana policji. A teraz upatrzył sobie ją.

Wyjeżdż. Uciekaj. Nie oglądaj się za siebie.

Zerwała się na nogi. Dopięła walizkę i przeciągnęła ją pod drzwi. Zdażyła tam dojść, gdy zadzwonił domofon.

Zamarła. Czy możliwe, że Patti wróciła tak szybko?

Jeśli to rzeczywiście ona, spróbuje grać na zwłokę. Będzie udawać, że robi wszystko, jak ustaliły, a gdy nadarzy się okazja, wyjedzie. Podniosła słuchawkę.

- Jestem gotowa.

- To brzmi interesująco. Najwidoczniej to mój szczęśliwy dzień.

- Riley! - zawołała, rozpoznawszy jego głos. - Myślałam, że to ktoś inny.

- Cholera.

Uśmiechnęła się. Tyle się wydarzyło od sobotniego wieczoru, że prawie o nim nie myślała. Teraz, słysząc jego głos, przypomniała sobie, jak bardzo jej się spodobał.

- Co się dzieje?

- Zapomniałem wziąć numer twojego telefonu. Dlatego przyszedłem. Mogę wejść?

Zawahała się. Gdyby Patti pojawiła się, kiedy on będzie na górze, musiałyby szybko wymyślić jakieś wytłumaczenie.

- Yvette?

- Już cię wpuszczam.

Chwilę później był pod drzwiami. Uśmiechnął się, gdy otworzyła.

- Cześć.

- Cześć.

- Miałem nadzieję, że cię zastanę. Ja... - Jego wzrok padł na walizki. Podniósł spojrzenie na jej twarz. - Gdzie jedziesz? —

Cholera...

- Do koleżanki. Taki krótki odpoczynek. Wyglądał na rozczarowanego.

- Chciałem się dowiedzieć, czy wyszłabyś gdzieś dziś wieczorem.

- Muszę iść do pracy.

- Myślałem, że jedziesz w odwiedziny do koleżanki?

- Bo jadę - przytaknęła pospiesznie. - Ona mieszka po drugiej stronie jeziora. I ma basen.

Uśmiechnął się.

- Ucieczka z miasta? Doskonale rozumiem i popieram. A później?

- Nie rozumiem?

- No, po pracy. My we dwoje? Coś do zjedzenia. Zabawa. Trochę flirtu.

Poczuła, że się czerwieni. Od lat już się to jej nie zdarzało. Boże, naprawdę jej się podobał.

- Będzie bardzo późno.

- Jak późno?

- Zbyt późno, żeby gdzieś wychodzić. Jestem kelnerką w barze.

- Tańczącą kelnerką?

Zupełnie zapomniała. Przecież powiedziała mu, że jest tancerką.

- Taniec nie wystarczy, żeby zarobić na życie, więc między występami podaję drinki.

- Gdzie pracujesz? Wpadnę tam na drinka.

- Nie! Mój szef nie toleruje takich rzeczy. Uśmiech zamarł mu na ustach. Cofnął się do wyjścia.

- Jasne. W porządku. Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

- Wcale nie! Naprawdę chcę gdzieś z tobą wyjść. Ale dziś to niemożliwe.

- A co powiesz na czwartek?

- Ten czwartek?

- Gram w „Tipitinie”. Będę szczęśliwy, jeśli przyjdiesz mnie posłuchać.

Patrzył na nią wyczekująco. A ona tak bardzo chciała-by tam pójść. Naprawdę. Pomyślała o Patti. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Wystarczy, żeby zacząć nowe życie. Takie, którego nie musiałaby się wstydzić. - Będę musiała zwolnić się z pracy. To nie jest zbyt łatwe.

- To może następny czwartek? Występujemy tam regularnie, od szóstej do ósmej.

- To dałoby się załatwić. Tylko jak pozbyć się Patti? - Przyjdiesz? - spytał nagle.

- Nie wiedziałam, że jesteś muzykiem - powiedziała, unikając odpowiedzi,

- Gram amatorsko. Przyjdiesz?

- Postaram się. - Obiecujesz?

Przytaknęła, a wtedy pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Zadzwoń.

Wszedł i ruszył korytarzem. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie podała mu numeru komórki. Pospiesznie otworzyła drzwi.

- Riley, poczekaj! Podbiegła do niego.

- Znów zapomniałeś.
- Zapomniałem...?
- Numeru telefonu. Masz długopis? Miał. W kieszeni kurtki.
- Ale nie mam żadnej kartki, Wzięła długopis, który jej podał.
- Nie jest potrzebna.
Chwyliła jego rękę i zapisała numer komórki na jego dłoni.
Przez chwilę patrzył na rękę ze zdumioną miną. W końcu roześmiał się.
- W porządku. Teraz już go mam. Odwróciła się, lecz tym razem to on ją zatrzymał.
- Co? - zdziwiła się.
- Mój długopis.
- Przepraszam. - Wyciągnęła rękę. Wziął długopis, przytrzymał jej dłoń i tym razem on zapisał swój numer.
Spojrzała mu w oczy ze zdumieniem.
- Teraz jesteśmy kwita. - Odszedł, nie oglądając się za siebie.
Dopiero gdy doszedł do schodów, odwrócił głowę. - W czwartek wieczorem - zawołał. - Od szóstej do ósmej.
A potem zniknął jej z oczu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Wtorek, 8 maja 2007 r.

16.10

Patti wychowała się w dzielnicy Bywater. Kiedy pobrali się z Sammym, kupili kreolski dom niedaleko miejsca, gdzie spędziła dzieciństwo.

Wkładali całe serce w odnawianie domu, zakładając, że znajdą coś większego, gdy założą rodzinę. Jednak dzieci nigdy się nie narodziły, więc resztę życia spędzili w swoim domku nowożeńców.

Bywater położone na południe od Dzielnicy Francuskiej jest przyzwoitą dzielnicą zamieszkaną głównie przez średnią klasę. Nie tak historyczna ani ekskluzywna jak sąsiadująca z nią Faubourg Marigny, dzielnica artystów, może się jednak pochwalić aktywną i pełną oddania społecznością. Przed Katriną mówiono nawet, że zaczęła przeżywać swoiste odrodzenie.

Jednak powódź zniszczyła całą okolicę i pozbawiła ją energii. Niektórzy mieszkańcy odbudowali domy. Inni sprzedali swoje i wyjechali. Byli też tacy, którzy mimo upływu dwóch lat, wciąż nie mogli podjąć decyzji. Ich ogołoczone, zrujnowane, zabite deskami posiadłości były okrutnym przypomnieniem przeszłości. Dla Patti jeszcze bardziej przerażającym niż dla innych. Codziennie przypominały jej o osobistej tragedii. Rano i wieczorem odbierała je jak cios w żołądek.

- Ładnie tu - powiedziała Yvette, rzucając torebkę na kanapę.

- Dzięki.

- Nie zalało was?

- Zalało. - Woda zrobiła wyłom w zachodniej części kanału przemysłowego, zalewając prawie wszystkie domy w pobliżu Missisipi. Ich dom był bliżej rzeki niż inne w tej okolicy. - Ale tylko na wysokość trzydziestu centymetrów. Mieliśmy szczęście. Szczęście. Tylko trzydzieści centymetrów wody w domu. Tylko utrata męża. Koniec dobrego życia.

- W każdym razie odbudowałam się.

- A gdzie miałam się podziac? Tutaj jest moje życie. Yvette przyglądała się jej z namysłem. Zupełnie jakby patrzyła na przybysza z obcej planety.

Ale jak mówić o rodzinie, korzeniach i historii dwudziestodwulatce, która nie miała nawet własnego zwierzaka?

Zamiast więc cokolwiek tłumaczyć, zapytała:

- A dlaczego ty zostałaś?

- Dzielnica Francuska ocalała. Dostałam pracę w „Hu-stle”, więc uznałam, że nie ma sensu zaczynać od nowa.

W pewnym sensie obie pozostały z tych samych powodów.

- Pomyślałam, że powinniśmy ustalić pewne ogólne zasady - odezwała się Patti.

- Ogólne zasady? - powtórzyła Yvette, podnosząc brwi. - Na przykład jakie? Cisza nocna o dziesiątej, pobudka przed dziewiątą? Zakaz palenia?

- Zawarliśmy ten układ, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. I dlatego będziemy trzymać się razem. Gdzie idziesz ty, tam także idę ja. I vice versa.

- Do łazienki też? - Yvette skrzyżowała ręce na piersi. - Będziesz patrzeć, jak sikam? Albo biorę prysznic? Nigdy jeszcze nie byłam w areszcie domowym.

Będziesz miała własną łazienkę. A także oddzielną sypialnię.

Może tylko powinnaś na noc zostawiać otwarte drzwi. Natomiast okno ma być zamknięte. Poza tym masz robić to, co ci każe.

Zawsze.

- Zaczyna być zabawnie. Jak piżamowe przyjęcie u koleżanki.

Patti zmarszczyła brwi.

- Mam wrażenie, że nie dociera do ciebie powaga sytuacji.

Ależ dociera, aż za dobrze. Gdzieś tam kręci się maniak, który morduje ludzi. Z jakiegoś powodu teraz ma obsesję na moim punkcie. Szczęściara ze mnie, nie ma co.

Patti zaskoczył nonszalancki ton dziewczyny. Yvette zdawała się nie rozumieć, jak kruche jest życie.

Za to śmierć, gdy już nadeszła, była ostateczna.

Spróbowała inaczej. To jest układ biznesowy. Płacę ci bardzo dużo za to, żebyś zastosowała się do moich zasad. Jeśli postanowisz, że nie będziesz tego robić, nie mam żadnych środków, by cię powstrzymać. Ale wtedy nie będę mogła cię chronić. To będzie znaczyło, że zrywasz naszą umowę. W ostatecznym rozrachunku to wyłącznie twój wybór.

Yvette wytrzymała jej spojrzenie i w końcu skinęła głową.

- A więc dobrze - podjęła Patti. - Twoja sypialnia to drugi pokój po

prawej stronie. Może chcesz się wypakować?
Powiedziała, że chętnie, i ruszyła w stronę pokoju.
- Yvette! Jeszcze jedno - zawołała za nią Patti. Kiedy dziewczyna odwróciła głowę, dodała: - W domu obowiązuje zakaz palenia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Czwartek, 10 maja 2007 r.
12.15

Stacy stanęła w drzwiach czystej małej kuchenki, wpatrując się w to, co kiedyś było kobietą o nazwisku Alma Maytree. Zadzwoiła sąsiadka, zaniepokojona bezustannym ujadaniem psa starszej pani, jak również faktem, że od kilku już dni nikt nie widział panny Almy.

Panna Alma miała osiemdziesiąt dwa lata. Uroczą staruszką, która kochała swoje dzieciątko - jak mówiła o suczce Sissy - i była uprzejma dla wszystkich sąsiadów. Nawet tych, którzy na to nie zasługiwali.

Sąsiadka, która zawiadomiła policję, bała się, że starsza pani mogła mieć atak serca. Albo upadła i nie może się podnieść. Niestety, było znacznie gorzej. Ktoś uderzył ją w prawą stronę głowy. Upadła na twarz na podłogę z białej terakoty, robiąc straszny nieporządek. Miała na sobie błękitny wełniany szlafrok i kapcie. Spod szlafroka wystawało coś, co wyglądało na nocną koszulę w kwiatki. Na podłodze, kilka centymetrów od ciała, leżała żeliwna patelnia

- Garnkiem przez łeb. Niezawodna metoda - zauważył Baxter. Stacy podniosła na niego wzrok. - Nie ma wątpliwości co do narzędzia zbrodni, to pewne.

- Od lat już takich nie widziałem. - Rene naciągnął lateksowe rękawiczki. - Moja babcia niczego innego nie używała. Odżywają wspomnienia.

- Dała ci kiedyś którąś z nich w głowę? Wyszczrzył zęby.

- To by wiele wyjaśniało, co? Ale nie, chociaż miała ochotę. Często. Jeden z policjantów odgrodził już wejście do mieszkania taśmą. Kilkunastu lokatorów zgromadziło się tuż za nią, przyglądając się i szepcząc między sobą. Ktoś zaproponował, że zaopiekuje się Sissy, co Stacy przyjęła z wdzięcznością. Kilku funkcjonariuszy rozpoczęło przepytywanie tych i pozostałych sąsiadów.

- Udało ci się znaleźć jakieś mieszkanie? - rzucił Rene, kucając przy ofierze.

Stacy ukucnęła obok niego. Popełniła błąd, pytając kolegów o mieszkanie do wynajęcia. Teraz już wszyscy wiedzieli, co się u niej dzieje.

- Takie, w którym chciałabym zamieszkać? Właściwie nie.

- Chcesz o tym pogadać?

- Raczej nie.

- Gdybyś chciała znać moją opinię...

- Nie chcę.

- ...to uważam, że chyba powinnaś przetrwać ten kryzys z Malone'em. To palant, ale porządny gość.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie ma sensu?

- Jestem facetem. I dlatego wiem, że jak najbardziej ma sens.

- Czy moglibyśmy skupić uwagę na panie Almie? Myślę, że na to zasługuje.

- Jest martwa, Killian. Wątpię, czy robi jej to jakąś różnicę. Postanowiła go zignorować.

- Patelnia zdecydowanie była narzędziem zbrodni. - Wskazała krew, włos i coś jeszcze, prawdopodobnie drobiny ciała i kości, które przyłgnęły do prawego boku i dna naczynia.

- Uderzenie nie było zadane pod kątem prostym. Był wyższy. I najwyraźniej praworęczny. - Leworęczny zabójca, uderzając z tyłu, trafiłby ofiarę z lewej strony.

- Jak wpadłaś na to, że był wyższy?

Stacy podniosła się i podeszła do szafki tuż obok kuchenki. Tak jak przewidywała, Alma Maytree trzymała tam garnki i patelnie.

Wybrała naczynie o podobnej wielkości jak to na podłodze.

Stój tutaj - poprosiła jedną z pracownic laboratorium. Kobieta była trochę niższa od Stacy.

Odsunęła się od niej na długość ramienia, zamachnęła się patelnią i zatrzymała rękę tuż przed jej głową. Jej ramię zatoczyło łuk w dół. Dłoń była trochę przekręcona, kciuk skierowany ku górze.

Powtórzyła ruch. Za każdym razem ta sama część patelni trafiała w ten sam punkt.

Podziękowała laborantce, która nawet nie mrugnęła okiem i przebiegła spojrzeniem po miejscu zdarzenia. Poza ciałem i patelnią wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Nie oglądała jeszcze reszty mieszkania, ale z tego, co zobaczyła do tej pory, można było wnioskować, że prawdopodobnie wszystko było w takim samym stanie.

Wyglądało na to, że panna Alma przygotowywała sobie herbatę. Czajnik pełen wody na kuchence. Czajniczek i torebki herbaty na blacie. Dwie filiżanki, puste, najwyraźniej czekające na to, aż ktoś je napełni. Dwie filiżanki. Nie jedna.

Ktokolwiek to zrobił, był osobą, której starsza pani ufała. Myślała o nim, lub o niej, jak o swoim przyjacielu. Zaprosiła go do siebie. Odwróciła się plecami. I nagle bach!

Tylko dlaczego?

- Ma na sobie szlafrok - zaczął Baxter. Albo właśnie wstała, albo zamierzała się położyć.

Stacy podeszła do kosza na śmieci, podniosła pokrywę i zajrzała do środka. Baxter zaglądał jej przez ramię.

- Wiele można powiedzieć o ludziach na podstawie ich śmieci. A czasami ocenić, jaka to pora dnia.

- No bo pomyśl - ciągnął Rene. - Czy ktoś podejrzewałby, że taka urocza staruszka mogła lubić skwarki?

- Gdzie tu widzisz skwarki?

- W ogóle nie widzę. Przecież mówię „czy ktoś podejrzewałby”.

- Często doprowadzałaś swoją mamę do furii, co?

Uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że panna Alma jadła kolację. Stacy kiwnęła głową. Resztki posiłku, który składał się z kurczaka i ryżu, leżały na pozostałych śmieciach.

- A potem wpadł przyjaciel.

- Niezły przyjaciel - mruknął Baxter. Otworzył drzwi lodówki i zajrzał do wnętrza.

- Jest tam coś, co nie pasuje do reszty?

- Nie.

Stacy powoli odłożyła pokrywę kosza na miejsce.

- Pamiętasz Yvette Borger?

- Tę striptizerkę, która pieprzyła się z Marcusem Gabrielle'em? Stacy przytaknęła.

- Mieszka w tym budynku.

- Żartujesz? Myślisz, że to ma jakiś związek z Gabrielle'em?

- Wydaje się nieprawdopodobne, ale nie lubię takich zbiegów okoliczności.

Domieszkania wszedł przedstawiciel koronera. Rzucił okiem na Almę Maytree i pokręcił głową.

- Dzieci i staruszkowie. Jest w tym coś wyjątkowo ohydneho.

Wiecie, co mam na myśli?

Stacy rozumiała go doskonale. Zarówno dzieci jak i starsi ludzie byli zupełnie bezbronni.

Patolog włożył rękawiczki i ukląkł przy ciele.

- Zdaje się, że to nie wymaga dyskusji - mruknął. Chociaż jeśli czegoś mnie ta praca nauczyła, to z pewnością tego, że nie należy sądzić po pozorach.

Ostrożnie obejrzał dłonie i ręce panny Almy. Żadnych śladów wskazujących na to, że się broniła. Paznokcie wydają się czyste.

- Jak długo nie żyje?

- Ze dwa dni. Być może po sekcji będę mógł powiedzieć coś bliższego, ale określenie czasu zgonu po takim okresie zawsze jest mało precyzyjne.

To prawda. Im dalej od momentu zgonu, tym trudniej sprecyzować, kiedy nastąpił.

- Proszę robić swoje - powiedziała Stacy. - Pójdziemy się rozejrzeć.

W mieszkaniu było mnóstwo ozdób: stare koronki, kwiaty z

jedwabiu, dużo kwiecistego perkalu. W salonie każda poduszka leżała na swoim miejscu. Łóżko pościelone. Żadnych rozrzuconych ubrań na podłodze sypialni, na oparciu krzesła ani łazienkowym wieszaku. Prawdziwy bałagan panował natomiast na toalecie w łazience.

Mleczka, kremy, perfumy, szminki. Stacy podniosła małą tubkę.

- Usuń oznaki starzenia - przeczytała. - Nawilża, odmładza i redukuje widoczne oznaki starzenia się.

- Nadzieja matką głupich - inruknął Baxter, biorąc do ręki inny krem. - Nawet w wieku osiemdziesięciu iluś lat.

- Dwóch - odpowiedziała Stacy. - A ja uważam, że to słodkie. I bardzo smutne, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło.

Wrócili do kuchni Technicy zabezpieczali właśnie zawartość kosza na śmieci.

Uważajcie, żeby tego nie pomieszać - zwróciła im uwagę Stacy. - Śmieci leżące na wierzchu mogą nam pomóc określić czas zgonu.

- Jasne, pani detektyw. Jak wam idzie, Mitch?

Dłonie i stopy panny Almy zabezpieczono już torebkami. Teraz ciało zostanie włożone do worka i przetransportowane do kostnicy. Cały proces przebiegał bardzo ostrożnie, żeby uniknąć zatarcia lub zanieczyszczenia dowodów. Mitch podniósł wzrok. - Sądzę, że nic tu nie ma, czego nie widać gołym okiem.

- Kiedy się odezwiesz?

- Za dwa dni, iluś już tam na mnie czeka. - Uniósł dłoń, jakby chciał uniknąć wszelkich dyskusji. - A poza tym mam własne życie. Przynajmniej tak mówi moja żona.

- Wiesz, jak bardzo cenimy twoje poświęcenie. - Uśmiechnęła się.

Otworzyła komórkę i wybrała numer Spencera. - To ja - powiedziała, gdy odebrał. - Pomyślałam że może cię to zainteresować. Mam trupa w domu, w którym mieszka Yvette Borger.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Czwartek 10 maja 2007

13.25

Kiedy zadzwonił telefon, Patti i Yvette jechały na poszukiwania przyjaciół i kolegów z pracy lessila Skye. Na wyświetlaczu pokazało się imię Spencera.

- Pomyślałem, że chciałabyś o tym wiedzieć. Ktoś wykończył jedną z sąsiadek Yvette.

- Kogo?

- Almę Maytree. Przyłożył jej w głowę patelnię. Alma Maytree. Nazwisko brzmiało znajomo. Czy to Yvette je wymieniła?

- Kiedy?

- Nie wiem. Właśnie tam jadę. Chyba będziesz musiała wyjść ze stanu spoczynku, żeby się czegoś dowiedzieć.

Zamknęła telefon, zjechała na lewy pas i wykorzystując pas rozdzielczy, zawróciła.

- Co się dzieje? - spytała Yvette.

- Wracamy do domu. Dziewczyna ziewnęła.

- Dlaczego?

- Zostawię cię tam.

- Wyglądało na to, że wzbudziła jej zainteresowanie, choć do tej pory wydawało się to właściwie nieosiągalne.

- Chcesz mnie zostawić? Samą?

- Popelniono morderstwo. Muszę pojechać na miejsce, a nie mogę zabrać cię ze sobą.

- Czy to nie jest wbrew tym twoim zasadom?

- Nie mam wyboru. - Spojrzała na nią. - Nie musisz robić takiej triumfalnej miny.

Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać. W jej głosie nie było

ani cienia skruchy. Patti zacisnęła zęby. W miarę upływu czasu i braku wiadomości od Artysty Yvette coraz bardziej się buntowała. Należałoby może zacząć od tego, że już wcześniej nie była zbyt ustępliwa. Była znudzona. Stała się opryskliwa i zarazem pewna siebie. Drażliwa. Nie widziała sensu w ustalonych przez Patti zasadach i próbowała je ignorować, kiedy tylko się dało. Patti gotowa była znieść to i wiele więcej, skoro mogło ją to doprowadzić do zabójcy Sammy'ego.

Czy zabójstwo sąsiadki mogło mieć jakiś związek ze sprawą? Alma Maytree. Miała ochotę spytać Yvette, czy ją znała, ale bała się, że dziewczyna skojarzy fakty i odgadnie, że kobieta nie żyje. Trudno było przewidzieć, jak na to zareaguje. Gotowa wpaść w panikę i uciec. A do tego Patti nie mogła dopuścić. Musi najpierw poznać fakty i ocenić sytuację. Dopiero potem będzie mogła podjąć decyzję. Całkiem możliwe, że to morderstwo nie miało żadnych powiązań z Yvette czy Artystą.

Chociaż... Jeden zbieg okoliczności to jeszcze nic dziwnego. Ale trzy?

Marcus Gabrielle został zamordowany. Samson otruty. A teraz kobieta o nazwisku Alma Maytree była martwa.

Skręciła w Piety Street i po chwili zatrzymała się przed domem.

- Sama wejść. - Yvette wyciągnęła rękę po klucz. Patti zdjęła klucz do drzwi wejściowych z kółka, ale jeszcze go jej nie podała.

- To nie powinno zająć mi dużo czasu. Zamknij drzwi i nikomu nie otwieraj.

- Tak jest, mamó.

Patti przyglądała się jej przez kilka dobrych sekund.

- Rozumiesz, w jakim jesteś niebezpieczeństwie?

- Dasz mi klucz, jeśli powiem „tak”? - Roześmiała się, widząc rozgniewane spojrzenie Patti. - Wygłupiam się. Oczywiście, że wiem, w jakim jestem niebezpieczeństwie. I jaka to poważna sprawa. A także, jak ważne jest przestrzeganie tych wszystkich zasad.

Patti nie miała wątpliwości, że dziewczyna ściemnia. Wrzuciła klucz do jej wysuniętej dłoni. Przyglądała się, jak Yvette biegnie w

stronę wejścia, otwiera drzwi i bez spoglądania za siebie znika w domu.

Siedziała jeszcze przez chwilę, walcząc z pragnieniem, by po cichu podejść do drzwi i upewnić się, że je zamknęła. Albo obejść dom i przez okno sprawdzić, czy Yvette czegoś nie knuje.

Czy tak właśnie czują się rodzice, gdy mają dać swoim nastoletnim dzieciom trochę wolności i ogarnia ich niepokój, że coś narozrabiają? Mają oczywiście nadzieję, że nic się nie stanie, lecz są rozdarci między podejrzliwością a chęcią okazania zaufania. Yvette była dorosła. Zarabiała na życie, tańcząc w nocnym klubie. Była samodzielna, dzień w dzień musiała podejmować decyzje. Tylko zachowywała się jak cholerny smarkacz. Jak głupi, skoncentrowany na sobie nastolatek.

Patti jeszcze chwilę patrzyła na dom, w końcu jednak ruszyła, kierując się do Dzielnicy Francuskiej.

Kilka minut później zatrzymała się przed umundurowanym policjantem, który stał na rogu i kierował samochody okreśną trasą. Pokazała odznakę i wjechała w ulicę, przy której stał dom Yvette. Zaparkowała wóz i ruszył do wejścia. Przywitała się ze stojącym tam funkcjonariuszem i kierując się taśmą, która odgradzała miejsce zdarzenia, trafiła prosto do mieszkania ofiary na parterze. Wpisała się do dziennika operacyjnego i pod taśmą weszła do środka. Wokół kręciło się mnóstwo policjantów i techników, wszyscy skupieni na swoich zajęciach. Wciąż ją zadziwiała, jak to się dzieje, że tyle osób potrafi się zmieścić na niewielkiej powierzchni i w dodatku każdy z nich z największą dokładnością wykonuje bardzo skomplikowaną pracę. A jednak tak się właśnie działo, przy każdej zbrodni.

Omijała ich, kierując się do centrum wydarzeń, czyli do ofiary. Spencer już był na miejscu. Stali wraz z Stacy, Baxterem i zastępcą koronera, Mitchem Weinerem, pogrążeni w dyskusji na temat transferu zawodników do New Orleans Saints w ostatnim sezonie ligi futbolowej.

Patti przywitała się z Mitchem i detektywami. - Czekaliśmy na ciebie - powiedział zastępca koronera. - Malone uznał, że będziesz chciała rzucić okiem, zanim ją zapakujemy do worka. - Jestem wdzięczna.

Obejrzała ciało, zwracając uwagę na otoczenie, położenie ofiary, patelnię.

- No to już. - Odwróciła się do nich. - Co macie?

- Zabił ją cios w głowę - zaczęła Stacy. - Nie ma siadów, że się bronila. Nie widać też żadnych innych obrażeń.

- Według mnie nie żyje od kilku dni - wtrącił Mitch. - Więcej będę wiedział po autopsji.

- Jacyś podejrzani?

- Jeszcze nie. Sąsiedzi, z którymi rozmawialiśmy, mówią, że była powszechnie lubiana.

- Sądzymy, że znała napastnika - dodała Stacy. - Wpuściła go do mieszkania, chociaż już szykowała się do spania.

- Skąd wiecie, że to on? - spytała Patti.

- Słucham?

- Starsza pani. W szlafroku. Przygotowuje sobie herbatę przed pójściem spać. Czy wpuściłaby mężczyznę do mieszkania?

- Nie jakiegoś mężczyznę - mruknął Baxter. - Ale może bliskiego krewnego?

- Albo sąsiada. Przyjaciela. Kogoś nie wzbudzającego podejrzeń.

- Policjanta - podpowiedział Mitch. - Księdza. Zapadła cisza.

Pracownicy z biura koronera włożyli

ciało do worka. Mitch wyszedł razem z nimi. Patti odwróciła się do Spencera i Stacy.

- Pytanie tylko, czy ma to coś wspólnego z Yvette Borger.

Spencer uniósł brwi.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Dwa dni temu Artysta złożył Yvette nocną wizytę. Wszedł do mieszkania, zostawił list i wyszedł, nie budząc jej. Znalazła wiadomość dopiero rano.

- Albo tak twierdzi.

Patti zlekceważyła sarkastyczną uwagę siostrzeńca i ciągnęła:

- Tej samej nocy został otruty mops jej sąsiada, Samson. A teraz okazuje się, że Alma Maytree nie żyje. Całkiem możliwe, że została zabita tej samej nocy.

- I ty wierzysz Yvette?

Zmarszczyła brwi, słysząc jego wyzywający ton. - Wierzę.

- Do tego stopnia, że wzięłaś urlop z pracy i, moim zdaniem,

również od zdrowego rozsądku, aby jej pomóc. Cholera, czy ty całkiem postradałaś zmysły?

Kilka osób spojrzało w ich stronę. Parti ruszyła do drzwi.

- Może porozmawiamy o tym na zewnątrz, detektywie?

Razem ze Stacy wyszli z mieszkania. Kiedy znaleźli spokojny kąt na dziedzińcu, Spencer odwrócił się do ciotki.

- Zwisa mi to, czy ta kobieta jest kompletnie pomyłona. Tyle że teraz mieszka w to osobę, na której mi zależy.

- Doceniam twoją troskę, Spencer. Ja też cię Kocham. Ale nie potrzebuję opieki.

- Ona nie ma żadnego dowodu. Sfabrykowała te listy. Wymyśliła Artystę. Wszystko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Najwyraźniej ją to rajcuje.

- Nie wymyśliła Almy Maytree. Ani otrucia Samsona.

- A skąd wiesz, czy to nie ona zabiła Almę Maytree? I także otruła Samsona?

- Dlaczego? Jaki miałyby motyw?

- Może po prostu jest szalona.

- Czy to naprawdę takie nieprzekonujące, Patti? - spytała Stacy. -

Może również zabiła Gabrielle'a? Lub komuś to zleciła? Mogła to zrobić, bo ją przestraszył. Albo dlatego, że próbował ją zabić. Ufała mu, a on ją zdradził.

- To jeszcze nie wszystko - podjęła Patti. - Yvette przyszła do mnie z prośbą o pomoc. Jej przyjaciółka z "Hustle", Tonia Messinger...

- Przyjaciółka? - przerwała jej Stacy. - Z pewnością były jak najdalej od przyjaźni, kiedy tam przyszedłem jako kelnerka. Yvette nazwał ją wtedy suką. To jej słowa, nie moje.

- Widać, kiedy razem ze Spencerem odmówiliście jej pomocy, zwróciła się do Toni. Teraz Tonia zaginęła.

- Zaginęła?

- Tonia rozpoznała na zdjęciu w gazecie ofiarę z parku. Twierdziła, że to była tancerka z „Hustle”, Jessica Skye. Zaginęła w czasie huraganu. - Pochyliła się do przodu. - Rozpoznała również faceta, który wysłał listy do Yvette. Ten sam mężczyzna interesował się wtedy Jessica.

- Pewno postanowiły przeprowadzić własne dochodzenie.

- Tak. A kiedy Tonia zniknęła, Yvette przyszła do mnie.
 - Czy jeszcze ktoś potwierdził, że ta Skye to nasza dziewczyna z parku?
 - Nie, jak dotąd nie.
 - Żadna z pozostałych tancerek w klubie? Kiedy ponownie zaprzeczyła, dwoje detektywów wymieniło znaczące spojrzenia.
 - Nie widzisz, co się dzieje? - Spencer odezwał się pierwszy. - Tonia jest jedyną osobą, która może zidentyfikować Skye, i nagle sama znika. Kiedy poszliśmy ze Stacy zobaczyć listy, które przysyłał jej Artysta, nagle okazało się, że wszystkie zniknęły. Ona jest chora, ciociu Patti.
 - Zgadzam się ze Spencerem, pani kapitan - przytaknęła Stacy. - Błędem byłoby wchodzić z nią w jakieś bliskie układy. Za późno.
- Patti przyglądała im się z mieszanymi uczuciami. Spencer i Stacy byli dobrymi policjantami. Mieli intuicję. Ale ona musiała polegać na swoim przeczuciu.
- Nie zamierzam nic zmieniać. Nie mogę. Jeśli powiedziała mi prawdę, to Artysta jest Chirurgiem. Dzięki niej mogę do niego trafić.
 - Jeśli - rzucił Spencer ostro.
 - Zajął w „Hustle” miejsce Tom. I wzięłam Yvette do siebie. Dla jej bezpieczeństwa.
- Przez kilka sekund Spencer wpatrywał się w nią z osłupiałą miną. W końcu wybuchnął:
- To najdurniejszy, najbardziej kretyński pomysł...
 - Proszę nie posuwać się za daleko, detektywie. Wciąż jestem starszym rangą oficerem.
 - Więc zachowuj się jak na oficera przystało, na miłość boską! Stacy położyła mu rękę na ramieniu.
 - Robisz to wszystko z błogosławieństwem szefa?
 - On o tym nic nie wie, oficjalnie jestem na urlopie. Stacy jęknęła z rozpaczą.
 - Błagam cię, zastanów się. Nadal nie otrząsnęłaś się po stracie Sammy'ego i nie myślisz trzeźwo. To i stres...
 - Myślę jak najbardziej trzeźwo. I doskonale wiem, co robię.

- To może zaciążyć na twojej karierze - rzucił Spencer. - Jesteś na to przygotowana?

- Oczywiście.

- Pozwól, że o coś spytam, ciociu Patti. Jak udało ci się przekonać tę małą kłamczuchę, żeby przyjęła twoją ofertę? Zrobiła to tak z dobroci serca? Po prostu chciała pomóc złapać zabójcę?

- Tak.

Zawahała się zaledwie na ułamek sekundy, jednak trwało to wystarczająco długo, żeby Spencer się zorientował.

- Współpracujesz z Borger zaledwie dwa dni, a już kłamiesz. To nie ta sama Patti O'Shay, którą znam i szanuję.

Cóż, faktycznie skłamała. W dodatku nieumiejętnie.

- Nie zrozumiałbyś tego.

- Więc spróbuj mi wytłumaczyć. Co jej obiecałaś?

- Pieniądze.

- To ci niespodzianka. Ile?

- To już pozostanie między mną a Yvette. Spencer zacisnął szczęki i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- W takim razie ja też w to wchodzę - oświadczył. - Choćby z tego powodu, żeby cię chronić.

- Nie. Mowy nie ma. Narażenie mojej kariery to jedno, ale twojej - to zupełnie inna sprawa.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, jednak nie dała mu dojść do głosu.

- Zdaje się, że macie tu jeszcze sporo do zrobienia. A ja jestem na urlopie. Przepraszam.

Odwróciła się i odeszła. Zdawała sobie sprawę, jak się niepokoją. Jak rozczarowany czuje się Spencer.

Trudno się temu dziwić, pomyślała. Gdyby któreś z nich podjęło podobną decyzję, ona również martwiłaby się jak wszyscy diabli.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Czwartek, 10 maja 2007 r.

17.15

Yvette krążyła po pokoju, co rusz spoglądając na zegarek. Pałętała się po domu przez całe popołudnie i aż ją korciło, żeby wyjść. Była znudzona i zirytowana. Minęły dwa dni, a Artysta nie dał o sobie znać.

Może odpuścił? Albo znalazł inną dziewczynę? A może dopisało jej szczęście i przywaliło go gdzieś drzewo albo potraçała ciężarówka.

Pomyślała o Patti. Zauważyła, jak policjantce trzęsły się ręce, gdy dawała jej czek na dziesięć tysięcy dolarów. Wtedy dopiero uświadomiła sobie, ile to dla niej znaczy. Jak ważna jest ta inwestycja. W tym momencie ogarnęło ją poczucie winy. Mimo to wzięła pieniądze.

Rozległ się krótki sygnał, informujący, że na jej komórkę przyszedł SMS.

Proszę, przyjdź. Tipitina. 18. R.

Ponownie odczytała wiadomość. Bardzo chciała tam pójść. W „Hustle” musiała być dopiero o dziewiątej, więc miała mnóstwo czasu, żeby wpaść do muzycznego baru. Skoro Patti może łamać zasady, czemu ona miałaby ich przestrzegać?

Podjąwszy decyzję, jeszcze raz spojrzała na zegarek i wezwała taksówkę. Patti będzie wkurzona, kiedy odkryje, co zrobiła. A jeśli nie zdąży wyjść przed jej powrotem, zatrzyma ją. Apodyktyczna

histeryczka. Taksówka podjechała, gdy Yvette zapinała swoje najseksowniejsze dżinsy. Włożyła sandaalki na płaskim obcasie, złapała torebkę i wybiegła z domu.

„Tipitina” był klubem muzycznym, gdzie swoją karierę zaczynało wielu sławnych muzyków, lecz przede wszystkim znany był z tego, że promował rodzimą muzykę. Usytuowany w Dzielnicy Francuskiej, zdołał uniknąć ciosu Katriny.

Taksówka podwiozła ją pod klub. Yvette zapłaciła a kurs i weszła do środka. Jak na tego typu lokal było jeszcze dość wcześnie, a mimo to siedziało tam już całkiem sporo ludzi.

Riley dostrzegł ją w chwili, gdy wchodziła. Podszedł do niej natychmiast.

- Przyszłaś. Wspaniale.

- Nie będę mogła zostać zbyt długo. Muszę iść do pracy.

- Cieszę się, że jesteś. - Chwycił jej dłonie. - Napisałem piosenkę dla ciebie.

Zaczerwieniła się z radości

- Naprawdę?

- Gdybyś nie przyszła, nie zaśpiewałby jej. - Więc cieszę się, że przyszłaś.

- Ja też. - Pochylił się i pocałował ją. Było to ledwie dotknięcie ust, a poczuła je aż w czubkach palców.

- Muszę już iść, Będziesz klaskać, co?

Wrócił na scenę. Wzięła colę i usiadła na wysokim stołku za barem. Grali dość kameralną muzykę: gitara akustyczna, pianino, południowe ballady o miłości i złamanym sercu, o wierności i rodzinie. Miękki, stłumiony głos Riley’a przenikał ją aż do głębi. Czemu ktoś taki zajmuje się prowadzeniem galerii?

- zastanawiała się.

Kiedy zaśpiewał "jej" piosenkę, patrzył prosto na nią. W głąb niej. Poczuła falę gorąca. Z oszołomienia Yvette kręciło się w głowie. Słowa piosenki i cała atmosfera pochłonęły ją bez reszty i... zakochała się.

Fakt, nikt do tej pory nie twierdził, że jest zbyt bystra.

- Witam.

Spojrzała na kobietę, która podeszła i stanęła obok.

Znała jej twarz, tylko nie pamiętała skąd.

- Cześć.

- June Benson — przypomniała kobieta. - Siostra Riley.

- Oczywiście. - Yvette uśmiechnęła się. - Wiedziałam, że się już spotkałyśmy. - Gestem wskazała scenę.

- Jest dobry.

- Też tak uważam.

- Powiedział mi, że jesteście ze sobą bardzo blisko.

- Jesteśmy. - Przerwała, żeby napić się drinka. - Ri-ley dużo o tobie mówi.

- Naprawdę?

- Mhm. - Z zaciętą miną spojrzała na scenę. - Mój brat jest... impulsywny. Działa, zanim pomyśli. Nosi serce na dłoni. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- Nie rozumiem, co próbujesz powiedzieć. - spojrzała Yvette prosto w oczy.

- Łatwo go zranić. Właśnie to próbuję powiedzieć.

- Wiem, kim jesteś. Jaką jesteś tancerką. I to, że izcałą pewnością nie jesteś kelnerką.

Yvette poczuła się, jakby wymierzono jej cios.

- Skąd się...

- Powiedział mi Spencer Malone. Tamtego wieczoru w galerii.

- Rozumiem.

- Czyżby? - Kobieta pochyliła się w jej stronę. - Kocham mojego brata i nie chcę, żeby ktoś złamał mu serce. To wszystko.

Yvette z trudem ukryła, jak bardzo zraniły ją słowa June.

- A taka kobieta jak ja na pewno to zrobi. Mam rację? Bo jestem śmieciem? Kurwą?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś.

Pierwszy występ skończył się i Riley zeskoczył ze sceny.

- Rozmawiacie ze sobą, to świetnie.

- Próbujemy poznać się bliżej - mruknęła June.

- A nie mówiłem? Czy nie jest wspaniała? - Uśmiechnął się promiennie do siostry, po czym zwrócił się do Yvette. - Podobała ci się piosenka?

Jasne. Podobała się jej piosenka... i on. Za bardzo. Cóż... Cudnie było pomarzyć.

- Tak - szepnęła. Zsunęła się ze stołka. - Muszę już iść.

Przepraszam.

Minęła go i pospiesznie ruszyła do wyjścia. Riley dogonił ją i złapał za rękę.

- Co jest grane? Co June ci powiedziała?

- Że nie chce, abyś został zraniony.

- Jest nadopiekuńcza. Czasami zachowuje się bardziej jak matka niż siostra. - Uśmiechnął się. - Nie miała nic szczególnego na myśli.

- Owszem, miała. Myśli, że jestem... - przygryzła wargi, czując, że jest bliska łez. Nie będzie płakać. Ani teraz, ani nigdy więcej.

- Kim? Musiałaś ją źle zrozumieć.. To naprawdę słodka...

- Jestem kimś innym, niż myślisz. Podniósł brwi.

- Nie nazywasz się Yvette Borger? Uniosła wyzywająco głowę.

- Nie jestem kelnerką, lecz striptizerką - powiedziała. Starala się, żeby zabrzmiało to możliwie ostro. - W „Hus-tle”. Co wieczór mam trzy występy i cholernie dobrze na tym zarabiam. Za siadanie gościom na kolanach dostaję wysokie napiwki, a najlepiej mi płacą za prywatne występy. To dlatego twoja siostra uważa, że cię zranię. Nie jestem dla ciebie zbyt dobra.

Nie odezwał się. Yvette uwolniła rękę.

- Muszę iść - powiedziała.

Uświadomiła sobie, co zabolęło ją najbardziej. Kiedy odchodziła, Riley nie próbował jej zatrzymać. Zresztą wcale jej to nie zdziwiło.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

ÓSMY

Czwartek, 10 maja 2007

21.25

Yvette nie zadała sobie trudu, żeby wezwać taksówkę. Mimo ciepłego, parnego wieczoru, czuła, że jej zimno. Ależ ze mnie idiotka! - myślała. Jak mogła pozwolić sobie na fantazjowanie. Wymyśliła śliczną bajeczkę, która nie miała nic wspólnego z prawdziwym życiem.

Zatrzymała się, żeby zapalić papierosa, po czym podjęła spacer w kierunku „Hustle”. Nikt nie mówił, że życie będzie sprawiedliwe. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo, a ludzie będą mili.

Reguły są dla nieudaczników. Jeśli chcesz coś osiągnąć na tym świecie, musisz dbać o własny interes.

To zaledwie dwie z perełek, jakimi raczył ją ojciec, szczególnie, gdy brzuch miał już pełen piwa.

Wspomniała te mądrości życiowe, gdy w wieku szesnastu lat walnęła go w głowę dzbankiem do kawy, wyczyściła jego portfel i uciekła. Wtedy widziała go po raz ostami, chociaż później słyszała, że przeżył. I nadal pracuje na poczcie w Greenwood w stanie Missisipi.

- Spóźniłaś się, słodki pysiu - uśmiechnął się Dante, kiedy wchodziła do „Hustle”.

- Zdarza się.

Bramkarz pokręcił głową.

- Mnie tam wszystko jedno. Powiedz to sierżantowi, jest spięta jak cholera.

Patti... Na pewno już zaczęła svirować ze strachu, że straciła swoją zaliczkę.

- Może mnie pocałować w dupę.

- Ja też mogę? - Bramkarz obrzucił ją pożądlwym spojrzeniem.

Pokazała mu środkowy palec i ruszyła do garderoby. Patti

nerwowo krążyła po korytarzu. Na widok Yvette zatrzymała się. Gdzieś ty, do diabła, była? - spytała ostro.

- Poszłam spotkać się z przyjacielem - odparła zuchwale.

- Nic mi o tym nie mówiąc. Miałyśmy umowę... - Ty pierwsza złamałaś zasady.

- Dorośnij.

- Nie potrzebuję pouczeń. - Yvette obróciła się na pięcie i wmaszerowała do garderoby.

Patti weszła tam za nią.

- Prawdę mówiąc, uważam, że potrzebujesz ich jak najbardziej. To ty przysłaś do mnie po pomoc, pamiętasz?

- Przestań wciskać mi ten kit. Potrzebujesz mnie, Bardziej niż ja ciebie.

- Taka jesteś tego pewna? A mnie się wydaje, że byłaś dość mocno przestraszona. I całkiem pewna, że Artysta zabił twoją przyjaciółkę. A może to było jedno z twoich kłamstw?

Yvette z wściekłością skrzyżowała ręce na piersi.

- Odpieprz się! Mam swoje życie.

- Pytanie tylko, czy chcesz je zachować. Spojrzała na nią wyzywająco.

- Myślę, że on spakował swoją piłę i wyniósł się.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie pojawia się ani nie zostawia żadnych wiadomości. Pewno spłoszyła go moja przeprowadzka do ciebie.

Patti roześmiała się.

- Naprawdę sądzisz, że maniak, który zabił już dziewięć osób, przestraszy się mnie?

- Jesteś gliną. Nosisz broń.

- A ty jesteś nieodpowiedzialnym dzieciakiem.

- Pieprzę to. Ciebie też.

Yvette podeszła do toaletki i zaczęła ładować leżące tam rzeczy do wielkiej torby.

- A ty dokąd się wybierasz?

- Wszystko jedno, oby daleko stąd. Nie potrzebuję ciebie ani tej głównianej pracy.

- Alma Maytree nie żyje.

Dziewczyna zamarła. Obróciła się powoli i popatrzyła na Patti.

- Co powiedziałaś?

- Alma Maytree nie żyje. To dlatego musiałam wyjść po południu. Ktoś ją zabił.

- O mój Boże...

- Jakies dwa dni temu. Została uderzona patelnią w głowę. Przed oczami stanął jej nieprzytomny ojciec. Krew ciekąca z rany na głowie. Kapiąca na cętkowane linoleum. Potrząsnęła głową, próbując odsunąć wspomnienie.

- Dlaczego ktoś miałby skrzywdzić pannę Almę? To przecież najmiłsza osoba na świecie. Dla wszystkich była taka uprzejma.

- To wydarzyło się dwie noce temu, Yvette. Przez kilka dobrych sekund wpatrywała się tępo w Patti. I nagle zrozumiała. Artysta.

- On to zrobił, prawda?

- Nie można wyciągać pochopnych wniosków. Możliwe, że to nie ma z nim nic wspólnego.

- Ale ty uważasz, że ma?

- Tak.

- Ale... dlaczego? - krzyknęła. - Dlaczego miałby ją skrzywdzić? Nie rozumiem!

- Z tego samego powodu, dla którego otruł Samsona. Żeby dotrzeć do ciebie.

Yvette zasłoniła usta dłonią i opadła na podłogę.

- Niedobrze mi.

Patti chwyciła kosz na śmieci. Yvette pochyliła się nad nim i zwymiotowała. Zwracała okropności ostatnich dwóch tygodni, rozczarowanie swoim życiem, dławiący strach.

Kiedy skończyła, Patti podała jej wilgotny ręcznik i butelkę wody.

- Teraz dotarło do ciebie, Yvette? Rozumiesz, z czym masz do czynienia? Dlaczego musiałam ustalić te głupie zasady?

Pomyślała o pannie Almie, jej słodkim charakterze, o tym, jak kochała swoją suczkę. Przed oczami stanął jej Riley. Wyobraziła sobie życie z kimś takim, jak on. Dobre życie. Dzieci, rodzina... Bajka.

- Nie chcę umierać - szepnęła.

- W takim razie musisz robić to, co ci każe. To nie jest zabawa. Albo... mogłaby uciec. Zabrać pieniądze i wynieść się do diabła z Nowego Orleanu.

Podniosła się z podłogi i na miękkich nogach podeszła do krzesła. Usiadła ciężko i sięgnęła do torebki po papierosy. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nie mogła zapalić. Kiedy w końcu udało jej się, łapczywie zaciągnęła się dymem.

- To jakieś szaleństwo. Obłąd.

- Zgadza się.

- Nie powinnam tu zostawać. Muszę wyjechać.

- On skrzywdził twoją przyjaciółkę. A potem słodką, bezsilną staruszkę. Otruł bezbronne zwierzę. Z tego, co wiemy, zabił sześć innych kobiet.

- I twojego męża.

- Tak. I mojego męża. Nie pozwól, żeby uszło mu to bezkarnie, Yvette. Pomóż mi go dorwać.

Yvette wpatrywała się w nią w milczeniu. Mijały sekundy. Papieros wypalił się aż do filtra. Z okrzykiem bólu zgasiła go.

- Pomóż mi - powtórzyła Patti. - Proszę.

Na palcu czuła pieczenie, a oczy zasły jej łzami, gdy powiedziała, że to zrobi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Poniedziałek, 14 maja 2007 r.

6.30

Stacy wyszła z łazienki już ubrana. W morderstwie Almy Maytree coś jej się nie zgadzało. Poprzedniego wieczoru razem z Baxterem i jeszcze jednym policjantem przesłuchali wszystkich - poza Yvette Borger - lokatorów domu.

Nikt nic nie widział. Nikt nie zauważył nikogo, kto ich zdaniem nie powinien się tam kręcić. Wszyscy jednak jednogłośnie przyznali, że obcy często wchodził przez bramę razem z mieszkańcami.

Przed zabójstwem Almy Maytree nikt nie uważał tego za wielki problem. Teraz zmienili zdanie.

Tylko po co morderca miałby przemykać się ukradkiem, rozbijać staruszce głowę i wychodzić, skoro nic nie dostawał w zamian?

Sprawdziła finanse ofiary. Niewielka emerytura po przepracowaniu niemal całego życia w firmie produkującej puszki do napojów, ubezpieczenie społeczne. Ale żadnej dużej polisy na życie, która mogłaby skusić jakiegoś dalekiego krewnego.

A miała wyłącznie dalekich krewnych. Wnuka siostry w Chicago. Bratanka w Birmingham. I jego dzieci.

Wiadomość o morderstwie wstrząsnęła nimi.

Poza przesłuchaniem Borger, postanowiła przepyttać jeszcze raz tych, z którymi nie rozmawiała osobiście.

Podeszła do łóżka, żeby pocałować na do widzenia śpiącego Spencera. Kiedy się pochyliła, chwycił jej rękę i pociągnął na siebie.

- A ty dokąd? - spytał sennym głosem.

- Pogrzebać trochę w sprawie morderstwa Maytree.

- Co za nudy! Lepiej zostań i pobaw się ze mną.

- Otoczył ją ramionami. - Bardzo proszę. Udowodnię ci, że warto. Nie miała wątpliwości, że jej to udowodni. Zawsze tak było.

Niechętnie uwolniła się z jego objęć.

- Nie mogę. Umówiłam się z właścicielem domu. Spencer uniósł się na łokciu.

- Jesteś pracoholiczką, Killian.

- I ty to mówisz? - Jeszcze raz go pocałowała.

- Zadzwoń do mnie później.

Doszła już do drzwi, gdy zawołał cicho jej imię. Odwróciła się.

- Nie chcę, żebyś odchodziła.

Coś w jego tonie i wyrazie twarzy powiedziało jej, że nie chodzi mu o ten ranek. Mówił o odejściu od niego.

- Porozmawiamy o tym później.

- To samo mówiłaś dwa tygodnie temu.

To fakt. Później unikała tematu. Ale prawdę mówiąc, on również. Aż do tej pory.

- Czego się boisz, Stacy? - Nie boję się.

- Chcesz się wyprowadzić? Popatrzyła na niego i pokręciła głową.

- Nie.

EL Wiec nie rób tego. Zostań. - Czasami nie chodzi o to, czego się chce. - To musi być jakieś babskie gadanie, bo nic nie rozumiem.

- Zadzwoń do mnie potem, dobrze?

Wyszła z sypialni, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Czego się właściwie boję? - zastanawiała się, napełniając zamykany kubek kawą i wychodząc do samo-chodu. Że zostanie zraniona? A może chodzi o coś więcej?

Na pewno o coś więcej. O wiele więcej.

Nie chciała teraz o tym myśleć. Wsiadła do swojej terenówki i włączyła silnik. Już wcześniej umówiła się na spotkanie z właścicielem domu, więc bez problemu wejdzie do budynku. Lokatorzy nie będą zachwyceni faktem, że w poniedziałek rano zakłóca im spokój, ale to akurat najmniej ją obchodziło. Wciąż nie dawało jej spokoju to, co powiedziała Patti. Jej zdaniem tej samej nocy, kiedy zamordowano Almę Maytree i otruto mopsa Boba Simmonsa, Artysta odwiedził Yvette.

Próbowała omówić to ze Spencerem, ale nie chciał rozmawiać na ten temat.

Postanowiła najpierw pójść do właścicieli mopsa. Jeden z funkcjonariuszy już ich przesłuchiwał, ale nawet nie wspomnieli o otruciu psa. Oczywiście, mogło być po temu wiele powodów. Chociażby ten, że policjant nie zapytał o to. Ona jednak miała powód, by zapytać. Kwadrans później stała już pod mieszkaniem numer osiem. Zapukała głośno. Miała nadzieję, że mimo nieustającego ujadania ktoś ją usłyszy. Samson. Najwyraźniej wrócił do zdrowia. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi. Był średniego

wzrostu, szczupły, o ciemnych włosach przetykanych siwizną. Bardzo szykowny. Na oko musiał mieć między czterdziestką a pięćdziesiątką. Pokazała odznakę.

- Detektyw Killian z departamentu policji. Chcę zadać panu kilka pytań na temat pańskiej sąsiadki, Almy Maytree. A także pańskiego psa.

Mężczyzna spojrział przez ramię.

- Ray, chodź tutaj! Policja.

Z kuchni wyszedł drugi mężczyzna. W ręku trzymał kubek z kawą. Rozczochrane włosy sterczały mu we wszystkie strony. Miał na sobie pomięte szorty i wyblakły T-shirt. Kontrast między dwoma mężczyznami był drastyczny.

- Ray, to jest detektyw Killian - powiedział pierwszy z mężczyzn. - Przyszła w sprawie panny Maytree. I Samsona.

- Proszę wybaczyć mój wygląd. Miałem ciężką noc. - Gestem zaprosił ją do środka. - Chce pani kawy?

- Nie, dziękuję. Po drodze wyłopałam cały kubek. Kiwnął głową i wprowadził ją do ślicznie urządzonego salonu. Samson szedł za nimi, węsząc i parskając.

Stacy usiadła na krześle obitym aksamitem. Pies ułożył się u jej stóp.

- Widzę, że już całkiem wyzdrowiał - odezwała się.

- Wie pani, że był otruty? - spytał Ray.

- Powiedziała mi o tym kapitan O'Shay.

- Przyjaciółka Yvette? - Skinął głową. - Już czuje się dobrze, chociaż nie powiedziałbym, że całkiem doszedł do siebie. Biedne maleństwo.

Biedne maleństwo uniosło łeb i spojrzało na swojego pana. Ray uśmiechnął się i cmoknął, a gdy mops podniósł się i podreptał w jego stronę, wziął go na ręce i posadził sobie na kolanach. Ze swoją płaską mordką jest tak

brzydki, że aż uroczy, pomyślała Stacy, przyglądając się Samsonowi.

- Przychodzi panom do głowy, kto mógł to zrobić? - spytała.

Jednocześnie pokręcili głowami. - Nie ciągnęliśmy tej sprawy.

Samsonowi się polep-szyło, a po tym, co stało się pannie Almie...

- Po prostu zostawiliśmy to - uciał Bob.

- Jak rozumiem, nie było panów wtedy w domu. Bob przytaknął z żalną miną.
- Całonocna wyprawa do kasyn. Obejrzeliliśmy występ, straciliśmy kilka dolarów, trochę za dużo wypiliśmy. Typowa rozrywka.
- Czym się pan zajmuje, Bob?
- Kredytami w banku Gulf Coast. Wie pani, to ten bank, który sprawia, że cuda się zdarzają.
- Uśmiechnęła się. Pamiętała śmieszna reklamę przedstawiającą świnie latające nad Superdome. Odwróciła się do Raya.
- A pan?
- Ja prowadzę salon dla psów. „Doskonały Psiak”.
- Tu w Dzielnicy Francuskiej?
- Tak. Bob zmarszczył czoło.
- Czy mogę spytać, czemu to takie ważne? Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy zadzwoniła jej komórka. Przeprosiła gospodarzy i odebrała telefon. - Detektyw Killian.
- Witam, pani detektyw. Mówi Jamie z laboratorium. Znalazłem coś ciekawego w sprawie Maytree.
- Dawaj. - Wiesz, co znaleźliśmy na jej szlafroku? Psią sierść. - Nie powiem, żebyś mnie zaskoczył. Miała szpica. - Szpic ma sierść złotopomarańczową. Tego też było mnóstwo. A to są bez wątpienia psie włosy, ale innej rasy. I w innej barwie. Czarno-białe.
- Spędzała z Sissy wiele czasu na podwórku. Z pewnością chodzą tam inni lokatorzy ze swoimi psami.
- Znaleźliśmy je tylko na szlafroku, w okolicy kolan. I zaledwie dwa kosmyki. Zabójca mógł je mieć na sobie i zostawić na ofierze. Stacy zmrużyła oczy. To zaczynało brzmieć interesująco.
- Chcę wiedzieć, do jakiej rasy należą te kosmyki.
- Już sprawdzamy. To trochę potrwa.
- Dzięki, Jamie. Zawiadamiaj mnie o wszystkim. Zamknęła telefon i wróciła do mężczyzn.
- Czy Alma Maytree miała może klucz do waszego mieszkania? Bob spojrzał na nią w osłupieniu.
- Tak. Czasami pomagała przy Samsonie. Kiedy nas nie było.
- Na przykład podczas nocnych wypraw na wybrzeże?

- Tak, ona... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy nagle dotarło do niego, co miała na myśli. Stacy potrafiłaby nawet powiedzieć, w którym momencie to nastąpiło. - O mój Boże, chyba nie myśli pani... Ta osoba, która otruła Samsona...

- Zabiła pannę Almę? - wpadł mu w słowo Ray. Stacy pominęła to pytanie milczeniem.

- Ray, czy panna Alma przyprowadzała Sissy do pana salonu?

- Tak, zajmowałem się Sissy za darmo... W podzięce za to, że ona pomagała nam przy Samsonie... - Oczywiście Raya wypełniły się łzami. - Była taka kochana. Jak ktoś mógł ją skrzywdzić?

Stacy podniosła się.

- Nie wiem. Ale zamierzam znaleźć odpowiedź. Natychmiast po wyjściu z budynku zadzwonili do Patti.

- Mówi Stacy - powiedziała, gdy Patti odebrała telefon. - Gdzie jesteś? - W domu. Co się dzieje? - Mam nowe informacje na temat zabójstwa Maytree. Będę za dziesięć minut.

Z powodu jednej śmieciarki z dziesięciu zrobiło się piętnaście. Kiedy podjeżdżała, Patti już czekała przed domem. Nie zamieniając ani słowa, weszły do środka. Patti poprowadziła ją do kuchni, podała jej kubek z kawą. po czym nalała sobie.

- Gdzie Yvette?

- Śpi.

- Tobie też przydałoby się trochę snu.

- Jakoś nie przemawia do mnie pomysł, żeby pół nocy pracować, a potem spać do południa. Co masz nowego? - Dziś rano dzwonili do mnie z laboratorium. Na szlafroku panny Almy znaleźli mnóstwo sierści Sissy, ale również dwa włosy psa innej rasy.

- Tylko dwa? - Na szlafroku. Bez wątplenia psie. - Morderca wniósł je ze sobą i zostawił na jej szlafroku. - To możliwe.

- Czy ktoś w budynku ma psa, który pasuje do opisu? - Jeszcze nie wiem. Zamierzam zbadać to natychmiast po wyjściu stąd.

Laboratorium sprawdza, jaka to rasa.

Zanim Patti skomentowała tę informację, Stacy pod-Panna Alma miała klucz do mieszkania Boba i Raya.

- Właściciele Samsona, tak?
- Właśnie. Pomagała im przy psie, gdy wychodzili. W zamian za to Ray przyjmował Sissy w swoim salonie.
- Patti z namysłem piła kawę.
- Załóżmy, że zabójstwo panny Almy, otrucie Samsona i nocna wizyta Artysty są ze sobą powiązane. Po co jednak zabijać starszą panią i truć psa?
- Starszą panią zabił, aby zdobyć klucz... - Po to, by otruć psa...
- I uciszyć go...
- W ten sposób mógł wejść do Yvette, nie budząc całego domu.
- Bingo. - Stacy odstawiła kubek na szafkę. - Zabójca wiedział, że Alma Maytree ma klucz do tamtego mieszkania.
- Skąd?
- I skąd wiedział, że może swobodnie wejść do Samsona?
- Co ona tutaj robi? Stacy odwróciła się do drzwi. W progu stała Yvette. Wydawała się kompletnie wykończona.
- Cześć, Yvette. Nie odpowiedziała na powitanie.
- Pytam, co ona tutaj robi?
- Pomaga - odparła Patti. - Bądź miła.
- Stacy ukryła uśmiech. Patti mówiła jak matka, która karci dziecko. Młoda kobieta spojrzała na nią ze złością. - Pomaga? Zapomniałaś już, jak mówiłaś, że pieprzę od rzeczy?
- Może teraz zmieniam trochę zdanie. - Ojej, dzięki ! - Poczłapała do lodówki, skąd wyciągnęła puszkę coli.
- Stacy odwróciła się do Patti.
- Żadnego znaku od Artysty?
- Nie, od czasu gdy Yvette przeniosła się tutaj. To już prawie tydzień.
- Nastąpiła wielka zmiana.
- Nie mieszka u siebie - zgodziła się Patti.
- Właśnie. Mam pewien plan. Yvette wraca do mieszkania. Tym razem ze współlokatorką. Koleżanką, którą poznała w „Hustle”. Yvette otworzyła puszkę.
- Domyślam się, że masz kogoś na myśli?
- Kelnerkę o imieniu Brandi.
- Nie ma mowy.
- Myślę, że nie masz tu wiele do powiedzenia. Dziewczyna

wyzywająco poderwała głowę.

- I tu się mylisz. Tu przede wszystkim ja mam coś do powiedzenia.

- Z tego, co rozumiem - powiedziała Stacy miękko - weszłaś w to dla pieniędzy. Włączenie mnie do tej umowy nic nie zmienia.

Na twarzy Yvette pojawiły się ciemne rumieńce gniewu.

- Jeśli zechcę, mogę zmienić zdanie. I tak zrobię. Patti stanęła między nimi.

- Zgadzam się z Yvette. Dzięki za propozycję, ale nie zamierzam narażać na szwank twojej kariery.

- Doceniam twój niepokój, lecz departament policji nie będzie mi dyktował, gdzie mam mieszkać. Ani jak spędzać wolny czas.

Nie do końca było to prawdą. Istniał pewien kodeks, do którego oficerowie policji musieli się stosować, również w życiu prywatnym. Jednak to, co proponowała, nie było ani nielegalne, ani nie przynosiło hańby odznace.

- Będę miała ze sobą broń - ciągnęła Stacy. - I odznakę. Z pewnością nie będzie mógł się powstrzymać przed kolejną nocną wizytą. A kiedy wreszcie przyjdzie zdejmę go.

- Spencer da mi popalić - powiedziała Patti Yvette opadła szczęka.

- Chyba nie myślisz poważnie... Stacy nie pozwoliła jej dokończyć.

- Przejdzie mu - mówiła do Patti. - To co sądzisz?

- Zdaje się, że oszalałam. Ale to może się udać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Poniedziałek, 14 maja 2007 r.

17.45

Stacy spakowała większość rzeczy, żeby przeprowadzka wyglądała autentycznie. Częste powroty do domu na Riverbend mogłyby wzbudzić podejrzenia. Artysta mógł przecież obserwować dom Yvette. Cholera, mógł nawet być jednym z sąsiadów.

Razem z Patti i Yvette ułożyły cały plan. Brandi miała wprowadzić się już dzisiaj. Stacy pouczyła Yvette, że trzeba zrobić wokół tego sporo zamieszania. Powinna opowiadać wszystkim dokoła, że chce zamieszkać z koleżanką, bo po tym, co stało się pannie Almie i Samsonowi, boi się zostać sama.

To miał być powód sprowadzenia współlokatorki. Potem należało jeszcze przedstawić Brandi. Wszystko powinno wyglądać możliwie naturalnie.

Yvette nie była tym szczególnie uszczęśliwiona, ale nie dały jej wyboru. Tak wyglądała nowa umowa. Koniec i kropka.

- Chcesz mi coś powiedzieć, Killian?

Spencer...

Spojrzała na niego przez ramię. Zadanie, które miała wykonać, mogło spełnić jeszcze jedną funkcję: dać im trochę czasu. Będą mogli zastanowić się, czego naprawdę pragną.

Z pewnym trudem przywołała na twarz beztroski uśmiech.

- Hej, skarbie.

- Nigdy tak do mnie nie mówiłaś. Cholera, faktycznie.

- Mam dla ciebie nowinę. Przeniósł wzrok na walizkę.

- Najwyraźniej.

- Znalazłam tymczasowe lokum.

- Dobrze, że zdążyłem w odpowiednim momencie wrócić do domu.

- Nie zamierzałam wyjść, nie zawiadamiając cię o tym.

- Aha. - Wsunął ręce do kieszeni. - W każdym razie tak to wygląda.

- Ma to związek z pracą. A jednocześnie będziemy mogli trochę od siebie odpocząć. Wypróbować, jak będziemy czuć się w separacji

- Wypróbować separację - powtórzył. - To jakieś bzdury.

- Cóż, każde z nas pozostanie przy własnym zdaniu. Wiele par tak

robi.

- A co to za sprawa? Zawahała się.

- Tak jak ci mówiłam: związana z pracą. Co nie znaczy, że z jakąś bieżącą sprawą.

- To znów jakieś bzdury, Stacy. Co ty próbujesz ukryć? Nie chcę posypywać ran solą, odparła w duchu.

- Niczego nie ukrywam. Brandi wraca na scenę. Wprowadza się do Yvette. - Widząc jego zaskoczoną

mine, uniosła dłonie, żeby powstrzymać protesty. - Uważam, że coś w tym jest, Spencer. Szybko, zanim zdążył się odezwać, wprowadziła go w swój plan. Zaczęła od telefonu z laboratorium, powiedziała o tym, czego się dowiedziała na temat klucza, jak połączyła ze sobą fakty i poszła do Patti.

- Coś w tym jest - powtórzyła. - A przy okazji będę mogła pilnować Patti.

- Wiem, co w tym jest. Oszustka i naciągaczka. A także kobieta, która podejmuje decyzje pod wpływem bólu. Ale ty? Jakie są twoje motywy?

- Co cię w tym najbardziej denerwuje? Moja decyzja, że powinniśmy zrobić sobie przerwę? Czy może to, że uwierzyłam Yvette?

- Przecież to absurd.

- To ty tak uważasz.

Spencer wyszedł z pokoju. Przez chwilę patrzyła za nim, w końcu wróciła do pakowania. Była niemal pewna, że za chwilę usłyszy trzaśnięcie drzwi i ryk silnika.

Jednak tak się nie stało. Powoli wypuściła powietrze z płuc. Cóż, całkiem nieźle poszło.

Nieprawda.

Chciała z nim zostać. Tyle że przede wszystkim pragnęła, aby to jemu na tym zależało. Gdyby poprosił, okazał choćby odrobinę uczucia, powiedziałyby mu o tym.

Jednak nie zrobił tego.

A to było charakterystyczne dla ich związku.

Skończyła pakowanie i przeszła do łazienki, żeby przeobrazić się w Brandi. Kwadrans później była już gotowa.

Spencer siedział na ganku i pił piwo.

- Pomożesz mi załadować torby do samochodu?- spytała.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Jasne.

Wyniósł walizki, włożył je do explorera, po czym zatrzasnął bagażnik.

- Do zobaczenia, Killian.

- Spencer, ja... - Dotknęła jego ręki. - Ja to źle załatwiłam.

Przepraszam, że... Strząsnął jej dłoń.

- Odpowiem ci teraz na pytanie, które zadałaś mi wcześniej.

Prawdę mówiąc, bardziej złości mnie to, że pomagasz Patti, niż fakt, że się wyprowadzasz.

Mimowolnie cofnęła się o krok, zraniona do głębi. Zamrugowała gwałtownie, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Pod żadnym pozorem nie pokaże mu, jak ją to zabolalo.

- Świetnie. Cieszę się, że mamy podobne zdanie. - Obeszła samochód i otworzyła drzwiczki. - Zorganizuję coś, żeby zabrać resztę rzeczy.

- Nie ma pośpiechu. Kiedy będzie ci wygodnie.

- Znakomicie. - Usiadła za kierownicą. Do zobaczenia.

- Jasne.

Uruchomiła silnik i ruszyła. Kiedy była przy końcu uliczki, spojrzała we wsteczne lusterko. Spencer wciąż stał na ulicy, patrząc za nią z kamiennym wyrazem twarzy. Z ciężkim sercem pojechała dalej.

Dojechała do Patti bez żadnych przygód. Miała nadzieję, że Spencer zastanowi się nad tym, co powiedział, a kiedy uświadomi sobie, że wcale nie to miał na myśli, zadzwoni. Jednak komórka wymownie milczała.

Wyglądało na to, że między nimi koniec.

Zatrzymała samochód przed domem. Patti czekała na nią wyraźnie zaniepokojona.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Oczywiście. Czemu miałoby nie być w porządku?

Patti uniosła brwi.

- Spencer jest uparty...

- To już skończone. - Uniosła dłoń, żeby powstrzymać ewentualne uwagi. - Bardziej go rozgniewał mój udział w tym planie niż fakt, że się od niego wyniosłam.

- Wygląda to na mocno urażoną męską dumę. Jestem pewna, że... Stacy przerwała jej zdecydowanie:

- Najwyższa pora, żeby każde nas zrobiło coś ze swoim życiem. Zresztą zanosilo się na to już od pewnego czasu. - Zmieniła temat.

- Yvette jest gotowa? - Gotowa tak, ale szczęśliwa na pewno nie.

- To pech.

- Jest bardzo młodziutka - powiedziała Patti miękko.

- I nie miała łatwego życia.

- Ty ją naprawdę lubisz?

- Rozumiem ją.

Obie odwróciły się, gdy za nimi głośno trzasnęły drzwi. Yvette wmaszerowała do przedpokoju, taszcząc walizkę. Z głuchym łoskotem upuściła ją u stóp Stacy.

- Więcej się na to nie zgodzę. Wracam do swojego mieszkania i zamierzam tam zostać.

Stacy wzniosła oczy do nieba. Arogancja nie była najładniejszą cechą nawet u osób niezwykle utalentowanych i uzdolnionych. W wydaniu kogoś zachowującego się jak dziecko była zwyczajnie irytująca. Kiedy ta dziewczyna uzmysłowi sobie, że chodzi także o jej bezpieczeństwo, a nie wyłącznie o schwytanie zabójcy Sammy'ego?

- Bądź grzeczna - powiedziała Patti. - Zobaczymy się w „Hustle” jutro wieczorem.

- Skoro tak mówisz. Ruszyła w kierunku terenówki, zostawiając za sobą walizkę. Stacy zacisnęła zęby. Gdyby Artysta się pojawił, może powinna pozwolić mu trochę postraszyć tę małą wiedźmę. Pożegnała się z Patti, podeszła do samochodu i usiadła za kierownicą.

- A moja walizka? - odezwała się Yvette.

- Ręce masz całe. - Uśmiechnęła się, widząc wściekłe spojrzenie dziewczyny. - To nie moje rzeczy. Mogą tu zostać, jeśli o mnie chodzi.

Z obrażoną miną Yvette otworzyła drzwiczki i cofnęła się po walizkę. Chwilę później wróciła na swoje miejsce. Stacy spojrzała

na nią spod oka.

- Nie przyszło ci do głowy, że dla ciebie musimy znosić niewygody?

- I co z tego? - Zatrzasnęła drzwiczki. - W policji chyba nie płacą za dobrze. Strasznie gówniany ten samochód.

- Mam ważniejsze sprawy.

- Na przykład co?

- Choćby oszczędzanie na przyszłość. - Yvette nie odezwała się, więc Stacy dodała: - Dla ciebie to pewno straszne nudziarstwo.

- Wcale nie. - Podniosła wzrok na policjantkę. - Co myśli o tym twój chłopak?

Stacy skierowała samochód w stronę Dzielnicy Francuskiej.

- Mój chłopak?

- Detektyw Malone. Wian, że mieszkacie razem.

- No i co?

- No i co on myśli o twojej przeprowadzce do mnie?

- Nie jest zbyt szczęśliwy. Chociaż to z pewnością nie twoja sprawa.

- Uważaj, bo znajdzie kogoś, kto sprawi, że będzie szczęśliwy.

- Związki między ludźmi nie są tak jednoznaczne. Yvette uśmiechnęła się złośliwie. - Dziewczynom takim jak ty tak się wydaje. - Naprawdę? A takie jak ty sądzą, że związek polega aa tańcu erotycznym wykonanym na czyichś kolanach i dużym napiwku.

- Odwal się. Resztę drogi odbyły w milczeniu. Kiedy jednak znalazły się na podwórzu, zaczęły grać swoje role i narobiły sporo zamieszania. Chichocząc jak nastolatki, wносиły walizki, a Yvette przedstawiała Brandi wszystkim na potkanym sąsiadom. Powtarzała przy tym opowieść o współlokatorce z wprawą znakomitej aktorki... lub oszustki.

Po wejściu do mieszkania przestały udawać przyjaciółki.

- Zajmę twoją sypialnię - oznajmiła Stacy.

- Mylisz się. To moje łóżko i ja w nim będę spać. - Jeśli twój kumpel Artysta postanowi odwiedzić cię dzisiaj, zakradanie się właśnie do ciebie, a nie do pokoju gościnnego. Zresztą jaki sens miałyby wtedy moja obecność tutaj?

- Ale pościeli nie zmieniam - warknęła Yvette, targając swoją walizkę do drugiej sypialni - Jeśli chcesz mieć czystą bieliznę, musisz zrobić to sama.

- Chciała. Powlekła pościel, rozpakowała część rzeczy i poszła do kuchni, gdzie znalazła Yvette. Ustaliły, że zamówią chińszczyznę. Kiedy dostarczono kolację, zjadły ją pałeczkami przed telewizorem, po czym obie poszły się położyć. Wszystko przebiegało niemal w całkowitym milczeniu. „Podaj mi ryż” lub „mogłabyś przyciszyć” to najciekawsze zdania, jakie padły między nimi tego wieczoru.

Łóżko było wygodne, mieszkanie ciche. Mimo to Stacy nie mogła zasnąć. Kręciła się i przewracała na łóżku, nie mogąc pozbyć się dręczących myśli. Pragnęła zadzwonić do Spencera i choćby usłyszeć jego głos. Miała nadzieję, że on też odczuwa taką tęsknotę.

Z korytarza dobiegł ją dźwięk otwieranych drzwi. Najpierw kliknięcie zamka, a potem cichy szmer.

Wyciągnęła Glocka i bezszelestnie podniosła się z łóżka. Z pistoletem w ręku powoli wyszła na korytarz i przede wszystkim zajrzała do pokoju Yvette.

Łóżko było puste.

Zaciskając dłonie na pistolecie, ruszyła przed siebie. Co dwa kroki przystawała, nasłuchując. Cisza.

W kuchni nie było nikogo. Wreszcie zobaczyła Yvette. Stała w przedpokoju na progu i paliła papierosa.

- Co ty wyprawiasz?

Dziewczyna podskoczyła zaskoczona i odwróciła się gwałtownie.

- Napędziłaś mi stracha, do cholery! Stacy opuściła pistolet.

- Ładny język.

- Odpieprz się! Tak jest lepiej?

- Sugeruję, żebyś zamknęła drzwi. Będzie na pewno bezpieczniej.

- Chciałam zapalić.

- Więc pal przy oknie.

Skrzywiła się, po czym zgasiła papierosa w wielkiej donicy z palmą.

- Strasznie się rządysz.

- Na tym polega moja praca. Dzięki temu uda się zachować cię przy życiu.

Yvette weszła do środka i zamknęła drzwi na klucz.

- Skąd wiedziałaś, że wstałam?

- Usłyszałam cię. - Widząc zdumioną minę dziewczyny, dodała: - To także część mojej pracy.

Postanowiła nie przyznawać się, że nie mogła zasnąć.

Niech lepiej Yvette myśli, że ma nadzwyczajnie wyczułony słuch. - Pozwolisz, że wezmę sobie kubek mleka.

- Proszę. Powąchaj tylko, czy jest dobre.

- Dzięki. - Razem poszły do kuchni. Stacy odłożyła pistolet na szafkę i wyjęła karton z lodówki. Odczytała i sprawdziła, czy mleko nie skwaśniało. Napelniła kubek i podgrzała mleko w kuchence mikrofalowej.

- Nic do niego nie dodajesz?

Pokręciła głową.

- Mama zawsze dawała mi ciepłe mleko, kiedy... - przerwała. - Kiedy co?

Kiedy nie mogła spać. Gdy nie mogła pozbyć się krzyku Jane, który wciąż rozbrzmiewał jej w głowie.

- Czasami w nocy. Podgrzewanie wydobywa naturalny cukier, który jest w mleku i dlatego wydaje się słodkie. Spróbuj.

Yvette napelniła kubek mlekiem, podgrzała je i upiła łyk. Może być - orzekła, krzywiąc się trochę. - Przydałoby się trochę syropu. Albo whiskey.

- To również dobry sposób, żeby zasnąć - zaśmiała się Stacy.

- Dlaczego czasami nie mogłaś spać jako dziecko? - Moja siostra Jane miała koszmarne wypadek. Omal nie umarła. Byłyśmy wtedy razem, a ja byłam starsza. Czuję się odpowiedzialna. Yvette piła swoje mleko. - Jaki wypadek? - Pływała, gdy najechał na nią człowiek w motorówce. Śruba... - Słowa „zmiążdżyła jej twarz i omal nie pozbawiła głowy” nie przeszły jej przez usta. - Już teraz ma się dobrze. Całkiem dobrze. - Jesteście ze sobą blisko?

- Bardzo.

- Ja nie mam rodziny. - Nikogo?

Stacy odniosła wrażenie, że Yvette zawahała się chwilę, nim odpowiedziała. Może zresztą chciała wyrazić stan zasadniczy, a

nie fakt.

- Przepraszam, że cię wystraszyłam. Gliniarze poruszają się cicho.

- Nie ma sprawy. Ja również nie powinnam otwierać drzwi. To była głupota.

Stacy otoczyła palcami ciepły kubek.

- Mogę cię o coś spytać?

- Chyba tak. - Yvette wzruszyła ramionami.

- Dlaczego to robisz? Czemu zostałam, chociaż to może narazić cię na niebezpieczeństwo? Mogłaś przecież wyjechać.

- Patti mi płaci.

Powiedziała to tak obojętnie, jakby chodziło o coś mało istotnego.

- Z pewnością uważasz, że to jest w porządku?

- A ty, że nie jest. Ja się nie wstydzę.

- Może powinnaś?

Yvette zaczerwieniła się, chociaż Stacy podejrzewała, że nie ze wstydu. Te rumieńce wywołał gniew.

- Pieprzę te obłudne bzdety. Narażam życie, żeby jej pomóc.

Zresztą to był jej pomysł.

- Mogłaś odmówić.

- A niby dlaczego?

- Bo Chirurg zamordował jej męża. Jest w rozpacz i trudno się jej bronić.

- Przed kimś takim jak ja?

- Właśnie.

- Moim zdaniem bardziej niebezpieczni są tacy ludzie jak ty. Ja przynajmniej mam szczerą pobudkę.

- Co za głupoty. - Stacy wylała do zlewu resztkę mleka. - Idę spać.

Nie zdążyła jednak odejść daleko.

- Właściwie dlaczego tu jesteś? - zawołała za nią Yvette. - Boisz się, że ucieknę z tymi dziesięcioma tysiącami?

Ta kwota zamurowała Stacy.

- Płaci ci dziesięć tysięcy dolarów?

- Pięćdziesiąt. Dziesięć to zaliczka. Wpatrywała się w dziewczynę.

Z obrzydzenia zrobiło

się jej niedobrze.

- Te pieniądze to część polisy ubezpieczeniowej po jej mężu.

- Należą do niej i może je wydać tak, jak chce. Pokręciła głową z niedowierzaniem.
- Rzygać mi się chce, gdy na ciebie patrzę. Yvette zeszywniała.
- Dostaję zapłatę za świadczenie usługi. Ona złożyła ofertę, a ja ją przyjąłem.
- Świadczenie usługi? Tym się właśnie zajmujesz, prawda? To jest celem wszystkich twoich związków, każdego ruchu. Zamierałam przeprosić cię za to, co powiedziałam, że w życiu chodzi ci tylko o pieniądze. Teraz jednak widzę, jak słuszna była ta uwaga.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Środa, 16 maja 2007 r.

8.05

Patti próbowała pozbyć się zamętu, jaki miała w głowie. Siedziała przy kuchennym stole nad filiżanką kawy i dziennikiem „Times-Picayune”.

Artysta nadal się nie pojawił. Ani w mieszkaniu Yvette, ani w „Hustle”. Zaczęła już wierzyć, że dziewczyna miała rację: przestraszył się i wyjechał.

Odezwała się jej komórka. Na wyświetlaczu odczytała, że dzwoni Stacy.

- Co jest?
- Ta smarkula nie chce podnieść się z łóżka.
- Próbowaaś strzelić ją w tyłek?

- Bardzo śmieszne. Może powinnam oblać ją szklanką zimnej wody? Muszę się zbierać.

Patti przegarnęła włosy.

- Zostaw ją. Ogarnę tu trochę i przyjadę do tej śpiącej królowny.

- Pomyliłaś bajki. Ta jest raczej o Pięknej i Bestii. Zgadniesz, kto jest Bestią?

Patti roześmiała się.

- Noc spokojna?

- Tak. A u ciebie?

- Bez Artysty.

- Jakies pomysły?

- Za wcześnie, żeby myśleć. Zamelduję się później. Rozłączyła się pospiesznie. Coraz trudniej było uporać się z Yvette. Uwierzyła, że Artysta już się nią nie interesuje i przestała się bać.

Gdyby tak bardzo jej na nim nie zależało, pewno popuściłaby cugli dziewczynie. Okłamała szefa i swoich ludzi, zraziła do siebie Spencera, a teraz jeszcze doprowadziła do kłótni między nim a Stacy. I na co to wszystko?

Komórka znów zadzwoniła, ale tym razem to była June.

- Stoję przed twoimi drzwiami - powiedziała. - Przynoszę podarki.

- Już idę.

Kiedy otworzyła drzwi, June wyciągnęła przykryty serwetką koszyk.

- Ogarnął mnie szal pieczenia. Pomożesz mi?

- Jesteś aniołem miłosierdzia, wiesz? Odsunęła się, przepuszczając przyjaciółkę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do drzwi?

- Bałam się, że jeszcze śpisz. Wiem, że pracujesz... w innych godzinach.

Patti spojrzała na nią ze zdumieniem.

- O czym mówisz?

- Spencer.

A to niespodzianka.

- Chodź, zaparzyłam kawę.

June weszła za nią do kuchni. Patti wyjęła talerzyki i serwetki, napełniła kubek dla June, a do swojego dołała

świeżej kawy.

Kiedy siadły do stołu, zobaczyła, że w koszyku są muffinki. Duże, puchate bananowo-orzechowe babeczki.

Niebo w gębie.

June piekła chyba najwspanialsze muffinki na świecie. Były tak pyszne, że przez jakiś czas zastanawiała się nawet, czy nie zacząć nimi handlować. Potem jednak ludzie zwariowali na punkcie diet niskowęglowodanowych, więc odstąpiła od tego pomysłu.

- A więc to prawda, co mówił Spencer. Patti wbiła zęby w ciastko.

- A co powiedział?

- Że poprosiłaś o urlop, aby samodzielnie wyśledzić zabójcę Sammy'ego. Że zaczynasz tracić zdrowy rozsądek. Że teraz jeszcze wciągnęłaś w to Stacy. Naprawdę się tym martwi.

- W związku z tym zadzwonił do ciebie i spytał, czy nie mogłabyś przemówić mi do rozsądku?

- Mniej więcej. Co się dzieje?

- Nie postradałam zmysłów, jeśli o to pytasz.

June uśmiechnęła się i zajęła z babeczki papierową foremkę.

- Udowodnij to.

- Fakt, wzięłam urlop. To chyba nic dziwnego. A jeśli chodzi o szukanie zabójcy Summy'ego, przyznaję, że mam wątpliwości, czy jest nim Franklin. Komenda nie zgłasza zastrzeżeń. Pomyślałam, że teraz, gdy nie mam żadnych zobowiązań, mogę sprawdzić kilka śladów.

- Mówisz jak ktoś, kto przegrał. To nie jest Patti O'Shay. Na chwilę uciekła spojrzeniem w bok.

- Nie jestem już pewna, kim właściwie jest Patti O'Shay.

- To naturalne, że się tak czujesz. - June wyciągnęła rękę i przykryła jej dłoń swoją. - Po tym, co przeszłaś.

- W dodatku poróżniłam Stacy ze Spencerem.

- Powiedział, że się wyprowadziła. Ze wszystko między nim skończone.

Patti kiwnęła głową.

- Jakie sprawiał wrażenie?

- Żałosne. - June napiła się kawy. - Osobiście uważam, że dobrze

zrobiła. Już była na to najwyższa pora.

- Jak możesz tak mówić?

- Czy nie za długo już ją zwodził? Był jej taki pewny. Mężczyźni lubią przewodzić w związku. Wygląda na to, że Stacy postanowiła to zmienić. - Wzięła do ręki ciastko. - Moim zdaniem, bardzo słusznie.

June już wcześniej mówiła podobne rzeczy. Patti było jej bardzo żal. Kilka nieudanych romansów i krótkie, nieszczęśliwe małżeństwo sprawiły, że stała się nieufna wobec mężczyzn i cynicznie wyrażała się o wszelkich związkach, a także równowadze sił między płciami.

Doświadczenia Patti był skrajnie różne: wzajemny szacunek, kompromis, współpraca.

- Nie jesteś jedyną osobą, która postradała rozum - ciągnęła June. - Mam wrażenie, że Riley swój zdrowy rozsądek również wysłał na urlop.

- Jak to?

- Zadurzył się w tej tancerce. Yvette...

- Borger? Skinęła głową.

- Czasem mu się to zdarza. Głupieje na punkcie jakiejś kobiety, a gdy nic z tego nie wychodzi, snuje się oswiały przez kilka tygodni. Potem nagle...

- ...znów jest po uszy zakochany w kimś innym?

- Właśnie. - June westchnęła. - Któregoś wieczoru przyszła do klubu posłuchać, jak gra.

- Kiedy to było?

- W zeszły czwartek.

Tego dnia zniecka zniknęła. A więc to tam poszła.

- Czemu on zawsze musi zakochiwać się w takich kobietach?

- To znaczy jakich? Co masz na myśli?

- Wiesz, o czym mówię. Striptizerki, imprezowiczki. Czemu nie zakocha się w kimś takim jak Shauna?

- Yvette nie jest złą dziewczyną - powiedziała Patti. Uświadomiła sobie, że przed kolejną już osobą - tym razem swoją wieloletnią przyjaciółką - występuje w obronie Yvette. - Nie miała łatwego życia.

- A kto miał? - odpaliła June. - Mimo to nie widziałas, że bym

rzuciła szkołę, zaczęła brać narkotyki czy zaliczać numerki.

Patti zeszywniała.

- Jak obie wiemy, ani nie bierze narkotyków, ani nie jest prostytutką.

- Taniec erotyczny...

- Jest tylko sposobem, który młodej, niewykształconej kobiecie może zapewnić dobre życie. Nie wszyscy odziedziczyli fortunę. Szanuję ją za to, że potrafi dać sobie radę. Widząc, że na twarzy June pojawiły się rumieńce, ucisnęła dłoń przyjaciółki.

- Pozostańmy przy swoim zdaniu, zgoda?

- Jasne. Ja... - Odchrząknęła. - Wybacz. Zachowałam się okropnie. Zupełnie jak któraś z tych snobek, z którymi mama grywała w brydża. Zawsze na wszystkich patrzyły z góry. Zdaje się, że dobry Pan Bóg wiedział, co robi, nie dając mi dzieci.

- Co za nonsens. Masz Rileyę. Niemal od dziecka jest pod twoją opieką. I wychowałam go znakomicie.

Zaskoczyło ją, że oczy June wypełniły się łzami. - Zepsułam go. Za bardzo uzależniłam go od siebie. Pozbawiłam męskości.

- To nieprawda, June. Jesteś wspaniałą siostrą. Martwię się o niego. Niepokoi mnie to, jak czasami się zamyśla. Odsuwa się ode mnie, staje się tajem... - przerwała raptownie. - Wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście. Wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję. - June ujęła jej dłoń. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Patti.

- A ty moją. To już dwadzieścia lat.

- Kiedy się poznałyśmy, byłyśmy takimi dziećmiakami.

Patti roześmiała się.

- To ty byłeś dziećmiakiem. Pamiętaj, że jestem o dziesięć lat starsza. June pozostała poważna.

- Nie wiem, czy bez ciebie dałabym sobie radę na tych wszystkich zakrętach i wybojach. Naprawdę tak myślę.

Patti poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Zaczynasz się roztkliwiać i co gorsza mnie się to udziela.

June puściła jej rękę i otarła łzy z policzka.

- Pewno zbliża się menopauza.

- Ja to już przerabiałam - powiedziała Patti. W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Spojrzała, że to komenda, więc posłała June przepaszające spojrzenie i odebrała połączenie. - Kapitan O'Shay.

- Mówi Tony. Pomyślałem, że będzie pani chciała o tym wiedzieć. Wygląda na to, że mamy kolejną ofiarę Chirurga.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Środa, 16 maja 2007 r.

9.20

Lower Ninth była jedną z tych dzielnic, które najbardziej ucierpiały podczas ataku Katriny. Poziom wody w niektórych miejscach przekraczał wały przeciwpowodziowe o ponad trzy i pół metra. Obecnie w okręgu zwanym parafią mieszkało o siedemdziesiąt pięć procent ludzi mniej niż przed huraganem. Dzielnicą wyglądała jak przerażające pustkowie. Natomiast znakomicie nadawała się do tego, żeby porzucić tam ciała Patti ostrożnie szła przez rumowisko, śliskie po niedawnym deszczu. Wiedziała, że zaraz za nią pojawi się ekipa techniczna, a na prasę też nie będzie trzeba długo czekać. Wystarczy niewielki przeciek, że Chirurg znowu zaatakował. Spencer i Tony stali obok ciała, które było w stanie posuniętego rozkładu. Spojrzeli na nią, gdy się zbliżyła. Spencer nie

uśmiechnął się.

- Cześć, kapitanie - powitał ją Tony, podając słoiczek maści VapoRub. Wtarała trochę maści pod nosem. Pomagało to zneutralizować smród zwłok.

- Dzień dobry. Co tu mamy?

Podstawowe informacje widziała gołym okiem. Kobietka, biała, martwa.

- Znalazła ją para turystów, którzy wybrali się na wycieczkę. Chcieli obejrzeć skutki katastrofy. Nie da się ukryć, że zobaczyli więcej, niż chcieli.

- Wiadomo kto to? - Nie.

- Przyczyna śmierci?

- Musi zostać potwierdzona podczas sekcji, ale została postrzelona w pierś. Dwukrotnie.

Patti zmarszczyła czoło.

- To nie jest sposób działania Chirurga.

- Fakt. Ale to jest.

Podążyła za jego spojrzeniem. Brakowało prawej dłoni.

- Znaleźliście tę dłoń?

- Nie. Mógł ją porwać jakiś pies lub dzikie zwierzę, ale nie ma wątpliwości, że wcześniej została odcięta.

Patti naciągnęła lateksowe rękawiczki i przykucnęła obok ofiary.

Kiedy ją tu zostawiono, była kompletnie ubrana. W gorącym, wilgotnym powietrzu odzież - tak samo jak ciało - uległa rozkładowi. Zaczynając od głowy, Patti przesuwiała spojrzeniem w dół, starając się robić to możliwie wolno. Długie, tlenione włosy - powinna już ufarbować odrosty. Wiszące, krzykliwe kolczyki.

Dwa naszyjniki, oba złote. Rzeczywiście w piersi miała dwa otwory. Oba z lewej strony.

Przebiegła spojrzeniem niżej. Stringi i niebieskie dżinsy z niską talią.

- Moim zdaniem nie była to napaść na tle seksualnym.

- Ale seks mógł być. Potem przejażdżka, pif-paf i tyle.

Pokiwała głową. Nie byłby to pierwszy raz, gdy jakiś facet pozbywa się dziewczyny po tym, gdy się z nią ostatni raz zabawi.

Tylko czy tak postępował Chirurg?

Co prawda do tej pory nigdy nie pozostało tyle z ofiary, żeby mogli to zbadać.

Popatrzyła do góry. Lewa dłoń nietknięta. Długie, prosto przycięte paznokcie, prawdopodobnie sztuczne. Czerwony lakier. Kilka bransoletek na przegubie.

- Witajcie, koledzy. - Tym razem ofiarę wylosował zastępca koronera, Ray Hollister. Szczęściarz. - Nikt mi nie powie, że globalne ocieplenie to wymysł ekologicznych oszołomów. Cholernie gorąco jak na maj. - Mruknęli potakująco, dając sygnał, że podzielają jego opinię. - Ktoś mnie wprowadzi?

Patti zdała mu relację w kilku słowach. Kiwnął głową, oglądając lewą rękę ofiary.

- Nie ma śladów obrony. Paznokcie nietknięte. Założę się, że nic pod nimi nie znajdziemy.

- To by znaczyło, że nie próbowała walczyć - odezwał się Spencer.

- Najprawdopodobniej nie wiedziała, co ją czeka. - Ze zmarszczonym czołem oglądał ranę postrzałową. - Ciekawe miejsce wejścia kuli - orzekł. - Po lewej stronie. Strzał oddany z dość bliska. Zwróćcie uwagę na ten tatuaż.

Faktycznie, każdą ranę otaczało to, co nazwał tatuażem. Podczas wystrzału drobiny spalonego prochu i metalu wylatujące z lufy osiadały zarówno na strzelającym jak i ofierze. Z ilości i rysunku tych drobin można było się dowiedzieć wielu rzeczy, także kąta i odległości, z jakiej padł strzał. Im mniejszy okrąg, tym bliżej znajdowała się broń.

- To pierwszy strzał — powiedziała, wskazując na mniejsze kółko. -

A to drugi - dodał, kierując palec w stronę kolejnego.

- Trzeba będzie dobrze przyjrzeć się trajektorii pocisku - przytaknęła Patti

- Ciekawe, czemu nie strzelił w głowę - mruknął Tony.

- Może uznał, że narobi za dużo bałaganu - podsunął Spencer. -

Albo rana będzie zbyt widoczna.

Patti pokiwała głową.

- Mogli być w samochodzie. Prowadzi, broń trzyma pod ręką...

- Co za gra słów.

- ...i naciska spust, zanim połapała się, co się dzieje.
 - Czysto i nikt nic nie widzi.
 - Strzał jej nie zabija. Opada na siedzenie, a wtedy on strzela jeszcze raz.
 - To załatwia sprawę. Jeśli nie od razu, to wkrótce. Jedzie dalej. Nikt nic nie zauważa.
- Koroner uważnie obejrzał wlot kuli i podniósł wzrok.
- Z tego, co widzę, tak to właśnie mogło wyglądać, pani kapitan. No to świetnie.
 - Jak długo nie żyje? - spytała.
 - W tej chwili mogę tylko zgadywać, że od czterech, pięciu dni. Jest gorąco, poza tym kilka razy porządnie padało, a ona leży niczym nie zabezpieczona. Poświećcie mi tutaj.
- Spencer skierował promień latarki na ranę, którą wskazał koroner. Światło wydobyło z mroku ruchliwy świat owadów, dokonujących swojego dzieła w procesie rozkładu.
- Ostatecznie one odpowiedzą nam na pytania.
- Entomolog z policyjnego laboratorium pobierze próbki z ciała ofiary i na podstawie wielkości oraz stadium rozwoju larw będzie można określić ramy czasowe zgonu.
- „Dawno temu w trawie” - zakpił Tony. - Już nigdy nie obejrzę żadnej kreskówki o owadach i robakach.
 - A co z brakującą dłonią, Ray? - spytała Patti.
 - Zniknęła - odparł ze śmiertelną powagą.
 - Musimy wiedzieć, czy to robota Chirurga. Czy możesz porównać tę rękę i tamte dłonie?
 - Postaram się, chociaż ja specjalizuję się w ciele, a nie kościach. - Nagle stracił cierpliwość. - Pozwolicie, że już się za nią wezmę. Zaraz dostanę udaru. - Nie czekając na odpowiedź, zabrał się do pracy.
- Patti odwróciła się do Tony'ego.
- Ściągnij Elizabeth Walker. Chcę, żeby porównała nadgarstek ofiary i dłonie, które znaleźliśmy w lodówce. Jak najszybciej. Przeniosła spojrzenie na Spencera.
 - Musimy ją zidentyfikować. Im szybciej to zrobimy, tym prędzej...
 - W tym mogę wam pomóc - odezwał się koroner. Wszyscy

spojrzeli na mężczyznę, który kuczał przy ciele. Bardzo ostrożnie wsunął palec w rękawiczce pod jeden z naszyjników i odsunął go od bluzki. Wisiorek zaśnił w słońcu. Misternie poskręcane złoto układało się w ozdobne litery, które tworzyły jedno słowo. Tonia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Środa, 16 maja 2007 r.
11.05

Spencer spojrział na Patti.

- Co takiego? Wiesz, kto to jest?

- Tonia Messinger. Z całą pewnością. Przyjaciółka Yvette, ta, o której mówiła, że zaginęła.

A więc nie zmyślała.

- Jaka Tonia? - spytał Tony.

Zignorowała go i z niepokojem spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. Informujcie mnie. Ze szczegółami.

- Iść? - Tony zasępił się. - Pani kapitan, z całym szacunkiem... To za wielka sprawa, żeby teraz mogła się pani wycofać.

- Zgadzam się - poparł go Spencer. - Chyba będziesz musiała zakończyć swój... hm... urlop. Sądzę, że teraz potrzebna jest wszelka pomoc.

Tony spojrział na niego ze zdumieniem.

- Pomoc w czym?

Spencer pomiął pytanie Tony'ego milczeniem.

- Jeśli to rzeczywiście jest robota Chirurga, Franklin uwolnił się od kłopotów - kontynuował. - Wiesz chyba, co to znaczy.

Wiedziała. Szef straci swojego podejrzanego i będzie chciał szybko zamknąć kogoś innego. To wszystko zmieniało.

- Pomyślę o tym - odparła. - Yvette nadal jest naszym najlepszym śladem. Poza tym obiecałam, że zapewnię jej bezpieczeństwo.

- Łatwiej to robić w zespole niż samodzielnie.

- Komu trzeba zapewnić bezpieczeństwo? - dopytywał zdezorientowany Tony.

- Już powiedziałam. Zastanowię się. Chciała odejść, ale Spencer ją zatrzymał.

- Będę musiał ją przesłuchać.

- Na pewno - rzuciła przez ramię. - Dopilnuję, żebyś mógł się z nią zobaczyć.

Patrzył za nią przez chwilę, po czym odwrócił się do Tony'ego.

- Domyślam się, że chciałbyś wiedzieć, o co w tym chodzi.

- Byłbym wdzięczny, Bystrzaku. Najlepiej od razu. Spencer wyjaśnił wszystko partnerowi, pomijając jednak szczegóły, które mogłyby narobić Patti kłopotów. Nawet jeśli Tony podejrzewał, że nadal wciska mu kit - pewno tak właśnie uważał - był na tyle dobrym przyjacielem, by o tym nie mówić.

- Należy porozmawiać z Borger - powiedział, gdy Spencer skończył. - Koniecznie.

- Może ja poprowadzę? - zaproponował Tony. Odeszli, zostawiając na miejscu ekipę techniczną i ludzi z biura koronera. Kiedy już wsiedli do samochodu, Spencer zadzwonił do Patti.

- Ruszamy stąd razem z Tonym. Gdzie jesteś?

- W mieszkaniu Yvette.

- Dwadzieścia minut - rzucił krótko i rozłączył się.

Po chwili wybrał numer Elizabeth Walker.

- Mamy coś ciekawego. Trafiliśmy na nową ofiarę Chirurga. A przynajmniej tak to wygląda.

- Chcesz, żebym oceniła amputację? - Należy ci się złoty medal. Kiedy możesz przyjechać?

- Za trzy godziny. Szybciej nie dam rady.

- Zawiadom mnie pół godziny wcześniej. Spotkamy się na miejscu. Kiedy wyłączył telefon, Tony rzucił mu rozbawione spojrzenie.

- Jak to było, zanim nastąpiły komórki?

- Nie mam pojęcia. Chyba żyliśmy jak jaskiniowcy. Przyjaciel zaśmiał się.

- Skoro już mowa o jaskiniowcach, zadzwoniłeś do Stacy?

- Patti pewno to zrobiła.

- Nie zachowuj się jak dzieciak. Powinna dowiedzieć się o tym od ciebie.

Nie rozmawiał z nią od czasu, gdy się wyprowadziła. Tony doskonale o tym wiedział.

- A co z moją męską dumą? Godnością i...

- Głupota? Odrobina skruchy dobrze im robi. Spencer spojrział na niego ze złością.

- Jesteś beznadziejny, wiesz o tym?

- Takie jest moje zdanie - zaśmiał się Tony. Mruczając pod nosem, wyciągnął komórkę.

- Witaj - powiedział, gdy Stacy odebrała telefon.

- Ty też - odparła.

- Chciałem cię zawiadomić, że prawdopodobnie obie z Patti miałyście rację. Dzisiaj znaleźliśmy ciało Toni Messinger.

- Gdzie?

- W Lower Ninth. Dwa strzały. Odcięta prawa dłoń. - Słyszał jak głośno wciąga powietrze. - Zrobiło się dość niesamowicie. Jadę właśnie, żeby przesłuchać Yvette. Patti jest z nią.

- Jakie ona ma plany?

- Jeszcze nie wie. A ty?

- A czego się spodziewasz?

Spojrzał z ukosa na Tony'ego. Przyjaciel zauważył to i uśmiechnął się szeroko.

- Powiedz, że ją kochasz - podpowiedział. - Ze jesteś osłem i chcesz, by do ciebie wróciła.

- Czy to Tony? - spytała Stacy.

- Taa - mruknął. - Zachowuje się jak ostatni dupek. Będę cię

informował.

Patti wpuściła ich na podwórze i zaczęła na nich przed drzwiami mieszkania.

- Najnowsze wiadomości? - spytała, ledwie pojawili się w polu widzenia.

- Rozmawiałem z Elizabeth Walker. Przyjedzie. Prosiłem, żeby dała znać, gdy będzie dojeżdżać. Spotkamy się w kostnicy. Technicy kończą badanie śladów na miejscu. Zrobią to w pierwszej kolejności.

- Dobrze. Coś poza tym?

Kiedy pokręcili głowami, wprowadziła ich do salonu. Yvette siedziała zwinięta w rogu kanapy.

- Cześć, Yvette - powitał ją Spencer. Nie odezwała się, więc przedstawił Tony'ego: - To jest detektyw Sciamie.

Obrzuciła go spojrzeniem, po czym znów wpatrzyła się w ścianę.

- Bardzo mi przykro - powiedział Spencer. - Wiem, że była pani przyjaciółką.

- Mówiłam panu - powiedziała oskarżycielskim tonem. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie uwierzył mi pan.

- Nie - przyznał. - Ale teraz wierzę.

- Nazwał mnie pan oszustką, detektywie. - To prawda.

Przepraszam. - „Przepraszam” nic tu nie pomoże. - Rozumiem.

Jednak potrzebna mi pani pomoc. - Dobra. - Przyciągnęła kolana jeszcze bardziej do piersi. - Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko o Artyście.

- To znaczy te rzeczy, które już panu mówiłam, a w które pan nie wierzył?

- Mniej więcej.

Wydawała się zirytowana, lecz spełniła jego prośbę. Już wcześniej to wszystko słyszał. Zaczynało się od listu miłosnego podpisanego przez kogoś, kto nazywał siebie Artystą. Dostała w sumie cztery takie listy. Do jednego dołączono pięćset dolarów - kwotę, jaką był jej winien Marcus.

- Tonia przyniosła mi ten list. Zobaczyła pieniądze i wtedy opowiedziałam jej o wszystkim. Na zdjęciu w gazecie rozpoznała Jessicę i przypomniała sobie faceta, który podobne listy wysyłał do tamtej dziewczyny.

- Tonia zniknęła, zanim ja w to weszłam - wtrąciła Patti. - Sądząc z tego, co dzisiaj zobaczyliśmy, prawdopodobnie już wtedy nie żyła. Yvette zakryła twarz dłońmi. Jej ręce drżały.

- To moja wina - powiedziała. - Próbowала mi pomóc. A teraz nie żyje.

- To nie pani wina. Nie zabiła jej pani.

- Chciałabym w to wierzyć... Gdyby jednak nie zgodziła się mi pomóc...

- Ale zgodziła się - przerwała zdecydowanie Patti. - Teraz trzeba zrobić wszystko, żeby nie uszło mu to na sucho.

- Kiedy po raz ostami miała pani wiadomość od Artysty?

- Ósmego, we wtorek. Obudziłam się i znalazłam list.

- W mieszkaniu?

- Tak. I medalion.

- Medalion? - powtórzył zdziwiony.

- Toni. W środku było jej zdjęcie.

- Tylko jej?

-Tak.

Spencer i Tony wymienili spojrzenia. - Wiem, że to trochę dziwne. Może po prostu zerwała z jakimś facetem, pozbyła się jego zdjęcia, a zostawiła naszyjnik.

Spencer zmarszczył brwi i podniósł wzrok na Patti.

- Wtorek, ósmego. Czy to nie tego dnia zaczęłaś urlop?

Kiedy przytaknęła, ponownie zwrócił się do Yvette.

- Od tamtej pory nie widziała jej pani ani nie rozmawiała z nią?

Nie - Patti odpowiedziała za dziewczynę. - Ani tu, ani w klubie.

Medalion i list są u mnie.

- Niedobrze mi. - Yvette zerwała się na nogi.

- Nic jej nie jest? - spytał Spencer, kiedy wybiegła z pokoju.

- Sporo wymiotuje. Zaczyna mnie to niepokoić.

- A co z taśmami ochrony z „Hustle”? - odezwał się Tony, przenosząc spojrzenie od Patti do Spencera. - Nasz facet może na nich być...

- Już to sprawdzałam - odparła Patti. - Trzymają je przez trzydzieści sześć godzin. Zresztą Tonia była jedyną osobą, która wiedziała, jak ten facet wygląda.

- A ona nie żyje.

- Jaki będzie nasz następny ruch? - spytał Tony.
- Całodobowa ochrona Yvette - odpowiedziała Patti. - Uzyskamy zgodę kapitana Coopera, żeby Stacy zamieszkała tu oficjalnie. Do mieszkania Messinger wyślemy ludzi. Mają je przeszukać, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Oczywiście trzeba oficjalnie zidentyfikować Messinger. Sprawdźcie, może uda się kogoś znaleźć. Rodzinę, partnera...
- Borger.
- Jest za bardzo wplątana.
- Może figurować w kartotekach - podsunął Tony.
- Wtedy mielibyśmy odciski palców.
- Sprawdź to jak najszybciej. Jeśli coś znajdziesz, pogadaj z Hollisterem. Być może uda mu się zdjąć odciski.
- Spencer spojrział na Tony'ego, który wyszczerzył zęby.
- Popatrzyła na nich wilkiem.
- O co chodzi?
- Wydaje się dość apodyktyczna jak na kogoś na urlopie...
- ...albo osobę, która jest zbyt zestresowana...
- ...można powiedzieć: przygnębiona...
- ... żeby wykonywać swoje obowiązki.
- Dość tej błazenady - przerwała im tę wyliczankę.
- Kapitan Patti O'Shay oficjalnie wraca do pracy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Środa, 16 maja 2007 r.

14.00

Spencer stanął w progu gabinetu i przyglądał się Patti. Po wykonaniu serii telefonów i rozmowie z szefem znów oficjalnie kierowała Pomocniczym Wydziałem Dochodzeniowym. Załatwiła całodobową ochronę Yvette, sprawiła, że Stacy oficjalnie zamieszkała u dziewczyny jako jej współlokatorka i wysłała zespół ludzi, w tym również Tony'ego, do mieszkania Messenger. Jednym słowem, była niesamowita.

- Cieszę się, że znów mogę pracować pod twoim dowództwem - powiedział. - Mimo że jestem na ciebie wkurzony.

- Przykro mi, ale musiałam to rozegrać w taki sposób.

- Nie zaufałaś mi.

- Mogłabym powierzyć ci życie, lecz nigdy nie naraziłabym twojej kariery.

- O tym że ty powinnaś decydować. Uśmiechnęła się.

- Bzdura, detektywie. Jestem twoją przełożoną i ciotką. Nie mogłabym w taki sposób wykorzystać swojej pozycji.

- Mimo to jestem wściekły.

- Jakoś to przeżyję.

Dzwonek komórki nie pozwolił mu odpowiedzieć.

- Detektyw Malone.

- Mówi Elizabeth Walker. Za pół godziny będę na miejscu.

- Świetnie. Spotkamy się w kostnicy.

Kostnicy z całą pewnością nie budowano z myślą o wygodzie.

Żadnych upiększeń ani ciepłych klimatów. Wyłącznie stoły ze stali nierdzewnej, stanowiska robocze, wyłożone płytkami zimne podłogi i chłodnie z szufladami na zwłoki.

Z racji pracy Spencer musiał tu bywać znacznie częściej, niżby sobie tego życzył. Uczciwie mówiąc, tt&wet teraz, po tylu latach, kostnica wciąż przyprawiała go o dreszcze.

Pojawili się z Elizabeth Walker niemal jednocześnie. Dziękuję, że zechciałaś przyjechać - powiedział. - Długo czekaliśmy na jakiś ruch z jego strony.

- Co wiecie do tej pory?

Kobieta. Nie żyje od czterech lub pięciu dni. Zastrzelona. Brak prawej dłoni.

Weszli do budynku i podeszli do strażniczki. Rozpoznała ich co prawda, lecz mimo wszystko zażądała wyjaśnień.

- Jesteśmy tu w sprawie przywiezionej dzisiaj ofiary o nieustalonej tożsamości - wyjaśnił Spencer.

- Której? - Z Lower Ninth. Skinęła głową.

- Wpiszcie się. Zawiadomię Chrisa, że idziecie do niego.

Dwudziestokilkuletni Chris był wysoki, szczupły i blady. W prowadzeniu konwersacji można by go porównać do głazu, więc Spencer uznał, że chłopak po prostu zbyt wiele czasu spędza z trupami.

- Jest tutaj.

Organizacja pracy w kostnicy była wyjątkowo sprawna. Chris przetoczył stół do chłodni, gdzie przechowywano ciała na specjalnych stalowych tacach. Tace spoczywały na rolkach, a półki można było w miarę potrzeb przestawiać, tak że ciała praktycznie leżały jedne na drugich.

Poczekali aż Chris podniesie stół do wysokości czwartej półki.

Kiedy to zrobił, wyciągnął tacę na blat. Szczątki ofiary leżały w zapiętym czarnym worku.

- Gdzie mam ją wam ustawić?

- Pod lampą - poprosiła Elizabeth.

Włożyła rękawiczki, podeszła do stołu i poprawiła chirurgiczną lampę.

- Przed wyjazdem poświęciłam trochę czasu na przejrzenie notatek na temat ofiary z parku oraz znalezionych wcześniej dłoni.

Przywiozłam zresztą zarówno notatki, jak i zdjęcia. Sprawdźmy, co tu mamy.

Otworzyła worek. Wyraz jej twarzy ani trochę nie uległ zmianie. Spojrzenie natychmiast skupiła na przegubie ręki.

Spencer zostawił ją przy pracy i podszedł do biurka, gdzie Chris wpisywał dane do komputera.

- Macie tu dość spokojnie.

- Śmiertelna nuda - odparł anatomopatolog i zaśmiał się z

własnego dowcipu.

Poczucie humoru godne kostnicy, skomentował w duchu Spencer. Detektywie? - przywołała go Elizabeth. - Nie zdobędę twojej sympatii. Obawiam się jednak, że to może być robota innego zabójcy.

Czekał na potwierdzenie ich przypuszczeń. Był tego prawie pewien i liczył, że będą wreszcie mogli posunąć śledztwo do przodu. Tymczasem poczuł się, jakby usunięto mu grunt spod stóp. Kolejny już raz.

- Proszę mówić - powiedział. W jego głosie słychać było rozczarowanie.

- Po pierwsze użył znacznie gorszego narzędzia. Mogła to być niewielka piła do prac ogrodowych albo wręcz jakiś przyrząd kuchenny.

- Może znalazł się w sytuacji, gdy musiał wykorzystać to, co było dostępne. - Już mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że to wykluczone. Chirurg starannie planował swoje zbrodnie.

Narzędzia, które stosował, na pewno nie były sprawą przypadku. Co jak co, ale to było dla nich oczywiste.

Elizabeth spojrzała na niego współczująco i podjęła:

- Ten ewidentnie nie był taki pewny siebie. Spójrz tutaj. -

Poprawiła światło i szkło powiększające, po czym wzięła szczypce i odsunęła skrawki ciała od kości. - Widzisz te ślady na kości? To nieudane próby.

- Twoim zdaniem. Podniosła wzrok.

- Zdaniem eksperta. Zgadza się.

- Co poza tym?

- Amputacja została przeprowadzona nieumiejętnie. Po prostu odrąbał tę dłoń. U ofiary z parku zrobiono to bardzo profesjonalnie.

Spencer zmarszczył czoło.

- Parę z tych pierwszych dłoni również obcięto tak niefachowo.

Czy to możliwe, że wyszedł z wprawy przez te dwa lata? To, a także fakt, że nie ma już swojego znakomitego sprzętu, mogłoby coś wyjaśniać, nie są-

Niby tak - przyznała. - Ale jest jeszcze jedna zagwozdzka. Mam wrażenie, że ten zabójca jest leworęczny. Z każdą chwilą robiło się

coraz gorzej.

- Przykro mi, detektywie. Mówię tylko to, co widzę.

- Możesz mi to pokazać?

Wyjęła z teczki siedem zdjęć i rozłożyła je na najbliższym stole.

- To zdjęcia poprzednich ofiar. Przyjeliśmy, że trzy pierwsze pokazują najwcześniejsze zbrodnie. Zwróć uwagę na ślady, świadczące o nieudanych próbach.

- Tak samo jak u tej ofiary.

- Owszem, lecz z jedną różnicą. Widzisz to? Z namysłem przyglądał się zdjęciom.

- To ty jesteś ekspertem.

- Tutaj ciągnie piłę od lewej do prawej. Świadczy o tym głębokość cięcia, a także to, gdzie się zaczyna i jak się kończy. A teraz popatrz na dzisiejszą ofiarę.

Z miejsca spostrzegł, co miała na myśli. - Niech to cholera!

- Przykro mi. Naprawdę. Postanowił szukać wyjaśnienia. - Czy to może być zmyłka?

- Nie rozumiem.

- Czy mógł użyć lewej ręki, mimo że jest praworęczny?!

- To z pewnością wyjaśniałoby nieporadność. Tylko po co miałby to robić?

- Żeby nas wywieść w pole. Może chciał, żebyśmy zadawali sobie pytanie, czy to on czy kto inny.

- Wszystko jest możliwe. Chociaż moim zdaniem to zbyt naciągane. Pod wieloma względami.

- Na przykład?

- Biorąc pod uwagę, że specjalizuję się w kościach, a nie w psychologii, u istot ludzkich zwykle górę biorą cechy wrodzone. Ludzie działają odruchowo. Prawo i leworęczność to cechy wrodzone. Zabójca musiałby być bardzo opanowany, żeby świadomie użyć niezgodnej z naturą ręki, zwłaszcza w chwili szczególnego podniecenia i przy podniesionym poziomie adrenaliny.

Miała rację. Co więcej, seryjni mordercy byli niewolnikami przyzwyczajęń. Swoje zbrodnie odprawiali jak rytuał. Chirurg zabierał prawą dłoń ofiary. Robił to za każdym razem, powtarzając wszystkie czynności. Sam akt zabójstwa i sposób, w jaki go

dokonał, miał dla niego wielkie znaczenie, zarówno pod względem emocjonalnym jak i intelektualnym. Możliwe, że osiągnął przy tym satysfakcję seksualną.

Tylko co teraz? Nie znaczyło to wcale, że Tonią nie była ofiarą Chirurga, jednak nie był to dowód, na jaki liczyli.

- Kiedy będziemy mogli dostać oficjalny raport? - Uzgodnię to z Rayem. Sądzę, że w ciągu jakichś dwóch dni.

Skinał głową.

- Czy do tego czasu to wszystko może pozostać między nami?

- Oczywiście. - Spojrzała na niego zdziwiona. - Co się dzieje?

- Nie jestem pewien. To niezwykle delikatna sprawa. Chcę mieć pewność, że wszystko mam dopięte na ostatni guzik, zanim przedstawię wyniki szefostwu.

Elizabeth została jeszcze, żeby spotkać się z anatomopatologiem, natomiast Spencer udał się do samochodu. Zdążył wsiąść do chevroleta, gdy odezwała się komórka.

Dzwonił Tony. - Cześć, Makaroniarzu. Właśnie miałem się do ciebie odezwać.

- To i dobrze, Bystrzaku. Mam coś. Odnaleźli rodzinę Jessiki Skye. Daphne, małe miasteczko w Alabamie. Nie mieli o niej żadnych wiadomości od Katriny.

- Próbowali jej szukać?

- Odniosłem wrażenie, że nie była to dla nich sprawa priorytetowa. Najwyraźniej Jessica nie miała najlepszych stosunków z rodziną. Chociaż matka wydawała się wstrząśnięta, gdy spytałem, czy zechce obejrzeć zdjęcie i ocenić, czy to może być jej córka.

Chodziło oczywiście o zdjęcie rekonstrukcji wykonanej przez sądowego plastyka.

- Zgodziła się?

- Tak, Skontaktowałem się z miejscową komendą - ciągnął Tony. - Obiecali pełnić honory domu, gdy tylko prześlemy im jotpegi.

- Zaraz będę na miejscu, więc zajmę się tym. Do kogo mam to wysłać?

- Do detektywa Fieldsa. Podać ci numer?

- Znajdę sobie. Jak idzie przeszukanie mieszkania?

- Do przodu. Na razie nie trafiliśmy na nic niezwykłego. Technicy

przygotowują teraz luminol.

Chemiczną mieszaninę rozpylano, gdy zachodziło podejrzenie, że na jakiejś powierzchni znajduje się krew, chociaż jej nie widać.

Luminol, wchodząc w reakcję z zawartym w hemoglobinie żelazem, zaczyna świecić. Wielu przestępców, którzy sądzą, że zatarli ślady, starannie myjąc miejsce zbrodni, potknęło się na luminolu.

- Jeszcze coś. Na toalecie w łazience jest zdjęcie Messinger w tym naszyjniku z napisem.

- To powinno wystarczyć, dopóki nie będziemy mieli oficjalnej identyfikacji. Ja też mam coś dla ciebie. Całkiem możliwe, że Messinger nie została zabita przez Chirurga.

- Kpisz, czy co?

- Chciałbym. Doktor Walker znalazła kilka zasadniczych różnic między poprzednimi amputacjami a tą najnowszą. Najdziwniejsze jest to, że te stare zostały zrobione przez osobę praworęczną, a ta przez mańkuta.

- Chcesz przekazać tę radosną nowinę kapitan O'Shay?

- Właściwie zamierzałem zostawić to tobie.

- Jeszcze czego, Bystrzaku! Ty jesteś jej rodziną, więc przynajmniej cię nie zabije.

Zanim zdążył wyjaśnić, że takie założenie nie jest słuszne, Tony przerwał połączenie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Środa, 16 maja 2007 r.

Yvette pochyliła się nad umywalką i spryskała twarz zimną wodą. Tylko tak mogła otrząsnąć się z oszołomienia, jakie ogarnęło ją, gdy Patti jej powiedziała.

Tonia nie żyła. Została zamordowana. W głębi serca już dawno o tym wiedziała, ale teraz stało się to rzeczywistością.

Strzelił do niej dwukrotnie.

A potem obciął jej prawą dłoń. Zostawił swój znak firmowy.

Wyprostowała się i spojrzała do lustra.

To jej wina. Tonia umarła z jej powodu.

Wpatrywała się w swoje odbicie. Zakręciło jej się w głowie. Nogi zrobiły się jak z waty, aż musiała przytrzymać się toaletki.

Oddychała głęboko, wciągając powietrze nosem i wydychając ustami. Musiała pozbyć się poczucia winy. I strachu.

Zycie wymykało się jej spod kontroli. Wpadła w jakiś wir i nagle zaczęła zmieniać się w osobę, której nie chciała znać.

- W porządku? - zawołała Stacy, delikatnie pukając do drzwi łazienki.

Poczuła przyływ gniewu. Zaciśnęła pięści.

- Nie. wcale nie w porządku! Jestem wściekła. Na ciebie, na twojego durnego faceta. Gdybyście zaczęli działać od razu, gdy powiedziałam wam o Artyście, Tonia nadal by żyła.

- Nie możesz tego wiedzieć. Już wcześniej mógł planować...

- Poprosiłam ją o pomoc... a teraz ona... - Próbowała powstrzymać łzy. - To wasza wina, nie moja. Słyszysz, co mówię? Wasza!

Policjantka nie odpowiedziała. Zapadła niezręczna cisza. Yvette podeszła do drzwi, oparła o nie dłonie i czoło.

- Powiedz coś, do cholery!

- Przykro mi, Yvette - powiedziała miękko, stłumionym głosem. - Naprawdę.

- To gównu znaczy!

Niech ten ból wreszcie przejdzie. Niech skończy się

ten koszmar.

Stacy odchrząknęła.

- Jeśli będziesz... potrzebować czegoś, daj mi znać. Przyjadę natychmiast

Zacisnęła powieki, próbując powstrzymać uczucia, które w niej wzbierały. Pragnęła pocieszenia. Towarzystwa przyjaznej osoby. Kogoś, przed kim mogłaby wyrzucić wszystko z siebie, otworzyć serce,

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała ostro. - Idź sobie? Nie chcę twojego...

Nie była w stanie dokończyć. Zamiast słów z jej gardła wydobył się szloch. Okropny, łamiący się dźwięk.

Zagryzła wargi, podeszła do sedesu i usiadła na kłapie. Otoczyła się ramionami i zaczęła kiwać się w przód i w tył.

Co robić? Co robić? Wszystko wymykało się jej z rąk.

Telefon na szafce zabrzączał, dając sygnał, że przyszedł SMS.

Przez chwilę wpatrywała się w komórkę, w końcu po nią sięgnęła. Drżącą ręką otworzyła wiadomość:

Tęsknię.

Proszę, nie gniewaj się

Nie podpisał się, ale i tak wiedziała. Riley.

Z bijącym sercem przeczytała wiadomość ponownie. Miała wrażenie, że minęła wieczność od chwili, gdy ze zranioną dumą i złamanym sercem wypadła z „Tipitmy”.

W świetle dzisiejszych wiadomości jej zachowanie wydawało się dziecinne i melodramatyczne. Gdyby tylko dało się cofnąć czas...

Gdyby można było cofnąć się do czwartkowego wieczoru, potrafiłaby stawić czoła June Benson.

Broniłaby siebie i swoich uczuć. Może należy zrobić to teraz?

Wcisnęła funkcję odpowiedzi i napisała:

Ja też tęsknię.

Wstrzymując oddech, wysłała SMS-a. Chwilę później znów rozległ się sygnał Odpowiedział! Z zapartym tchem przeczytała:

Spotkajmy się wieczorem na Moonwalk

Tak bardzo tego chciała. Pragnęła powiedzieć mu, co czuje, co zrobiła jego siostra. Jak bardzo ją to zraniło. Pragnęła spytać, czy mimo wszystko mają szansę.

Jednak chciała być z nim sama. Tylko jak miała pozbyć się Stacy? Przypomniały się jej słowa policjantki: „Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać”. Pospiesznie wstukała odpowiedź:

Kiedy

Odpowiedział niemal natychmiast:

Teraz

Uśmiechając się do siebie, napisała:

OK, poczeka na mnie

Musiała wymyślić coś naprawdę ważnego, żeby Stacy opuściła swoje stanowisko. To powinno być coś, czego nie da się odłożyć na później ani zamówić przez telefon.

W myślach przebiegała różne możliwości: jedzenie, napoje, coś do czytania... I nagle znalazła. To zrozumie każda kobieta.

Z uśmiechem podeszła do szafki i wyjęła prawie pełne pudełko tamponów. Z kosza na śmieci wyciągnęła kilka zużytych chusteczek, owinęła w nie zawartość pudełka, ukryła pakunek w koszu i przyrzuciła go resztą chusteczek

Z pudełkiem w ręku otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Ze swojego miejsca widziała cały salon. Policjantka siedziała na kanapie, czytając jakiś magazyn.

- Stacy? Kobieta podniosła wzrok. Yvette odniosła wrażenie, że jest jakaś zgaszona. Odsunęła tę myśl i zabrała się za realizację swojego planu.

- Mam problem - Podniosła puste pudełko po tamponach. - Właśnie mi się zaczęło.

- Nie masz ani jednego? Pokręciła głową.
- Za rogiem jest drogeria. Royal Pharmacy.
- Realizują dostawy na telefon?
- Z tego, co wiem, nie. - Przybrała możliwie zbolaną minę. - Leci ze mnie strumieniem...

Stacy podniosła się na nogi.

- Gdzie jest ten sklep?
- Trzeba skręcić w lewo w następną ulicę. Bardzo blisko.
- Zatrzaśnij drzwi i załóż łańcuch. Nikomu nie otwieraj. Nikomu, rozumiesz?

Yvette skinęła głową i pośpiesznie ruszyła do łazienki.

- Stacy? - Kiedy policjantka odwróciła się, posłała jej słaby uśmiech. - Dzięki.

Ledwie drzwi się zatrzasnęły, pędem wróciła do łazienki.

Oplukała twarz, przeciągnęła szczotką po włosach, podmalowała rzęsy, nałożyła róż i błyszczczyk.

Chwyając po drodze torebkę, na palcach podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Ostrożnie uchyliła drzwi. Trochę bała się, że Stacy wyskoczy zza nich z triumfalnym okrzykiem, ale nic takiego nie nastąpiło. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Wysunęła się na korytarz, przekręciła klucz i pomknęła na spotkanie z Rileyem.

Moon Walk to malownicza promenada wzdłuż Missisipi, ciągnąca się od Jackson Square. Zbudowana kilka kroków od wody, nosi imię burmistrza Moona Landrieu'a.

Yvette wrzuciła banknot dolarowy do kapelusza ulicznego muzyka. Podziękował skinieniem, nie przerywając grać „Blue Moon”. Nie był zbyt dobry, ale widać musiał jakoś zarabiać na życie. A po Katrinie uliczni wykonawcy z Dzielnicy Francuskiej dość cienko przędli.

Pospiesznie weszła na trap, prowadzący na taras widokowy i promenadę. Od razu go spostrzegła, jak wyraźnie wzburzony chodzi w tę i z powrotem.

- Riley!

Odwrócił się, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Przyszłaś. - Chwycił jej dłonie. - Zacząłem już tracić nadzieję. Przecież powiedziałam, że przyjdę. Zajrzał jej w oczy. Od tamtego wieczoru kilka razy byłem u ciebie, ale nie odpowiadałaś na dzwonek.

- Czemu nie zatelefonowałaś?

- Myślałem, że nie zechcesz odebrać. - Mocniej zacisnął palce na jej ręce. - June wyjawiała mi, co ci powiedziała. Ja tak nie myślę, Yvette. Uwierz mi.

- Jej słowa bardzo mnie dotknęły.

- Jest nadopiekuńcza. Uznała, że musi się bronić.

- To, co mówiła, było po prostu podłe. Osądziła mnie, nic o mnie nie wiedząc.

- Czasami zachowuje się jak wariatka. Nie miej o to pretensji do mnie. Proszę. - Wciąż ścisnął jej ręce. - Podobasz mi się, Yvette. Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, jak zarabiasz na życie. Nie, źle to powiedziałem. Ma znaczenie, ale i tak chcę być z tobą. Bez względu na to, czy będziesz kelnerką czy striptizerką.

Wpatrywała się w jego twarz. Czy to możliwe? Czy naprawdę pogodził się z tym, że to po prostu jakiś element jej życia? Nie potępiał jej za to, że jest striptizerką, ani go to nie podniecało?

- I co myślisz? - spytał.

- Że jesteś zbyt dobry, abyś był prawdziwy.

- Wcale nie. - Przyciągnął ją do siebie. - Jestem najprawdziwszy. I jestem tutaj.

Stała na palcach i uniosła twarz.

- Ja też - szepnęła.

Pocałował ją. Raz, a potem jeszcze i jeszcze. To były głębokie, odurzające pocałunki. Takie, które sprawiały, że zapragnęła, by pozbył się ubrania. Pragnęła czuć go przy swoim nagim ciele.

- Macie chyba jakąś chatę, co? - Pytanie, któremu wtórowały śmiechy, padło ze strony grupy nastolatków.

Riley oderwał się od niej. Twarz miał zarumienioną i z trudem chwycił oddech.

- Ufasz mi?

- Czy ufam? Dlaczego...

- Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- To by zepsuło niespodziankę.

- A gdzie?

- Niedaleko.

Zawahała się, a wtedy wyciągnął rękę.

- Masz do mnie zaufanie? - spytał ponownie. Czy miała? Przy tym, co się działo wokół, nie powinna. Bo co właściwie wiedziała o Rileyu Bensonie?

Nie powinna, a jednak ufała mu. W duchu modliła się tylko, żeby znów nie popełnić błędu. Żeby nie okazało się, że ponownie pozwoliła złamać sobie serce.

Podążyła mu dłoń.

- Tak - powiedziała. - Ufam ci.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Środa, 16 maja 2007 r.

21.45

Stacy krążyła niespokojnie po pokoju. Ta kanciara znów ją wyrolowała. Dała się jej haniebnie nabrać. Nie potrafiła nawet powiedzieć, czy bardziej ją to wkurza czy zawstydza.

Musiła zadzwonić do Patti i przyznać, że dała się wystrychnąć na dudka. Teraz już wszyscy o tym wiedzieli. Do rana pewno cała komenda będzie się z niej nabijać.

Co prawda niechętnie, niemniej jednak z pewnym szacunkiem

pomyślała o dziewczynie. Znakomicie to wykombinowała. Mogła mieć absolutną pewność, że w takiej sytuacji Stacy zostawi ją bez opieki. Na dwanaście minut. Dwanaście cholernych minut. Potem wróciła, ale Yvette już nie było. Pewno przeraziłaby się, że dziewczynę porwał Chirurg, ale gdy stała pod drzwiami, szukając kluczy, na korytarz wyjrzała Nancy. Od niej właśnie dowiedziała się, że Yvette wyszła. Sąsiadka widziała, że jest sama i się uśmiecha.

Jasne, że się uśmiechała. Musiała gratulować sobie, że udało jej się przechytryć swojego największego wroga, nieszczęsną detektyw Killian. Jakie to miało znaczenie, że ten wróg siedział tu, aby ją chronić przed szaleńcem?

Jak tak bystra dziewczyna mogła jednocześnie być taka głupia? I wszystko po to, żeby się spotkać z facetem. Stacy doszła do tego wniosku po przeszukaniu mieszkania. Wyglądało na to, że Yvette zabrała ze sobą tylko torebkę, a na stoliku w łazience zostawiła porozrzucone przybory do makijażu.

Patti nie zgodziła się z tą wersją. Bała się raczej, że Yvette postanowiła dać drapaka. A wówczas, pozostawiona sama sobie, stanowiła łatwy cel.

Kapitan O'Shay kazała Stacy pozostać na posterunku, na wypadek, gdyby Yvette jednak wróciła lub pojawił się Artysta. I tkwiła tu, krążąc i gotując się ze złości, podczas gdy reszta zespołu szukała tancerki.

Wybrała numer Rene.

- Jest coś? - spytała.

- Nic.

- Nie pokazała się w „Hustle”?

- Przykro mi,

- Cholera. Odzywaj się.

Z irytacją zamknęła komórkę, cisnęła ją na kanapę i podjęła swoją wędrówkę. Gdyby okazało się, że Yvette uciekła, znaczyłoby to, że Stacy przez swoją głupotę naraziła na szwank całe śledztwo.

Jednak jeśli to Artysta dorwał dziewczynę, przez jej głupotę życie Yvette znalazłoby się w śmiertelnym nie-bezpieczeństwie.

„Gdybyście zaczęli działać od razu, gdy powiedziałam wam o Artyście, Tonia nadał by żyła. To wasza wina, nie moja. Wasza!”

Te słowa ją raniły. A świadomość, że choć w części mogą być prawdziwe, była zbyt straszna, by ją w ogóle rozważać. Mieli powód, żeby nie ufać Yvette, to jednak nie wpływało na to, co Stacy czuła teraz, gdy już wiedziała, że Tonia Messinger nie żyje. Rozległo się pukanie. Rzuciła się do drzwi w nadziei, że wróciła Yvette. Nie, to nie ona. Na korytarzu stał Spencer z dużym kubkiem ze Starbucksa w ręku i zadowolonym uśmiechem na twarzy. Otworzyła gwałtownie drzwi. - Nienawidzę tej pracy.

- Wiem. - Podał jej kubek. - Ale nie ma rzeczy, na którą nie pomogłaby potrójna mokka z bitą śmietaną. I nagle do niej dotarło. Uderzyło ją jak grom z jasnego nieba.

Kochała go. Była w nim zakochana.

Rozbawiał ją wtedy, gdy nic wokół nie wydawało się zabawne. Sprawiał, że się uśmiechała, kiedy wcale nie było jej do śmiechu. A przede wszystkim dzięki niemu czuła się związana. Z pracą. Z tym miastem.

I z życiem.

To dlatego poczuła się tak bardzo zraniona jego nonszalanckimi oświadczeniami. Nie chciała, by uznał, że tak jest najwygodniej. Nie chciała, by się nią zadowolił, bo potrafili się dogadać, a jego rodzina ją pokochała.

Pragnęła, żeby on także ją pokochał.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Masz jakąś dziwną minę.

- W porządku. - Wzięła kubek z kawą. - Wejdz. To mnie powstrzyma przed samobójstwem.

Mruknął coś współczująco. - Nieźle wymyśliła z tymi tamponami.

Zareagowałbym identycznie. - Słowo?

- A jak myślisz? Wszyscy faceci wymiękają, gdy mowa o tych babskich sprawach. - Spojrzał na nią. - Kuchnia jest tutaj?

Ze zdumieniem patrzyła, jak zaczyna myszkować po kuchni.

Pokręciła głową, gdy otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

- Głodny jesteś, Malone? Czy może szukasz części ciała?

- Nigdy nie wiadomo. - Przez chwilę grzebał wśród nielicznych pojemników, w końcu wyjął pudełko lodów.

Czekoladowe z orzechami. Firmy Blue Bell.

- Podobno większość kobiet, szczególnie tuż przed okresem, je lody prosto z pudeł...

To nie były lody. Stacy też to zobaczyła. Pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

Spencer przeliczył banknoty.

- Tu jest trzy tysiące dolców.

- W takim razie nie zwała. Nie było powodu, żeby zostawić tyle kasy.

Kiwnął głową, ponownie owinął banknoty i włożył je do pojemnika. Podszedł do szafki.

- Możliwe, że ze sprawą Chirurga i śmierci Messin-ger jest pewien problem - powiedział, kierując się do szafek.

Czekała, domyślając się, że nie liczył na odpowiedź.

- Elizabeth Walker uważa, że te dłonie obcinał ktoś inny. W gruncie rzeczy... - Podszedł do zlewozmywaka i zajrzał do szafki pod spodem. - Jej zdaniem Chirurg był praworęczny, a zabójca Messinger jest mańkutem. Czy Yvette ma samochód?

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego?

- Odmrażacz. - Podniósł butelkę. - Wiesz, do czego jeszcze można tego użyć?

- Otrucia głośnego psa?

- Tak jest. Pamiętaj też, że Samson został otruty tego samego dnia, kiedy zabito pannę Almę, a Artysta złożył Yvette ostatnią wizytę.

- Rzekomą wizytę. - Nagle przypomniała sobie tę pierwszą noc u Yvette. Przed oczami stanęła jej dziewczyna z pałeczkami w ręku.

- Powiedziałeś „mańkut”?

- Tak, dlaczego?

- Yvette jest leworęczna.

- Jesteś pewna?

- Jak cholera. - Zawahała się. - Wiesz o tym, że bez nakazu wszystko, co znajdziesz, jest bezużyteczne.

- Dlatego niczego nie szukam. - Zamknął drzwiczki. - Na razie nie mów nic Patti. Spróbuję się trochę rozejrzeć. Zobaczymy, na co trafię.

- Jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłam. Chodzi o Patti. Obiecała zapłacić Yvette pięćdziesiąt tysięcy za to, że zostanie i pomoże jej schwytać tego faceta. Dziesięć tysięcy z góry.

Twarz Spencera od szyi aż po włosy pokryła się ciemnym rumieńcem.

- To część polisy ubezpieczeniowej Sammy'ego. Duża część. Co za skurwysyństwo.

- Przykro mi, Spencer.

Zrobił dwa kroki w jej stronę, chwycił ją za ramiona przyciągnął do siebie.

- Mamy jeszcze do załatwienia pewną sprawę - powiedział. -

Osobistą. Niestety na razie będziemy musieli z tym poczekać.

Pocałował ją i zaraz wypuścił z objęć. Już po chwili go nie było.

Teraz miała jeszcze jeden powód, żeby się wściekać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Czwartek 17 maja 2007 r.

1.30

Niektórzy wierzą, że nowe życie można znaleźć podczas chrztu.

Woda ponoć leczy duszę.

Jednak woda może też niszczyć. Zmiażdżyć wszystko, co stanie jej na drodze. Pozostawić za sobą tylko cuchnące, gnijące pustkowie.

Może parzyć. Odzierać kości z ciała.

Przestań się obwiniać! To nie twoja wina. Tylko jej.

Nie. Błagam, nie. Ona jest tą jedyną. Musi nią być. Czysta.

Niewinna. Moja idealna muza.

Wyłącz wodę. Wyjdź spod prysznica.
Podmuch chłodnego powietrza. Gęsia skorka. Dreszcz ulgi. I męki.
Jest taka sama jak inne. Tania, niewierna dziwka.
Dźwięk odbił się od ścian. Krzyk rozpacz. Głuchy, rozdzierający.
Podejdź do lustra. Zetrzyj parę. Co widzisz?
Zniekształcony obraz. Kogoś zupełnie obcego. Zagubioną duszę.
Nie! Odrzuciła twoją miłość i zaufanie. Tyle że w przeciwieństwie
do tamtych dziwek, ona miała pomocników.
Tak. Tak... Innych zdrajców. To ich вина. Ukarz ją. Ukarz ich.
Niech wszyscy zapłacą za twój ból.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Czwartek, 17 maja 2007 r.

8.35

Spencer siedział przy biurku. Przed nim stał kubek stygnącej kawy. Wypił jej o wiele za dużo i teraz pod czaszką pojawił się tępy ból.

Poprzedniego wieczoru prosto od Stacy przyjechał tutaj. Trochę czasu poświęcił na prześledzenie życia Yvette Borger, później uważnie dopasowywał te informacje do prowadzonego śledztwa. Obraz zaczął nabierać kształtów. Obraz niezrównoważonej młodej kobiety, która ukrywa wiele tajemnic.

Yvette w rzeczywistości nazywała się Carrie Sue Borger.

Pochodziła z Greenwood w stanie Missisipi, małego miasteczka w samym centrum delty. Jedynaczka, jej matka zmarła w wypadku,

kiedy Yvette miała dziewięć lat. Kontakty z policją w Greenwood zaczęły się rok później. Od tamtej pory aż do szesnastych urodzin była zatrzymywana kilkanaście razy.

Kiedy skończyła szesnaście lat, krótko pracowała w miejscowym barze, a potem zniknęła, pozostawiając za sobą zarówno Greenwood jak i swojego ojca. To zresztą była najciekawsza część historii. Zanim opuściła rodzinny dom, uderzyła ojca dzbankiem do kawy w głowę
zostawiła go tam na pewną śmierć.

Jednak Vic Borger nie umarł. Wezwał policję, ale wtedy jego córki już dawno nie było.

- Ile czasu już tu siedzisz, Bystrzaku? Spencer podniósł wzrok na partnera.

- Prawie całą noc.

- Tak właśnie wyglądasz.

- Dzięki, - Uniósł brwi. - Trzy pączki, Makaroniarz?

- Jeden jest dla ciebie. Doszły mnie słuchy, że pracowałeś do późnej nocy, więc postanowiłem dostarczyć ci trochę wartości odżywczych.

Tony podał mu pączka i serwetkę. Spencer ugryzł spory kęs.

Dopiero w tym momencie dotarło do niego, jaki był głodny.

Szkoda tylko, że zamiast prawdziwego posiłku musi jeść takie śmieci.

Tony przysiadł na brzegu biurka i zabrał się za swoje ciastko.

- Słyszałem o wczorajszych wydarzeniach - powiedział z pełnymi ustami. - Borger wymknęła się Stacy. Spencer uśmiechnął się mimo woli. - Jest naprawdę wkurzona.

- Borger powinna mieć się na baczności Stacy potrafi być porywcza.

- Mnie o tym mówisz?

- Mam potwierdzenie tożsamości ofiary z parku.

- Jessica Skye?

Przyjaciel skinął głową, biorąc się za drugiego pączka. - A niech mnie. Kto ją zidentyfikował?

- Matka. Na podstawie zdjęcia zrekonstruowanej twarzy.

Komenda w Daphne twierdzi, że to czysta sprawa. Kobieta wybuchnęła płaczem, gdy jej pokazali

Komenda w Daphne twierdzi, że to czysta sprawa. Kobieta wybuchnęła płaczem, gdy jej pokazali

zdjęcie. - Wetknął do ust ostatni kawałek ciastka, przeżuł i przełknął. - Na wszelki wypadek zabezpieczymy jeszcze dokumentację dentystyczną.

Co im to dawało? Czy oświadczenia Yvette nabierały przez to większej wagi? A może potwierdzały, że może być winna?

- Dwie tancerki z „Hustle” rozpoznały Franklina. Przed huraganem był tam częstym gościem - ciągnął Tony. - Po Katrinie pojawił się kilka razy.

To kolejna sprawa, w której Yvette kłamała. A także konkretny element łączący Franklina z ostatnią ofiarą Chirurga.

- Patti już zna te nowiny?

- Sam się dopiero dowiedziałem. - Otarł palce serwetką i cisnął ją do kosza. - Mam coś jeszcze. Jedna z sąsiadek widziała tamtej niedzieli, jak Messinger odjeżdża z jakąś kobietą. Kobieta o długich, ciemnych włosach.

Po minie Tony'ego poznał, że przyjaciel myśli o tym samym: Yvette miała długie, ciemne włosy.

- Jest pewna, że chodzi o niedzielę?

- Całkowicie. Wróciła z nabożeństwa i pomyślała, że Messinger nie chodzi do kościoła, więc zmówiła krótką modlitwę w jej intencji.

- Bardzo uprzejmie. A jaki to był samochód?

- Nie pamięta. Osobowy, nijaki.

- Ciemnowłosa kobieta. Powiedziała coś więcej?

- Świadek nie jest już pierwszej młodości. I tak dobrze, że pamiętała aż tyle. Nie jestem pewien, co jest gorsze: jej pamięć czy wzrok. Zgodziła się przyjść i obejrzeć zdjęcia. Proponuję, żeby najpierw sprawdzić, co uda nam się uzyskać, i wykorzystać ją w ostateczności.

Spencer podniósł się z za biurka.

- Zaraz zacznie się zebranie, - Wolałbym, żeby to była pora na piwo.

- Pewno będziemy musieli się napić po tym, jak kapitan usłyszy to, co mam jej do powiedzenia.

Patti była u siebie i rozmawiała przez telefon. Gestem przywołała ich do środka.

- Zostań na miejscu. Gdyby Borger się pokazała, zadzwoń do mnie, a potem ją tu przywieź.

Zakończyła rozmowę i spojrzała na detektywów.

- Przed domem Borger postawiłam człowieka. Nie najlepiej to wygląda. Nie ma jej już od ponad dwunastu godzin. Ulotniła się około osiemnastej i od tej pory nie odezwała się do nikogo. Co tam mamy?

Tony zaczął jako pierwszy. Zdał relację z identyfikacji i opowiedział o świadku, który widział Tonie odjeżdżającą z ciemnowłosą kobietą.

- Na dodatek tancerki z "Hustle" poznały we Franklinie stałego bywalca sprzed Katriny - dodał.

- To dobra wiadomość, pani kapitan - podjął Spencer.

- Związek między zidentyfikowaną ofiarą a Franklinem.

- Teraz już na pewno Franklin nie może być naszym człowiekiem. Kiedy siedział, Chirurg zabił ósmą ofiarę, Tonie Messinger.

- Możliwe, że jednak nie. - Spencer odchrząknął.

- W oparciu o wstępne porównanie pierwotnych próbek i Messinger, Elizabeth Walker uważa, że ostatniego zabójstwa dokonał ktoś inny.

Patti złożyła ręce i oparła je przed sobą na biurku. Tylko po tym można było poznać, że słowa Spencera zrobiły na niej wrażenie. Zrelacjonował jej rozmowę z doktor Walker, poczynając od amatorskiego wykonania amputacji, a kończąc na opinii antropologa na temat praworęczności pierwszego zabójcy i leworęczności tego, który zamordował Tonie.

- Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? - Przesunęła spojrzeniem od Spencera do Tony'ego.

- Nie chciałem podnosić alarmu - odparł Spencer.

- Gdybym przyszedł z tym od razu, musiałybyś podjąć jakieś działania. A poza tym to wstępne wnioski. Doktor Walker nie wydała jeszcze ostatecznej opinii.

- Właśnie, detektywie. Czy masz mi coś więcej do zakomunikowania?

Kolejny już raz musiał pozbyć się chrypki, co nie uszło uwagi Patti.

- W historii Yvette Borger coś jest nie tak. Nie zgadza mi się kilka rzeczy.

- Już raz coś podobnego słyszałam, detektywie. Jeśli nie ma nic

nowego... - Zaczęła się podnosić. - Myślę, że jest. Wysłuchaj mnie. Ponownie usiadła.

- Mów.

- W chwili, gdy Yvette dostała pełną ochronę, skończyły się wszelkie wiadomości od Artysty. Zadałaś sobie pytanie dlaczego? Nie oczekiwał odpowiedzi i po chwili ciągnął dalej. - Pewno dlatego, że już nie mogła ich fabrykować. Byłyście przy niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ani chwili nie była sama. Pochylił się w jej stronę.

- Nie dała nam żadnego dowodu, że on istnieje. Osoba, która zidentyfikowała Jessicę Skye i rzekomo mogłaby rozpoznać Artystę, nie żyje. Morderca postarał się, żeby wyglądało to tak, jakby Chirurg uderzył ponownie, jednak nasz antropolog ma wątpliwości, czy zrobił to ten sam człowiek.

- Zrobiłem małe rozeznanie - ciągnął Spencer. - Yvette Borger w rzeczywistości nazywa się Carrie Sue Borger, pochodzi z Greenwood w stanie Missisipi. Przez kilka lat wciąż wpadała w jakieś tarapaty, w wieku szesnastu lat porzuciła szkołę, w końcu wyjechała z miasta. Niby historia jakich wiele, tyle że to nie koniec. Przed wyjazdem bowiem rozbiła głowę swojemu ojcu a potem zostawiła go na pewną śmierć. Zrobiła to dzbankiem do kawy. W kuchni.

- To brzmi zupełnie jak zabawa w detektywa - wtrącił Tony. - Pułkownik Musztarda, w kuchni, zabity świecznikiem. Spencer posłał przyjacielowi zniecierpliwione spojrzenie.

- Jak pewno pamiętasz, zabójca Almy Maytree rozbił jej głowę żeliwną patelnią. Tony włączył się ponownie.

- Jak już wspomniałem wcześniej, mamy świadka, który twierdzi, że w ostatnim dniu życia Tonia Messinger odjechała i kobietą o długich, ciemnych włosach.

- Co w takim razie proponujesz? - spytała Pani, patrząc na Spencera.

- Uznać, że Ben Franklin jest jednak Chirurgiem. Zabił Sammy'ego, który złapał go na gorącym uczynku. A Yvette Borger jest patologicznym kłamcą i mordercą.

- A Marcus Gabrielle?

- Zabójstwo związane z narkotykami.

- Co z motywem?
- Tego jeszcze nie wiem - przyznał. - Może chciała zwrócić na siebie uwagę. Albo uniknąć kary za zlikwidowanie Toni. Albo robiła to, bo jest szalona.
- Miała okazję - dodał Tony. - I środki.
- A wszystko, co wy macie, to poszlaki i spekulacje.
- Niezupełnie wszystko. Odmrażacz.
- Słucham?
- Pod zlewem w kuchni. Pies sąsiada...
- Samson.
- ...został otruty odmrażaczem. Yvette nie ma samochodu. Nie widza powodu, dlaczego miałaby trzymać kilka litrów tej substancji pod zlewem.

Przez chwile Patti siedziała w milczeniu. Spencer domyślał się, że próbuje pogodzić się z tym, co właśnie usłyszała. Z pewnością nie chciała, żeby to okazało się prawdą. Jednak kiedy się odezwała, w jej głosie nie dało się wyczuć jakiegokolwiek rozterki.

- Bardzo interesująca teoria, detektywie. Mam jednak kilka zastrzeżeń. Po pierwsze, właśnie w tej chwili Yvette zniknęła. Możliwe, że uciekła. Albo znalazła się w rękach Chirurga.
 - Wymknęła się, żeby spotkać się z jakimś facetem. - Taką macie nadzieję.
 - Na pewno nie uciekła. Nie zostawiłaby trzech tysięcy dolarów.
 - Najpierw odmrażacz, teraz znów kryjówka? Detektywie, czy mam rozumieć, że przeprowadził pan nielegalne przeszukanie mieszkania panny Borger?
- Siacy szukała czegoś do przegryzienia. Yvette trzymała pieniądze ukryte w pudełku po lodach. Tony spojrzał na partnera. - Jakich?
- Czekoladowych. Blue Bell. Detektyw skinął głową.
 - Dobry wybór. Patti zachmurzyła się.
 - Czy przyszło wam do głowy, kowboje, że facet, z którym poszła się spotkać, może być jej wielbiciele Artystą? Znanym mm również jako Chirurg?
 - A czy tobie przyszło do głowy, ciociu Patti, że ten wielbiciel może być wytworem jej chorej wyobraźni?
 - Czemu tak ci zależy, żeby ją zdyskredytować?
 - A czemu tobie zależy, by jej wierzyć?

Przez chwile mierzyli się wzrokiem. - Tony - odezwała się w końcu Patti, nie spuszczać wzroku ze Spencera - możesz zostawić nas na chwilę?

- Nie ma sprawy, pani kapitan. - Uniósł się ciężko z krzesła i ruszył do wyjścia.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Spencer pochylił się w stronę biurka.

- Czemu nie chcesz zaakceptować tego, że Franklin mógł zabić Sammy'ego? Dlaczego nie jesteś w stanie przyjąć, że tak było, i wreszcie z tym skończyć?

- Po prostu... nie mogę.

- Wiesz, co myślę, ciociu Patti? Gdybyś pogodziła się z tym, że to Franklin jest zabójcą, musiałabyś przestać zajmować się Sammym.

- Spojrzała na niego, jakby wbijał jej nóż w serce, lecz mimo to mówił dalej. - Dzięki tej sprawie z Yvette wciąż jest częścią twojego życia. Każdego twojego działania. Gotowa byłaś nawet poświęcić pracę i wszystkie oszczędności, żeby nic nie zmieniać. Serce mu się krajało, gdy patrzył, jak drżą jej usta, a oczy wypełniają się łzami.

- Ja też go kochałem - powiedział miękko. - Wszyscy go kochaliśmy.

- Tyle że dla was nie był całym życiem.

- Ale twoim również nie. - Widząc jej minę, powtórzył: ~ Bo nie był, ciociu.

Telefon na biurku zadzwonił, rozładowując narastające napięcie.

- Kapitan O'Shay - powiedziała Patti stłumionym głosem. Przez chwilę słuchała ze zmarszczonym czołem.

- Kiedy?

Znów nastąpiło kilka sekund ciszy. - Niech ją zaprowadzą do pokoju przesłuchań - powiedziała. - Już tam idę.

Odłożyła słuchawkę i podniosła wzrok.

- Miałaś rację. Yvette Berger ma się całkiem dobrze. Została zatrzymana. Właśnie ją tu wiozą.

- Proszę o pozwolenie na udział w przesłuchaniu. ~ Zgoda. Ale najpierw ja sobie z nią porozmawiam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Czwartek, 17 maja 2007 r.

9.50

Patti weszła do pokoju przesłuchań. Pozwoliła Yvette długo na siebie czekać. Chciała, żeby młoda kobieta poczuła niepokój. Sama przez ten czas mogła się opanować, pozbierać myśli, dobrać właściwe słowa, przybrać odpowiednią postawę.

Teraz już wiedziała, że szkoda było jej zachodu. Mogła te całe przygotowania cisnąć do kosza.

- Witaj, Yvette.

Młoda kobieta odwróciła głowę.

- Przepraszam.

- Za co? - Podeszła do stołu i usiadła naprzeciwko.

- Za to, że się tak wymknęłam.

- Bałam się, że nie żyjesz. Ze dorwał cię Artysta. Yvette poprawiła się na krześle.

- Nie, nic mi nie jest.

- Nie da się ukryć. - Patti przechyliła głowę na bok, przyglądając się jej uważnie. - Co było tak ważne, że postanowiłaś zaryzykować życie?

- Chciałam się z kimś spotkać.

Tak jak podejrzewali Stacy i Spencer.

- Myślałam, że jesteś mądrą dziewczyną. Widać, myliłam się.

- Nie jestem głupia.

- Naprawdę? Ściga cię szaleniec, a ty wymykasz się.
żeby iść na spotkanie z jakimś facetem...

- Nie "jakimś" facetem. Z kimś wyjątkowym - Spróbujmy zgadnąć -
powiedziała Patti - Chodzi
o Riley'a Bensaona. - Uśmiechnęła się, widząc, jak Yvette
ze zdziwienia otwiera usta. Jednak nie czuła satysfakcji.

- To z jego powodu uciekłaś poprzednim razem. Wiem
o tym od June. Yvette spojrzała jej w oczy.

- A powiedziała ci, że jej zdaniem nie jestem dla niego
wystarczająco dobra? - spytała wyzywającym tonem. - Bo mnie
tak.

- Teraz nie chodzi o June. O Riley'a też nie. Nie jesteś nastolatką. A
to nie zabawa.

- Wiem, że to poważna sprawa. Tylko...
Twoja przyjaciółka nie żyje. Ty mogłaś być następną.

- Przestań mnie straszyć.

- Ciebie trzeba straszyć. Może wtedy wykorzystasz trochę tego
sprytu, którym jak twierdzisz, Bóg cię obdarzył.
Yvette zacisnęła pięści. - Dlaczego musisz wszystko psuć?

- Nie jestem twoim rodzicem. Dorośnij.

- Nie, ty jesteś moim pracodawcą, prawda? Zapłaciłaś mi za to,
żebym została, ale to nie znaczy, że masz mnie na własność.
Patti pochyliła się nad stołem. Siła własnego gniewu zaskoczyła ją.
Musiała włożyć wiele wysiłku w to, żeby nie podnieść głosu.

- Dlaczego ty się nie boisz, Yvette?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

_ Zachowujesz się tak, jakbyś sama nie wierzyła w tę
całą historię.

- To jakaś głupota.

- Almę Maytree uderzono w głowę patelnią.

- No i?

- Ty uderzyłaś swojego ojca dzbankiem do kawy. Mam rację...
Carne Sue?

Yvette zbladła.

- Wiecie o tym?

- Wiemy.

- Nie zabiłam go.

- Ale chciałaś.

Te słowa powiedział Spencer, który w tym momencie wszedł do pokoju. Razem z nim był Tony. Yvette spojrzała na nich. W pierwszej chwili jej twarz wyrażała zdziwienie, teraz widać było na niej strach.

- To nieprawda.

- Twój ojciec uważał, że tak było.

- Mój stary to skurwysyn, który...

- Zasłużył na śmierć? - podsunął Spencer.

- ...który powinien pójść prosto do piekła - dokończyła.

- Może poszedł. Nie żyje, wiesz o tym?

Nie wiedziała. Patti poznała to po jej minie. Zrozumiała również, że ta wiadomość nie zasmuciła dziewczyny.

- A co on ma z tym wspólnego?

- Tej niedzieli, kiedy podobno nie mogłaś skontaktować się z Tonią, jej sąsiadka widziała, jak odjeżdża z kobietą o długich, czarnych włosach.

- Co?

Spencer powtórzył zeznanie sąsiadki. - Gdzie byłaś tamtego dnia?

- Dzwoniłam do niej kilka razy. Patti słyszała te telefony. —

Podniosła wzrok na Patti.. — Prawda?

- Słyszałam. Ale wszystkie były z komórki.

- To co? Jakie to ma znaczenie...

Zamarła. Widać było, że nagle do niej dotarło, czemu zwrócili na to uwagę. Z komórki można dzwonić z każdego miejsca. Można nawet być tuż obok osoby, do której się dzwoni. Nawet wówczas, gdy ta osoba nie żyje.

Zapis rozmów komórkowych nie jest w stanie wykazać dokładnej lokalizacji, chociaż może mniej więcej potwierdzić okolicę poprzez ustalenie, przez które przekaźniki przechodziły rozmowy.

Powtarzam pytanie - powiedział Spencer. - Gdzie byłaś tamtej niedzieli?

Poruszyła się niespokojnie.

- Rano kręciłam się po mieszkaniu. Potem wyszłam do miasta.

Popołudnie spędziłam na zakupach.

- Widziałaś się z kimś? - Nie.

- Spotkałaś kogoś znajomego? Byłaś w sklepie, gdzie ktoś cię zna?
- Nie.
- A w mieszkaniu? Rozmawiałaś z którymś z sąsiadów?
- Pokręciła głową z nieszczęśliwą miną.
- Czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić to, co mówisz?
- Chyba nie... Byłam sama. Przez cały dzień.
- A tamtego wieczoru, gdy zginęła panna Alma, a Samson został otruty? Poniedziałek, siódmego maja.
- W poniedziałki najczęściej mam wolne. Byłam w domu. Wcześniej się położyłam. Przespałam całą noc.
- To wszystko? Popatrzyła błagalnie na Patti.
- Tej nocy włamał się do mnie Artysta. Mógł mnie zabić, ale...
- Nie zrobił tego. Prawda, Yvette?
- Zostawił wiadomość i medalion. Ze zdjęciem Toni.
- Jak myślisz, dlaczego cię nie zabił? - spytała Patti, zaskoczona własnym okrucieństwem. Wydawało się, że słowa z niej wystrzeliły Yvette złożyła ręce.
- Nie wiem. Skąd miałabym to wiedzieć? Może dlatego, że on... mnie kocha? - Chcemy ci wierzyć, moje dziecko - odezwał się Tony ojcowskim tonem. - Ja chcę. Problem w tym, że... -
- Opowiadasz brednie - podjął Spencer. - Kłamiesz i jesteś wstrętną oportunistką.
- Wcale nie! Ja... ja chcę prawnika.
- Oczywiście. Zadzwoń do jakiegoś, gdy już będziesz w domu.
- W domu? Nie rozumiem.
- Nie zatrzymamy cię, Carrie Sue. Nie jesteś aresztowana.
- A co z...
- Policyjną ochroną? - dokończyła Patti. - Nadal ją masz. Jeśli oczywiście chcesz.
- No pewnie, że chcę! - krzyknęła, zrywając się na nogi. - Zwariowaliście? Artysta istnieje. Ściga mnie!
- Dobrze. W takim razie wyznaczę funkcjonariusza, który odwiezie cię do domu. Albo on, albo ktoś inny zapewni ci ochronę.
- Więc naprawdę mogę odejść? - spytała dziewczyna niepewnie.
- Oczywiście. - Patti zwróciła się do Tony'ego. - Detektywie Sciame, zechce pan odprowadzić pannę Berger na dół?
- Jasne, pani kapitan. - Doskonale wiedział, co ma robić:

odprowadzić dziewczynę na dół, przekazać ją patrolowi, który odstawi ją do domu i zostanie tam.

Podniósł się i uśmiechnął do Yvette.

- Gotowa?

- Potrzebny będzie nakaz rewizji jej mieszkania - powiedziała Patti, kiedy drzwi zamknęły się za nimi. - Wiesz, czego szukamy: każdej rzeczy, która mogłaby ją łączyć z zabójstwami Messinger i Maytree.

- Tak jest, pani kapitan. - Podniósł się. - Idziemy?

- Za chwilę. Możesz już iść.

Zmarszczył brwi, jakby w jej zachowaniu było coś dziwnego, ale bez słowa opuścił pokój.

Patti przez dłuższą chwilę siedziała w pustym pokoju przesłuchań. Potarła dłonią kark, próbując rozmasować napięte mięśnie. Wciąż nie mogła tego wszystkiego przyswoić. Ufała Spencerowi. Tony'emu również. Wszystko, co powiedzieli, brzmiało sensownie. Dowodów świadczących o tym, że wersja Yvette niewiele ma wspólnego z prawdą, było coraz więcej. Dlaczego więc nie mogła tego w pełni zaakceptować? Dlaczego nie mogła pogodzić się z tym, że to Franklin jest zabójcą Sammy'ego? Czemu upierała się, żeby trzymać się nieprzekonujących śladów? „Gdybyś pogodziła się z tym, że to Franklin jest zabójcą, musiałabyś przestać zajmować się Sammym. Dzięki tej sprawie z Yvette wciąż jest częścią twojego życia”.

Słowa Spencera potwornie ją zabolaly.

Tym mocniej, że były prawdziwe.

Łzy napłynęły jej do oczu, w gardle dusiło. Nie chciała przestać zajmować się Sammym. Nie była gotowa, by żyć bez niego.

Podniosła wzrok na sufit, przełykając Ślinę. Spencer miał słuszność, twierdząc, że Yvette żyje. Może miał rację i w tym, że Yvette Berger nie tylko była oszustką, ale także morderczynią.

Sędzia z pewnością podpisze nakaz. Nieoficjalnie wiedzieli już o podejrzanym w mieszkaniu: pojemniku z odmrażaczem. Strzałem w dziesiątkę byłby kwit z wypożyczalni samochodów z weekendu, gdy zniknęła Tonia. Albo bron. Lub zakrwawione ubranie.

- Ciociu Patti? - Podniosła wzrok. Spencer wsadził głowę do

pokoju - Dobrze się czujesz?

- Oczywiście.

- Minęło pół godziny - zauważył, marszcząc brwi.

- Nie wiedziałam, że pracuję na akord. - Wysłaliśmy wniosek do sędziego Boudreaux.

- To dobrze. Nie będzie z tym zwlekał. Daj znać, gdy uzyskamy nakaz. - Chcesz przy tym być?

- Chyba nie. Spencer? - Kiedy spojrzał jej w oczy, powiedziała: - Miałaś rację. Mówiąc o Sammym. Rzeczywiście nie chciałam przestać o nim myśleć. Nadal nie chcę.

Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Wiem.

Łzy znów wypełniły jej oczy. Próbując je powstrzymać, przykryła jego dłoń swoją.

- Spencer? Odszukał jej spojrzenie.

- Tak?

- Dzięki.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Czwartek, 17 maja 2007 r.

13.10

Yvette chodziła nerwowo po salonie, nie mogąc sobie poradzić z mieszanymi uczuciami, które ją przepętniały. Była wściekła, a jednocześnie przerażona. Próbowali obarczyć ją winą za zabójstwo panny Almy. Tak jakby mogła skrzywdzić tę uroczą staruszkę. Albo Tonie. Jedyną osobę, która chciała jej pomóc.

Co za brednie! Kompletna bzdura. I co robią? Ją przesłuchują i podejrzewają, podczas gdy jakiś maniak chodzi sobie wolno. Dowiedzieli się o Carne Sue.

Podniosła dłoń do gardła, czując, że robi się jej niedobrze. Carrie Sue była żalosną ofiarą. Umarła w dniu, gdy wyjechała z Greenwood. Tego samego dnia narodziła się Yvette.

Podłoga w kuchni. Kałuża krwi.

Zaczęła oddychać głęboko przez nos, walcząc z nudnościami. Nie będzie wymiotować. Ojciec zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Do diabła, zasłużył na coś znacznie gorszego.

Lecz panna Alma nigdy nikogo nie skrzywdziła.

Przed drzwiami mieszkania siedział gliniarz. Żeby ją chronić.

Akurat Raczej po to, aby mieć pewność, że tym razem naprawdę nie ucieknie.

Wszystkie gliny są takie same. Postąpiła głupio, ufając Patti O'Shay. Była głupia, sądząc, że policjantka spełni swoje obietnice. Patti wcale nie chciała jej chronić. Udawała tylko. Wykorzystała ją jako przynętę, żeby schwycić zabójcę swojego męża. A teraz próbowali zwalić winę na nią. A w każdym razie wytoczyli mnóstwo oskarżeń. Tylko czemu?

Patti O'Shay dostała to, czego szukała. A teraz jeszcze chciała uniknąć zapłacenia pieniędzy, które jej obiecała.

Czy właśnie o to chodziło? O pieniądze? Powinna była uciec.

Właściwie nadal mogła to zrobić. Zabrać te dziesięć tysięcy i wiać gdzie pieprz rośnie. Jak najdalej od Nowego Orleanu. Zacząć gdzieś nowe życie. Riley...

Pomyślała o wczorajszym wieczorze. Był magiczny i wprost doskonały. Zabrał ją do galerii, by pokazać obrazy, które właśnie wypakowywali. Wielkie, śmiałe płótna. Ewidentnie erotyczne.

Chciał, żeby je obejrzała, bo mu ją przypominały.

W uniesieniu kochali się wśród wspaniałych dzieł sztuki. Zasnęli w swoich objęciach, a kiedy się przebudzili, znów zaczęli się kochać.

W końcu spotkała mężczyznę, którego mogłaby pokochać i który pokochałby ją. Przynajmniej tak sądziła. A teraz to. To niesprawiedliwe.

"Życie nie jest sprawiedliwe. Przywyknij do tego, dziewczyno."

Zasłoniła dłońmi uszy, żeby nie słyszeć głosu ojca.

Wyrzucić go na zawsze ze wspomnień. Przerwać to ciągle, nieprzerwane gładzenie.

- Panno Borger? Policja!

Opuściła rękę i odwróciła się. To był głos policjanta, który został, żeby ją chronić. - Tak?

- Przyszli zobaczyć się z panią.

Otworzyła drzwi. Na korytarzu stała Stacy w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i dwóch mundurowych.

- Cześć, Yvette - odezwała się Stacy.

- Moja przyjaciółka Brandi - odparła drwiąco. - Co za niespodzianka.

Dzięki za zrobienie ze mnie takiej kretyнки.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Po mojej również. - Stacy włożyła jej do ręki kartkę papieru. -

Nakaz przeszukania.

Yvette wpatrywała się w dokument z oniemiałą miną. Widniało tam jej nazwisko, adres.

- Nie rozumiem.

Sędzia zezwala na przeprowadzenie rewizji w twoim mieszkaniu.

- Dlaczego? Po co?

Żeby poszukać dowodów w sprawie zabójstwa Almy Maytree i Toni Messinger.

- To szaleństwo!

- Zgodnie z prawem ty lub twój prawny przedstawiciel powinniście pozostać na terenie mieszkania.

- Przedstawiciel? - Adwokat.

- Nie mam adwokata.

Możesz poczekać tu albo chodzić za nami. Jak chcesz. Tak czy inaczej przedstawimy ci listę wszystkich rzeczy, które zabierzemy.

- Żądam prawnika.

- Możesz go wezwać, oczywiście. Zadzwoń do kogoś. Jednak mamy prawo zacząć przeszukanie już teraz,

bez konieczności czekania na prawnika.

Chodziła więc za nimi po mieszkaniu, powstrzymując rozptczliwe okrzyki, gdy grzebali w jej rzeczach. Dotykali ich, oglądali, czasem wymieniając ciche uwagi.

Otoczyła się ramionami. Czuła się zbezczeszczona, było jej niedobrze. Bała się, że już nigdy nie poczuje się dobrze w twoim domu.

Zaczęli od salonu, potem przeszli do obu sypialni i łazienki. Przeszukując szuflady toaletki, znaleźli żel antykoncepcyjny i paczkę prezerwatyw. Kiedy młody policjant Guidry spojrział na nią katem oka, zeszytniała i uniosła dumnie brodę.

Mogła sobie wyobrazić, co o niej pomyślał. Kim jego zdaniem była.

Dziwka. prostytutka.

A niech sobie myśli, co chce.

Stacy ze swoją załogą zostawili kuchnię na koniec. Dopiero gdy tam weszli, przypomniała sobie o schowku z napiwkami. Z sercem w gardle przyglądała się, jak przeszukują lodówkę i zamrażarkę. Zagląдали do każdego kartonu, pojemnika i pudełka. Czego oni szukają? - myślała, czując, że zaczyna wpadać w histerię. Ręki Toni?

Wstrzymała oddech, gdy Stacy wyciągnęła pojemnik po lodach i wyjęła ze środka plastikową torbę. Oszołomiona przyglądała się, jak rozwija pakunek i przelicza banknoty.

Mogli przecież uznać, że to jest dowód i skonfiskować pieniądze. Zegnajcie trzy tysiące dolarów. Stacy podniosła wzrok i spojrzała na nią pytająco. - To moje napiwki - szepnęła Yvette. Policjantka kiwnęła głową, owinęła banknoty folią aluminiową i z powrotem włożyła paczkę do pojemnika.

- Lepiej znajdź jakiś lepszy schowek. Ten nie jest tak bezpieczny, jak ci się wydaje.

Skończyli z lodówką i wzięli się za szafki. Stacy uklękała przed szafką pod zlewozmywakiem, przeglądając butelki, słoiki i puszki ze środkami czyszczącymi. I znów można było odnieść wrażenie, że szuka czegoś konkretnego.

Po chwili wyciągnęła wielki pojemnik.

- Co to jest? - spytała Yvette. Wydawało jej się, że nigdy wcześniej go nie widziała.

- Nie wiesz? To odmrażacz.

- W takim razie to nie jest moje.

- Więc co tutaj robi?

- Nie mam pojęcia! Nawet nie wiem, do czego to służy. - Uniosła rękę do czoła, bo zakręciło jej się w głowie.

- Nic pani nie jest? - spytał funkcjonariusz Guidry.

- Maszę... Chyba usiądę. Wszedł za nią do salonu. Opadła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

- Może coś pani przynieść?

Pokręciła głową, próbując się opanować. Odmrażacz? Skąd mógł się wziąć w jej szafce? I czemu policja interesowała się właśnie... Samson... "Ktoś podał mu hamburgera nafaszerowanego odmrażaczem".

- Skończyliśmy.

Podniosła głowę i nieprzytomnie spojrzała na Stacy, która podała jej jakiś papier.

- To lista rzeczy, które zabierzemy. Chcę, żebyś ją sprawdziła i podpisała. Zostawię ci kopię, którą pokażesz swojemu prawnikowi.

Prawnikiem?

Zamrugnęła gwałtownie i przebiegła wzrokiem spis rzeczy.

Wyciągi z kart kredytowych. Stary T-shirt. Kilka zdjęć. Kalendarz. Dziennik. Odmrażacz.

Niewiele. Dziwaczna kolekcja pozornie niezwiązanych ze sobą rzeczy.

Podpisała kartkę, policjanci dali jej kopię. Odprowadziła ich do wyjścia, zamknęła drzwi i ukryła twarz w drżących dłoniach. Jak to możliwe? Przecież była ofiarą, a nie przestępcą.

Tyle że policja może robić, co tylko zechce.

Możliwe, że sami podrzucili ten pojemnik. No jasne. Przecież Stacy tu mieszkała. Patit wchodziła i wychodziła. Spencer pewnie też. Mieli klucze.

Tylko czemu jej to robili? I co z Artystą? Przecież on istnieje. Zabił Jessicę Skye. Ją też zabije.

Z przerażenia zakręciło się jej w głowie, więc usiadła na kanapie, włożyła głowę między kolana i zaczęła głęboko oddychać.

Pozbądź się strachu. Uspokój się. Myśl. Jak się z tego wyplątać?

Musiła im uciec. Wydostać się z miasta. Tylko jak?

Za drzwiami czuwał Guidry. Sama zgodziła się, żeby go tam

zostawili. Tak na wszelki wypadek.

Jeśli cofnie zgodę, zaczną podejrzewać, że zamierza uciec i dopiero wtedy się na nią rzuca.

Nie była aresztowana. Nie mogli zakazać jej chodzić do pracy. Ani gdziekolwiek indziej.

A więc funkcjonariusz Guidry będzie jej dzisiaj towarzyszył w drodze do "Hustle". Tak jak wcześniej ustalili. Tyle że teraz ona miała własne plany.

Jeszcze im pokaże. Myśleli, że ją przechytrzyli. Że zmusili ją do udziału w jakiejś chorej grze.

No to grubo się pani myli, kapitan Patti O'Shay.

Najłatwiej będzie uciec z „Hustle”. Tłum ludzi, mnóstwo ruchu, kilka wejść. Wyjdzie od razu po występie, w tym, co będzie miała na sobie. Zabierze tylko pieniądze.

Podniosła się z kanapy. Była ożywiona i odzyskała jasność umysłu. Tak samo czuła się, gdy w końcu podjęła decyzję, żeby opuścić Greenwood. I jeszcze potem, przed uderzeniem Katriny. Tylko że wtedy postanowiła zostać i walczyć. Stawić czoła i krzyknąć: „No to spróbuj, dziwko!”.

Chodziło o inny rodzaj wyzwolenia, ale uczucie było równie ożywcze i porywające.

Zaczęła krążyć po pokoju. Będzie musiała wybrać pieniądze z kont i przynajmniej na razie posługiwać się wyłącznie gotówką. W innym razie wyśledzą ją poprzez transakcje bankowe.

Z Dzielnicy Francuskiej z pewnością wydostanie się bez trudu, ale później trzeba będzie wyjechać z miasta. I to jak najszybciej. Kiedy zorientują się, że uciekła, będą sprawdzać wszystkie dworce autobusowe i kolejowe. Z kolei wynajęcie samochodu było zbyt ryzykowne.

Riley. Nikogo innego nie miała.

Jego numer zapisała w kalendarzu, który jej skonfiskowali. Ale również w komórce, uświadomiła sobie nagle. Przecież wysyłał jej SMS-y.

Sięgnęła po komórkę, odnalazła jego numer i zadzwoniła.

Natychmiast włączyła się poczta głosowa. Bała się zostawić wiadomość, więc przerwała połączenie.

I co teraz? Mogłaby zadzwonić do galerii...

A jeśli odbierze jego siostra? June nie mogła się dowiedzieć, że kontaktuje się z Rileyem. Od razu pobiegłaby z tą wiadomością do swojej kumpelki kapitan O'Shay.

Więc ją okłam. Jeśli to ona odbierze, udawaj, że jesteś kimś innym.

Drżącymi rękami przerzuciła kartki w książce telefonicznej i zadzwoniła do „Sztuki”. Oczywiście odebrała June.

- Proszę z Rileyem Bensonem. - Postarała się, żeby w jej głosie nie było słychać drżenia.

- Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni i w jakiej sprawie? Wymyśl jakieś nazwisko. I temat rozmowy. Nowa

wystawa. Obrazy, które ich otaczały, gdy kochali się w galerii.

- Proszę przekazać, że dzwoni Ellen St. James. W sprawie obrazu Avery'ego. Jestem zainteresowana kupnem

- Zapewne jest pani prawnikiem - powiedziała June ciepło. -

Gratulacje z powodu otwarcia prywatnej kancelarii

- Dziękuję. Bardzo się cieszę.

- Nie popełni pani błędu, kupując Avery'ego. To utalentowany malarz. Przewiduję, że jego obrazy bardzo zyskają na wartości

- Tak właśnie twierdził Riley. Czy mogę go prosić?

- Oczywiście. Proszę poczekać. Chwilę później podszedł do telefonu.

- To Riley Benson. - Jego głos zabrzmiał pytająco.

- Mówi Yvette - powiedziała szybko. - Proszę, nie zdradz, że to ja.

Potrzebuję twojej pomocy.

- Oczywiście, Ellen. To rewelacyjny obraz. Jeden z moich ulubionych.

Podziękowała cicho i mówiła dalej:

- Muszę wydostać się z miasta. Jeden facet... to wariat... grozi że mnie skrzywdzi. Boję się.

- Poczeka chwilę, Ellen.

Usłyszała, jak zapewnia siostrę, że zajmie się galerią podczas jej nieobecności.

- Idź na policję - podjął rozmowę. W jego głosie pojawiła się nuta gniewu. - Dadzą ci ochronę.

- Już próbowałam z nimi rozmawiać, ale mi nie wierzą.

- Porozmawiam z ciocią Patti...

- Nie! Proszę, Riley. Potrzebuję cię. Nie mam nikogo poza tobą.
- To jakieś szaleństwo. Ja cię ochronię. Przyjedź tu...
- Nie mogę. - Z jej gardła wyrwał się szloch. - On zrobi ci krzywdę, a ja... nawet nie chcę o tym myśleć.
- Więc powiedz, jak mam ci pomóc.
- Zamierzam dziś wieczorem wymknąć się z „Hust-łę”. Możesz się tam ze mną spotkać? I wywieźć mnie z miasta?
- Dokąd?
- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałam.
- Yvette...
- Riley, proszę. Proszę, pomóż mi.
Przez kilka sekund milczał. W końcu westchnął.
- Dobrze. Pod warunkiem, że powiesz mi wszystko, kiedy po ciebie przyjadę.
Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk ulgi.
- Obiecuję. Bądź za piętnaście dwunasta. Czekał na rogu Dauphine i Bienville. Nie denerwuj się, jeżeli trochę się spóźnię. Muszę najpierw skończyć swój występ. Chcę, żeby wszystko wyglądało możliwie naturalnie.
Przyrzekł, że poczeka tak długo, jak będzie trzeba. - I jeszcze jedno, Riley. Nie mów o tym nikomu. Ani jednej osobie. To bardzo ważne. Kiedy milczał, ponowiła prośbę. - Jeśli choć trochę ci na mnie zależy, obiecaj mi to. Nawet siostrze.
- Zgoda, choć wydaje mi się, że to nie jest właściwe.
Oczy wypełniły się jej łzami. Ona też tak myślała. Prawdę mówiąc, całe jej życie wydawało się niewłaściwe.
- Chciałam ci powiedzieć... ile dla mnie znaczyła wczorajsza noc.
- Więc nie wyjeżdżaj. Yvette, pro... Uświadomiła sobie, że zaczęła płakać. Przerwała połączenie, zanim całkiem straciła panowanie nad sobą.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Czwartek, 17 maja 2007 r.

22.00

Yvette miała wszystko przygotowane. Kiedy przed północą skończy ostatni występ, Riley już będzie na nią czekał. Prizy wyjściu zostawiła ubrania. Ukryła wśród nich portfel i pieniądze z napiwków.

Całą resztę zamierzała zostawić.

To bolało, ale wiedziała, że przeżyje. Już raz jej się udało.

Wykona swój numer, a potem zamiast do garderoby, pójdzie prosto do wyjścia. Chwyci rzeczy i przebierze się po drodze w alejce.

Z kontami bankowymi był pewien problem. Nie mogła ich pozamykać, bo zaalarmowałyby Patti i spółkę. Wypisała więc czek na Riley'a. Ubłaga go, żeby podjął pieniądze i przywiózł je do niej. Riley był bogaty. Jakies dwadzieścia tysięcy dolarów nie stanowiło dla niego żadnej pokusy.

Zanim Pitti połapie się, że Riley należał do spisku i zacznie go wypytywać, ona już będzie daleko. A informacje, jakich mógłby udzielić, okażą się bezużyteczne.

Zakładając, oczywiście, że jej nie wystawi. Nie byłby to pierwszy raz, gdy została zdradzona. Po prostu tym razem bardziej by ją to zabolalo. Nowa szefowa zajrzała do garderoby. - Wychodzisz za dziesięć minut. Podziękowała jej i zapaliła papierosa. W domu zostawiła wiadomość dla właściciela. Prosiła, żeby oddał jej rzeczy do przechowalni. Do listu dołączyła czek na tysiąc dolarów. To powinno wystarczyć na opłacenie kogoś, kto zajmie się pakowaniem, a także pokryć koszt magazynowania. Właściciel był przyzwoitym człowiekiem. Nie miała wątpliwości, że zrobi to, o

co go prosiła.

Tylko czy ona kiedykolwiek wróci, żeby odebrać swoje rzeczy?

Kolekcja sztuki... Z rozpaczą myślała, że musi ją zostawić. Zawsze traktowała ją jak barwną część swojej osobowości.

Wróć! - przysięgła sobie w myślach.

Rzuciła okiem na zegar. Już czas.

W duchu zmówiła krótką modlitwę i wyszła z garderoby.

- Proszę mi życzyć powodzenia - zawołała do policjanta i kokieteryjnie pomachała mu ręką.

Zaczerwienił się, ale zrobił, jak prosiła.

Kilka minut później była już na scenie. Chociaż muzyka była jej znana, a wszystkie ruchy wykonywała już bez zastanowienia, musiała bardzo się skupić, żeby zachowywać się naturalnie. Nie miała pojęcia, ilu policjantów kręciło się w środku i na zewnątrz, ale nie miała wątpliwości, że gdzieś tu są.

Tylko gdzie? - zastanawiała się, przesuując spojrzeniem po tłumie gości. Może ten wielki typ o rumianej twarzy? Albo tamten w kowbojskim kapeluszu? A Artysta?

Czy on również tu był? Może obserwował ich wszystkich i śmiał się, że robi z nich głupców?

Jej wzrok padł na mężczyznę, którego rozpoznawała. Rich Rusten. Facet z galerii, chłopak Shauny Malone. Rozmawiała z nim wtedy, gdy zemdląła. Teraz był sam. Siedział z samego przodu.

Spostrzegł, że na niego patrzy, i uśmiechnął się do mej. Coś w wygięciu jego ust sprawiło, że poczuła zimny dreszcz.

Czyżby przyszedł specjalnie dla niej? Czy to zwykły zbieg okoliczności?

Serce zabiło jej mocniej, ale nie było to spowodowane zmęczeniem. Obróciła się w prawą stronę. Jej spojrzenie padło na innego mężczyznę. Jego twarz również wydawała jej się znajoma.

Mężczyzna lubieżnie poruszał językiem.

Musiała się stąd wydostać.

Ponownie się obróciła, szukając wzrokiem Richa Rustona.

Zniknął.

Jej występ wreszcie dobiegł końca. Zeszła do publiczności, starając się jak najlepiej grać swoją rolę, choć nie przestawała liczyć minut,

które dzieliły ją od wyjścia Martwiła się, czy Riley dotrzyma obietnicy i będzie na nią czekał.

Facet od języka poprosił o prywatny występ. Udała, że idzie do niego, ale poszła w inną stronę. Ubranie, klapki, dokumenty i pieniądze leżały tak, jak je zostawiła w pojemniku na śmieci tuż przy wyjściu.

Z piersi wyrwało jej się mimowolne westchnienie ulgi. Chwyliła rzeczy i wypadła w ciemny zaułek.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Piątek, 18 maja 2007 r.

00.50

Telefon obudził Patti. Choć prawdę mówiąc, nie spała zbyt mocno. Podniosła słuchawkę. - O'Shay.

- Borger zniknęła - usłyszała głos Spencera. Już całkiem rozbudzona usiadła na łóżku.

- Jak, do diabła, udało jej się... W klubie mieliśmy pół tuzina funkcjonariuszy!

- Wygląda na to, że wymknęła się zaraz po występie. Nie wróciła do garderoby.

- Gdzie jesteś?

- Na miejscu.

- Już tam jadę - powiedziała, podnosząc się.

W ciągu dziesięciu minut dotarła do Dzielnicy Francuskiej.

Spencer czekał na nią przy głównym wejściu.

- Coś nowego?

- Nic.

Odwróciła się w stronę Guidry'ego.

- Przeszukaliście wszystko?

~ W miarę możliwości. Po zamknięciu klubu zrobimy to jeszcze raz. Do tego czasu rozstawiliśmy ludzi przy każdym wyjściu.

- To przedtem ich tam nie było? Młody policjant poczerwieniał.

- Kto mógł podejrzewać, że ucieknie nago?

- Nie była naga.

- Ale przecież kiedy skończyła występ, miała na sobie tylko stringi!

- Chce pan powiedzieć, że Yvette Sorger paraduje teraz po mieście w samych stringach? - Spiorunowała go wzrokiem. - Udało jej się ukryć ubranie gdzieś przy wyjściu. Zapewne także pieniądze. Ktoś powinien był to przewidzieć.

Ponownie odwróciła się do Spencera. - Mam nadzieję, że posłałeś patrol do jej mieszkania?

- Nawet lepiej. Stacy i Rene tam pojechali.

- Dobra. Wszyscy mają tu zostać. Sprawdzicie każdą wychodzącą z klubu osobę. Po zamknięciu zrobicie szczegółowe przeszukanie. Każdy schowek i wentylator. Zrozumiano?

Skarcony funkcjonariusz popędził, żeby przekazać rozkazy.

- Osobiście przeszukałeś garderoba? - spytała Spencera.

- Tak. Torebka ciągle tam leży, choć nie ma w niej portfela. Cwana z niej sztuka, nie ma wątpliwości. Wystarczy popatrzeć, jak sprytnie wybrała moment.

Patti miała ochotę wystąpić w jej obronie. Na usta cisnęły się inne powody zniknięcia Yvette. Mogła uciekać przed Artystą, iść na kolejną randkę albo też spodobała jej się zabawa i postanowiła dać im koleiną nauczki.

Nie odezwała się jednak ani słowem, faktem było że Yvette wydawała się winna jak cholera. Chociaż uwierzyć nie mogła, że

tak się co do niej pomyliła.

- Pani kapitan? Jest tu ktoś, z kim chyba zechciałaby pani porozmawiać.

Odwróciła się. W drzwiach garderoby stał funkcjonariusz Guidry. Tuż za nim był jakiś mężczyzna. Policjant odsunął się i wtedy zobaczyła, kto to taki.

- Riley?

- Ciociu Patti! Mój Boże, czy coś się jej stało? Wydawał się przerażony. Kręcone włosy w kilku miejscach sterczały nieporządnie, jakby przeczesywał je nerwowo ręką.

- Komu miało się coś stać?

- Yvette. Prosiła, żebym się z nią spotkał o jedenastej czterdzieści pięć. Czekałem, ale...

- Powoli. Zaczynaj od początku.

Riley wziął głęboki oddech.

- Zadzwoiła dziś po południu. Mówiła, że ma kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Powiedziała, że prześladowuje ją jakiś facet Prosiła mnie o pomoc. - Zaczął wyginać nerwowo palce. - Powiedziała, że musi wyjechać z miasta. Proponowałem, że zadzwonię do ciebie, ale twierdziła, że ty jej nie pomożesz.

- Prosiła, żebyś się z nią spotkał tutaj?

- Nie. Na rogu Dauphine i Bienville. Ale nie pojawiła się, więc...

Patti rzuciła okiem na zegarek. Pierwsza czterdzieści pięć.

- Za piętnaście dwunasta? I dopiero teraz zacząłeś jej szukać?

- Mówiła, że może się spóźnić, ale musiałem jej przyrzec, że będę czekał.

- Więc gdzie ona jest? - wtrącił Spencer.

- Nie wiem. - Podniósł wzrok. Jego twarz przybrała przerażony wyraz. - Czekałem. Na pewno na właściwym rogu, bo zapisałem sobie te ulice. Patti zmarszczyła czoło.

- Masz ze sobą komórkę? Skinął głową.

- Próbowałem dzwonić, ale nie odpowiada.

- Spróbuj jeszcze raz.

Przyglądała się, jak wybiera numer, widziała, jak w jego pełnych nadziei oczach pojawia się wyraz rozpacz. Wyciągnął rękę, żeby mogli usłyszeć nagrany komunikat poczty głosowej.

- Myślę, że Yvette może być w poważnych kłopotach
- odezwała się Patti. - Wróć teraz na ten róg i na wszelki wypadek czekaj. Gdyby się pokazała, zadzwoń do mnie.
- Podała mu wizytówkę. - To bardzo ważne, Riley.

Ponownie skinął głową.

- Dobrze, ciciu Patti. Zadzwoń, kiedy ją znajdziecie?
- Oczywiście. Funkcjonariusz Guidry weźmie twój numer.

W tym momencie zadzwonił telefon Spencera. Detektyw przeprosił i odszedł na bok.

- To była Stacy. Nie ma wątpliwości, że Yvette uciekła. Zabrała pieniądze ze swojego schowka i zostawiła list do właściciela domu z prośbą o oddanie rzeczy do przechowalni.

- Dlaczego więc nie skorzystała z pomocy Riley, żeby wyjechać z miasta?

- Może to znowu zasłona dymna? Wiedziała, że Riley podniesie alarm. Uznała, że napędzi nam strachu, bo weźmiemy pod uwagę drugą możliwość.

Druga możliwość... Czyli ta, o której Patti nawet nie chciała myśleć. Artysta.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Piątek 18 maja 2007 r.

8.40

Przeszukanie klubu okazało się bezskuteczne. Riley spędził niemal całą noc w swoim samochodzie, ale to też nic nie dało. Yvette zniknęła.

Patti wróciła do komendy i nadała komunikat do wszystkich radiowozów. Gdyby Yvette pokazała się gdziekolwiek na ulicy, z pewnością zostałaby zatrzymana.

- Nic jej nie jest, ciociu Patti. Ta spryciara po prostu nas przechytryła.

Spojrzała na Spencera, który stanął w progu jej gabinetu.

- Mam nadzieję, bo druga możliwość jest cholernie ponura.

Znaczyłoby to, że Yvette znalazła się w rękach szaleńca.

— To nie twoja wina.

- Niestety mam zupełnie inne odczucie. - Jednak oskarżanie się w niczym tu nie pomoże. - Czy ty próbujesz udzielić mi jakiejś rady, Boo?

Wyszczrzył zęby, słysząc przydomek z dzieciństwa.

- Jesteś w nastroju, żeby wysłuchać dobrej nowiny?

- Żartujesz sobie? - parsknęła śmiechem. - Niczego bardziej nie pragnę.

- Stacy wraca do mnie. Dzisiaj.

- I ty to nazywasz dobrą nowiną? - Te słowa wyrwały jej się, zanim zdążyła się zastanowić.

- A ty nie? - zdumiał się.

- Wiesz, że uwielbiam Stacy. Chodzi o to, że... to nie ona stanowi problem, tylko ty. - Wydawał się tak zaszokowany, że przez chwilę było jej go żal. - Przykro mi, Spencer. Jednak dopóki nie pojmiesz, co chciałam przez to powiedzieć, jej powrót wcale nie będzie mnie cieszył. I zapewniam cię, że nie zostanie z tobą długo. Słyszysz, co mówię?

- Poczta, pani kapitan.

Gestem zaprosiła recepcjonistkę wydziału do środka. Dora położyła na biurku stos korespondencji i odwróciła się do Spencera.

- Cześć, skarbie. Był do ciebie telefon od jakiegoś Richa Rustona.

Mówił, że to ważne.

- Zostawił numer?

- Tak, kochanie. Położyłam ci na biurku.

Patti przejrzała pocztę. Zatrzymała się, widząc kremową kopertę.

Elegancka papeteria, zaadresowana do kapitan Patti O'Shay.

- Rich Ruston, okropny chłopak Shauny - odezwał się Spencer. -
Ciekawe, czego może...

Zamknięta jaskrawoczerwoną łąkową pieczęcią w kształcie
ozdobnej litery „A”. Patti otworzyła kopertę i przeczytała
wiadomość.

Pożałujesz tego, że się wtrąciłaś. Artysta

- Pani kapitan?

Podniosła wzrok na Spencera. - Wygląda na to, że uczyniłam sobie
z kogoś wroga. - Podała mu kartkę.

- Yvette? - spytał po przeczytaniu.

- Ona znika i nagle dziwnym trafem znowu pojawia się Artysta,
nastawiony do mnie bardzo wrogo. Naprawdę dziwny traf, nie
sądzisz?

- Co mam zrobić?

- Zabierz to jak najprędzej do laboratorium. I przynieś mi numer
komendy w Greenwood.

Kilka minut później rozmawiała już z tamtejszym szefem policji.
Był to człowiek starej daty, o nienagannych manierach, mówiący z
silnym południowym akcentem.

- Dziękuję, że zgodził się pan poświęcić mi trochę czasu,
komendancie Butler. Potrzebuję informacji na temat Carne Sue
Borger. Każdy szczegół może okazać się przydatny.

- Z przyjemnością pani pomogę - powiedział, przeciągając głoski. -
Kiedyś była słodkim dzieckiem. Pierwszy raz ją widziałem tej
nocy, gdy umarła jej mama. To maleństwo siedziało skulone w
kącie, a oczy miało wielkie jak półdolarówki.

- Jak umarła jej matka?

- Spadła ze schodów i skręciła kark. Mała Carrie Sue była
świadkiem tego upadku. - Zamilkł na chwilę. - Pewno nie
powinienem mówić o swoich domysłach, ale może to też w czymś

pomoże. Nie mogłem pozbyć się podejrzeń, że mamie Carrie Sue ktoś pomógł w tym upadku. Tyle że nie miałem na to żadnych dowodów. Koroner sklasyfikował to jako nieszczęśliwy wypadek.

- Przesłuchiwał pan Carrie Sue?

- Jasna sprawa. Ale nawet jeśli coś widziała, nic nie zdradziła. Może była zbyt przerażona, żeby mówić. Z jej ojca było lepsze ziółko. Uparty, zgorzkniały. Po śmierci matki wszyscy martwili się, że dziecko będzie pod jego opieką, ale co mogliśmy zrobić?

- Były jakieś ślady znęcania się? - spytała Patti. Z żalem myślała o małej dziewczynce.

- Być może emocjonalnego. Dlatego właściwie nikt nie był zaskoczony, gdy mała zaczęła biegać samopas.

- A co z tym oskarżeniem o napaść?

- Moim zdaniem Vic Borger zasłużył na to, żeby go mocno stuknąć w głowę. A pewnie i nie tylko na to. Zgłosił się do mnie i zmusił mnie do spisania zarzutów, ale potem nie włożyłem wysiłku, żeby kontynuować tę sprawę.

- On...

- Nie żyje - dokończył. - Będzie jakiś rok, od kiedy umarł. Tak czy inaczej ta sprawa odeszła razem z nim.

Komendant Butler nie miał wiele więcej do powiedzenia. Yvette nie miała innej rodziny, niewielu przyjaciół, od wyjazdu nie pojawiła się w Greenwood.

- Da mi pan znać, jeśli pokaże się w mieście?

- Z przyjemnością. Czy Carrie Sue wpadła tam u was w jakieś tarapaty?

- Niestety, komendancie Butler. Chociaż, uczciwie mówiąc, w tym momencie nie potrafiłabym powiedzieć, jakiego rodzaju.

Zakończyła rozmowę i sięgnęła do policyjnego rejestru telefonów. Wkrótce znalazła to, czego szukała: numer doktor Lucii Gonzales.

Lucia była psychologiem sądowym. Zatrudniona po Katrinie, bystra, młoda Latynoska przyjechała z Teksasu, aby pomóc zdesperowanym, bliskim szaleństwa ludziom i zakochała się w walczącym z przeciwnościami losu mieście.

Kiedy postanowiła zostać, Patti uznała, że kobiecie albo brak instynktu samozachowawczego, albo po prostu odczuwa przymus ratowania innych. Bez względu jednak na to, jakie były jej

motywy, cieszyła się, że mają ją w swoim zespole.

- Mówi kapitan Patti O'Shay - przedstawiła się, gdy Lucia odebrała telefon. - Z Pomocniczego Wydziału Dochodzeniowego.

- Słucham, pani kapitan. Jak się pani czuje?

Nie była to czysta uprzejmość. Lucię naprawdę interesował stan Patti, która po zabójstwie Sammy'ego spędziła wiele godzin na jej kozetce.

- Na to potrzeba znacznie więcej czasu, niż krótka rozmowa telefoniczna. Chciałabym przedyskutować z panią sprawę pewnej podejrzaney, dowiedzieć się czegoś więcej o jej psychice i być może motywach,

- Mam teraz czas. U pani czy u mnie?

- Nadal ma pani tę wymyślną maszynę?

Psycholożka stała się tematem plotek w komendzie, gdy któregoś dnia pojawiła się tam z własnym ekspresem do kawy. Mówiono, że słycać, jak o najróżniejszych porach dnia spienia w nim mleko do swojego espresso.

- Mam - roześmiała się Lucia. - Zapraszam. Latte będzie czekać. Zapach kawy dotarł do niej, ledwie wyszła z windy. Gdyby nie wiedziała, gdzie szukać doktor Gonzales, trafiłaby do niej, kierując się węchem.

Gabinet lekarki w niczym nie przypominał jej własnego biura. Był większy i schludny, z wydzielonym miejscem, gdzie można było wygodnie usiąść. Stała tam między innymi kanapa, a wszystko utrzymane było w stonowanych, kojących barwach.

Lucia Gonzales analizowała nie tylko umysły przestępców

Prowadziła też konsultacje dla przepracowanych.

wypalonych policjantów, a Departament Policji Nowego Orleanu wciąż dostarczał jej nowych pacjentów.

Lucia wskazała Patti wygodny fotel. Na stoliku czekała już kawa latte z pianką.

- Dziękuję - powiedziała policjantka. Podniosła filiżankę, upiła łyk i westchnęła z rozkoszą. - Tego mi było trzeba.

- Wygląda pani na zmęczoną.

- Bo jestem.

- Słyszałam, że aresztowaliście podejrzanego o zabójstwo Sammy'ego.

- Tak.

Lucia spostrzegła jej wahanie.

- Ale pani ma jakieś wątpliwości.

- Owszem. Może jednak chodzi o to, że nie jestem na to gotowa.

- Chce pani o tym porozmawiać?

- Kiedy sprawa jego zabójstwa zostanie rozwiązana, będę musiała przestać myśleć o Sammym.

Lekarka kiwnęła głową. - Do pewnego stopnia.

- Właśnie. Prawdę mówiąc, nie doszłam do tego sama. Zwrócił mi na to uwagę ktoś, kogo kocham.

- Wszyscy żegnamy się w swoim własnym czasie i na swój sposób.

Patti odchrząknęła.

- Mam bardzo interesującą podejrzaną. Młoda kobieta.

Striptizerka. Od dawna musi dbać sama o siebie. Wielokrotnie zatrzymywana przez policję za nagabywanie, nielegalne posiadanie narkotyków, drobne kradzieże. Możliwe, że widziała, jak ojciec zabił matkę, a w każdym razie była świadkiem upadku matki ze schodów. Podejrzewano, że ojciec się nad nią znęcał, ale nie zostało to potwierdzone.

- Proszę mówić dalej.

- Pierwszy raz zwróciłam na nią uwagę, kiedy twierdziła, że ofiara Chirurga z parku to jej współlokatorka. Dziewczyna podobno zniknęła przed Katriną, a wcześniej kręcił się koło niej ktoś o pseudonimie Artysta.

- Jej twierdzenie okazało się fałszywe.

- Tak. Zmyśliła to.

- Jak się domyślam po to, żeby dodać sobie splendoru. Patti skinęła głową.

- Później przyszła do mnie z historyjką, że Artysta tak naprawdę prześladowuje ją, przysyłając niepokojące listy miłosne, w których zapewnia o swym dożgonnym uczuciu. Twierdziła, że włamał się do jej mieszkania, a także zabił jej przyjaciółkę, która nagle zniknęła. Mówiła też, że ta zaginiona przyjaciółka rozpoznała ofiarę z parku. Rzekomo twierdziła, że Artysta kiedyś interesował się także tamtą dziewczyną.

Czemu przyszła z tym do pani?

- Chciała mojej pomocy. - Której jej pani udzieliła.

Owszem. Mimo że nie potrafiła swojej historii poprzeć żadnym dowodem. Zdecydowanie wierzyła w to, co mówi. A przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

- Więc była przekonująca.

Nawet bardzo. A fakty zdawały się potwierdzać jej wersję. - Patti opowiedziała o znalezieniu ciała Toni, o obciętej prawej dłoni, o potwierdzeniu tożsamości ofiary N.N.

- Ale?

- Pojawiły się dowody, w świetle których nie tylko jej historia wydaje się podejrzana, ale również ona sama. Możliwe, że to ona jest morderczynią. A teraz zniknęła.

- O co właściwie mnie pani pyta?

- Jeżeli kłamie, to dlaczego? Czemu przyszła do mnie ze swoją bajeczką? Czy rzeczywiście mogło mi aż tak zależeć na tym, by jej uwierzyć, że nie dostrzegłam w tym żadnych luk? A może była tak przekonująca, bo uwierzyła we własną wersję wydarzeń?

Lucia zastanawiała się przez dłuższy czas.

- Interesujące wydają mi się - powiedziała w końcu - listy, w których Artysta deklarował dozgonną miłość. Z tego, co pani mówi, wynika, że ta młoda kobieta miała dość koszmarne dzieciństwo. Były tam traumatyczne przeżycia związane z tragiczną śmiercią matki i przemocą ze strony ojca.

Prawdopodobnie zaznała mało miłości i troskliwej opieki.

- Być może dostawała to od matki

- Która umarła. Dozgonna miłość. No tak...

- Czy możliwe, że zmyśliła tę historię? - podjęła doktor Gonzales. - Oczywiście. Dzieci, które przeżyły traumę lub były napastowane, czasami odcinają się od tych wspomnień. W ten sposób mogą odzyskać wolność, a także stworzyć nową historię. Stać się częścią urojonego życia lub związku.

W komórce Patti zabrzączał wibrator. Na wyświetlaczu sprawdziła, że dzwoni Spencer, ale nie odebrała.

- Mówi pani o dysocjacyjnym zaburzeniu osobowości?

- Obecnie nazywa się ten stan dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości. Czasami, w ekstremalnych przypadkach, powstają różne osobowości, które zastępują bolesne wspomnienia. Te alternatywne tożsamości mogą się różnić w zależności od wieku i

płci. Zostało udokumentowanych wiele takich przypadków.

- Mam wrażenie, że kryje się w tym jakieś „ale”. Lucia uśmiechnęła się.

- Czasami jednak ta osobowość po prostu się odłącza.

Kiedy się to dzieje, może uwikłać się w inne życie... lub jakąś tragedię. W fikcyjny sposób.

- Może pani wyjaśnić to na przykładzie? Skinęła głową.

- Jakiś rok czy dwa lata temu wiele pisano o pewnym przypadku.

Chodziło o głośną, nierozwiązaną sprawę zabójstwa dziecka.

Pewien mężczyzna wyznał, że to on jest mordercą. Twierdził, że

był z nią, gdy umarła. Jak się okazało, była to czysta fikcja. W

gruncie rzeczy ten człowiek w czasie morderstwa przebywał w

jakimś odległym stanie, ale emocjonalnie tak się zaangażował w tę sprawę, aż uwierzył, że to prawda.

- Więc w przypadku tej kobiety można założyć, że uwierzyła we własną wersję, bo emocjonalnie zaangażowała się w sprawę Chirurga?

Komórka jeszcze raz się odezwała, ale Patti znów ją zignorowała.

- Właśnie.

- Dostałam to z ostatnią pocztą. - Podała Lucii wiadomość od

Artysty. - Co pani o tym sądzi? Lekarka wzięła kartkę i przebiegła ją wzrokiem.

- Wierzyła jej pani, wspierała, a potem przestała to robić.

Zdradziła ją pani. Zaczęła ingerować w jej fantazję.

- Więc teraz się gniewa. Chce mnie ukarać.

To możliwe. Proszę jednak pamiętać, że to tylko spekulacje. Patti pochyliła się do przodu.

- Ostatnie pytanie, doktor Gonzales. Czy mogła aż tak

zaangażować się w swoją fantazję, że zaczęła wprowadza ją w rzeczywistość?

- Dla niej to już jest rzeczywistość, pani kapitan. Może spytam inaczej. Czy mogła zacząć... odgrywać inne role?

- Chce pani wiedzieć, czy mogła pójść o krok dalej?

Przenieść tę całą historię ze świata fantazji do realnego? Czyli zabić kogoś?

- Tak, właśnie o to mi chodzi.

- Umysł ludzki jest w stanie stworzyć wszystko, co tylko można

sobie wyobrazić.

- To znaczy, że mogła stworzyć jakąś rolę i potem ją odgrywać? A może nawet kilka ról?

- Owszem. - Lucia Gonzales uśmiechnęła się. Komórka zadzwoniła po raz trzeci. Znowu Spencer.

Tym razem przeprosiła i odebrała połączenie.

- Gdzie jesteś? - spytał Spencer.

- Na czwartym piętrze.

- Lepiej wróć na dół. Musimy wybrać się na przejażdżkę.

Coś w jego głosie sprawiło, że poczuła zimny dreszcz.

- Co się dzieje?

- Spotkajmy się przy windach na pierwszym piętrze. Wtedy ci powiem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Piątek, 18 maja 2007 r.

11.00

Spencer czekał na nią przy windzie.

- Opowiadaj - powiedziała, gdy ruszyli korytarzem.

- Rich Ruston. Zadzwoniłem do niego. Twierdzi, że Shauna zniknęła.

- Zniknęła? Co to znaczy? Spakowała się i odeszła, czy...

- Zaginęła. Mówi, że są jej wszystkie rzeczy. Facet był zupełnie wyprowadzony z równowagi. Powiedziałem, że spotkam się z nim w jej mieszkaniu.

Shauna wynajmowała pół starego domu w tradycyjnym nowoorleańskim stylu, gdzie pokoje były połączone amfiladowo. Wyszli z komendy wprost na oślepiające majowe słońce. Niemal jednocześnie sięgnęli po okulary przeciwsłoneczne.

- Shauna nie odpowiadała na jego telefony, więc pojechał do niej i wtedy zorientował się, że zniknęła.

- A jej samochód?

- Stoi na podjeździe.

Pomyślała o Toni Messinger. Niepokojąco podobny scenariusz. Pospiesznie pozbyła się tej myśli.

- Prawdopodobnie to nic takiego - powiedziała głośno.

- To samo powiedziałem Rustonowi. „Pożałujesz tego, że się wtrąciłaś”.

W drodze do domu Shauny Patti opowiedziała Spencerowi o wizycie u doktor Gonzales. Kiedy skończyła, Spencer gwizdnął.

- Czyli Yvette chce cię ukarać za to, że wtrąciłaś się w jej fantazję?

- Zdaniem Lucii to jest możliwe. - Spencer skręcił w ulicę, przy której mieszkała Shauna i Patti ogarnęło obezwładniające uczucie strachu. - Powiedziała również, że umysł ludzki jest w stanie stworzyć wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

- Obawiam się, że to już całkiem odbierze mi sen.

- I mnie to mówisz?

Rich Ruston czekał na nich na ganku. Zniknęła gdzieś jego pewna siebie mina. Był blady i wyraźnie roztrzęsiony.

- Dziękujemy za telefon, Rich - odezwała się Patti. - Powtórz mi to, co opowiadałeś Spencerowi.

- Kiedy Shauna nie odpowiadała na moje telefony, przyjechałem sprawdzić, co się dzieje.

- Masz klucz?

- Tak, ale najpierw zadzwoniłem do drzwi i pukałem. Nie odpowiadała, więc wszedłem.

- Ile razy do niej dzwoniłeś?

- Co najmniej kilkanaście. - Na komórkę...

- Również na telefon domowy. Na obu zostawiłem wiadomości.

Parti znów pomyślała o Toni i telefonach od Yvette.

Odchrząknęła.

- Kiedy zacząłeś dzwonić? - Zeszłego wieczoru. My... - przerwał raptownie.

Patti zmarszczyła brwi.

- Wy co?

- Pokłóciliśmy się. Wyszedłem wściekły.

- O co była ta kłótnia? Widać było, że poczuł się nieswojo. - O to, że za dużo pracuje. Wtedy ona zarzuciła mi, że zazdrozczę jej sukcesu. - A jest tak?

- Nie! Tylko... zacząłem odnosić wrażenie, że malarstwo pochłania całą jej uwagę, a ja... O to właśnie się pokłóciliśmy.

- Więc wybiegłeś, a potem zmieniłeś zdanie i zadzwoniłeś do niej?

- Tak. Z początku myślałem, że wciąż jest na mnie wściekła.

Później zacząłem się niepokoić. Shauna nie należy do ludzi... no wiesz, nie chowa długo urazy.

Rzeczywiście. Nie potrafiłaby też karać lub straszyć kogoś, kto ją zranił.

- Rozejrzyjmy się.

Kiedy Rich otworzył drzwi, poprosili, żeby poczekał na ganku.

- Shauna! - krzyknął Spencer, przekraczając próg. - To ja. I ciocia Patti.

To przyzwyczajenie nabyte po latach policyjnej roboty, pomyślała Patti. Zapowiedz się. W ten sposób możesz uniknąć niemiłej niespodzianki.

Jak się spodziewali, nie było odpowiedzi. W mie-szkaniu, a szczególnie w pracowni panowała dziwnie zastygła atmosfera, Shauna zostawiła pędzle moczące się w terpentynie, odkrytą paletę. Na stole leżał iPod, słuchawki i do połowy wypita mochassippi - słynny produkt lokalnej sieci barów kawowych. Zdjęła tylko kitel i przerzuciła go przez oparcie krzesła.

Patti poczuła, że włosy jeżą się jej na karku. Podniosła wzrok na Spencera. Po jego minie poznała, że pomieszczenie wywarło na nim podobne wrażenie.

- Wygląda na to, że malowała i nagle przerwała pracę.

- Żeby otworzyć drzwi.

- Albo pobiec załatwić jakąś sprawę.

Przy dokładniejszych oględzinach okazało się, że torebka i komórka Shauny również zniknęły. Natomiast nie ubyło nic z ubrań i przyborów toaletowych. Na aparacie telefonicznym migało światelko automatycznej sekretarki. Wrócili do kuchni, gdzie stał bazowy aparat. Patti wcisnęła guzik odtwarzania. Głos Richa, nadal wyraźnie gniewny, wypełnił pokój. Wiadomość została nagrana o dwudziestej pierwszej dziesiątej. Kolejna o dziewiątej czterdzięci i potem następne, mniej więcej co pół godziny. W miarę upływu czasu gniew w głosie mężczyzny zaczął ustępować zaniepokojeniu. Na sekretarce nagrane były wyłącznie wiadomości od niego.

- Dzwonił z komórki - mruknął Spencer, patrząc na wyświetlacz. - Te numery układają się w sekwencji dwa-trzy-dwa. Mógł telefonować skądkolwiek.

Patti przycisnęła palce do skroni. To samo powiedziała na temat telefonów Yvette do Toni.

- Ciociu Patti? - W jego głosie słychać było niepokój. - Ta wiadomość, którą dziś rano dostałaś od Artysty... Co w niej dokładnie było?

- Pożałujesz tego, że się wtrąciłaś.

- Tak mi się zdawało. Czy sądzisz, że to możliwe...

- Nie chcę nawet o tym myśleć, Spencer. Jeszcze nie. Upewnijmy się najpierw, że naprawdę zaginęła. Obdzwoń całą rodzinę, zorientuj się, czy się do nich odzywała i kiedy rozmawiali z nią po raz ostatni. Z tym

samym pytaniem zadzwoń do galerii do June i Riley'a.

- A jeśli nikt nic nie będzie wiedział?

- Zaczynaj dzwonić do przyjaciół i znajomych. Do każdej osoby, jaka przyjdzie ci na myśl. Weź dwóch mundurowych, niech pochodzą po okolicy, a Rustona przyślij na dalsze przesłuchanie.

- A jeśli i z tego nic nie wyjdzie?

- Wtedy będziemy mówić o Artyście.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Piątek, 18 maja 2007r.

12.10

Nikt z rodziny nie miał od Shauny żadnych wiadomości. Poszukiwania w sąsiedztwie również nic nie wykazały poza tym, że jedna z sąsiadek widziała, jak Rich wypadł z domu Shauny, potwierdzając tym samym godzinę, kiedy miała miejsce kłótnia. Sąsiadką tą była samotna matka, która mieszkała tuż obok. Rich dostarczył im listę przyjaciół i znajomych. Ci, z którymi udało się skontaktować, nie widzieli się z Shau-ną ani z nią nie rozmawiali.

Spencerowi pozostał jeszcze telefon do Stacy, choć nie miał nadziei, że to coś da.

Zapukał do drzwi gabinetu.

- Jak poszło z Rustonem? - spytała Patti, przywołując go do siebie.
- Trzyma się swojej wersji, jakby wyuczył się jej na pamięć.
- Myślisz, że mówi prawdę?
- Nie widać po nim, żeby kłamał. Patrzy prosto w oczy, nie poci się, wydaje się szczerze przerażony.

Oczywiście to wcale nie znaczy, że można mu wierzyć. - Tyle tylko, że musiałby świetnie grać, gdyby kłamał. - Niemniej chciałbym kogoś za nim posłać. Wolę znać jego ruchy.

- Zgoda.

Spencer zaczął wyłamywać palce, wyraźnie poirytowany.

- Co za cholerna bzdura! Powinniśmy jej szukać, i tymczasem siedzimy tutaj!

- Wszystkie radiowozy dostały komunikat - odpowiedziała spokojnie. Miała nadzieję, że w ten sposób zniweluje trochę jego zdenerwowanie. - Każdy patrol ma rysopis Shauny.

- Gdzie, do diabła, jest reszta rodziny?

- Już tu jadą.

Jakby na komendę do gabinetu wpadł John, a zaraz za nim Percy i Mary. Na końcu pojawił się zdyszany Quentin.

- Przepraszam - powiedział. - Byłem w sądzie. Coś się wydarzyło?

- Shauna - odparł Percy. - Zaginęła.

- Zaginęła? Co do diabła?

- Gdzie Stacy? - spytała Mary.

- Nie wiem — odpowiedział Spencer. - Pewno ma

jakaś robotę. Później jej powiem. Patti zabrała głos. - Istnieje prawdopodobieństwo, że Shauna została prowadzona przez mordercę, który mówi o sobie Artysta.

Puściła w obieg wiadomość, którą dostała tego ranka. Kiedy ją czytali, opowiedziała im o prowadzonym dochodzeniu, podejrzeniach, jakie powzięli wobec Yvette, listach, powiązaniach ze sprawą Chirurga i zabójstwami Maytree i Messinger.

- Ta dziewczyna jest dobra - wtrącił Spencer. - Jednak niektóre elementy jej historyjki nie trzymały się kupy. Wczoraj wezwaliśmy ją na przesłuchanie, potem zdobyliśmy nakaz rewizji. A teraz zniknęła.

- I nagle Artysta znów się pojawił - dodała Patti.

- Nasz psycholog twierdzi, że Yvette może odgrywać wymyśloną rolę. Kiedy przestałam wierzyć w jej historię, wywołałam jej gniew.

- Czemu Shauna miałyby gdzieś iść z Berger?

- chciał dowiedzieć się Percy.

- Poznały się w galerii podczas wernisażu - wyjaśniła Patti. - Więc Yvette mogła ją jakoś przekonać, żeby z nią poszła.

Wszyscy zaczęli mówić naraz.

- Nie podoba mi się to.

- Więc witaj w klubie.

- Ruston to wredny typ. Może kłamać.

- Całkiem możliwe - zgodziła się Patti. - Chociaż my tak nie uważamy.

- Jest jeszcze inna możliwość - powiedział spokojnie Quentin.
Wszyscy spojrzeli na niego. - Mianowicie taka, że Yvette mówiła prawdę.
W pokoju zapadła cisza. Pierwsza odezwała się Mary.
- To znaczyłoby, że Artysta ma je obie: Yvette i Shaunę.
A wówczas byłoby zagrożone życie obu kobiet.
Zadzwoniła komórka Spencera. Przekonany, że wreszcie odezwała się Stacy, odebrał, nawet nie patrząc na wyświetlacz.
- Zaczynałem się już martwić. Gdzie jesteś?
- Malone? - To nie Stacy.
- Tak. Kto mówi?
- Rene Baxter. Byłem ciekaw, czy Killian jest z tobą.
Przez kilka sekund nie dopuszczał do siebie tego, co usłyszał.
Chwile później zdrętwiał z przerażenia. Nie Stacy. Błagam, nie Stacy. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Patii.
- Nie ma jej tam? - spytał, skupiając się na tym, co powie Rene.
- Pojawiła się rano, a potem gdzieś zniknęła.
- Co to znaczy „zniknęła”? Przecież, do cholery, nic jest duchem!
Wokół niego zrobiło się cicho. Czuł się tak, jakby ktoś na piersi postawił mu ciężki mebel.
- Wyluzuj, stary. Była tu, a potem wyszła. Sądziłem...
- Mówiła coś Cooperowi?
- Nie. Tak, jak powiedziałem...
- Czy jej terenówka jest na miejscu?
- Nie sprawdzałem. Założyłem...
- Więc sprawdź, do cholery! Natychmiast! Jadę do was.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

SZÓSTY

Piątek 18 maja 2007 r.

21.00

Późnym popołudniem wiadomość została potwierdzona - Stacy zaginęła. Od rana nikt jej nie widział ani z nią nie rozmawiał. Jej explorer stał na parkingu, który obsługiwał cały ósmy komisariat. Spencer odchodził od zmysłów ze zdenerwowania. Klan Malone'ow zebrał się u Johna. Założyli tam coś w rodzaju rodzinnej komendy głównej. Kobiety dostały surowy zakaz wychodzenia z domów w pojedynkę. To samo dotyczyło dzieci, chociaż Patti nie sądziła, aby Artysta zamierzał je skrzywdzić. Wyglądało na to, że jego - lub jej - sposób postępowania nie ulega zmianom. Interesowały go wyłącznie kobiety, chociaż tylko ona była celem jego zemsty.

Pożałujesz tego, że się wtrąciłaś.

Wiadomość rozeszła się po całym departamencie policji. Wsparcie, jakiego im udzielono, było oszałamiające. Do poszukiwań dwóch kobiet i ochrony pozostałych przydzielono zawrotną liczbę ludzi. Policjanci z patroli, którzy akurat nie byli na służbie, zgłaszali się na ochotnika, żeby jeździć po okolicy lub pełnić warty przed domem Johna.

To było działanie w obronie jednego z nich. W obronie rodziny, która poświęciła życie dla nowoorleańskiej policji. W obronie policjantki, która - choć była nowa - została z nimi podczas największej w historii Ameryki kieski żywiołowej i narażała życie dla ich miasta, ich społeczności.

Patti wzruszyło ich wielkie wsparcie. Modliła się, żeby pozwoliło to ochronić ludzi, których kochała. Jednak w głębi serca wiedziała, że Artysta nie spocznie, póki ona nie poniesie kary, jaką jej wyznaczył.

Trafił teraz w najczulszy punkt - w jej rodzinę. Zrozumiał, że

skrzywdzenie kogoś z nich zrani ją bardziej niż fizyczny ból. Jeszcze niedawno sądziła, że nie ma już nic, co zdołałaby kochać. Jak mogła się tak mylić?

Jednakże dopóki ten maniak nie wykonał następnego ruchu, zarówno ona jak i reszta rodziny, a także cały departament policji byli bezradni.

Podjechała pod dom. W żadnym z okien nie paliło się światło, ganek był ciemny. Kiedy wyjeżdżała stąd rano, myślała jedynie o tym, że musi znaleźć Yvette. Ileż zmian przyniósł ten jeden dzień. Słowa Quentina odbijały się echem w jej głowie. A jeśli Artysta nie był wytworem wyobraźni Yvette, lecz rzeczywistą osobą? To znaczyłoby, że ją również miał w swoich rękach. Trzy życia ważyły się na szali.

W co właściwie wierzyła? Czy Yvette była jedną z ofiar Chirurga, czy może raczej chorą młodą kobietą, w której umyśle zatarła się granica między rzeczywistością a urojeniem?

Zaparkowała na podjeździe i wysiadła z samochodu. Zamierzała wziąć prysznic, zabrać ze sobą ubrania na zmianę i wrócić do Johna. Spencer miał zrobić to samo. Postanowili, że się później spotkają i omówią plan działania. Musieli mieć jakieś zajęcie, żeby nie rozmyślać o różnych „a jeśli”.

Zatrzymała się przed stopniami na ganek. Pod drzwiami stała mała lodówka turystyczna. Taka, jaką można kupić na każdej stacji benzynowej lub w nocnym sklepie i do której zmieści się akurat sześciopak piwa. Pokrywkę zaklejono srebrną taśmą izolacyjną.

Stała nieruchomo, przyglądając się torbie. Ciarki przeszły jej po całym ciele, a chwilę później poczuła strach. Potworny, odbierający siły strach.

W takiej lodówce mogło być mnóstwo rzeczy. Całkiem niewinnych. Ktoś z przyjaciół mógł podrzucić świeże krewetki. Albo ryby. Jej sąsiadka, pani Wonch, mogła przynieść jakieś smakołyki, które zostały jej z kolacji.

W ustach miała zupełnie sucho. Wiedziała, że nie to znajdzie w torbie. Nie musiała jej otwierać, żeby mieć pewność.

Pożałujesz tego, że się wtrąciłaś.

Zmusiła się, żeby zacząć działać. Pospiesznie wróciła do samochodu, ze schowka wyjęła latarkę i zestaw operacyjny. Idąc w stronę ganku, wciągnęła rękawiczki. Serce waliło jej jak młotem, a dłonie natychmiast zaczęły się pocić pod lateksem. Sięgnęła po lodówkę i przykucnęła. Z zestawu wyjęła mały nożyk i ostrożnie rozcięła taśmę. Podniosła pokrywę. Zajrzała do środka. Nie myliła się.

Odcięta dłoń ułożona na worku z lodem.

Zerwała się na nogi, odwróciła gwałtownie, i starając się zachować panowanie nad sobą, zacisnęła powieki. Wszystko się zgadzało. Jak na psychopatę był to logiczny ruch. Odetchnęła głęboko. Weź się w garść, O'Shay. Nie myśl o sobie. Zajmij się robotą.

Znowu ukucnęła obok lodówki i włączyła latarkę. Próbując nie myśleć o Stacy i Shaunie, przyjrzała się dłoni.

Należała do kobiety. Prawa, autentyczna, brutalnie odrąbana.

Z trudem przełknęła ślinę. Sądząc z tego, jak dobrze była zachowana, musiała być zamrożona lub trzymana w lodzie. Tylko do kogo należała?

Boże, proszę, niech to nie będzie ręka Shauny. Ani Stacy. A co z Yvette? Czy mogła należeć do niej?

Ostrożnie opuściła pokrywę. Trzeba było wykonać kilka telefonów. Do laboratorium. Do Elizabeth Walker. I do Spencera. Dobry Boże, jak miała mu o tym powiedzieć? Jak poinformować o tym resztę rodziny? Z ciężkim sercem otworzyła komórkę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Piątek, 18 maja 2007 r.

22.20

Spencer nie był w stanie zaczerpnąć powietrza. Serce waliło mu tak mocno, aż zaczął się bać, że wyskoczy mu z piersi. Wpatrywał się w lodówkę, bojąc się poruszyć. Przerazało go to, co mógł tam zobaczyć.

Może się okazać, że jego siostra nie żyje. Albo kobieta, którą kochał.

Bo kochał Stacy. Uświadomił to sobie w chwili, gdy musiał przyjąć do wiadomości, że zaginęła. Że najprawdopodobniej znalazła się w rękach szaleńca.

Dotarło do niego, że do tej pory sam ze sobą bawił się w chowanego. Wiedział, że gdyby ją pokochał, a potem stracił, nie poradziłby sobie z bólem, więc zwyczajnie nie zauważał swoich uczuć.

Idiota. Tak jakby nieprzyznawanie się do miłości robiło jakąkolwiek różnicę. Przecież tak czy inaczej ją kochał. A teraz razem z bólem i strachem czuł też ogromny żal. Za tym, co mógł mieć, a czego tak głupio sobie odmawiał.

Telefon Patti wywołał popłoch. Spencer z trudem zachował panowanie nad sobą. Quentin i Percy stali u jego boku, również próbując pohamować wzburzenie. John i Mary zostali w domu z ich żonami i dziećmi. W kostnicy panowała upiorna cisza.

Spencer drgnął gwałtownie, gdy rozległ się głos Patti.

- Jesteś gotowy?

Skinał głową, chociaż każda cząsteczka jego ciała chciała krzyknąć „nie!”.

Quentin położył dłoń na jego ramieniu. Usłyszał, jak Percy bierze oddech. Patti podniosła wieko lodówki.

Uczucie ulgi sprawiło, że zakręciło mu się w głowie.

- To nie jest dłoń Stacy - powiedział.

- A co z Shauną?

Bracia pochylili głowy, żeby przyjrzeć się dokładniej. Percy wypuścił powietrze z płuc.

- Nie... w żadnym razie. Spójrz na paznokcie.

Shauna była malarką. Każdego dnia miała do czynienia z farbami olejnymi i terpentyną. Paznokcie przeszkadzałyby jej w pracy, więc zawsze obcinała je krótko.

Te paznokcie były długie. Ze śladami lakieru na brzegach. Długie, opiłowane kwadratowo.

Spencer przyjrzał się dłoni. Była średniej wielkości. Jego zdaniem należała do kobiety o drobnej budowie ciała. Nawet teraz można było ocenić, że była to osoba, która musiała przekroczyć jeź trzydziestkę. Może nawet czterdziestkę.

Dłoń nie należała do Shauny ani Stacy, ani też do Yvette. Patti zerknęła w jego stronę.

- Czy myślisz o tym samym, co ja?

- Messinger - powiedział, po czym odwrócił się do technika - Czy nadal są tu szczątki Toni Messinger?

Technik zajrzał do komputera.

- Nie. Autopsja została zakończona dziś po południu i powiadomiono rodzinę.

- A zdjęcia?

- Są. Chcecie odbitki, czy może być wersja cyfrowa? - Wystarczy, że obejrzę je na ekranie. Szukam zdjęć drugiej ręki.

Technik odnalazł właściwy plik. Chwilę później obraz wypełnił ekran.

- To dłoń Messinger - zdecydował Spencer. - Miała pomalowane paznokcie. To mnie zmyliło.

- Ten skurwysyn doskonale wiedział, co robi - powiedziała Patti. - Jaskra woczerwone paznokcie z miejsca zdradziłyby jej tożsamość, więc zmył lakier, zanim przyniósł mi paczkę.

- Drań chciał, żebyśmy się przestraszyli - skomentował Quentin.

- Żebym ja się bała - poprawiła go. - To mnie chciał przerazić. To wszystko z mojej winy. Ja jestem za to odpowiedzialna.

Percy uściskał jej rękę.

- Tkwimy w tym wszyscy razem, ciociu Patti. Jesteśmy rodziną.

- One żyją - powiedział Spencer. - Gdyby było inaczej, to w

lodowce nie znaleźlibyśmy dłoni Toni Messinger.

- Zgadza się - odparła Patti.

- Będzie potrzebna Elizabeth Walker, żeby to potwierdzić.

- Już się z nią skontaktowałam. Przyjedzie tu z samego rana.

- Wiec co teraz? - spytał Percy. Spencer powiódł wzrokiem po obecnych.

- Złapiemy tego sukinsyna. I to szybko.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Sobota, 19 maja 2007 r.

Północ

Pierwszą rzeczą, jaką Yvette poczuła, był przenikliwy ból głowy. Z jękiem otworzyła oczy. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Nie było błyszczącej tarczy zegarka ani świateł ulicy, które docierały do pokoju przez okno sypialni, ani łagodnego blasku księżyca.

Zamrugła powiekami i przekręciła się na bok. Pośłanie było szorstkie i miało kwaśny zapach stęchlizny.

To nie było jej łóżko. Nie jej dom

W tym momencie coś sobie przypomniała. Chwyciła ubranie i wypadła z „Hustle” do zaułka.

Kiedy to było?

Włóczęga. Ten sam, który kiedyś szedł za nią do domu.

Próbowała wysilić pamięć.

Najpierw włożyła bluzę, potem wciągnęła legginsy, a na nogi wsunęła klapki. Zobaczyła go, dopiero kiedy podniosła wzrok. Skóra jej ścierpła, gdy przypomniała sobie wyraz jego oczu. Chociaż serce waliło jej mocno, powiedziała mu, żeby się odpieprzył, i ruszyła w stronę wyjścia z alejki.

Zaatakował ją od tyłu. Uderzył ją czymś, a potem zaciągnął w ciemne miejsce.

Tylko co jej zrobił? I skąd się tutaj wzięła? I gdzie jest to „tutaj”? Artysta. A więc to w ten sposób dowiedział się, gdzie mieszka i poznał drogę, którą wracała do domu. Po prostu ją śledził.

Dobry Boże... Tak właśnie dowiedział się, że Marcus był jej winien pieniądze i ile. Był w tej alejce, gdy się awanturowali. Obserwował ich. I słuchał.

„Zrobiłem to dla ciebie”.

Zabił Marcusa, bo Marcus ją skrzywdził. Ogarnęła ją fala mdłości, gdy to sobie uświadomiła. Musi uciec. Od razu, natychmiast. Zanim będzie za późno.

Podniosła się na nogi, ale zakręciło jej się w głowie i z powrotem opadła na pryczę. Nogi miała jak z waty. Odetchnęła głęboko, czekając, aż miną zawroty głowy. Uzmysłowała sobie, że jest głodna. I spragniona. Która mogła być godzina? Jak długo leżała nieprzytomna?

Prawdę mówiąc, co pewien czas świadomość musiała jej wracać, bo pamiętała, że słyszała głos. Tylko czyj? Chyba jakiejś kobiety. Kazała jej stąd uciekać.

„Będzie chciał cię zabić. Uciekaj. Szybko.”

Poczuła, że ogarnia ją panika. Spróbowała ją powstrzymać.

Musiała zachować przytomność umysłu. Na pewno zaczną jej szukać. Policja. Patti domyśli się, że złapał ją Artysta i zacznie...

Czy aby na pewno coś zacznie?

Zniknęła prawie zaraz po przesłuchaniu. Zobaczą pusty schowek i wiadomość, którą zostawiła dla właściciela domu.

Winna. To wszystko mogło świadczyć o jej winie.

Riley podniesie alarm. Tylko czy to coś pomoże? Może uznają, że to również zaplanowała?

Wpadła w kłopoty. Poważne.

Chwyciła się za głowę. Tamta kobieta nagliła ją, żeby uciekała. Musi być stąd jakieś wyjście.

Ponownie spróbowała się podnieść, tym razem powoli. Chociaż nogi wciąż się pod nią ugiwały, ruszyła ostrożnie do przodu z wyciągniętymi przed sobą rękami w poszukiwaniu jakichś drzwi lub okna.

Jakiegoś wyjścia.

Dotarła do ściany. Powierzchnia była szorstka, w niektórych miejscach oślizgła, gdzie indziej jakby mechata. Dlaczego mechata? - przemknęło jej przez myśl. Macając dłońmi, posuwała się dalej. W końcu i trafiła na okno. Ze stłuczonymi szybami. Zabite od zewnątrz.

Przesunęła dłonie wokół desek, ale nawet nie drgnęły. Prawą ręką zahaczyła o wystający kawałek szkła. Szarpnęła się do tyłu z okrzykiem bólu. Drugą ręką dotknęła bolącego miejsca. Było wilgotne i lepkie.

Znów zakręciło jej się w głowie. Krew pulsowała jej w uszach. Odetchnęła głęboko, starając się opanować. Nie mogła się poddać. Ruszyła dalej, wysilając wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć przed sobą. Potknęła się, wyprostowała, a po chwili znów straciła równowagę. Tym razem upadła na kolana i dłońmi oparła się o coś cuchnącego.

Coś martwego.

Zerwała się na nogi, żołądek podszedł jej do gardła. Dłonie otarła o legginsy, ohydny odór wypełniał jej nozdrza.

Wydostać się stąd. Musiała się wydostać.

Usłyszała niewyraźne głosy. Trzaśnięcie samochodowych drzwiczek. Artysta? A może wybawca?

Ponownie ruszyła przed siebie.

Boże, pomóż mi. Wybaw mnie. Poprawię się, przyrzekam.

Taką samą modlitwę szeptała w czasie Katriny. Wówczas jej wysłuchał, ale czy zechce zrobić to teraz?

Jej dłoń trafiła na coś, co sprawiało wrażenie drzwi z płyty.

Pospiesznie, z bijącym sercem, przesunęła rękę w stronę miejsca, gdzie powinna być klamka. Faktycznie ją znalazła. Zaciśnęła palce

i przekręciła gałkę.

Drzwi się otworzyły.

Owionęło ją świeże powietrze, zobaczyła miękki blask księżyca. Z okrzykiem ulgi, słysząc zbliżające się głosy, wypadła na zewnątrz i... zatrzymała się raptownie, chwytając się metalowej barierki. Stała na schodach przeciwpożarowych, kilka pięter nad ziemią. Platforma chwiała się niebezpiecznie pod wpływem wiatru i jej ciężaru.

Gdzie ja jestem? - pomyślała.

Spojrzała na oświetlony blaskiem księżyca krajobraz. Jakieś pustkowia. Sterty gruzu, od czasu do czasu jakiś zabity deskami budynek, porzucone samochody, śmieci

Koszmarne światło. Postnuklearny. Jak po wybuchu bomby jądrowej.

Co się wydarzyło między atakiem w alejce a przebudzeniem tutaj? Nie. Były przecież jeszcze drzewa. Dzikie rośliny, które porastały te śmieci.

A więc to nie był wybuch jądrowy. Huragan. Pewno jest w Lower Ninth. Albo w St Bernard.

Głosy. Łagodny głos, który ją przyzywa.

Powstrzymując szloch, odszukała pierwszy stopień.

potem następny i jeszcze jeden. Przy każdym kroku metal skrzypiał przeraźliwie. Była pewna, że lada chwila schody się rozpadną.

Jednak wytrzymały i w końcu pod stopami poczuła twarde grunty
Z sercem w gardle rzuciła się do ucieczki.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Sobota, 19 maja 2007 r.

7.00

Patti stanęła w drzwiach gabinetu z kubkiem kawy w każdej ręce. Patrzyła na Spencera, który siedział przy biurku zarzuconym teczkami z aktami sprawy. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

Wiedziała, że myślał o Stacy. Kochał swoją siostrę, lecz w tym momencie jego serce tęskniło do Stacy.

- Nic jej nie będzie. Spojrzał na nią przez ramię.

- Ona się łatwo nie poddaje.

- Właśnie. Jest dobrą policjantką, wyszkoloną do tego, żeby się bronić. - Weszła do środka i podała mu kawę. - Powinieneś się przespać.

- Nie pójdę spać, dopóki Stacy i Shaun u nie wrócą. W takim razie bierzmy się do roboty. Wyciągnęli wszystkie akta choćby w najmniejszym

stopniu powiązane ze sprawą Yvette Berger. Zabójstwa Maytree i Meilinger, Marcusem Gabrielle'a. Notatki Stacy. Kartotekę Chirurga. Szukali jakiegokolwiek związku. Śladu, który mogli przeoczyć.

Ślęzeli nad nimi kilka godzin, ale stare pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

- W przeddzień uderzenia Katriny Chirurg morduje Jessicę Skye - zaczęła Patti - Ówczesną tancerkę z „Hust-le”. Wrzuca jej ciało do płytkiego grobu w parku miejskim.

- Zabija Sammy'ego z jego własnej broni - podjął Spencer. - Jego odznakę wrzuca do grobu Skye, potem gdzieś w pobliżu pozbywa się broni.

- Ciało Sammy'go zostaje znalezione w śródmieściu - ciągnęła Patti. - Samochód stoi zaparkowany niedaleko.

- Striptizerka z „Hustle” upiera się, że prześladowuje ją ktoś podający się za Artystę. Zgłasza się do nas z prośbą o pomoc. Mówi, że kierowniczka personelu z klubu nie tylko

rozpoznała w naszej ofierze Jessica Skye...

- Co okazuje się prawdą - wtrąciła Patti.

- ...ale twierdzi również, że jakiś gość, który przysłał jej listy, pisał je także do Jessiki Skye.

- W tym samym czasie informuje nas, że kierowniczka zniknęła.

Boi się, że Artysta mógł ją zabić. Jednak na potwierdzenie swoich słów nie ma żadnych dowodów.

- Okazuje się, że kierowniczka rzeczywiście nie żyje i ma odciętą prawą dłoń.

- Zostaje zamordowana starsza pani, sąsiadka tancerki. Tego samego dnia ktoś truje psa innego sąsiada.

Dziewczyna twierdzi, że tej właśnie nocy Artysta był w jej mieszkaniu.

- Wkraczasz na scenę - mówił dalej Spencer - i nagle urywa się kontakt z Artystą. Tancerka znika, a wtedy on znów się pojawia.

- I postanawia mnie ukarać. - Znikają Shauna i Stacy, a dłoń Toni zostaje dostar-

czona pod twoje drzwi. Czy to może być Borger? - spytał na koniec.

Patti zakłęła cicho. Była zrozpaczona. Czuła, że są w kropce. Poszlaki wskazywały, że to Yvette. Jednak przecucie, instynkt, który tyle razy pomagał jej w pracy, podpowiadał, że Yvette mówiła prawdę.

Problem w tym, że nie potrafiła już wierzyć swoim przecuciom.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu.

- Myślisz, że może być niewinna? - Ściągnął brwi i popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

- Nie wiem - powtórzyła.

- Mamy przeciw niej mnóstwo poszlak. - Ale nic namacalnego.

Przez chwilę kartkował teczkę dotyczącą zabójstwa Maytree, nagle zatrzymał się i podniósł wzrok na Patti.

- Jaki to pies?

- Słucham?

- Dwa kosmyki na szlafroku ofiary. Laboratorium miało określić rasę psa. - Przerzucił kartki. - Nie widzę tu ich raportu. Wygląda na to, że nigdy do nas nie dotarł.

Patti zerwała się na nogi.

- A co z tym salonem dla psów? Czy ktoś przejrzał listę ich klientów?

Widziała, że zrozumiał, co miała na myśli. Być może tu dałoby się trafić na jakiś ślad. Powiązanie rasy psa z którymś z klientów „Doskonałego Psiaka” mogłoby poprowadzić ich dalej.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś się tym zajął.

- Zestaw śniadaniowy.

W drzwiach stanęli Quentin i John. Jeden trzymał torby z McDonalda, drugi niósł tacę z napojami.

- W samą porę - zaśmiała się Patti, bo w tym właśnie momencie Spencerowi głośno zaburczało w brzuchu.

Brada postawili jedzenie na stole, przyciągnęli krzesła i wszyscy zabrali się za swoje bułki.

Podczas śniadania Spencer opowiedział braciom o nieustalonej rasie psa i salonie dla psów, który prowadził sąsiad Yvette.

- Powinniśmy zaraz skontaktować się z laboratorium. Z jakiegoś powodu nam to umknęło.

- O mój Boże - szepnęła Patti. Nagle dotarła do niej przerażająca prawda. Miała wrażenie, że przygniata ją tona kamieni.

Artysta karał ją, prześladowając kobiety, z którymi była związana. Te, na których zależało jej najbardziej. Wszyscy przenieśli spojrzenia na nią.

- June - powiedziała, podnosząc się z krzesła. - Całkiem zapomniałam o June.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Sobota, 19 maja 2007 r.

8.10

Ani domowy telefon, ani komórka June nie odpowiadały. Patti zadzwoniła do galerii, ale tam też włączyła się automatyczna sekretarka. Powstrzymała ogarniającą ją panikę. Ostatecznie był weekend, a w dodatku dość wcześnie. Przyjaciółka pewno jeszcze spała albo brała akurat prysznic. A może po prostu wyszła z Maksem na spacer.

Coś jednak było nie tak.

Do galerii wysłała patrol, a sama razem ze Spencerem, Quentinem i Johnem wyruszyła do domu June w Dzielnicy Ogrodów.

Ona i Spencer dotarli tam w zaledwie dziesięć minut. Quentin i John przyjechali zaraz za nimi. Patti wyskoczyła z chevroleta i pobiegła w stronę drzwi. Nacisnęła dzwonek, po czym zaczęła walić w drzwi, za którymi słychać było ujadającego i drapiącego Maksa.

- Wchodzę - krzyknęła do Spencera.

Przez chwilę przekładała klucze, szukając tego, który kiedyś June dała jej na wszelki wypadek, przekręciła go w zamku i szeroko otworzyła drzwi. W tym momencie Max przemknął obok niej i jak strzała pognał przed siebie.

- Niech ktoś go złapie!

John zajął się ściganiem psa, a Parti weszła do domu.

- June! - zawołała. - Riley! Odpowiedziała jej cisza.

- Rozdzielmy się - powiedziała, kiedy Spencer i Quentin weszli do holu. - Ja zacznę od góry.

Quentin zaproponował, że rozejrzy się wokół rezydencji, natomiast Spencer wziął na siebie parter.

Chwilę później Parti była na piętrze. Szła od pokoju do pokoju, starając się robić to możliwie najwolniej. Musiała zachowywać się jak na miejscu przestępstwa. Wszystko wydawało się normalne. Nie było żadnych śladów walki. Pokój June był schludny jak pudełeczko, u Riley'a panował bałagan. To samo dotyczyło sąsiadujących z sypialniami łazienek.

Pozostałe pokoje wyglądały tak, jak powinny - nieza-

mieszkane, ale gotowe na przyjęcie gości.

- Macie coś? - spytała, schodząc na dół do siostrzeńców.

- Teren, garaż i schowek na narzędzia są czyste - powiedział Quentin. - W garażu stoi jeden wóz. Mercedes.

Patti poczuła, że serce jej zamiera.

- To samochód June - powiedziała i spojrzała pytająco na Spencera.

- Jeden stłuczony talerz w zlewie. Poza tym wszystko w porządku. Stłuczony talerz? Patti zmarszczyła brwi.

- Jak myślisz? Mogła się skaleczyć i Riley zawiózł ją na szycie?

- Być może, chociaż nie ma tam żadnych śladów krwi.

c

- June jest bardzo porządna. Może po prostu wszystko wytarła?

- A dopiero potem popędzili na pogotowie? Zrobiło jej się słabo. Gdzie June mogła pójść w sobotę o tak wczesnej porze? Bez samochodu. I bez

Maksa.

Ten sam sposób działania, jak w sprawie Messinger, Shauny i Stacy.

W tym momencie wrócił John junior. Z trudem łapał oddech, ale w objęciach dzierżył psa.

- To małe gównio dotarło prawie do St. Charles Avenue, zanim go złapałem.

Patti wpatrywała się w Maksa. Jego sierść nie miała zwykłej dla shih tzu barwy szampana. Sól i pieprz. Czarno-biały.

Odwróciła się do Spencera.

- Zadzwoń natychmiast do laboratorium. Muszę znać rasę tamtego psa.

Podczas gdy Spencer łączył się z laboratorium, ona również wykonała jeden telefon. Zadzwoiła do salonu „Doskonały Psiak”.

Ray osobiście odebrał telefon. Słysząc było, że jest zmordowany.

Nic dziwnego. Prawdopodobnie w sobotnie poranki miał największy ruch.

- Mówi kapitan Patti O'Shay, koleżanka Yvette - przedstawiła się.

- A tak, kapitan O'Shay. Czym mogę służyć?

- Mam jedno pytanie. Czy June Benson jest waszą klientką?

- Benson... Ma shih tzu o imieniu Max, tak?

- Zgadza się - odparła. Podziękowała Rayowi, rozłączyła się i spojrzała na Spencera, który właśnie skończył rozmowę. - No i?
- Shih tzu - odparł.

- A June jest klientką „Doskonałego Psiaka”.

Odwrócili się do Johna, który ciągle trzymał psa na rękach.

Wszystko się składało. Riley był na miejscu tej nocy, gdy zniknęła Yvette. Dziewczyna mu zaufała. Może tak, jak opowiadał, poprosiła go o pomoc. Wyznała mu, czemu chce wyjechać z miasta.

Ułatwiła Artyście zadanie.

Przyszedł szukać jej w „Hustle”, udając zaniepokojenie. Taka zasłona dymna, na wypadek, gdyby sprawdzili billingi i odkryli, że rozmawiali ze sobą tej nocy.

Umysł Patti pracował na najwyższych obrotach. June się jej zwierzyła, że martwi się o brata. Jako ona to powiedziała? Że Riley potrafi zgłupieć na punkcie jakiejś kobiety, a gdy nic z tego nie wychodzi, snuje się osowiały przez kilka tygodni.

Kobieta go zdradza, więc ją zabija.

Czyżby June zaczęła podejrzewać, że brat jest mordercą? Możliwe, że знаła fakty łączące Riley'a z którąś z ofiar i powiedziała mu o tym.

Dobry Boże... Jeżeli Riley był... to by znaczyło, że to...

Riley zabił Sammy'ego.

Zasłoniła usta dłonią. To nie może być prawda. Brat jej najlepszej przyjaciółki. Kochała go tak, jakby był jej własnym siostrzeńcem.

- Ciociu Patti? Pani kapitan? Zamrugnęła gwałtownie, starając się skupić.

- To Riley - powiedziała. - Riley jest Chirurgiem. Siostrzeńcy wpatrywali się w nią, jakby postradała zmysły. Quentin odchrząknął.

- Ciociu Patti... z całym szacunkiem... Przecież mówisz o Riley'u. On prawie należy do rodziny.

- Wydaje ci się, że o tym nie wiem? - Uświadomiła sobie, że dłonie jej drżą, więc zacisnęła je w pięści. - Myślicie, że nie wiem, co to oznacza? Co on zrobił?

Sięgnęła po wibrującą komórkę.

- O'Shay.

Dzwonili policjanci z patrolu, który wysłała do galerii
W tle słyszała dźwięk, który przypominał wycie.

- Pani kapitan, mamy tu sytuację kryzysową. Ta
galeria... płonie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Sobota, 19 maja 2007 r.

Południe

Patti dostrzegła dym kilka ulic wcześniej. Podczas rozmowy musiała dwukrotnie prosić funkcjonariusza, żeby powtórzył to, z czym dzwonił. Kiedy już dotarło do niej, co mówi, zgarnęła Spencera i pognali na miejsce.

June i Riley przepadli. Ich galeria paliła się. Z pewnością nie był to wypadek. Tylko co znajdą wewnątrz?

Spencer z całej siły zaciskał dłonie na kierownicy. Wiedziała, że boi się tego samego, co ona i modli się, by te obawy nie potwierdziły się. Żeby w budynku nie znaleźli kogoś, kogo kochali.

Straż pożarna zabarykadowała ulicę, ale przepuszczono ich, gdy tylko Patti pokazała dokumenty. W miarę jak się zbliżali, zapach dymu był coraz silniejszy.

Na widok płomieni trawiących galerię z ust Patti wyrwał się mimowolny okrzyk. Wiedziała, że na ich działanie przyjdzie czas później i na razie nic nie mogą zrobić, lecz musiała tu przyjechać. Nie zniosłaby bezczynnego siedzenia z dala od wydarzeń. June mogła być w środku. Albo Stacy i Shauna. Dobry Boże, nie... Wyglądało na to, że strażacy zwyciężą w walce z żywiołem. Udało im się powstrzymać ogień, co było nie lada wyczynem w tej dzielnicy sztuki, gdzie budynki stały ciasne jeden przy drugim. Zaparkowali, wysiedli z wozu i odszukali dowódcę straży.

- Czego się do tej pory dowiedzieliście? - spytała Patti.

- Cholernie mało. Wezwaliśmy śledczego. Ma tu przyjechać z Baton Rouge. - Czy w budynku ktoś był?

- Nie wiem. Kiedy tu przyjechaliśmy, było już za późno, żeby wejść do środka. To, co tam trzymali, błyskawicznie zajęło się ogniem.

Słabo jej się zrobiło, gdy pomyślała o tych wszystkich pięknych obrazach.

- Kiedy będziemy mogli wejść?

Ody tylko wygasimy ogień. Będziecie musieli włożyć kombinezony. - Oczywiście. Proszę dać mi znać. W jej stronę szedł funkcjonariusz z wysłanego przez nią patrolu.

- Znalazłem samochód Bensona.

- Gdzie?

- Na prywatnym parkingu po przeciwnej stronie ulicy.

- Świetnie. Spencer?

Razem poszli na parking. Policjant otworzył bramę pilotem, którego wziął od jednej z kobiet pracujących w budynku obok galerii.

Należący do Rileya nissan infiniti stał z tyłu. Nachylili się do okien.

- Jest pusty - powiedział policjant, jakby na potwierdzenie tego, co widzieli.

- Sprawdzałeś numery? - spytała.

- Tak, dzwoniłem do wydziału, żeby się upewnić. Pojazd jest

zarejestrowany na Bensona.

- Co o tym sądzisz? - Spojrzała na Spencera.

- Mógł tam być.

I mógł nie być sam.

Rozważyła wszystkie nasuwające się możliwości. Każda z nich była przerażająca. Wszystkie dotyczyły kobiet, które kochali.

Spojrzała na funkcjonariusza.

- Otwórz go.

- Kapitanie O'Shay! - rozległ się okrzyk dowódcy, z którym rozmawiali. - Ogień został ugaszony.

Skinęła głową i ponownie zwróciła się do policjanta.

- Przeszukajcie go. Czekam na informacje o wyniku. Razem ze Spencerem wrócili na tłoczę wciąż zgliszczu. Wiedziała, jak wygląda procedura. Śledczy będzie szukał źródła ognia, po czym określi, czy był to wypadek czy podpalenie. Jeśli uzna, że popełniono przestępstwo, na miejsce wejdzie policja. Nie miała żadnych wątpliwości, jak będzie brzmiało orzeczenie śledczego.

Spojrzała na Spencera.

- Może powinieneś poczekać tutaj?

- Jeszcze czego.

- Nie wiadomo, co tam...

- Znajdziemy? - zakończył za nią zduszonym głosem. - Myślisz, że tego nie wiem?

Zawahała się. Jako jego dowódca mogła mu kazać zostać przed wejściem, chociaż Spencer był tak uparty, że z pewnością przeciwstawiłby się takiemu poleceniu.

- No to wchodzimy.

Włożyli kombinezony, buty, maski i hełmy. Strój był nieporęczny i niewygodny, lecz Patti była zadowolona z tej ochrony, gdy po przekroczeniu progu uderzyły w nią fala gorąca i smród spalenizny.

Obiegła spojrzeniem wewnątrz. Mimo że ogień nie strawił wszystkiego, wszędzie pozostawił ślady. Piękne prace Shauny były zrujnowane. Niektóre całkowicie, inne tylko częściowo.

Żadna nie nadawała się do odratowania.

Czy to również miała być część jej kary? Patrząc na piękne dzieła

siostrzenicy zmienione w szerniałe rumowisko?

Wyglądało na to, że June zaczynała właśnie instalować nową wystawę. Kilka obrazów stało opartych pod ścianami, niektóre wisiały, niektóre zaś - sądząc po pustych miejscach na ścianach - zostały wyniesione.

Możliwe, że zostały zakupione i ich właściciele zdążyli zabrać je z galerii, pomyślała Patti z nadzieją.

- Kapitan O'Shay? - Jeden ze strażaków stanął w progu i wskazał wejście do magazynu galerii. - Mamy ofiarę.

Serce jej się ścisnęło. Nie chciała tego robić. I nie musiała. Nadal mogła odwrócić się i odejść, zostawić tę pracę ludziom z biura koronera.

Nie była pewna, czy potrafi znieść to, co może tam znaleźć.

Zerknęła na Spencera. Stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w poczerniałe wejście.

Będę musiała to znieść, zdecydowała.

Zmusiła się, żeby poruszać nogami. Powoli podeszła do strażaka. Ofiara leżała tuż za drzwiami. Ciało było szerniałe.

Zmumifikowane. Mimo to wciąż rozpoznawalne. To dziwne, jak ogień potrafi strawić ciało, pozostawiając niektóre fragmenty nietknięte. W tym przypadku nie tknął twarzy. Twarzy Riley'a Bensona.

Co to znaczy?

Podniosła oczy na strażaka.

- Tylko ten jeden?

- Tak.

- Jesteście pewni? Przeszukano już resztę pomieszczeń?

- Tak. Tylko ta jedna ofiara. Obok niej stanął Spencer.

- Boże Wszchemogący.

Spojrzała na niego. Miał łzy w oczach.

- Zawsze myślałem, że to dobry chłopak.

- Jeżeli to on jest sprawcą...

- To gdzie są kobiety?

Patti ponownie odwróciła się do strażaka.

- Czy to możliwe, że sam się zabił?

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. Bardzo niewiele osób wybiera ogień jako metodę samobójstwa. Znacznie częściej służy

on do ukrycia morderstwa.

To prawda. Wielu przestępców nie zdaje sobie sprawy, że zwykły, rozniecony w normalny sposób ogień nie osiąga wystarczająco wysokiej temperatury, aby spopielić ciało. Zwłoki są kremowane w mniej więcej sześciuset osiemdziesięciu stopniach. Natomiast w temperaturze trzystu siedemdziesięciu pięciu stopni płonęło ubranie, włosy, miękkie tkanki, a skóra kurczyła się, choć były dość częste przypadki, gdy całe fragmenty ciała pozostawały nienaruszone. Można było przeprowadzić autopsję i ustalić przyczynę śmierci.

Przykucnęła przy zwłokach, oglądając je na tyle, na ile było to możliwe bez dotykania ciała.

- Musimy wiedzieć, czy zginął w płomieniach, czy był już martwy. Anatomopatolog będzie mógł to ocenić, sprawdzając, czy płuca zawierają dym i sadzę.

- Zawiadomiono już koronera - poinformował ją Spencer.

Widziała po jego minie, że myślą o tym samym. To, jak zginął Riley, stanowiło zasadniczą różnicę dla śledztwa. Jeżeli został zamordowany, a pożar był próbą ukrycia zabójstwa, znaczyłoby to, że Riley nie był człowiekiem, którego szukali.

W takim razie kto nim był? I gdzie były kobiety?

Po wyjściu na ulicę Patti odkryła, że ma nieodebrane połączenie. Ze zmarszczonym czołem patrzyła na wyświetlacz. Znała ten numer na pamięć.

To był jej domowy telefon.

ROZDZIAŁ

SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Sobota 19 maja 2007 r.

13.20

Patti zostawiła Spencera na miejscu, żeby poczekał na ludzi z biura koronera. Nie powiedziała mu o tajemniczym telefonie.

Artysta. To był jego kolejny ruch, następna kara dla niej. A może należało powiedzieć, że to gra? Riley nie żył. A to pozostawiało jednego oczywistego podgrzanego.

Yvette.

Nie podobało jej się takie rozwiązanie. Chciała, żeby dziewczyna okazała się niewinna. Żeby prawdą były jej słowa, że jest ofiarą. Nauczyła się ją rozumieć i szanowała jej waleczność. Pod tą sarkastyczną, gniewną maską dostrzegała młodą kobietę, którą kiedyś bardzo zraniono. Która potrzebowała miłości i opieki. Nie w fizycznym, lecz emocjonalnym sensie.

Patti zatrzymała samochód przed domem. Może to wszystko prawda, jednak teraz miała do wykonania zadanie. Wyłączyła silnik i sprawdziła broń. Pełny magazynek, pocisk w komorze. Pistolet był załadowany i zabezpieczamy.

Otworzyła schowek i wyjęła kajdanki, które tam zawsze trzymała. Przyczepiła je do paska, wysiadła z wozu i ruszyła w stronę drzwi. Czy Yvette ją obserwuje? Czy będzie zaskoczona, gdy przedstawi jej dowody? Czy nadal będzie próbowała odgrywać niewinną ofiarę?

A może to była następna okrutna niespodzianka? Poczwała ucisk w piersi. Może znów czeka na nią turystyczna lodówka? Albo coś jeszcze gorszego?

Drzwi były zamknięte. Tak cicho, jak tylko można wsunęła klucz do zamka i przekręciła. Zapadka odskoczyła. Wyciągnęła z kabury glocka i powoli otworzyła drzwi.

Nie było żadnej niespodzianki. Na razie.

Z pistoletem w rękach weszła do środka. Z tyłu domu dobiegał jakiś szeleszczący dźwięk. Puls jej przyspieszył. Mocniej zacisnęła palce na glocku i bezszelestnie ruszyła do przodu. Dom znała jak własną kieszeń, więc bez trudu unikała trzeszczących desek.

Dotarła do drzwi kuchni i zatrzymała się. Serce jej zamarło. Aż do tej chwili łudziła się nadzieją, że popełnia błąd i Yvette faktycznie jest ofiarą.

Ale nie była.

Stała teraz przy kuchennej szafce, plecami do drzwi. Ubrana była w T-shirt i spodnie dresowe, które Patti rozpoznała jako swoje.

- Witaj, Yvette.

Młoda kobieta odwróciła się z okrzykiem. Puszka wyskoczyła jej z ręki i wylądowała na ziemi. Coca-cola polalała się po podłodze.

- Patti! Dzięki Bogu, że... - Jej spojrzenie padło na pistolet, oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia. - Co ty robisz?

- To chyba ja powinnam cię o to spytać? Co ty tu robisz? W moim domu?

- Próbuję pomóc. Dlaczego celujesz do mnie z pistoletu?

- Myślę, że wiesz.

- Nie, nie wiem! Postradałaś zmysły?

Oparła się plecami o szafkę. Patti dostrzegła, że przygotowywała sobie kanapkę z masłem orzechowym.

- Gdzie one są? - spytała.

- Kto? Stacy...

- I Shauna. I moja przyjaciółka June.

- Siostra Riley? Skąd miałabym... Nie wiem!

- Czekać, bo uwierzę.

Słyszając jej kpiący ton, Yvette wyciągnęła dłoń i spojrzała na nią błagalnie.

- Wróciłam, żeby ci pomóc. Odnaleźć Stacy i Shaunę. Mogłam już być w Houston.

- Tak całkiem bezinteresownie? Faktycznie przypomina to Yvette Borger, jaką znam.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami, ale na Patti nie zrobiło to wrażenia. Uśmiechnęła się posępnie.

- Pewno zamierzasz mi powiedzieć, że Artysta cię złapał, a ty mu uciekłaś?

- Tak! Miałam wyjechać z miasta... ale zobaczyłam gazetę.

Przeczytałam o Stacy i Shaunie i...

- Wróciłaś, żeby pomóc? - Patti uniosła brwi. - Tak po prostu?

- Tak.

Roześmiała się. Miała ściśnięte gardło, więc dźwięk był zduszony.

- Obie wiemy, że to bzdura. Teraz ja ci powiem, co się wydarzyło.

W czwartek wieczorem wymknęłaś się z „Hustle”. Wszystko wcześniej przygotowałaś. Byłaś wściekła na mnie, że cię przesłuchiwałam i wątpiałam

w twoje słowa. Postanowiłaś mnie ukarać, krzywdząc ludzi, których kocham Shaunę. Stacy. A teraz June.

- To jakiś obłąd! - krzyknęła Yvette. - Dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Wykorzystałaś Rileya, by spotęgować wrażenie, że zostałaś uprowadzona. Czy on cię rozszyfrował, Yvette? Przyłapał cię na gorącym uczynku?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Czy dlatego go zabiłaś? Wiedział, co zrobiłaś? Yvette zbladła.

- Co?

- Zabiłaś Rileya i próbowałaś to ukryć, podpalając galerię.

Yvette chwyciła się szafki, żeby zachować równowagę.

- Proszę, nie... Riley nie może...

- Czy dlatego włożyłaś moje rzeczy? Twoje są zakrwa...

- Nie! Mój Boże, nigdy bym nie...

- Możesz trochę poprawić swoją sytuację. Powiedz, gdzie są Stacy, Shauną i June.

Nogi Yvette najwyraźniej odmówiły posłuszeństwa, bo opadła na podłogę.

- Riley miał się ze mną spotkać - szepnęła. - Wiedziałam, że chcesz wszystko na mnie zwalić, więc zadzwoniłam do niego.

- Mów dalej.

- Wszystko zaplanowałam. Ukryłam ubranie i portfel przy tylnym wyjściu. Postanowiłam wyjść tuż po występie. Wiedziałam, że nikt nie będzie nic podejrzewał.

Łzy popłynęły jej po policzkach, więc otarła je dłonią.

- Wymknęłam się do zaułka i on tam na mnie czekał. Artysta.

Patti jęknęła z rozpaczą. Miała nadzieję, że wysłucha przyznania

się do winy.

- W pierwszej chwili nie zorientowałam się. To był ten włóczęga... Często się tam kręcił. Kiedyś poszedł za mną aż do domu...

Odchrząknęła, próbując odzyskać głos.

- Gapił się, więc wrzasnęłam na niego i wtedy... zaatakował mnie. Patti musiała przyznać, że brzmiało to przekonująco. Cóż, to najwyraźniej był znak firmowy Yvette.

- Co stało się potem?

- Nie wiem. Ja...

- Zaczynasz kręcić. I to w momencie, gdy już gotowa byłam uwierzyć w te banialuki.

- To wszystko prawda! Ocknęłam się w jakimś miejscu... Nie wiem, gdzie to było. Byłam brudna i... wtedy przypomniałam sobie, co się stało.

- Kiedy to było?

- Wczoraj, w środku nocy.

- To pierwsza rzecz, jaką pamiętasz?

- Nie całkiem. Wiedziałam, że kilka razy odzyskiwałam i traciłam świadomość. Może mnie czymś nafaszerował, nie jestem pewna. Kiedy schowała twarz za podciągniętymi kolanami, Patti zaczęła się zastanawiać, czy próbuje się opanować, czy ukryć uśmiech.

- Ktoś do mnie mówił. Chyba to była kobieta. Mówiła mi, żebym uciekała. Ratowała się.

Patti przypomniała sobie słowa psychologa. „Dzieci, które przeżyły traumę lub były napastowane, czasami odcinają się od tych wspomnień. W ten sposób mogą odzyskać wolność, a także stworzyć nową historię. Stać się częścią urojonego życia lub związku.”

- I jak udało ci się uciec?

- Byłam w jakimś pomieszczeniu zabitym deskami. Panowały tam całkowite ciemności. Potknęłam się, skaleczyłam się w kolano i zraniłam o wybitą szybę.

- Zabite deskami okno i wybita szyba? Yvette popatrzyła na nią z udręką.

- Tak! Spójrz...

Odwinęła prowizoryczny opatrunek i pokazała głębokie skaleczenie.

- I jeszcze tu.

Ostrożnie podciągnęła spodnie. Faktycznie, kolano było mocno podrapane. Wydawało się brudne.

- Powinnaś to oczyścić - powiedziała Patti. - Może wdać się zakażenie.

Widząc, jak oczy dziewczyny wypełniają się łzami, Patti zaczęła się wahać. Nie była już taka pewna swoich racji. Budziło to jej złość, lecz podeszła do szafki, gdzie trzymała apteczkę.

Nie spuszczać wzroku z Yvette, wyjęła zestaw pierwszej pomocy i podała go dziewczynie.

- Masz tu wszystko, co potrzebne.

Yvette skinęła głową i otworzyła apteczkę. Patti przyglądała się, jak oczyszcza ranę.

- No więc jak uciekłaś?

- Domyśliłam się, że skoro kobieta ponaglała mnie do ucieczki, musiała zostawić jakieś wyjście. - Posmarowała kolano maścią antyseptyczną i przykryła je opatrunkiem. - Drzwi były otwarte. Ciekawe, pomyślała Patti. Kobieta, która każe jej uciekać, a w dodatku zostawia otwarte drzwi. Domyślała się, kto mógł być tą kobietą: sama Yvette.

- Czy przyszedłbym tutaj, gdybym była winna? Po co dzwoniłabym do ciebie?

Patti nie odezwała się.

- Moje ubranie tu jest. Zobaczysz...

- Pokaż. - Patti wskazała na schody i ruszyła za nią, trzymając ją na muszce.

Rzeczywiście w sypialni na podłodze leżały wymięte, brudne rzeczy Yvette. Legginsy były podarte na kolanie, elastyczna różowa koszulka miała krwawe plamy.

- Widzisz? Mówię prawdę. - Yvette podniosła ubranie i zaraz rzuciła je z powrotem na podłogę. - Mogę cię zaprowadzić.

Możliwe, że tam jest Shauna. I Stacy... - Mówiła chaotycznie. - Po prostu biegłam przed siebie. Byłam tak potwornie przerażona. A jeśli ona faktycznie mówi prawdę? — przemknęło Patti przez myśl.

Poczuła wibrowanie komórki. Nie odebrała jednak, tylko sięgnęła po kajdanki.

- Co ty...

Zapięła kajdanki na prawej ręce dziewczyny, potem na lewej.

- Patti, proszę! Ja...

- Poczekaj, aż odbiorę telefon - powiedziała i rzuciła do komórki: - O'Shay.

Okazało się, że dzwoni Spencer.

- Ciociu Patti. Jest ze mną Ray Hollister. Potwierdził, że Riley został zastrzelony. Dostał dwie kule.

- Zrobił to sam?

- Mówi, że raczej nie, sądząc po otworach wlotowych. Autopsja to wyjaśni, ale Ray jest przekonany, że Riley nie żył, kiedy ogień go dosięgnął.

- Co prawdopodobnie znaczy, że nie był naszym człowiekiem.

- Jednak mógł wiedzieć, kto nim jest.

- Właśnie. Spróbujmy ustalić, czy został zabity w galerii, czy ciało tam przeniesiono.

- Rozumiem. - Urwał. - Gdzie jesteś?

- U siebie w domu.

- W domu? Co...

- Muszę już kończyć. Informuj mnie na bieżąco.

- Rozmawiałaś o Rileyu, prawda?

Yvette zadała to pytanie zdławionym głosem. Wyglądała teraz, jakby jej świat się skończył.

Patti przyglądała się jej uważnie. Riley'a zabito dwoma strzałami.

Jego ciało zostało znalezione wśród zgliszczy spalonej galerii.

Nadal nie było nic wiadomo o trzech kobietach: Shaunie, Stacy i June.

Riley. Galeria.

I nagle zrozumiała. To nie mieściło się w głowie. Powstrzymała jęk niedowierzania. I rozpaczy,

Riley rzeczywiście zaskoczył mordercę. Zabójcę, który był związany z zaginionymi kobietami. A także z Riley'em i galerią. Z czarno-białym shih tzu i „Doskonałym Psiakiem” Raya. Zabójcę, którego nikt by nie podejrzewał - któremu każdy by uwierzył, także ona.

Tym zabójcą nie była Yvette Borger.

Była nim June Benson.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Sobota, 19 maja 2007 r.

14.35

Spencer gwałtownie skręcił na podjazd przed domem Patti i ostro zahamował. Nie wyłączając silnika, wyskoczył z samochodu i popędził do drzwi. Patti rozmawiała z nim jakoś dziwnie. A poza tym nie było żadnego powodu, żeby wracała do domu.

Kiedy to wszystko do niego dotarło, zadzwonił do niej ponownie. Potem jeszcze kilka razy. Nie odbierała telefonu.

Zostawiła go na miejscu zdarzenia, powiedziała, że każe się odwieźć do komendy radiowozem. Więc jak to się stało, że przyjechała tutaj?

A co ważniejsze: dlaczego?

Usiłował przypomnieć sobie, co robiła, zanim odjechała spod galerii.

Sprawdzała swoją komórkę.

Zaczął walić do drzwi.

- Ciociu Patti! To ja, Spencer. Otwórz!

Nie odpowiadała, więc sprawdził drzwi, ale były zamknięte.

Potem obszedł budynek. Na tyłach domu

zauważył wybite okno. Ktoś, kto zbił szybę, najwyraźniej właśnie tędy dostał się do środka. Wchodząc, musiał się skaleczyć, bo na szkle i wewnętrznym parapecie były ślady krwi.

Nacisnął klamkę, ale tylne drzwi również były zamknięte, więc odsunął się trochę i otworzył je kopnięciem.

- Przepraszam, ciociu - mruknął i wszedł do środka.

W kuchni było trochę nieporządku. Na szafce ktoś przygotowywał sobie kanapkę. Masło orzechowe, do połowy wypita cola.

Wyglądało na to, że trochę wylało się na podłogę.

Przeszedł do salonu, potem do sypialni. Tu na podłodze leżał stos porzuconych ubrań. Były brudne. I poplamione krwią.

Wpatrywał się w te plamy, czując, że kręci mu się w głowie. Boże, tylko nie ciocia Patti. To nie może być ona.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko, próbując oczyścić umysł.

Musiał się przez chwilę zastanowić.

Wyciągnął chusteczkę higieniczną i podniósł jedno z ubrań.

Legginsy. Niewyobrażalnie małe. Rozmiar zero albo coś w tym stylu. Ciocia Patti była szczupła, ale to było maleńkie.

Ubranie Yvette.

Cuchnęło. Zmarszczył nos. Tylko czym...

Po chwili już wiedział. Pleśnią i stęchlizną. Zniszczenia po klęsce.

Tak właśnie przez rok cuchnęło całe miasto. Nadal były miejsca, które tak...

Lower Ninth. Uliczki odchodzące od St Bernard. A to sukinsyn.

Wyciągnął komórkę z futerału i wybrał numer To-ny'ego.

- Wiem, gdzie są - powiedział, kiedy partner odebrał. - Lower Ninth. Zbierz ludzi...

- Co z panią kapitan?

- Zniknęła. Albo z Yvette, albo z Chirurgiem.

- Przecież to nie ma sensu.

- Nie będę ci teraz tłumaczył. Zmontuj ekipę. Lower Ninth.

- Czekaj! To wielki obszar, Bystrzaku. Gdzie ci ludzie mają jechać?

- Tam, gdzie znaleźliśmy ciało Messinger. Ja już tam ruszam.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Sobota, 19 maja 2007 r.

14.50

Patti wjechała na długi, wysypany żwirem podjazd, który skręcał łagodnym łukiem. Okolica była piękna: łagodnie pofałdowane wzgórza, jaskrawozielone pastwiska, stare dęby, klony i derenie, bujna, zadbana roślinność.

Folsum. Kraina koni w stanie Luizjana. Miejsce, gdzie grano w polo, hodowano konie czystej krwi, gdzie mieszkali bogacze.

- To nie to - wybuchnęła Yvette. - Nie to.

Patti pominęła milczeniem słowa dziewczyny. Prawdę mówiąc, ignorowała ją przez całą godzinę, którą spędziły w drodze. W końcu Yvette dała za wygraną i przysnęła.

W tym momencie ukazał się dom. Szeroki, typowy dla południa, białe z czarnymi okiennicami i gankiem ciągnącym się wzdłuż całej frontowej ściany, pod którą stały białe bujane fotele.

Odwiedziny w Mimosie, jak nazywał się ten wiejski dom Bensonów, były jak podróż w przeszłość. Do miłej, nieskomplikowanej epoki.

Patti zawsze uważała, że jest to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi- Przyjeżdżała tu, żeby wypocząć. Aż do dzisiaj.

- Nie rozumiem, po co tu przyjechałyśmy.

Patti także nie była tego pewna. To, co myślała, zaprzeczało wszelkim prawom logiki. Właściwie wszystkim, co wiedziała na temat swojej najstarszej i najdroższej przyjaciółki.

- To wiejski dom June - powiedziała, zatrzymując samochód przed domem. - Muszę sprawdzić swoje przeczucie.

Więcej niż przecucie. Raczej potworny, gorzki strach.

Yvette wyciągnęła rękę, potrząsając kajdankami.

- Zdejmiesz mi je?

- Nie, dopóki nie będę pewna, że mogę ci ufać.

- Nie! Proszę...

Patti otworzyła drzwiczki i wysiadła.

- Czekaj tu - poleciała i zanim Yvette zdążyła zaprotestować, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła w stronę domu

Żwir chrząścił jej pod stopami, a serce mocno waliło w piersi.

To nie może być prawda. June była jej najlepszą przyjaciółką.

Chyba traci zmysły, skoro w ogóle coś takiego bierze pod uwagę.

Śmierć Sammy'ego i stres po Katrinie wreszcie ją wykończyły.

Z kabury pod pachą wyciągnęła glocka.

Wszystkie ślady prowadziły prosto do June. Riley. Galeria. Max.

June była ostatnią osobą, która zniknęła.

Weszła do środka i z holu przeszła do wielkiego salonu. Wszystko wyglądało nienagannie, jak zwykle. W powietrzu roznosił się zapach kwiatów i cytrynowej pasty. Plamy słońca stwarzały ciepłą, przyjazną atmosferę.

June weszła przez drzwi z patio i stanęła jak wryta. W ręku niosła duży kosz świeżo ściętych kwiatów. Policzki miała zaróżowione od panującego na zewnątrz ciepła.

- Patti! Co ty tutaj robisz?

- Szukam ciebie.

- Mnie? Nie rozumiem.

- Nie odbierałaś komórki.

- Chciałam trochę uciec... Byłam bardzo zestresowana. I

przygnębiona. Riley doprowadza mnie do szału... - Zmarszczyła brwi. - Patti, po co ci ten pistolet?

- Myśleliśmy, że zostałam uprowadzona. - Podeszła kilka kroków.

- Uprowadzona? - June roześmiała się. - Co za głupota.

- Zostawiłaś Maksa samego w domu.

- Skądże. Riley się nim zajmuje.

Tyle że Riley nie żył. Został zamordowany. June pokręciła głową, zamknęła drzwi na patio i weszła do środka.

- Może przygotuję mrożoną herbatę? Nie musisz natychmiast wracać do miasta, prawda?

Czy to możliwe, że ona nic nie wie?

- Patti? Jakoś dziwnie się zachowujesz?

- Muszę przeszukać dom, June.

- Przeszukać... To jakieś szaleństwo. Nie rozumiem.

- Przykro mi, ale był... wypadek.

- Wypadek? - powtórzyła June niepewnie. Chwyła mocniej rączkę kosza. - Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Riley nie żyje. Galeria...

June podniosła wzrok. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ty tutaj?! - krzyknęła. - Patti, uwa...

Patti obróciła się gwałtownie. W progu stała Yvette. W jej spojrzeniu pojawiło się zdziwienie, a chwilę później strach.

Patti zrozumiała swój błąd, ale już było za późno. June rzuciła się na nią i wbiła jej w plecy sekator.

Przejmujący ból rozszedł się po całym ciele. Usłyszała krzyk.

Uświadomiła sobie, że to był głos Yvette. Upadła na kolana, a potem poleciała do przodu, uderzając głową o stolik do kawy.

I nagle wszystko ogarnęła ciemność.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Sobota, 19 maja 2007 r.

16.55

Spencer walczył ze zniechęceniem. Tony zorganizował duży zespół ludzi. Wielu było po służbie, ale zgodzili się poświęcić wolny czas. Ustawili się półkolem, traktując miejsce, gdzie znaleziono ciało Messinger, jako punkt wyjścia.

Dzień był gorący, a to była brudna robota. Atmosfera w budynkach stała się prawie nie do zniesienia: duchota, zapierający dech upał i smród. Myśl o tym, że Stacy lub Shauna są gdzieś tam uwięzione, prawie go obezwładniała.

Byli tu już od ponad godziny. Po zachodzie słońca aż do rana nie będą w stanie nic zdziałać.

A jeśli przeczucie go myliło? Stacy i Shauna mogły być gdziekolwiek, w Chalmette lub Plaquemines czy nad zatoką. Albo równie dobrze gdzieś na wysokich przedmieściach, które w czasie powodzi nie widziały nawet kropli wody. Może być, że wykonują całkiem bezsensowną robotę.

Tereny miasta wraz z przedmieściami były zbyt rozległe, nawet gdyby cała policja zgłosiła się do poszukiwań.

- Detektywie! Coś tu mamy!

Wolanie dobiegło z budynku kilka domów dalej.

- John! - krzyknął Spencer, puszczając się biegiem. Z walącym sercem wpadł do dwupiętrowego domu.

Wyglądało na to, że na parterze był narożny sklep, a nad nim kilka mieszkań. Kiedyś prawdopodobnie mieszkali tam właściciele. Taki miejscowy sklepik, do którego wpada się po sąsiedzku.

Policjant, który dokonał odkrycia, przywołał go do siebie i wskazał pomarańczowy znak wymalowany na ścianie w pobliżu drzwi.

Spencerowi ze strachu zakręciło się w głowie.

Rozprysk krwi. Bez wątplenia po strzale. Opuścił spojrzenie.

Krwawy ślad prowadził aż do wyjścia. Urywał się na ulicy.

Prawdopodobnie zrobiony był przez ofiarę, którą ktoś ciągnął do samochodu.

Poczuł, że za nim staje zdyszany John. Słyszał, jak przeklina.

Ofiara. Kim była?

- Na dole jest czysto - powiedział funkcjonariusz w mundurze. — Na wyższy poziom nie ma wejścia.

Jednak policjant się mylił. Po obu stronach budynku były

metalowe schody, które prowadziły na drugie piętro.

Sięgnął po te z prawej strony, John podszedł do drugich.

- Stacy! - krzyknął, gdy znalazł się na schodach. - Shauna! - Metal trzeszczał pod jego ciężarem.

Zawołał ponownie. Słyszał, że brat robi to samo. Wrzaski ściągnęły zespoły, które znalazły się w zasięgu głosu.

Spencer dotarł do drzwi i stanął jak wryty. Zamknięte na kłódkę.

Nową, błyszczącą. Co aż tak cennego mogło być tutaj, w powstałym po

- Są tutaj! - ryknął, wyciągając pistolet. - Stacy, Shauna! Jeśli mnie słyszycie, odsuńcie się!

Oddał trzy strzały, które rozwaliły kłódkę. Kopnął drzwi. Światło rozproszyło ciemności i padło na Stacy i Shaunę. Związane, zakneblowane... ale żywe.

Z okrzykiem ulgi wpadł do pokoju. Tuż za nim biegł John.

Spencer rzucił się do Stacy i wyjął jej knebel. Chwyliła gwałtownie powietrze i zanosła się kaszlem.

- Niech ktoś tu przyjdzie! - zawołał, odrywając taśmę, którą miała skrępowane ręce. Słyszał, że John to samo robi z Shauną. -

Potrzebna woda!

Chwilę później któryś z kolegów podał mu butelkę. Natychmiast przytknął ją do ust Stacy.

Kiedy już zaspokoiła pragnienie, przesunął dłońmi po jej twarzy i ramionach, upewniając się, czy nic jej nie jest.

- Jesteś ranna? Czy coś ci zrobił?

- N... nie...

- Dzięki ci, Boże... Dzięki ci, Boże... Myślałem już, że cię straciłem. Ja... - Głos mu się załamał.

- Muszę... - Próbowała coś powiedzieć, a z jej gardła wydobywał się chrapliwy szept. - Muszę ci powiedzieć...

- Ja też cię kocham, Stacy. Byłem takim idiotą. Ja... Powstrzymała go, kładąc palec na jego wargach.

- Kocham cię - wychrypiła. - Ale to nie... To June - wykrztusiła wreszcie. - June Benson jest Chirurgiem

ROZDZIAŁ

SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Sobota, 19 maja 2007 r.

17.10

Patti odzyskała przytomność. Leżała na boku na podłodze. Cierpiała. Próbowała się poruszyć i jęknęła, gdy ból przeszył całe jej ciało.

- Dzięki Bogu. Bałam się, że umierasz.

Yvette. Patti rozchyliła powieki, Kiedy już odzyskała ostrość widzenia, rozejrzała się po pomieszczeniu.

Łazienka. Luksusowa. Wielka wanna. Marmurowa.

Skupiła wzrok na Yvette. Dziewczyna wciąż miała na rękach kajdanki. Nogi w kostkach okręcone były taśmą.

- Gdzie... ona jest?

- Nie wiem. - Yvette wciągnęła powietrze. Słysząc było, jak powstrzymuje łkanie. - Kiedy cię uderzyła, próbowałam pobiec po pomoc, ale nic dotarłam daleko... Upadłam, a z kajdankami...

Nie mogła się podnieść wystarczająco szybko.

- Ma twój pistolet. Powiedziała, że mnie zastrzeli. June... Najlepsza przyjaciółka. Zaufana powierniczka.

Jak to możliwe?

Patti przypomniała sobie cały ciąg wydarzeń: odwróciła się tyłem, June wbiła jej w plecy nożyce, potem przejmujący ból, upadek, którego nie zdołała kontrolować, uderzenie głową o stół, utrata przytomności.

- Bardzo ze mną źle? - spytała. Oczy Yvette wypemity się łzami.
- Chyba bardzo. Te nożyce... wciąż je tam masz.
- W plecach? Dziewczyna skinęła głową.
- Jak głęboko?
- Wydaje mi się, że bardzo...

Patti zaczerpnęła powietrza, walcząc z zawrotami głowy.

Najwidoczniej June nie uszkodziła żadnego ważnego organu, ale gdyby prosiła Yvette o usunięcie sekatora, mogłaby pogorszyć sprawę.

Yvette podsunęła się w jej stronę.

- Co mogę zrobić? Patti zacisnęła wargi.
- Przepraszam, że cię podejrzewałam.
- Zachowywałam się jak głupi bachor... Wcale cię nie winię.
- Musimy się stąd wydostać.
- Próbowałam. Stąd nie ma wyjścia.
- A okno?
- Szklane pustaki. Jedne drzwi, zamknięte od zewnątrz.
- Próbowałaś je wykopać?
- Bałam się, że mnie usłyszysz i się wściekniesz. Rozwścieczenie June mogło się fatalnie skończyć.

Miała glocka. Z pewnością również broń, z której zabiła Riley'a i Messingera, a prawdopodobnie także Marcusa Gabrielle'a. Bez wątplenia gdzieś tutaj ukrywała także jakieś piły do cięcia kości. Yvette rozplakała się.

- Nie chcę umierać.
- Nie umrzesz. W każdym razie dopóki ja mam coś tutaj do powiedzenia.
- Ale nie masz, Patti - powiedziała June, otwierając drzwi.

Patti spostrzegła, że faktycznie miała glocka. A magazynek był pełny. I sama wprowadziła nabój do komory.

- Przykro mi - mówiła June. - Naprawdę. Jesteś moją przyjaciółką.
- Przyjaciółką? - powtórzyła Patti. - Nazywasz to przyjaźnią?
- Wtrąciłaś się w moje sprawy. Moje prywatne sprawy.
- Zabiłaś Riley'a! - krzyknęła Yvette. - Jak mogłaś...

- Wszedł mi w drogę. Zaczął węszyć. A miara się przebrała, gdy pozwolił ci uciec.

- Pozwolił uciec? To on...

- Otworzył drzwi, zgadza się.

- Ostrzegł mnie - szepnęła. - Powiedział, że chcesz... zabić...

Łzy nie pozwoliły dziewczynie mówić dalej. Patti przejęła inicjatywę.

- Czy Riley brał w tym udział?

- Riley? Pan Nieudolny? Nie. Lecz z jakiegoś powodu zaczął coś podejrzewać. Uczciwie mówiąc, zupełnie nie wiem dlaczego. A potem zaczął zadawać się z Yvette. Z moją żoną. Moją!

- Był twoim bratem. Zabiłaś własnego brata.

June popatrzyła na nią. Jej twarz wyglądała teraz strasznie. Wręcz karykaturalnie.

- On nie był moim bratem. Był moim synem. Jej słowa odebrały im dech.

- Synem? Jak...

- Rodzice wysłali mnie z domu do szkoły z internatem. Tak to kiedyś robiono. Aborcja oczywiście w ogóle nie wchodziła w rachubę. Dobry katolik nigdy by czegoś takiego nie popełnił. Zresztą mama chciała mieć jeszcze jedno dziecko. Udawała więc, że jest w ciąży. Nikt nie podejrzewał, że to oszustwo. Ludzi, którzy mieszkają w rezydencjach Dzielnicy Ogrodów, nigdy się o nic nie podejrzewa. Wiadomo, że są prawymi i praworządnyymi obywatelami.

Jak widać potrafiła dobrze wykorzystać tę naukę.

- Miałam piętnaście lat, kiedy się urodził. Nie wolno mi było nawet wspomnieć o tym, co się stało, nie wolno mi było mówić o nim inaczej jak o swoim bracie.

- Czy Riley...

- Wiedział? - Pokręciła głową. - Dałam mu wszystko, poświęciłam mu swoje życie. A on zrobił mi coś takiego.

Patti ze zgrozą patrzyła na przyjaciółkę. Szokowało ją tak wypaczone spojrzenie na rzeczywistość. Ona go zabiła, ale to on wyrządził jej krzywdę?

- A jego ojciec - spytała. - Co z nim?

- Chcesz powiedzieć: nasz ojciec.

Patti osłupiała. Poczwała, że robi jej się niedobrze.

- Nie przesłyszałaś się. Mieliśmy z Rileyem tego samego ojca. Zgwałcił mnie. Oczywiście nie jeden raz.

Jej niechęć do mężczyzn. Nieufność, którą przecież tak często ujawniała.

- Mama domyślała się, ale udawała, że nic nie zauważa. W końcu zresztą dostała to, czego pragnęła. Zwolnienie z obowiązków małżeńskich i syna.

Gdyby coś wiedziała, możliwe, że zdołałaby jakoś pomóc June...

- Tak mi... przykro, June. Mogłaś powiedzieć... Ktoś wysłuchałby ciebie, uwierzyłby...

Roześmiała się nieprzyjemnie.

- Może w twoim świecie. Nie w moim.

Patti podźwignęła się do pozycji siedzącej. Z bólu omal nie straciła przytomności.

- Potrzebna ci pomoc - powiedziała z trudem. - Mogę ci ją zapewnić.

- Nie. Pomoc mi była potrzebna, gdy miałam czternaście lat. Teraz już nic mi nie jest. Nad wszystkim panuję. Sama. Teraz mam władzę.

- Daje ci ją zabijanie ludzi?

- Ci, którzy mnie zdradzili, zasłużyli na to. Ty mnie zdradziłaś, Patti. Staneś po jej stronie.

- A co z Shauną i Stacy?

Przez chwilę jej twarz wydawała się zupełnie bez wyrazu, zaraz jednak potrzęsnęła głową.

- To było takie proste. Zadzwoiłam do Shauny, powiedziałam, że pewien kolekcjoner chce spotkać się z nami w galerii, a ja jestem tuż obok, więc mogę po nią podjechać. Ze Stacy było podobnie.

Uśmiechnęła się, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

- To ci się spodoba. Powiedziałam jej, że masz załamanie nerwowe i prosisz, by do ciebie przyjechała. Nikt inny, tylko ona.

Wiedziałam, że nikomu nic nie zdradzi, bo będzie chciała cię chronić. Genialne, nie uważasz?

- Moim zdaniem trochę ryzykowne. A gdyby powiedziała kapitanowi? Lub zadzwoniła do Spencera?

- Ale nie zrobiła tego. Na tym zresztą polega sekret Rozumiem

ludzi i ich zachowania. Mogę przewidzieć, jak zareagują.

- Jesteś bardzo sprytna, co?

Jej zadowolona z siebie mina mówiła sama za siebie.

- Wiesz co jest twoim problemem, Patti?

- W tym momencie? Powiedziałabym, że ty. - Masz zbyt zawężony kąt patrzenia na sprawy. Mogę być, kim i czym tylko zechcę. Starą lub młodą kobietą. Bogaczką lub włóczęgą, który mieszka w kartonie. Kobietą albo mężczyzną, który przesyła miłosne liściki do striptizerki.

W jaki sposób? Wkładasz perukę? Męskie ciuchy? I znów patrzysz na to w ograniczony sposób. Trzeba odpuścić, i już się tym stajesz. W głowie zabrzmiały jej słowa doktor Lucii Gonzales o tragediach przeżytych w dzieciństwie. O tym, jakie pęknięcia mogą spowodować w psychice, sprawić, że człowiek zaczyna tworzyć alternatywne osobowości.

Patti uświadomiła sobie, że w tym przypadku nie chodziło o zaburzenia dysocjacyjne tożsamości. Alternatywne osobowości nie próbowały odebrać władzy swojemu „gospodarzowi”. June całkiem świadomie postanowiła być kimś innym.

„Umysł ludzki jest w stanie stworzyć wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.”

- Dlaczego, June? Dlaczego dziewczyny? I po co ucinałaś im ręce?

- Dziewczyny były słabe. Nie zasługiwały na moją miłość. Wciąż tego dowodziły. Ale z początku... wydawały się tak pełne życia i nadziei, tak wiele myślały o przyszłości.

Ojciec June pozbawił ją dzieciństwa. Ograbił ją z przyszłości.

Rysy jej twarzy zmiękły. - Moje muzy. Inspirują mnie. Dzięki nim mogę wznosić się na wyżyny. Uwierzyć w miłość i szczęśliwe zakończenie.

Kątem oka Patti spostrzegła, jak Yvette powoli otwiera jedną z szafek. Pewno szukała czegoś, co uda się wykorzystać do walki.

Grzeczna dziewczynka.

Należało zachęcać June do mówienia. Powinna myśleć tylko o sobie.

- A potem cię zdradzają.

Jej rysy znów się zaostrzyły. - Właśnie, zdradzają. Dostrzegam, że są słabe. I wulgarne.

Tak jak ty okazałaś się słaba? - spytała łagodnie. - Gdy ojciec cię molestował?

Przez krótką chwilę June miała zdumioną minę, po czym jej policzki pokryły się ciemnym rumieńcem.

- Nie - warknęła. - Ja je kochałam. A one mnie zdradziły. - A Sammy?

- Straszny błąd. Tragedia. Wszedł, żeby sprawdzić, czy do domu nie włamali się szabrownicy. Przyłapał mnie w chwili, gdy odjeżdżałam z moją słodką Jessica. Pojechał za nami. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka byłam zdenerwowana. Jechałam przed siebie, licząc na to, że zrezygnuje. Ale nie, Sammy nie mógł odpuścić. Dał mi znak, żebym zjechała na bok. Pomyśl tylko. - Pochyliła się do przodu, jakby wciąż ją to zdumiewało. - Po to tylko, by mi powiedzieć, że bagażnik nie jest domknięty.

- Wjechałaś w Audubon Place. Wokół nie było żywej duszy.

- Tak. Robiło się już późno. Wszyscy się ewakuowali. Wsiadłam z samochodu, ukryłam drąg... to znaczy to anlywłamaniowe urządzenie, za plecami. I uderzyłam go nim.

Patti słuchała jej ze zgrozą. Próbowała sobie wyobrazić, jaka była ostatnia myśl Sammy'ego.

- Musiałam to zrobić. Musiałam go zastrzelić. Nie chciałam tego, naprawdę. Kochałam Sammy'ego.

Kłamiesz! - chciała krzyknąć Patti. Nie mogła kochać Sammy'ego. Nie zabiłaby go, gdyby tak było.

Jednak oskarżanie szaleńca mogło tylko pogorszyć jego stan, a obie z Yvette znalazły się w wystarczająco trudnym położeniu.

- A Tonia? - odezwała się Yvette. Jej głos zabrzmiał silniej niż poprzednio. Patti spostrzegła, że szafka jest już zamknięta, a ręce dziewczyny są dziwnie ułożone.

June przeniosła na nią spojrzenie.

- Tonia nie była twoją przyjaciółką. Próbowała mnie szantażować. Wcale nie dbała o ciebie, chodziło jej tylko o pieniądze. Głupia dziwka.

- Więc ją zabiłaś. I odrąbałaś jej dłoń.

- Tak. Zaczepiła mnie w „Hustle”. Poszłam tam po wernisażu Shauny. Rozgniewało mnie to, że flirtowałaś z Rustonem. A potem

wyszła z Rileyem.

Patti poruszyła się i skrzywiła się z bólu.

- Użyłaś lewej ręki, żeby nas zmylić. Spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Wcale nie. Tonia nie zasłużyła na uprzejmość. Na czułość i ostrożność. Takie uczucia rezerwuję dla moich słodkich dziewczynek. Wzięłam jej dłoń, bo miałam okazję. Pomyślałam też, że może mi się przydać. I miałam rację, jak zwykle.

Patti z całych sił starała się ukryć przerażenie i odrazę.

- Ty byłaś tą ciemnowłosą kobietą, którą sąsiadka widziała odjeżdżającą z Tonia?

- Owszem. Jedna z wielu moich ról. Uśmiechnęła się i odwróciła w stronę Yvette.

- A Marcusa zabiłam, bo skrzywdził ciebie. Zrobiłam to dla ciebie, moja słodka Yvette. Wszystko dla ciebie.

- Nie wiedziałam - szepnęła Yvette. Głos jej drżał, a oczy wypełniły się łzami. - Myślałam, że jesteś jak wszyscy inni. Ci, którzy mnie ranili

Patti obserwowała tę scenę z bijącym sercem. Nie miała pojęcia, co Yvette kombinuje. Modliła się tylko, żeby jej plan wypalił, bo czasu było coraz mniej.

- Jesteśmy podobne do siebie - szeptała dziewczyna. - Ty i ja. Nie wiedziałam. Należymy do siebie. Skrzywdzili nas ci, którzy powinni nas kochać i chronić.

- Właśnie - przytaknęła June. - Jesteśmy podobne. Wiedziałam o tym, ale ty...

- Ale ja nie - wpadła jej w słowo Yvette. - Czy będziesz umiała mi wybaczyć?

- Uprawiałaś seks z Rileyem.

- To był błąd. Ciągle szukałam ciebie i... - W jej głosie wzbierał szloch. - Nie dostrzegałam, że masz rację.

Pistolet zachwiał się w ręku June. Po policzku Yvette potoczyła się łza.

- Przytul mnie - powiedziała błagalnie. - Proszę... Przytul mnie na chwilę.

June pomogła jej wstać i otoczyła ją ramionami. Yvette, pochlipując, uniosła skrępowane kajdankami ręce. Wydawało się,

że chce pogłaskać June po twarzy, ale wydała dziki okrzyk i sypnęła czymś w oczy kobiety.

June zawyła i trąc oczy, cofnęła się w stronę szafki. Pistolet poleciał na ziemię. Yvette próbowała go schwycić, ale upadła, waląc łokciami w podłogę. Mimo to złapała glocka, zacisnęła dłonie na kolbie i wycelowała w June. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że lufa podskakiwała w górę i w dół.

- Oddaj mi broń! - rozkazała Patti. - Ja to zrobię. Yvette pokręciła głową.

- Nie. Nie mogę.

- Oddaj pistolet - powtórzyła stanowczo.

- Ona zabiła Rileyę. - Głos dziewczyny drżał. - Kochana pannę Almę. Tonie. One nigdy nikogo nie skrzywdziły. Na pewno nie skrzywdziły jej.

- Zrobiłam to dla ciebie - powtórzyła June, opuszczając ręce. Oczy jej łzawiły, na zaczerwienionej skórze wystąpiły plamy. - A więc umarli przez ciebie.

- Nie! To nieprawda!

W postawie June i wyrazie jej twarzy nastąpiła niewielka zmiana.

- Gdybyś nie przystawiała się do Rileyę jak jakaś dziwka... - Jej głos brzmiał teraz inaczej, niżej. - Gdyby nie ty, wciąż by żył.

- Zamknij się! - Pistolet znów podskoczył. - To niepra...

W tym momencie June rzuciła się w jej stronę. Patti krzyknęła ostrzegawczo. W małym pomieszczeniu huk wystrzału był ogłuszający.

June zatoczyła się do tyłu. Rękę trzymała przyciśniętą do piersi, na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania. W końcu upadła. Z oddali dobiegał głos syren.

Nadciągała kawaleria. Dzięki Bogu.

Yvette ze szlochem wypuściła pistolet z ręki. Usiadła, podciągnęła kolana i zaniósła się rozdzierającym płaczem.

Patti powlokła się w jej stronę.

- Wszystko będzie dobrze. Z nami obiema. Dzięki tobie.

Dziewczyna szlochała coraz żałośniej. Patti chwyciła jej rękę i zacisnęła na niej palce.

- Ocaliłaś nam życie. Uratowałaś...
- Nie... byłabym tego... taka pewna.
Krew zamarła w żyłach Patti. Jak na zwolnionym filmie, powoli odwróciła głowę. June trzymała pistolet. Teraz podniosła go i wycelowała w Yvette.
Nie! To słowo rozbrzmiewało w jej głowie, gdy zbierała w sobie siły i rzucała się na Yvette.
Pistolet wypalił. Jeden strzał. Ból. Dotkliwy, palący. Usłyszała wrzask Yvette, jakieś głosy, krzyki. Spencera.
A potem była cisza.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Niedziela, 20 maja 2007 r.

9.15

Patti otworzyła oczy. Spencer siedział przy szpitalnym łóżku i uśmiechał się.
- Cześć, śpiochu - powiedział. Odpowiedziała uśmiechem. Była odurzona lekami.
- Hej.
- Lekarz mówi, że wszystko będzie dobrze. Kula przeszła przez ciało, narobiła trochę bigosu, ale nie spowodowała żadnych trwałych szkód. A jeśli chodzi o te nożyce, to skończy się na brzydkiej bliźnie.
- Nie da się zabić takiej wrednej baby. - Odszukała pilota i

podniosła łóżko do pozycji siedzącej. - No, tak jest lepiej. Co ze Stacy i Shauną?

- Odwodnione. I wciąż niedobrze im od tej pleśni. Ale poza tym są całe.

Zacisnęła palce na jego dłoni.

- A co z tobą i Stacy?

- Wszystko dobrze, ciociu Patti. Naprawdę dobrze. - Odchrząknął zażenowany. - Miałaś rację co do Yvette. I Franklina. A ja się tak myliłem. Gdybyś nie zawierzyła swoim przeczuciom, Yvette prawdopodobnie już by nie żyła, a Franklin stanąłby przed sądem za zbrodnie, których nie popełnił.

Znalazła zabójcę Sammy'ego. Powstrzymała Chirurga przed skrzywdzeniem kolejnej kobiety.

Jednak nie potrafiła się tym cieszyć. Została zdradzona. I to przez osobę, którą kochała.

Widząc wyraz jej twarzy, Spencer uściśnął jej dłoń.

- Przykro mi, ciociu Patti. Nie mogę uwierzyć, że ciocia June... no wiesz. Po prostu... nie mogę.

Jej również trudno było w to uwierzyć. Możliwe, że nigdy nie przyjmie tego w pełni do wiadomości.

- Przynajmniej poznałam prawdę o Sammym. Teraz już będzie mogła zapomnieć. Zdecydować się na kolejny krok w życiu. Yvette zapukała do drzwi.

- Mogę wejść?

Spencer z uśmiechem podniósł się z krzesła.

- Cześć, Yvette. Właśnie wychodziłem. - Pocałował Patti w policzek. W progu odwrócił się jeszcze i spojrzał ita Yvette. - A tak przy okazji. Niezły pomysł z tą miętową solą do peelingu.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Yvette zwróciła się do Patti:

- Mam coś dla ciebie. - Uśmiechała się, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

- Co takiego?

Podeszła do łóżka, opadła na krzesło i wyciągnęła czek.

Patti zmarszczyła brwi.

- Czek? Za co?

- Weź i zobacz.

Patti wzięła czek do ręki. Wypisany był na Patti O'Shay i opiewał

na dziesięć tysięcy dolarów.

Zaliczka, która miała powstrzymać zdenerwowaną Yvette przed ucieczką. Spojrzała pytająco na dziewczynę.

- Kiedy przyjąłem twoją ofertę, myślałem, że pięćdziesiąt tysięcy wystarczy na rozpoczęcie nowego życia. Pozwoli mi na nowy start, wymazanie dawnych grzechów. Na naukę i ruszenie z jakimś własnym biznesem.

- Nadal możesz to zrobić.

Już zaczęłam nowe życie. - Pochyliła się do przodu. - Wcale nie chodziło o pieniądze, tylko o to, co siedziało we mnie. Przyjęłaś kulę, która była przeznaczona dla mnie, bo wierzyłaś, że tak należy postąpić. Więc przyjmijmy... Wyciągnęła rękę i delikatnie zacisnęła palce Patti na czeku. - Przyjmijmy, że ja zostałam i pomogłam ci ze szlachetnych pobudek.

Nie wiem, co powiedzieć. Yvette uśmiechnęła się.

- Co powiesz na przyjaźń? Przydałaby mi się przyjaciółka. Tym razem prawdziwa.

Patti odpowiedziała uśmiechem na jej uśmiech.

- To nieźle brzmi. Przyjaciółki.